

CATHERINE

ASARO

WIELKA
INWERSJA

**CZEŚĆ
PIERWSZA:**

DELOS

Wyspa sanktuarium

Choć wiedziałam o Delos od czasów młodości, była to moja pierwsza wizyta na tej planecie. Delos należał do Planet Sojuszu Ziemijskiego, który wytrwale podtrzymywał neutralny stosunek wobec niewypowiedzianej wojny między Handlarzami a moim ludem, Skolianami. Mimo że wszyscy byliśmy ludźmi, nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Być może dlatego Ziemia ogłosiła Delos strefą neutralną, sanktuarium, miejscem, gdzie Handlarz i żołnierz skoliański mogli żyć obok siebie w harmonii.

Jasne. Sęk w tym, że owa harmonia to był ich pomysł, nie nasz. W życiu nie ujrzałbyś Skolianina żyjącego obok Handlarza - w harmonii czy bez niej.

Tak czy owak, Delos znajdował się najbliżej sektora kosmicznego, gdzie przeprowadzaliśmy ćwiczenia, które miały zintegrować naszego najnowszego członka, Taasa, z całą grupą - i to właśnie tam poleciliśmy, by odpocząć i się odprężyć.

Wieczór był ciepły, gdy całą czwórką udaliśmy się na spacer po Arkadzie. Wzdłuż chodnika ciągnęły się rzędy straganów i sklepików. Z ich okapów zwisały drewniane dzwonki, klekoczące na wietrze, a ze szczytu każdego dachu zwieńczonego wieżyczką wyrastał słup mierzący

ku niebu. Zwisające z nich metalowe płytki dźwięczały rażno, trącane wiatrem, a wygrywane przez nie melodie mieszały się z gwarem tłumu przelewającego się ulicami. Było to miejsce pełne śmiechu i radości, raj dla pięknych kobiet strojnych w trzepoczące, żółte spódnice i dla roslących młodzieńców w falujących spodniach, którzy się za tymi kobietami uganiali.

Mimo tej sielanki, idąc chodnikiem, czułam niepokój. Jego nervopleksowa powierzchnia bezustannie przemieszczała się pod moimi stopami, aż złapałam się na tym, że z całej siły zaciskam zęby. Najprawdopodobniej nervoplex skonstruowano po to, by ludziom żyło się przyjemniej. Sieć włókien molekularnych i wplecione w nią nanochipy reagowały na rozmieszczenie wagi, dzięki czemu chodnik mógł analizować ruchy przechodniów i wchodzić z nimi w interakcje, zupełnie jakby wyczuwał ich nastroje. Wielu ludzi przepadało za tym, ale mnie doprowadzało to do szału.

Szliśmy we czwórkę - Rex, Helda, Taas i ja. Żałowałam, że nie mogliśmy założyć naszych cywilnych ciuchów; w końcu nie byliśmy na służbie. Niestety, wszyscy mieliśmy na sobie mundury Jagernautów - czarne spodnie z nogawkami wsuniętymi w czarne buty, czarne kamizelki i czarne kurtki. Pośród owych barwnych tłumów nasze uniformy przyciągały uwagę, niczym kamienie wpadające do wody. Rzeka przechodniów rozstępowwała się przed nami, zupełnie jakbyśmy byli wielkimi głazami spiętrzającymi nurt. Mijający nas ludzie głównie byli obywatelami Ziemi i istniały niewielkie szanse, że kiedykolwiek widzieli Jagernautę, nie mówiąc już o czterech naraz.

Rex zerknął na mnie, a jego diablo przystojną twarz rozjaśnił uśmiech.

- Najwyższy czas, Soz, żebyś zaczęła wrzeszczeć i się pnieć. Okolica wyludniłaby się w try miga.

Obrzuciłam go niechętnym spojrzeniem. Szaleństwo Jagernauty było popularnym motywem w holofilmach. Byliśmy biomodyfikowanymi pilotami myśliwców, elitą oficerów Imperialnych Sił Kosmicznych Skolii. Wizja, w której jeden z nas wpada w amok i atakuje wszystkich w zasięgu wzroku, przyniosła niejednemu reżyserowi fortunę, co jednak nie przestawało nas drażnić.

- Zaraz sprawię, że sam zaczniesz wrzeszczeć! - burknęłam.

Rex wybuchnął śmiechem.

- O, to brzmi ciekawie - powiedział.

- Pamiętacie Gartha Bylera? - zapytała Helda ze swym gardłowym akcentem.

- Dostał się do Dieshańskiej Akademii Wojskowej, kiedy jaja kończyłem - stwierdził Rex.

Kobieta pokiwała głową. Była zbudowana równie potężnie jak jej rozmówca i górowała nade mną oraz nad Taasem. Grube kosmyki włosów okalały jej twarz niczym strąki miodorydzy.

- Trafił do prostownika - powiedziała.

Nervoplex pod moimi stopami zeszywniał. Zwolniłam, usiłując się odprężyć. W sumie nie miałam powodów, żeby się spinać. Prostownik był slangowym zwrotem określającym psychologa, do którego trafiali Jagernautci przeżywający załamanie nerwowe. Niemniej jeśli któryś z nas pękał, co działo się częściej, niż dowództwo ISK przyznawało, działo się to po cichu. A jeżeli pojawiała się agresja, kierowaliśmy ją przeciwko sobie, a nie przeciw innym.

- Co się z nim stało? - zapytał Taas.

- Poszedł do szpitala - odparła Helda. - A potem rzucił służbę.

Potarłam dłonią czoło. Z jakiegoś powodu mój puls przyspieszył, oddech stał się płytki, a na skroniach pojawił się pot, aż moje loki zwilgotniały. Dziwne.

Aż wreszcie zorientowałam się, o co chodzi. Dwoje ludzi z przeciwnej strony Arkady, mężczyzna i kobieta w młodym wieku, ubrani w importowane dżinsy i błyszczące koszule, obserwowało nas. Wyglądali na studentów albo na zakochaną parę, która wybrała się na spacer. Oboje wpatrywali się w naszą grupę, całkiem zapominając o trzymanyh w rękach przekąskach.

Poczułam ucisk wokół klatki piersiowej. Zatrzymałam się i nabrałam tchu.

„Blokada” - pomyślałam.

Podczas wydawania tego polecenia powinnam zobaczyć jedynie psikonę - obiekt podobny do ikon komputerowych z tym wyjątkiem, że pojawiający się wyłącznie w umyśle - z jakiegoś powodu ujrzałam jednakże menu. Zamknęłam oczy i obraz zadrżał, niczym gasnące wspomnienie jasnej łuny świecącej mi prosto w twarz. Gdy znów je otworzyłam, menu nadal wisiało przede mną niczym hologram.

Transfer

Blokada

Wyjście

Słowa były zapisane moją osobistą czcionką i wyglądały, jakby wyrzeźbiono je z bursztynu. Obok Blokad widniała synapsa nerwowa z murem oddzielającym akson od dendrytu. Ha, tę właśnie psikonę spodziewałam się ujrzeć w moim umyśle, lecz zamiast tego falowała tutaj, rozpraszając mnie i irtując. Rex i Helda stali tuż

obok, pogrążeni w rozmowie, nieświadomi tego, że ich sylwetki przesłania lista poleceń.

Niech spleń, dlaczego to menu wisiało przede mną? Wiedziałam, w jaki sposób do tego doszło. Węzeł im-plantowy w moim kręgosłupie połączył się z nerwami optycznymi i wyświetlił je, gdy podałam komendę Blokady. Tylko że nie tak powinien zareagować. Ustawiłam swój system tak, by pomijał menu. Przechodzenie przez tę procedurę za każdym razem, gdy przekazywałam komendę do mojego węzła systemowego, nic mi nie dawało, a ponadto rozpraszało moją uwagę. Powinnam ujrzeć błyszczącą psikonę z przedzieloną synapsą, która przekazywała informację, że węzeł jest gotowy do pracy.

Uformowałam kolejną myśl:

„Przełącz na Tryb Błyskawiczny”.

Nie zwracałam się do mojego własnego węzła po imieniu. Wszystkie inne, z którymi przyszło mi pracować, zwykłam jakoś nazywać, ale personalizowanie systemu w moim wnętrzu przypominałoby odzywanie się do siebie samej innym imieniem, zupełnie jakbym mnożyła lub rozdzielała swoją osobę.

Mój węzeł odpowiedział w typowy dla niego sposób, posługując się suchym do bólu słownictwem.

„Zalecam Tryb Weryfikacji. Uplłynęło zbyt dużo czasu od ostatniego potwierdzenia operacji blokowania”.

Wszystko jasne, system chciał, żebym przeprowadziła kontrolę. Znałam tę procedurę i wiedziałam, że węzeł przedstawi każde działanie prowadzące do wykonania Blokady. Zazwyczaj proces przebiegał z szybkością bliską prędkości światła, nieprzekraczalnej dla sygnałów wędrujących po włóknach światłowodowych w moim ciele.

Teraz chciał, abym przeszła przez całą procedurę, by się upewnić, że nie ma żadnych błędów.

„W porządku”. - pomyślałam. „Przeprowadź Kontrolę”.

Menu zniknęło i pojawiła się nowa projekcja - błękitne sylwetki obojga wpatrujących się w nas studentów. Węzeł nałożył projekcję na gapiów, przez co wydawali się emanować błękitnym światłem.

„Dane z tych dwóch źródeł przekraczają bezpieczne granice”.

Wiem, jestem empatką i dla mnie owe „dane” to ich strach. Wyczuwałam go tak wyraźnie, że na moich skroniach pojawił się pot. To właśnie dlatego chciałam ich zablokować.

„Uwalniam substancję - przekazał mój węzeł - która powstrzyma oddziaływanie psiaminy na neurony w pa-racentrach twojego mózgu oraz połączeniach z receptorami PI. Operacja powstrzymywania psiaminy będzie trwać do chwili, gdy napływ danych z zewnątrz znów znajdzie się poniżej granicy bezpieczeństwa”.

„Nie możesz po prostu powiedzieć, że ich blokujesz?” - przemknęło mi przez głowę.

„Blokuję ich” - przyznał węzeł.

Napór strachu osłabł i napięcie opuściło moje ramiona.

„Procedura sprawdzona” - pomyślałam. „Przełączyc na Tryb Błyskawiczny”.

„Tryb Błyskawiczny aktywowany”.

Rozejrzałam się. Obok mnie stał Taas i wpatrywał się w studentów. Ich strach promieniował z niego niczym ukrop bijący od rozgrzanego do czerwoności pręta.

- Odłącz ich - powiedziałam cicho.

Ani drgnął, stojąc wciąż jak zahipnotyzowany.

- To rozkaz, ąartan - ponowiłam. - Natychmiast uruchom blokadę.

Taas wzdrygnął się, a potem zamknął oczy. Po chwili spojrzał na mnie.

- Wszystko w porządku? - spytałam.

- Tak. - Skrzywił się. - Zaskoczyli mnie.

- Nie tylko ciebie.

Rex spojrzał na Taasa, a potem zerknął na studentów, ja zaś wyczułam, jak blokuje ich napór. Helda nie potrafiłam wyczuć tak łatwo, ale jej szkliste oczy zdradzały, że i ona uruchomiła blokadę. U każdego z nich trwało to zaledwie sekundę - najwyraźniej ich własne węzły nie zdręczały ich procedurami weryfikacji. Zresztą może „zdręczanie” to niewłaściwe słowo. Może po prostu jako jedyna kazałam węzłowi przekazać ostrzeżenie, gdy działał zbyt długo bez sprawdzenia.

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak zareagowałem - rzekł Taas.

- To przez ten cholerny nervoplex - wskazałam chodnik. - Wzmacnia nastroje i emocje.

Taas i ja byliśmy bardziej wyczuleni na to działanie z różnych względów - on był najmniej doświadczonym członkiem zespołu, a ja najsilniejszą empatką.

Helda zmarszczyła brwi, wpatrując się w studentów.

- Dlaczego oni są tak rozchwiani? Boją się, że zrobimy im krzywdę?

- Mam już dosyć budzenia strachu w ludziach - rzekł Rex. Przechesał dłonią włosy, odgarniając na bok czarne loki - a właściwie już nie czarne, bo z każdym dniem na jego skroniach pojawiało się coraz więcej białych pasemek.

Zaraz, czy Taas właśnie się uśmiechnął?

- Co w tym zabawnego? - zapytałam.
- Słucham? - Mężczyzna zarumienił się.
- Co cię tak bawi?
- Nic, proszę pani - odparł, a jego twarz natychmiast na powrót przyjęła obojętny wyraz.
- Taas, skończ wreszcie z tym „proszę pani”!
-Uśmiechnęłam się. - Co cię tak rozweseliło?
- Ten chłopak, eee... inaczej zareagował na ciebie niż na resztę z nas.
- Inaczej? - Zamrugalam. - W jaki sposób?
- Myśli, że jesteś... eee...
-Tak?
- Że jesteś seksowna. - Taas poczerwieniał.
Niech spłonę.
- Mogłabym być jego matką!
- Ale dalej wyglądasz jak podłotek, Soz - roześmiała się Helda.
- Wcale nie - zaprotestowałam, choć w rzeczy samej, nie ona pierwsza mi to mówiła.

Rex wyszczerzył zęby, a ja wyczułam, jak Taas się odpręży. Napięcie w grupie uleciało, ale nie na długo. Spojrzenie Reksa powędrowało gdzieś nad moje ramię i jego uśmiech nagle zniknął z twarzy. Zaskoczona, odwróciłam się.

Handlarze.

Mój dobry nastrój prysnął w jednej chwili.

Oczywiście, sami siebie nie nazywali Handlarzami. Byli Eubianami, członkami tak zwanej Ugody Eu-biańskiej. Pięciu z nich szło teraz chodnikiem - wszyscy w szarych mundurach z niebieską lamówką na spodniach i karmazynowymi galonami na rękawach. Z daleka nie widziałam dokładnie ich oczu, ale wątpiłam, by u któregokolwiek z nich były czerwone. Jeden z mężczyzn miał

co prawda delikatnie rzeźbione rysy twarzy i arogancką postawę, a co więcej, jego czarne włosy przedziwnie lśniły, jednak nie tak intensywnie jak u Aristo, których czupryny wręcz migotały niczym woda. Wyglądało na to, że był co najwyżej bękartem któregoś z nich, co i tak oznaczało, że stanowił spore zagrożenie.

Handlarze wpatrywali się w nas tak, jakby nagle odkryli, że przez nervoplex przenika szlam. Między nami i Handlarzami nadal przetaczały się tłumy ludzi zajętych swoimi sprawami, nie dostrzegając napięcia, jakie wytworzyło się między naszymi grupami.

Poczułam osobliwy lęk - intensywny strach matki bojącej się o swoje dziecko - który z pewnością nie miał nic wspólnego z Handlarzami. Rozejrzałam się i dostrzegłam kobietę, która uciekała w przeciwną stronę z kilkoma maluchami. Zerknęła na Eubian, potem na nas, a potem jeszcze raz ponagliła dzieci. Najmniejszy z chłopców próbował uciec w kierunku najbliższego straganu, gdzie wisały świeczki ociekające cukrem zamiast wosku, ale kobieta złapała go i pognała przez tłum, ignorując jego protesty. Nie winiłam jej. Gdybym to ja była cywilem, któremu przyszłoby ujrzeć czterech Jagernautów i pięciu oficerów eubiańskich w jednym miejscu, też uciekłabym gdzie pieprz rośnie.

Taas spojrział spode łba na Handlarzy.

- Przecież oni nie mogą się tutaj tak po prostu szwen-dać!

- A co, chciałbyś, żeby najpierw poprosili o zezwolenie? - spytała Helda. - My się tu harmonizujemy, pamiętasz?

- Ale oni mogą szpiegować! - upierał się Taas.

Rex przyglądał mi się bacznie.

- Co się dzieje? - spytał.

- Ten wysoki - powiedziałam. - Wygląda jak Tar-que.

- Tarque nie żyje. - Rex zeszywniał.

I to od dawna. Od dziesięciu lat. To ja go zabiłam.

- Kto to jest Tarque? - zapytała Helda. - Brzmi jak jakiś Aristo.

- Bo to był Aristo - odparłam. Jakoś udało mi się powstrzymać drżenie głosu.

Rex szturchnął mój umysł. Po tylu latach współpracy byliśmy tak blisko, że mogłam przechwycić jego impuls, jeśli kierował go do mnie z odpowiednią siłą.

„Wszystko w porządku?” - usłyszałam w umyśle jego pytanie.

Nabrałam tchu, usiłując utrzymać równy puls.

„Tak” - odparłam.

- Gdzie poznałaś tego Tarque'a? - Helda nie spuszczała ze mnie oczu.

- Dziesięć lat temu działałam pod przykrywką w bazie Tams - wyjaśniłam.

- Tams? - zdziwił się Taas. - Masz na myśli planetę Handlarzy?

- Tak - pokiwałam głową. - I zostałam... złapana.

- Przejrzeli cię?

- Nie, nie o to chodzi... - Głos nagle uwiązł mi w gardle i musiała upłynąć dłuższa chwila, nim mogłam podjąć na nowo. - Dziesięć lat temu Handlarze wysłali na Tams nowego gubernatora Aristo, niejakiego Kryksa Tarque'a. Jego ludzie przeczesywali miasta w poszukiwaniu fach-mistrzów do służby w nowej posiadłości zarządcy...

Terminem „fachmistrz” Aristo określali większość swoich niewolników, tymi zaś - w ich wizji świata - byli wszyscy ludzie we wszechświecie, którzy nie należeli do ich rasy.

- Zostałam schwytana podczas łapanki - dokończyłam.

- Byłaś niewolnicą Handlarza? - Taas wbił we mnie wzrok.

- Nie - odparłam z udawanym spokojem. - Byłam dostarczycielką.

Taas pobladł. Dostarczycielka. Ze wszystkich eufemizmów Aristo ten był najgorszy.

Helda, która wcześniej odruchowo napięła mięśnie, machnęła ramionami niczym wojownik chcący rozluźnić zeszywniałe mięśnie.

- Jak uciekałaś? - spytała cicho.

Pokręciłam głową. Nie chciałam o tym mówić. I nie mogłam.

Handlarze po drugiej stronie Arkady zażarcie dyskutowali o czymś między sobą i nie trzeba było być geniuszem, aby domyślić się, iż rozmawiają o zniewadze, jaką stanowiła nasza obecność na ulicy.

- Przepraszam, primanie Valdoria...

- Mów do mnie po imieniu, dobra? - Uśmiechnęłam się łagodnie.

Powtarzałam mu to tak często, że już dawno straciłam rachubę.

- Tak jest, proszę pani. - Zarumienił się.

„Ja też przepraszam” - smagnęła mnie myśl Hedy, ale o wiele słabiej niż w przypadku Rekxa.

„Daj chłopakowi trochę czasu. Boi się ciebie jak cholera”.

„Hej!” - pomyślał Taas. „Przechwyciłem to! Nikogo się nie boję”.

„Zwłaszcza Soz!” - zachichotał Rex.

Machnęłam ręką, wiedząc, że próbują rozładować napięcie. Powinna zresztą być zadowolona, bo Taasowi

nigdy wcześniej nie udało się nawiązać z nami łączności bez pomocy naszych statków. A mimo to nie mogłam spuścić wzroku z Handlarzy, którzy właśnie ruszyli z miejsca, obrzucając nas wrogimi spojrzeniami do chwili, aż zniknęli w tłumie.

- Wygląda na to, że ich zniechęciliśmy - oznajmiła Helda.

Taas przestępował z nogi na nogę jak piłkarz czekający na ruch przeciwnika.

- Nie możemy tak po prostu pozwolić im odejść - oznajmił z zacięciem w głosie.

- A niby co mielibyśmy zrobić? - zapytałam.

- To Handlarze! - upierał się Taas. - Nie wystarczy?

Wskazałam ruchem głowy policjantów Sojuszu, którzy nagle pojawili się w pobliżu. Ich niebiesko-srebrne mundury wyraźnie odcinały się od różnobarwnego tłumu.

- Wątpię, czy oni by się z tobą zgodzili - stwierdziłam.

- Gdyby nie to, że tu jesteśmy, Handlarze już dawno zajęliby te ich planety - skrzywił się Taas. - Powinni być nam wdzięczni za to, że ich chronimy.

- Gdyby nie to, że toczymy wojnę z Handlarzami, sami zajęlibyśmy wszystkie ich światy - odparłam.

Taas zmarszczył czoło.

- Ty ich nie nienawidzisz? - zapytał z wahaniem. - Nawet po tym, jak...

- Bójki na ulicy niczemu nie służą - powiedziałam. - Poza tym tak się składa, że są tu nielegalne.

- A poza tym, *Hoiya*, mamy ciekawsze rzeczy do roboty - wzruszyła ramionami Helda. - Ja na przykład chciałabym się napić.

Właściwie nigdy nie doszłam do tego, co w jej języku oznacza *Hoiya*, ale zawsze wydawało mi się, że to coś na kształt „chłoptasiu”. Pora, żeby i Taas uświadomił sobie, co tak naprawdę może znaczyć to słowo. W sumie będą niezłe jaja, kiedy się połapie i zażąda wyjaśnień.

- Heja, Helda, *Hoiya*, chcesz się uwalić? - ryknął Rex.

- *Hoiya* ci do tego - burknęła Helda z udawanym oburzeniem, a zaraz potem jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. - To co, może skoczmy na jednego albo dwa?

- Popieram - powiedziałam.

Ja też miałam ochotę na coś mocnego - na coś, co wymaże wspomnienia.

Noc napływała od jakiejś godziny i zachodni fragment nieba, płonący przez cały ten czas purpurą, z każdą chwilą coraz bardziej przygasał. Pełen dzień na Delos trwał sześćdziesiąt dwie godziny i każdego wieczoru zdawało się, że zachód słońca trwa w nieskończoność. Dolne krawędzie chmur wiszących wzdłuż horyzontu oznaczone były jaskrawym różem, który ciemniał, w miarę jak ognista kula coraz mocniej kryła się za dachami Arkady. Nieboskłon w górę przybrał barwę głębokiego indygo. Słońce tego układu emitowało więcej fioletowego światła niż większość gwiazd z innych zasiedlonych światów, a rzadka atmosfera Delos nie rozpraszała go zanadto, przez co nawet tu, na poziomie morza, niebo miało fiołkowy odcień.

Szliśmy ulicą wzdłuż długiego rzędu knajp. Półmrok rozjaśniały barwne holoszyldy - jakiś różowy kwiat mi-

goczący nad drzwiami, to znów pozłacane owady zakreślające elipsy, a nawet gromada niebiesko-zielonych planet wirujących wokół błękitnego giganta, który tak naprawdę nie miałby możliwości obdarować życiem takiego układu. Na ścianach większości lokali znajdowały się holoekrany, które rozsyłały swoje projekcje - między budynkami obracały się słupy światła, oślepiające pasmami jaskrawego fioletu i czerwieni, nad dachami wyrastały fosforyzujące łuki, a po ścianach przemykały zwierzątka, skrzące się i wybuchające niczym fajerwerki lub przekształcające się w inne formy.

Dookoła rozbrzmiewała muzyka, ostre tony mieszały się z uwodzicielskimi, słodkimi melodiami. Dźwięki obskakiwały nas, gdy zbliżaliśmy się do kolejnego lokalu, i zlewały się w oszalamiający szum, gdy go mijaliśmy. Dziwki stojące przy drzwiach nagabywały nas w najrozmaitszych językach. Te, które zrozumiałam, usiłowały zwabić swoich klientów obietnicami alkoholu, skrętów i nasion oliwianu, dzięki którym można śnić bądź kochać się godzinami. Powietrze przesycił zapach gotowanego mięsa z przyprawami.

Nie byłam w stanie odczytać większości holoszyldów. W końcu wywołałam menu translacyjne w umyśle i nałożyłam je na elegancki szyld „Constantinides”.

„Przetłumacz” - pomyślałam. - „Greka” - odparł mój węzeł. „Tłumaczenie: Constantinides”.

„To ci dopiero pomoc” - stwierdziłam. „Wielkie dzięki”.

- Dokąd idziemy? - spytała Helda.

Wskazałam rdzawy budynek z dachem zwieńczonym pojedynczym słupem. Kilka krążków rozwieszonych na

całej jego długości klekotało cicho na wietrze. Holoszyld był po angielsku, jedynym zauważonym przeze mnie języku, w którym umiałam jako tako czytać bez tłumacza.

- „U Jacka” - powiedziałam.

- Pachnie mi tu klimatem Ziemi z dawnych czasów.

-Rex zmierzył bar wzrokiem.

- A mi pachnie syfem i ruiną - parsknęła Helda.

- Daj spokój! - zaśmiał się mężczyzna. - Więcej odwagi!

- Ale dlaczego nie możemy wybrać innego miejsca?

- Ponieważ tutaj znajdziemy autentyczną atmosferę starej Ziemi - odpowiedział Rex.

- I to jest takie fajne? - spytała Helda.

Uśmiechnęłam się. Mój nastrój się poprawiał.

- Cóż, wejdźmy i przekonajmy się na własnej skórze.

Pchnęliśmy drzwi pod szyldem i weszliśmy do środka. Wewnątrz ujrzelśmy stoły kryte obrusami w biało-czerwona kratę. Pod przeciwległą ścianą ciągnęła się czarna, złuszczona ze starości lada, wzdłuż której ustawiono stolki, każdy obity czerwonym materiałem, wytartym po wielu latach używania. Za ladą stał człowiek w białym, poplamionym fartuchu obwiązany wokół pokażnego brzuszyska i wycierał szklankę. Na niewielkim podeście w rogu sali grał jakiś zespół. Nigdy nie widzieliśmy takich instrumentów - płaskie pudła w kształcie klepsydr, na których rozciągnięto struny, złote trąby z uchwyta-
mi, które można było wciągać i wyciągać, oraz pokażne bębny o różnej średnicy. Rozbrzmiewająca muzyka miała w sobie coś hipnotyzującego, tworząc zmysłową mieszankę dźwięków sprawiającą, że poczułam ochotę na

taniec z młodym mężczyzną przy mikrofonie. Jaskrawe, krzykliwe hologramy migotały przed panelami wyznaczającymi koniec sceny.

Wśród stołów uwijała się kobieta w krótkiej spódniczce, obsługując gości. Taas śledził ją wzrokiem z chłopskim uśmiechem na twarzy.

- Podoba mi się to miejsce - stwierdził.

- Zostajemy - zgodził się z nim Rex.

Helda spojrzała na Taasa i przechyliła głowę, wpatrując się w kelnerkę.

- Fajna, co? Ale lepiej zapomnijmy o bójkach. Oszczędzajmy siły na Handlarzy. Nawiasem mówiąc, i tak jestem od ciebie o wiele większa.

- Co takiego? - Taas zamrugał oczami.

- Ona nie chce się z tobą bić o kelnerkę - powiedziałam.

- Dlaczego miałbym się bić z Heldą o kelnerkę?

- Cholera wie.

Nie byłam ekspertem w kwestiach kobiecej urody. Jeśli chodziło o mężczyzn, to co innego, ale dla mnie kelnerka była po prostu zbyt młodą dziewczyną w za ciasnej spódniczce. Pewnie miała przez nią problemy z krążeniem.

- Może powinniśmy złożyć jej propozycję we trójkę i kazać wybrać! - zaśmiał się Rex.

- Ha! - powiedziałam. - A skąd pomysł, że wybrałaby kogokolwiek z was?

- We trójkę? - spytał Taas. Helda pochyliła się ku niemu.

- Chodzi o mnie, o ciebie i o Rekse - powiedziała.

- Wolisz kobiety? - zarumienił się chłopak. - A nie mężczyzn?

- Jasne.

- Aha... - Taas potarł swój podbródek. - Cóż, może i jesteś większa ode mnie, ale ja mam lepszy styl.

Kelnerka podeszła do nich i nieśmiało odezwała się do Reksa po angielsku.

- Szukacie stolika?

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, ale zabrzmiało to pięknie - odpowiedział po skoliańsku, promieniejąc swym najbardziej uwodzicielskim uśmiechem.

- Chce wiedzieć, czy potrzebny nam stolik - powiedziałam i znów wywołałam menu translacyjne, które zawisło nad kelnerką. Dziewczyna patrzyła to na mnie, to na Taasa lub Heldę. Wiedziałam, że mój wzrok jest teraz równie szklisty jak ich.

„Czekam” - ponaglił mnie mój węzeł.

- Medytują - wyjaśnił Rex po skoliańsku, wciąż uśmiechając się do dziewczyny.

Poczerwieniała i odwróciła się w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby jej pomóc.

„Przetłumacz: chcemy coś zjeść i się napić” - pomyślałam.

Kelnerka porzuciła próby znalezienia pomocy i raz jeszcze odezwała się do Reksa:

- Co mogę dla was zrobić?

Skoliańskie tłumaczenie jej słów wdarło się do mego umysłu, przeszkadzając w próbie przełożenia moich słów na angielski.

- Niech to - mruknęłam. Mój węzeł był zaprogramowany do walki, a nie do usług translacyjnych. Być może powinnam była zainstalować moduł dyplomatyczny, który poprawiłby moje zdolności interpersonalne i zwiększył umiejętności językowe, ja jednakże załadowałam węzeł do oporu modułami bitewnymi oraz bibliotecznymi i nie miałam najmniejszego zamiaru pozbywać się

ani jednego. Któregoś dnia moje życie może zależeć od zasobów systemu. Nie miałam również zamiaru powiększać węzła. Mój system biomechaniczny osiągnął kraniec możliwości uznawanych za bezpieczne nawet w najnowocześniejszych technologiach.

Poza tym nie zaszkodzi poćwiczyć angielski bez węzła szepczącego mi do ucha.

„Zakończyć program translacyjny” - pomyślałam.

Gdy menu zniknęło, odezwałam się do kelnerki w najlepszym angielskim, na jaki było mnie stać:

- My tam siadać, dobrze?

Wypowiadając te słowa, wskazałam ręką przedział pod przeciwną ścianą.

- Oczywiście - odparła dziewczyna. Z jej twarzy zniknęło zakłopotanie. Zerknęła na Heldę i Taasa, którzy znów wyglądali normalnie, i opuściła ramiona. Ja również się odprężyłam.

Kelnerka wzięła jakieś wielkie karty z sąsiedniego stołu i ruszyła w kierunku wskazanego jej przedziału. W połowie drogi obróciła się, spojrzała na Rekxa i zarmieniła się. Spojrzałam w ślad za jej wzrokiem i zauważyłam, jak obcisłe są jego spodnie. Oblekały jego muskularne nogi niczym druga, czarna skóra, co wydawało się jednocześnie groźne i seksowne. No i te jego wielkie dłonie. Ciekawe, jak smakował ich dotyk, kiedy... - -
Dlaczego się na mnie gapisz? - spytał Rex.

- Co? - Zmieszałam się. - Wcale się nie gapię.

„Blokada” - pomyślałam.

W moim umyśle rozbłysła psikona i natychmiast zapomniałam o reakcji kelnerki. Spodnie Rekxa na powrót wyglądały normalnie. Prawie normalnie. Dziewczyna miała rację, bardzo seksownie w nich wyglądał. Nigdy dotąd tego nie zauważyłam, a przynajmniej nie świadomie.

- I znów to samo - mruknęła Helda. - Ciągle latają tylko za nim.

- Masz na myśli Rekxa? - spytał Taas.

- Uhm. A chłopaki latają tylko za nią - odparła, wskazując mnie ruchem głowy.

- Nie licząc tych, którym również spodobał się Rex! - dodałam z rozbawieniem.

Wybuch śmiechu był tak niespodziewany, że kelnerka aż podskoczyła. Zatrzymała się przy przedziale i rzuciła karty na blat stołu, a potem odwróciła się do nas. Staliśmy i przyglądaliśmy się, ciekawi, co teraz zrobi. Po chwili jej twarz znów się zaróżowiła.

- Chce, żebyśmy usiedli - zdecydował Taas.

- No to siadajmy - rzekł Rex i przecisnął się obok niej, przelotnie obejmując dłońmi jej wąską talię. Róż na twarzy dziewczęcia ustąpił miejsca głębokiej purpurze. Tymczasem wszyscy zajęliśmy miejsce.

- Czy podać coś do picia? - spytała Rekxa kelnerka.

- Twój cudowny głos mógłby wypełnić moje sennie marzenia - odparł po skoliańsku swym niskim, grzmącym głosem.

- Jak się nim znudzisz - dodała Helda - możesz sobie wziąć nas.

Wskazała gestem Taasa.

- Mnie i jego - uzupełniła. - On ma styl, a ja mięśnie.

- Chyba nie rozumiem - odezwała się dziewczyna po angielsku.

- Dajcie jej spokój - powiedziałam i podniosłam jedną z kart. Przezroczyste rurki u góry, wypełnione żółtym, fosforyzującym gazem, układały się w słowa „U Jacka”. Nad plamkami na jej powierzchni unosiły się holopro-jekcje, z których każda pokazywała inną potrawę. Gdy

obracałam kartę, hologramy ukazywały ofertę z innej perspektywy.

Mój program translacyjny przełożył *hamburger* jako „kanapka z syntetycznego mięsa”. Wypróbowałam *hot dog*, co program znów oddał jako „kanapka z syntetycznego mięsa”. Gdy identycznie przetłumaczył *Beef Bliss*, poddałam się i spojrzałam na resztę.

- Na *co* macie ochotę?

- Może po prostu po browarku - stwierdził Rex, a Helda i Taas przytaknęli.

- Wy masz browar? - odezwałam się po angielsku.

- Co takiego? - Dziewczyna wytrzeszczyła oczy. - Co pani powiedziała?

- Browar - powtórzyłam. - Masz wy?

- Chodzi o piwo?

- Chyba tak. - Spojrzałam na nią z ukosa.

- Ciemne czy jasne?

„Ciemne czy jasne?”

- Obojętnie. Chuj wybór.

Kelnerka znów oblała się pąsem. Szybko zorientowałam się w sytuacji i spróbowałam raz jeszcze.

- Twój wybór. Cztery piwa - machnęłam ręką w stronę reszty.

- W porządku - powiedziała i odeszła, ale nie omieszkła na odchodnym obdarzyć Rekxa jednym ze swych nieśmiałych uśmiechów.

Po przeciwnej stronie sali otworzyły się drzwi i do środka weszła niewielka grupa. Moje ramiona znów zeszywniały, lecz tym razem na skutek mojej własnej reakcji, a nie kogoś postronnego.

Handlarze. Tych samych pięciu, których widzieliśmy wcześniej, oraz ktoś nowy, kogo najwyraźniej pilnowali. Miał lśniące, czarne włosy i czerwone oczy.

Aristo.

Gdy tylko nas ujrzeni, stanęli jak wryci. Spojrzeliśmy po sobie. Barman przestał polerować szklanke i postawił ją pod ladą.

„Nie darzysz ich nienawiścią?” - zapytał niedawno Taas. Nie, nienawiść była uczuciem zbyt łagodnym. Wystarczył widok tego Aristo i mój umysł natychmiast zawrzał od wspomnień Tarque'a, gubernatora na Tams. Trzy tygodnie tortur. Przybyły Aristo wpatrywał się we mnie swoimi rubinowymi oczami, a ja chciałam połamać każdą perfekcyjnie ułożoną kość w jego perfekcyjnej twarzy.

„Spokojnie” - upomniałam się. „Tylko spokojnie”.

Jeden z jego ochroniarzy pochylił się ku niemu i coś powiedział. Nie potrzebowałam telepatii, by wiedzieć, że sugeruje poszukanie knajpy z klientelą lepszego sortu. Aristo pokręcił jednak głową i usiadł na stołku przy ladzie.

- Nie dam rady wysiedzieć tutaj i patrzeć, jak się raczą. - Taas gniótł menu w dłoniach. - No nie dam rady.

- To chodźmy stąd - kiwnął głową Rex. Helda już stała.

- Siadać - rozkazałam.

Wszyscy wbili we mnie spojrzenia. Helda opadła na miejsce, choć jej ciało było zeszywniałe.

Rex trącił mój umysł, ale trzymałam wrota zatrzaśnięte. Moje przemyślenia na temat Handlarzy były moją prywatną sprawą i nawet Rex nie miał prawa ich poznać. Niemniej stwierdzenie, że chciałabym zostać w barze, byłoby głębokim nieporozumieniem. Byłoby również nie na miejscu.

- Aristo nie przybywają na Delos dla przyjemności - powiedziałam. - On znalazł się tu z jakiegoś powodu,

a naszym zadaniem jest dowiedzieć się, *co* go tu sprowadza.

Na szczęście Reksa drgnął mięsień. Miał ten tik od dnia, gdy ujrzał, co Tarque mi zrobił - gdy zobaczył mnie tak wstrząśniętą i przerażoną, że nie mogłam z siebie wyrzucić nawet słowa.

Helda nieświadomie sięgnęła do pasa, gdzie zazwyczaj wisiała kabura na jej broń. Najwyraźniej zapomniała, że byliśmy uzbrojeni jedynie w noże, ukryte za cholewami butów. Nawet bez modułu dyplomatycznego wiedziałam, jak groźnie wyglądalibyśmy, spacerując po Delos z potężnymi devastatorami u boku. Przybyliśmy na tę planetę, żeby odpocząć, a nie prowokować lokalne władze. W przeciwieństwie do nas Handlarze, którzy wcześniej także nie byli uzbrojeni, teraz mieli przepalacze laserowe wraz z dodatkowymi ładunkami przytroczonymi do pasów. Oznaczało to, że chroniony przez nich człowiek cieszy się wysokim statusem nawet wśród Aristo.

- Nie spuszczać ich z oczu - rozkazałam. - Może uda nam się czegoś dowiedzieć.

Kelnerka pojawiła się znów i postawiła przede mną szklanicę z bursztynowym płynem. Nie wiedziałam wiele o ziemskich procesach destylacji, ale wyczułam alkohol. Z tym że nie było to piwo, ale rum. Mój angielski okazał się o wiele gorszy, niż sądziłam.

Pokręciłam głową, patrząc na dziewczynę.

- My piwo mam. - Wskazałam resztę. - Piwo. Dla każdy.

- Ale... - pisnęła dziewczyna i przełknęła ślinę. - Ten człowiek... To on to dla was zamówił.

- Jaki człowiek?

- On. - Kelnerka wskazała Aristo.

Wbiłam w nią spojrzenie, a potem oddałam rum. Musiałam opanować się ze wszystkich sił, by nie rozlać zawartości, przekazując jej szklankę.

Rex wstał i wsunął dłoń pod łokieć dziewczyny. Pociągnął ją na tył sali, a potem zniknęli w drzwiach, które prawdopodobnie prowadziły do kuchni. Rozumiałam, dlaczego ją zabrał. Jeśli oddziaływała w ten sam sposób na Aristo jak na całą naszą grupę, mogłaby znaleźć się w niezłych tarapatach. Aristo jednakże nawet na nią nie spojrzał. Przyglądał się tylko i wyłącznie mnie, a ja miałam wrażenie, że po mojej skórze pełzają robaki.

Taas zmiażdżył menu, a zniekształcone holoprojekcje zlały się w osobliwą mieszankę kolorów.

- Co mamy robić? - zapytał.

- Postarajcie się wychwycić jak najwięcej szczegółów - powiedziałam. - Patrzcie na to, co mają na sobie, jak siedzą, poruszają się i mówią. Zapisujcie wszystko w pamięci. Później wprowadzimy wszystko do systemu i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Helda wskazała kilka automatów z hologrami w rogu.

- Stamtąd będę miała inny punkt widzenia.

- W porządku - kiwnęłam głową.

Zespół po drugiej stronie sali właśnie skończył grać kolejny utwór. Muzycy spojrzeli na Handlarzy, a potem na nas. Perkusista powiedział coś do trębacza, a mnie niespodziewanie ogarnęła przemożna ochota, by wiać gdzie pieprz rośnie. Mięśnie nóg napięły się, jakbym szykowała się do biegu, i musiałam się zmusić, by znów usiąść. Choć z drugiej strony siedzenie przy stole nie było najlepszym rozwiązaniem. Ze sceny miałabym o wiele lepszy widok.

- Ja będę prowadził obserwację z tej strony - powiedział Taas.

- W porządku. - Uśmiechnęłam się lekko. - Ja chyba mam ochotę na nieco muzyki.

Przeszłam przez salę, czując na sobie wzrok Aristo. Gdy dotarłam do sceny, odezwałam się do mężczyzny z ciemnymi włosami, który był wokalistą:

- Wy można zagrać piosenka?

- A co sobie życzysz?

- Twój wybór.

Skinął głową, ale miałam wrażenie, że tak naprawdę chce, byśmy wyszli - my i Handlarze. Zupełnie go o to nie winiłam.

Zespół zagrał wolniejszy fragment jakiejś słodkiej, pięknej melodii, a muzyk, z którym rozmawiałam, zaśpiewał dobrze wyćwiczonym barytonem. W innych okolicznościach na pewno bardzo by mi się to podobało, teraz jednak, dzięki bocznej wizji, cały czas przyglądałam się Handlarzom. W pewnym momencie Aristo wstał i ruszył w moją stronę. Gdy był już całkiem blisko, odwróciłam się ku niemu.

Stał obok i nie patrząc na mnie, odezwał się po skoliańsku:

- Przyjemne, nieprawdaż?

Jego akcent zdradzał, że należał do elitarnej kasty Highton, arystokracji wśród arystokracji, władców w hierarchii Handlarzy.

Z trudem powstrzymałam się od wyszarpięcia noża ukrytego w bucie.

- Czego chcesz?

- Porozmawiać.

- Po co?

- Nie mam złych intencji - powiedział niepewnie.

Nie pasowało mi to. Poznałam w życiu wielu Aristo, najczęściej przez daleką łączność, ale również i osobiście, podczas sporadycznych i za każdym razem kończących się porażką prób zawarcia pokoju. Zawsze przemawiali do nas z arogancją, nierzadko z czystą pogardą - a ten tutaj najwyraźniej miał spore zaległości w sztuce okazywania wyższości.

Jego ochroniarzom z kolei niczego nie brakowało. Zamarli przy barze, gotowi w każdej chwili do ataku. Aristo bez wątpienia kazał im zachować spokój, w przeciwnym razie nigdy nie pozwoliliby, ażeby Jagernauta rozmawiał z nim twarzą w twarz.

„Blokada” - pomyślałam. Napięcie osłabło, ale psi-kona nadal połyskiwała przed moimi oczami, ostrzegając, że moje zapory nie są w stanie powstrzymać pełnego natężenia emocji ochroniarzy. Gdybym chciała ich całkowicie zneutralizować, mój mózg musiałby wygenerować takie ilości blokera, że zakłóciłoby to moją umiejętność myślenia.

Inni klienci „U Jacka” albo już wyszli, albo odsunęli się dalej wzdłuż lady. Rex powrócił na salę, dzierząc w dłoni ogromny nóż, który zapewne podwędził w kuchni. Taas i Helda wyciągnęli swoje - krótsze i mniej masywne, identyczne z tym, który miałam schowany w bucie. We czwórkę gotowi byliśmy stawić czoła pięciu Handlarzom uzbrojonym w lasery, zwłaszcza że pod jednym względem mieliśmy przewagę - Aristo znajdował się w moim zasięgu. Doskonały byt mógł w każdej chwili stać się doskonałym zakładnikiem.

- Dlaczego chcesz ze mną porozmawiać? - zapytałam.

- Chodzi o twoje włosy - powiedział, a jego oblicze rozjaśnił uśmiech. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Zesztywniałam. Tarque powiedział mi to samo. Miałam czarne, kręcone włosy, sięgające nieco poniżej ramion. Gdzieś w dwóch trzecich długości czerń przechodziła w kolor ciemnego wina, a przy końcu były złociste. To właśnie zafascynowało Tarque'a. Czyżby ten Aristo poszukiwał dostarczycielki? Był młody, ledwie przekroczył dwadzieścia lat, ale to wystarczający wiek, bowiem Aristo zazwyczaj brali sobie pierwsze dostarczycielki zaraz po osiągnięciu dojrzałości.

Z drugiej strony... Było w nim coś, co wyłamywało się ze stereotypu, a ja nie mogłam odgadnąć, co to takiego. Rysy jego delikatnej, starannie wypielęgowanej twarzy wskazywały na Hightona czystej krwi, a do tego mężczyzna miał należytą postawę, zaś jego akcent nie budził najmniejszych wątpliwości. Coś jednak było nie tak.

- Czego chcesz od moich włosów? - zapytałam.

- Są piękne. - Pokręcił głową. - Ty też jesteś piękna.

Dlaczego chciałaś zostać żołnierzem?

Przed moimi oczami pojawiło się wspomnienie, które prześladowało mnie od dziesięciu lat - Tarque unoszący swój długi palec, by wskazać nim mnie. „Tę. Chcę tę”. Musiałam włożyć mnóstwo siły w to, by mój głos nie zadrżał.

- Pewnie z radością pokazałbyś mi inne wybory życiowe, prawda?

- Może choć na jeden wieczór? - Uśmiechnął się.

-W końcu jesteśmy na Delos. Na tej planecie możemy spotykać się jak przyjaciele, nawet jeśli ma to trwać tylko jedną noc.

Jasne. Aristo utrzymywali kontakty towarzyskie tylko w obrębie własnej kasty. Jedynym zastosowaniem, jakie mieli dla reszty ludzkości, było niewolnictwo. Czy on naprawdę sądził, że jestem na tyle głupia, by zgodzić się na jego propozycję? Nigdy w życiu nie odzyskałabym później swojej wolności. Oraz zdrowych zmysłów.

- Nie, dzięki - odparłam. - Mam już plany na wieczór.

Wyglądał na rozczarowanego, ale nie zaskoczonego.

- No, to może kiedyś indziej - powiedział, uklonił się i wrócił do swej grupy. Na moich oczach ochrona oto czyła go i wspólnie wyszli z knajpy.

Dopiero gdy zniknęli, dotarło do mnie, że Aristo pożegnał się ukłonem. Przecież oni kłaniali się tylko sobie nawzajem, co było oznaką szacunku. Żaden z tych, których znałam, nie zniżyłby się do pożegnania nas w ten sposób.

Rex podszedł do mnie ze swoim monstualnym nożem.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak.

- Czego chciał?

- Próbował mnie poderwać - odpowiedziałam, drapiąc się po głowie.

Dłoń Rekxa zacisnęła się mocniej na rękojeści noża, aż pobiełały mu palce.

- Groził ci?

- Nie. Wcale. Był wręcz uprzejmy.

Helda i Taas podeszli z drugiej strony.

- Sądzisz, że to jakaś sztuczka? - spytała Helda.

- Nie wiem. - Odetchnęłam. - Ale gdybym nie miała wcześniejszych doświadczeń z Handlarzami, zapewne przekonałby mnie, żebym z nim poszła.

- Powinniśmy ostrzec policję Arkady - powiedział Taas. - Zanim ten gość trafi na kogoś, kogo uda mu się zwabić.

Oczywiście miał rację. Ale zarazem czułam, że Ari-sto nie zagadnie żadnej innej dziewczyny.

Coś mi w nim nie pasowało. Zupełnie nie pasowało.

Baza Tams

Z Arkadą graniczyły Ateny. Nie miałam pojęcia, dlaczego urzędnicy Sojuszu nazwali miasto w ten właśnie sposób, gdyż brzydota tego miejsca była odwrotnie proporcjonalna do piękna, z którego rzekomo słynął jego ziemski odpowiednik. W istocie Ateny były zbiorowiskiem kwadratowych sektorów wytyczonych przez ulice z nervopleksu. Razem z Reksem szliśmy chodnikiem oświetlonym jedynie przez neonowe latarnie, a obok nas przemykały z szumem poduszkowce. Nervoplex marszczył się pod wpływem strumieni powietrza wyrzucanych przez dysze, a kolorowe, migoczące fale rozbiegały się po całej powierzchni jezdni, odbijając się od krawężników. Od tej feerii barw aż rozboleła mnie głowa.

Posterunek policji mieścił się w jednopiętrowym budynku pokrytym błękitno-srebrnymi zdobieniami -czyli kolorami służb porządkowych Arkady. Po przeciwnej stronie pomieszczenia, do którego weszliśmy, ciągnęła się lada. Ruszyliśmy ku niej, śledzeni przez holokamerę zawieszoną w rogu pod sufitem.

Kobieta z siwiejącymi włosami powitała nas przy ladzie.

- *Boro na sas voetheso?* - zapytała.

„Przetłumacz” - pomyślałam.

„Greka" - oznajmił węzeł. „Tłumaczenie: w czym mogę wam pomóc?"

Kobieta skupiła swoją uwagę na Reksie, omiatając wzrokiem nasze mundury. Powtórzyła pytanie nieco wyższym głosem. Czego chcieliśmy, przychodząc tu w strojach zbójów...

„Blokada" - pomyślałam. Psikona rozbłysła i przestałam się czuć jak przestępca.

„Przetłumacz na grecki: chcielibyśmy złożyć meldunek".

Węzeł podsunął mi właściwe słowa i przemówiłam z wahaniem, naśladowując greckie słowa najlepiej jak umiałam, choć daleko mi było do wymowy zaprezentowanej przez węzeł.

- *Ti?* - spytała kobieta. „Co?" - przetłumaczył węzeł.

Przezesłam dłonią włosy.

- *Skolian?*

- *Okhi Skolian* - pokręciła tamta głową.

„Nie mówię po skoliańsku" - przetłumaczył węzeł.

- *Angielski?*

- *Okhi English.*

„Jak jest po grecku »tłumacz«?" - zapytałam.

„*Diermeneas*" - padła odpowiedź.

- *Diermeneas. Skolian* - oznajmiłam, przyglądając się kobiecie.

- *Epanalabete?* - zapytała, co węzeł przetłumaczył jako: „Możesz powtórzyć?"

- *Diermeneas* - spróbowałam raz jeszcze.

- *Aha.* - Zmarszczki na czole policjantki wygładziły się i gestem kazała nam iść za sobą.

Zaprowadziła nas do pokoiku, w którym stał stół otoczony krzesłami z *nervopleksu*. Trzy ściany nie wyróż-

niały się niczym specjalnym, lecz na czwartej zainstalowano wielką, matową szybę. Od razu się domyśliłam, że jest ona przeźroczysta dla tych, którzy oglądają pokój z drugiej strony - zresztą pomieszczenie przywodziło na myśl pokój przesłuchań.

Kobieta wyszła, a Rex spojrzął na krzesła i skrzywił się.

„Nie podoba ci się wystrój?” - zapytałam w myślach.

„Tłumienie ludzkich reakcji jest wystarczająco ciężkie i bez tych siedzisk, które tylko je potęgują”. Skrzywił się.

Musnęłam palcem tył oparcia. Choć nervoplex był w stanie reagować jedynie na napięcie mięśniowe, zazwyczaj wchodził w interakcje z empatami, którzy sztywnieli, gdy próbował ich rozluźnić, a odprężali się, dopiero gdy ten znieruchomiał. Tak naprawdę nervoplex po prostu potęgował nasze własne emocje, a przecież Jagernauci byli niczym gąbki i uczucia innych ludzi stawały się ich własnymi. Nawet u najbardziej zdyscyplinowanych spośród nas, żołnierzy, którzy nie wykazywali żadnych reakcji na większość obserwatorów, dało się zauważyć drobne zmiany w postawie i napięciu mięśniowym na skutek wychwycenia czyichś emocji.

Drzwi otwarły się i do środka wszedł młody człowiek. Podszedł do Rekxa, uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

- Miło mi was powitać - rzekł w perfekcyjnym skoliańskim. - Nazywam się Tiller Smith.

Rex zamrugał i spojrzął na mnie. „Chyba musisz włożyć swą dłoń w jego i poruszyć nią kilkakrotnie w górę i w dół” - pomyślałam.

Rex złapał dłoń Tillera i potrząsnął nią energicznie.

- *Gracias* - powiedział jedno z nielicznych znanych sobie ziemskich słów.

Tiller skrzywił się i oswobodził swą dłoń.

- Pani Karpozilos powiedziała, że chcecie złożyć do niesienie w sprawie przestępstwa.

„Dlaczego on mówi do mnie?” - pomyślał Rex. „Nie widzi, że przewyższasz mnie stopniem?”

„Być może nie zna naszego protokołu wojskowego”.

- Nic się jeszcze nie stało - powiedziałam na głos. - Mamy raczej nadzieję, że zapobiegniemy przestępstwu.

Tiller zerknął na mnie, potem na rękawy kurtki Reksa, a w końcu na moje. Minęła chwila, nim rzekł:

- Przepraszam, ja... Ja nigdy dotąd nie pracowałem jako tłumacz. Jestem tu tylko konserwatorem i... Cóż, nie wiem, jak to się robi. - Rozłożył ręce. - Nie umiem nawet odczytać tych waszych identyfikatorów.

Identyfikatorów? Przyjrzałam się swej kurtce. Jedynymi oznaczeniami na niej były szeregi srebrnych ćwieków oraz złoty pasek wokół obu ramion, który oznaczał moją rangę. Rex miał identyczny, z tym że jego złote paski były węższe. Czyżby Tillerowi chodziło o nasze rangi?

- Jestem Sauscony Valdoria, priman. A to Rex Blackstone, secundan.

Tiller rozdziawił usta.

- Pani jest imperialnym admirałem?

Nie miałam pojęcia, dlaczego to dla niego takie zaskoczenie.

- Jestem primanem. To nie to samo.

- Ale czy priman to nie synonim dla admirała?

- Ranga jest zbliżona - powiedziałam. - Ale chodzi o coś innego. Tylko Jagernauci noszą ten rodzaj stopnia.

- Supermyśliwcy. - Na twarzy Tiller a pojawiła się ekscytacja. - Telepatyczne komputery, tak? Uczyłem się o waszych... Ach! - Pacnął się dłonią w czoło. - Nie przyszliście tu po to, żeby wysłuchiwać moich fantazji.

- Nic się nie stało - powiedziałam. W sumie zrobiło mi się nawet miło, że ktoś reaguje pozytywnie na nasz widok. Większość ludzi nie mogła się doczekać chwili, aż znikniemy.

Gestem wskazał nam krzesła.

- Usiądziemy?

Rex i ja spojrzeliśmy po sobie. Żadne z nas nie zrobiło ani kroku w stronę stołu. Minęła dłuższa chwila, nim Tiller odezwał się ponownie:

- Mam lepszy pomysł. Może przejdźmy do mojego biura? Mam tam fajne fotele - powiedział, zerkając na nervoplex. - W dodatku obite normalną tapicerką.

Bystry z niego gość.

- Dzięki - powiedziałam.

Jego „biuro” okazało się klitką między ubikacją a korytarzową szafą. Wzdłuż ścian stały regały uginające się pod ciężarem holopowieści i staroświeckich, papierowych książek, a w powietrzu unosił się ledwie wyczuwalny zapach oliwy. Wokół wałały się elementy różnorakiego wyposażenia: przyrządy optyczne, rozmontowane holoekrany, fragmenty konsoli, złącza do interfejsów wspomagania ludzkiego i kawałki laserów spawających. Ich stosy zalegały dosłownie wszędzie, zwisały też ze wszystkiego, co choćby przypominało hak. Obiecane fotele przywalone były stertą kartonów z holofilmami.

- Proszę bardzo - powiedział uprzejmie Tiller, kiedy już przeniósł ostatnie pudło na zawalone szpargała mi biurko.

Wybrałam fotel z wypłówałym obiciem, który - jak się szybko okazało - trzeszczał przy każdym ruchu. Rex opadł na zielony. Nasz gospodarz podciągnął swoje siedzisko nieco bliżej, tworząc w ten sposób niewielki krąg. Wyjął z kieszeni krótki drążek i kiedy uderzył nim o ko-

lano, z szumem wysunął się z niego elastyczny ekran. Na samej jego górze zawisły czarne litery, a w rogu zapłonęła ikona holokamery, co prawdopodobnie oznaczało, że włączyło się wizualne nagrywanie.

- Dobrze - odezwał się mężczyzna, spoglądając na nas. - Opowiedzcie mi, co się wydarzyło.

- W Arkadzie pojawił się Handlarz Aristo - powiedziałam.

Tiller pobrał.

-I?

Jego reakcja mnie zdziwiła.

- Wiesz, że nazywamy Eubian Handlarzami?

- Tak - odpowiedział z trudem. - Znam... To znaczy, znałem kiedyś kogoś, kto podróżował statkiem przechwyconym przez eubiański huntercraft. Jego rodzina próbuje go odnaleźć od sześciu lat. Władze mówią, że przypuszczalnie został sprzedany jakiemuś Aristo.

- Przykro mi - powiedziałam, mając świadomość, że szanse na znalezienie jego przyjaciela były równe zeru.

-Sądzimy, że to właśnie dlatego Aristo się tu znalazł. Szuka dostarczycielek.

Tiller zacisnął dłoń na poręczy swego fotela, a ja poczułam ból w moich własnych kłykciach.

- Chodzi wam o to, że planuje jakieś porwanie?

Rex rozmasował swoje dłonie.

- To niewykłuczone.

- Ale dlaczego miałby przybyć w tym celu na Delos?

- Dostarczycielki muszą być empatkami - odparł Rex. - A nie trafiają się one często, zwłaszcza wśród Handlarzy. Mogło mu przyjść do głowy, że na Delos łatwiej jest taką znaleźć.

- Wedle oficjalnego stanowiska Sojuszu empati nie istnieją - powiedział ostrożnie mężczyzna.

Rex zeszytywniał. Nie każdy cieszy się na wieść, że nie istnieje.

- To nie nasz problem.

- Nie powiedziałem, że w to wierzymy. - Tiller uniósł obie dłonie. - Chodzi o to, że eksperci nie zgromadzili przekonujących dowodów na istnienie prawdziwych em-patów.

Zadałam sobie w myślach pytanie, jak dalece różni się oficjalne przekonanie od nieoficjalnego. Reakcja mężczyzny była doprawdy intrygująca. Odnosiłam wrażenie, że chce, byśmy powiedzieli mu o empatach o wiele więcej, niż dał po sobie poznać. Ale dlaczego?

- Istnieje wiele rodzajów empatów - powiedziałam. - Od zwykłych aż po tych, którzy są w stanie czasami wychwycić myśli towarzyszące emocjom.

Odebrałam fałę podniecenia i poczułam, jak w moim żołądku tańczy rój rozbłyszczyków.

- Ma pani na myśli telepatię, tak? - zapytał w tej sa mej chwili Tiller. - Czy pani jest...

I nagle urwał.

- Przepraszam, nie chciałem być wścibski. Po prostu nigdy wcześniej nie spotkałem telepatów. Bo wy jesteście telepatami, prawda? Musicie nimi być, skoro jesteście Jagernautami?

Nie mogłam opanować uśmiechu. Polubiłam tego chłopaka. Większość ludzi umyka przed nami najdalej jak może w obawie, że pogwałcimy ich prywatność. Sama słyszałam, jakie to niezwykle talenty przypisywane są Jagernautom - od umiejętności zmiany linii brzegowej aż po ingerencje w przeszłości. Tymczasem

szczytem naszych możliwości było wychwycenie szczególnie intensywnych myśli, co również było trudne, jeśli nadawca sam nie był empatą czy telepatą.

- Jagernauta musi mieć przynajmniej pięć punktów na skali - rzekł Rex.

- Na jakiej skali?

- Na Skali Empatycznego Przekazu i Odbioru Kyle'a - wyjaśniłam. - Mierzy ona siłę psioniczną człowieka. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzkości lokuje się między zero a dwa. Najslabszy empatą zyskuje trzy punkty, co statystycznie zdarza się raz na tysiąc badanych. Ci, którzy nazywani są telepatami, zyskują sześć punktów. Trafiają się raz na milion lub jeszcze rzadziej.

Tiller przeniósł spojrzenie na mnie.

- Oboje macie szóstki? Żadne z nas się nie odezwało.

- Powiedziałem coś nie tak? - zmieszał się Tiller.

- Co byś zrobił, gdybym cię zapytała, ile razy kochałeś się zeszłej nocy? - spytałam wprost.

Nasz rozmówca poczerwieniał, a ja poczułam wstyd, jakbym rzeczywiście zaglądała do jego sypialni.

- Przepraszam - bąknął. - Nie wiedziałem, że to tak intymna sprawa.

- W porządku - powiedział Rex. - Ja dostałem dziesiątkę.

Co go opętało, że to zdradził? Oczywiście sama znalazłam wyniki wszystkich członków oddziału, ale w końcu nimi dowodziłam. Taas miał siedem punktów, a Helda sześć. Dziesięć oznaczało, że Rex był telepatą spotykanym raz na dziesięć miliardów przypadków. Wątpiłam jednak, by dzielił się tą informacją z kimkolwiek innym.

Tiller spojrział na mnie, a ja pochwyciłam coś. Reakcja. Jego umysł przekazywał mi zaskoczenie.

„Wyczuwasz to?” - pomyślał Rex. „Próbowałem go uwolnić”.

„Mogliśmy po prostu zapytać” - pomyślałam.

„To zbyt osobiste”.

„Myślę, że on chce się o wszystkim dowiedzieć. Ba, łagodnie mówiąc, chłopak aż kipi od tłumionej ciekawości. Mam wrażenie, że z tobą czuje się nieco pewniej”.

- Od jak dawna wiesz, że jesteś empatą? - zapytał Rex.

Niemalże jęknęłam. Mógłby się wysilić na odrobinę taktu.

- Nigdy nie mówiłem, że... - Tiller poczerwieniał.

- Wszedłeś z nami w pętlę reakcyjną - oświadczył Rex. - Wychwytyjesz nasze emocje i odsyłasz je nam.

- Chyba sobie jaja robicie. - Mężczyzna patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

- Skądże znowu - wtrąciłam się. - Nie wiedziałeś?

- Oczywiście, że nie. - Zawahał się. - Hm, jak by to powiedzieć... Zawsze miałem takie podejrzenia. Ale z tym się nie wolno zdradzać. Ludzie tylko się śmieją.

Ogarnęła mnie kolejna fala emocji: połączenie strachu z nadzieją.

- Wy naprawdę myślicie, że jestem empatą?

Rex uśmiechnął się; zmarszczki wokół oczu pogłębiły się lekko.

- Tak. Powinieneś poddać się testom.

- Myślałem o tym. To właśnie dlatego nauczyłem się skoliańskiego. - Opuścił wzrok na swoje kolana. - Ale nie stać mnie na to. Zresztą pewnie i tak się oszukuję. Nie widzę żadnych dowodów na to, że jestem inny.

- To nie są rzeczy, które można zobaczyć - stwierdził łagodnie Rex. - To wszystko dzieje się w mózgu.

- Coś jest nie tak z moim mózgiem?

- Nie w tym rzecz - powiedziałam, choć to akurat *zależało* od punktu widzenia. - Chodzi o to, że zawiera on dwa dodatkowe organy.

- W mojej czaszce? - roześmiał się Tiller. - Nie ma na to miejsca.

- Oba są mikroskopijne - wyjaśniłam. - Aferentne Ciało Kyle'a i Eferentne Ciało Kyle'a. Większość ludzi nazywa je po prostu ACK i ECK.

- Gdy myślisz, neurony płoną w twoim mózgu - dodał Rex. - Moje ACK to wychwytuje.

Tiller spojrział na nas przymrużonymi oczami.

- A skąd twój mózg wie, że moje neurony... eee... płoną?

- Molekularna konfiguracja twojego mózgu zawiera w sobie oddziaływanie prawdopodobieństwa kwantowego... - zaczął Rex, ale urwał, gdy Tiller się skrzywił. -Dobra, to inaczej. Wyobraź sobie niewidzialne wzgórze zakrywające twój mózg.

- Dobra. - Tiller chyba się odprężył.

- To jest właśnie oddziaływanie - powiedział Rex. -Owo wzgórze ma niezliczoną liczbę krawędzi, które zbiegają w dół, a następnie rozbiegają się we wszystkich kierunkach. Maleją tak szybko, że ledwie kilkaset metrów od ciebie są już praktycznie niewidoczne. Gdy myślisz, zaczynasz zmieniać kształt tych wzgórz. Obaj siedzimy tak blisko siebie, że oddziaływanie naszych mózgów nakłada się. Dzięki temu moje ACK wychwytuje zmiany w twoim oddziaływaniu.

- To dlaczego to całe oddziaływanie nie funkcjonuje w przypadku każdej napotkanej osoby? - mruknął Tiller.

- Ależ funkcjonuje - rzekł Rex. - Niemniej bez ACK człowiek nie jest w stanie niczego wychwycić. Ja to po-

trafię, bo posiadam to ciało. Im intensywniejsze są twoje myśli bądź odczucia, tym więcej struktur molekularnych oddziałuje na moje ACK. Ciało to następnie wysyła sygnały do struktur nerwowych w moim mózgu, zwanych para. Jedynie empaci je mają. Moje para tłumaczą przekaz jako twoje emocje.

- ACK odbiera sygnały - powiedziałam. - ECK je wysyła. Działa jak wzmacniacz, zwiększając zasięg i intensywność sygnału, który przekazujesz innym empatom.

- Nic dziwnego, że ludzie mówią, że wolno kapują. -Tiller zaśmiał się ponuro. - Przy tych wszystkich bajkach działających w mojej głowie po prostu nie mam czasu na myślenie.

- Tak naprawdę to masz więcej komórek mózgowych - uśmiechnął się Rex. - W rzeczy samej to uwarunkowanie może sprawić, że będziesz bystrzejszy.

- Raczej wątpię. Nie jestem tak mądry, jak moje rodzeństwo.

- Nie oceniaj się zbyt nisko - powiedział Rex. - Poza tym te cechy są dziedziczne.

- Czy moi rodzice w tej sytuacji również nie powinni być empatami? Bo raczej mi się nie wydaje, by nimi byli.

- To recesywne geny - powiedziałam. - Mogłeś je odziedziczyć z przeskokiem. Zdarza się, że brązowoccy rodzice mają niebieskookie dziecko.

- O wiele więcej ludzi ma niebieskie oczy niż... niż to, co ja - zawahał się Tiller.

Rex i ja spojrzeliśmy po sobie. Oboje wiedzieliśmy dobrze, jak wielką rzadkością są psioni.

- Mógłbyś nas umieścić na liście gatunków zagrożonych - spróbowałam zażartować, ale wcale nie zabrzmiało to zabawnie. Żart był zbyt prawdziwy.

- Skoro wiadomo, które geny są odpowiedzialne za te sztuczki - zaczął Tiller - to czy nie można tworzyć em-patów sztucznie?

- Podejmowano już takie próby - powiedziałam, przypominając sobie swoją babcię, która „urodziła się” w ten właśnie sposób. - Niemniej geny Kyle'a potrafią być zabójcze. Nawet jeśli takie dziecko przeżyje, jego mózg odbiega często od normy. Nie mówiąc o tym, że gwałtowna reakcja płodu na otoczenie sprawia, iż cały proces klonowania jest niezwykle utrudniony. - Uśmiechnęłam się lekko. - Najlepszą metodą produkowania psionów wciąż jest ta staroświecka, z udziałem mężczyzny i kobiety.

- Aha. - Tiller również się uśmiechnął, a potem na jego twarzy pojawiła się zaduma. - Dotąd sądziłem, że empaci są efektem eksperymentów przeprowadzonych w ramach Projektu Rhon.

- Nie do końca - odparł Rex. - Doktor Rhon próbował pomóc empatom wykształcić maksymalną odporność na ból, lecz zamiast tego stworzył Aristo - zakończył z goryczą.

- To skoliański rząd stworzył Aristo? - Tiller wyprostował się.

- Nie - odpowiedziałam krótko.

- Ale czy wasz rząd nie nazywa się aby Rhon?

„Soz?” - pomyślał Rex. „Mam to zakończyć?”

Spróbowałam się odprężyć. „Nie. Mów dalej”.

- Rządzi nami Zgromadzenie - rzekł Rex. - To obieralna rada przywódców.

- A zatem czym jest ten Rhon?

- Rhon był genetykiem - ciągnął Rex. - Słowa tego używa się również jako określenia potomków ludzkiej

dynastii, która *rządziła*. Rubinowym Imperium pięć tysięcy lat temu.

- Och. - Tiller wyglądał na zawstydzonego. - Obawiam się, że nie wiem wiele o skoliańskiej historii.

- Przecież to również wasza historia - powiedziałam. - Wszyscy pochodzimy z tego samego miejsca.

- Trudno się z tym nie zgodzić - powiedział Tiller.

-Tylko że jakoś nigdy nie udało mi się zrozumieć, jak to możliwe.

- Witamy w klubie - powiedziałam kwaśno. - Tak naprawdę to wiemy tylko tyle, że jakieś sześć tysięcy lat temu obca rasa porwała część ludzi z Ziemi, by pozostawić ich na innej planecie i zniknąć.

Moi przodkowie nigdy nie odkryli celu tego osobliwego projektu, tym bardziej że sami porywacze również się z tym nie ujawnili.

Przeniesieni w ten sposób ludzie mieli do dyspozycji jedynie szczątki statków pozostawionych im przez obcych. Wkrótce odkryli w ich wnętrzach biblioteki, dzięki którym rozwinęli umiejętność podróżowania w kosmosie, a z czasem ustanowili międzygwiazdną cywilizację zwaną Rubinowym Imperium. Po kilku stuleciach rządząca dynastia upadła, pozostawiając kolonie samym sobie. Minęły tysiące lat, nim moi przodkowie odzyskali umiejętność poruszania się w przestrzeni kosmicznej, ale i tak wyprzedzili Ziemię. Gdy na macierzystej planecie nastął dwudziesty pierwszy wiek, a jej mieszkańcy w końcu dotarli do gwiazd, przeżyli nie lada wstrząs, my bowiem już od wieków działaliśmy aktywnie i byliśmy w trakcie budowania kolejnych imperiów. Od tego czasu upłynęły niecałe dwa stulecia i nasz lud przemieszał się z rdzennymi mieszkańcami Ziemi. Trudno było nam

teraz uwierzyć, że byliśmy rozdzieleni przez całe milenia, ale wciąż dzieliły nas głęboko zakorzenione różnice. Miało jeszcze upłynąć wiele czasu, nim nauczymy się sobie ufać.

- Rhon pracował z potomkami dynastii, która rządziła Rubinowym Imperium - powiedział Rex. - Usiłował odzyskać cechy Kyle'a, dzięki którym stawali się empatami i telepatami. To właśnie dlatego ludzie nazwali członków Rubinowej Dynastii Rhonami. Słowo to odnosi się również do skali Kyle'a, na której oznacza wartość zbyt wysoką, by można ją opisać liczbowo.

- Sądziłem, że Rhon to ich nazwisko - powiedział Tiller.

- Nie, nazywali się Skolia - rzekł kwaśno Rex. - Z tego też względu my jesteśmy Skoliańskim Imperia-latem. Może i są jedynie tytularnymi władcami, ale to nadal nasza rodzina królewska.

Tiller potarł podbródek.

- A więc Rhon eksperymentował z empatią i uzyskał Skolian, a także eksperymentował z odpornością na ból i uzyskał Aristo?

- Nie miał zamiaru stworzyć Aristo - powiedziałam. - Są czymś na kształt niefortunnego efektu ubocznego.

Bardzo niefortunnego. W rzeczy samej była to jedna z największych katastrof w dziejach ludzkości.

- Wciąż tego nie łapię - powiedział Tiller. - Na co Handlarzom empati?

Nie chciałam odpowiedzieć na to pytanie. Nie chciałam o tym nawet myśleć. Ale chłopak musiał poznać prawdę.

- Umysł Aristo wychwytuje jedynie emocje wywołane bólem. By zwiększyć ich odporność, mózg przekazu-

je uzyskane sygnały do ośrodków odpowiedzialnych za przyjemność. W efekcie, kiedy ktoś cierpi, Aristo czują się dzięki temu dobrze. Więcej niż dobrze, doznają ekstazy. - Musiałam się opanować, żeby nie zazgrzytać zębami. - To po prostu zgraja sadystów, rozkochanych w torturowaniu ludzi!

- Ale o co im chodzi z empatami? - Tiller wyraźnie pobladł.

Oddychałam z trudem. Zainstalowany w ścianie wiatraczek pracował z rytmicznym stukotem, który działał mi na nerwy.

- Wysyłamy silniejsze sygnały niż inni ludzie. Im lepszy empaty, tym bardziej... tym większej Aristo doznaje rozkoszy...

Zacisnęłam pięści, słowa uwięzły mi w gardle.

Tiller czekał, ale ani ja, ani Rex nie podjęliśmy już tematu. W końcu chłopak musnął palcem skrzydlatą ikonkę nad swym ekranem.

- Przesłałem kopię waszego raportu do dyrektora - powiedział i zmienił pozycję na fotelu. - Ale jeśli ten człowiek nie złamie prawa, nie będziemy mogli nic zrobić.

- Po prostu uważaj, dokąd chodzisz - powiedziałam. - Przez kilka najbliższych dni najlepiej w ogóle nie wychodzić z domu.

- W porządku. - Tiller wyglądał równie nieszczęśliwie, jak ja się czułam.

Po wyjściu z jego kantorka skierowaliśmy się do lobby, ale zatrzymałam się po kilku krokach.

- Rex, spotkamy się w knajpie.

- Co się stało?

- Nic się nie stało. Zapomniałam powiedzieć o czymś Tillerowi.

- Soz... - Dotknął mego policzka i przez długi czas nie cofał ręki. Wystraszyło mnie to.

- Wszystko ze mną w porządku - stwierdziłam w końcu. - Naprawdę.

- Jesteś pewna?

- Tak. Wszystko gra.

Odgarnął kosmyk włosów z mojego czoła.

- Do zobaczenia niebawem, tak?

Dlaczego przyglądał mi się w ten dziwny, czuły sposób?

- Oczywiście - odparłam. Przecież się nigdzie nie wybierałam.

Wróciłam do Tiller'a i zastałam go siedzącego na skraju biurka. Czytał jakąś książkę.

- Jestem - odezwałam się.

Uniósł głowę. Na jego twarzy odbiło się przyjemne zaskoczenie, co przyniosło mi ulgę porównywalną z powiewem chłodnego wiatru w upalny dzień.

- Zapomniałaś czegoś?

- Nie. - Podeszłam bliżej. - Wydaje mi się, że chciałaś, bym tu wróciła.

- Czy aż tak łatwo mnie odczytać? - Skrzywił się.

- Tylko innemu empatie - odparłam z uśmiechem.

- Tak sobie myślałem... - jego głos złagodniał.

-Przyjście tutaj sporo was kosztowało.

- Przestań. Przecież tylko rozmawialiśmy.

- Coś cię uraziło, a nasza rozmowa jedynie pogłębiła twój ból.

- Nic się nie stało. Uwierz mi.

- W każdym razie dziękuję... Także za to. - Wskazał głową skrywający komputer drządek, leżący na fotelu.

-Oświadczenie dwóch wysokich rangą oficerów imperialnych twierdzących, że jestem empatą, na pewno pomoże

mi przekonać komisję stypendialną na uniwersytecie, że warto w moim przypadku pokryć koszty testów Kyle'a.

- Cóż, to świetnie...

Doprawdy, nie wiedziałam, co powiedzieć. Na mój widok ludzie na ogół uciekali. Nie miałam wielkiego doświadczenia ze słowem „dziękuję”.

- Proszę. - Tiller wręczył mi książkę.

Ujęłam ją niezdarnie, zastanawiając się, co z nią zrobić. Była to staroświecka książka, oprawiona w miękkie płótno koloru kości słoniowej, zawierająca pergaminowe strony zamiast holokranów. Przyjrzałam się tytułowi. Mój tłumacz rozpoznał język jako angielski i od razu przełożył na skoliański: „Wersy na szybie okiennej”.

- Jest piękna - przyznałam.

- To taki prezent... w ramach podziękowań. Prezent?

Obywatel Sojuszu, który zupełnie mnie nie znał, wręczył mi prezent tylko dlatego, że z nim porozmawiałam. Z jakiegoś powodu moje oczy zaszkliły się łzami. „Blokada” - pomyślałam. Psikona jednak nie rozbiły.

Gdy szłam w stronę hotelu, miasto tonęło już w chłodnych ciemnościach. Wybrałam ciągnące się wzdłuż ulic ruchome chodniki, unikając w ten sposób nervopleksu. Nie miałam ochoty oglądać tego, co mógłby o mnie powiedzieć. Sama wszystko doskonale wiedziałam. Okłamałam Reksa i Tillera, więc nic nie było w porządku. Mój umysł zaczął odtwarzać starą scenę, jedną jedyną, którą chciałam zapamiętać, a która żyła w moich koszmarach od tak dawna.

Dziesięć lat temu spacerowałam ścieżką na Tams, wyglądając jak zwykły obywatel zajmujący się codziennymi sprawami. Obok mnie przemknął z szumem grawilot, który nagle zatrzymał się i cofnął. Tysiące razy widziałam w zwolnionym tempie, jak Kryx Tarque, gubernator Aristo, wychyla się, by na mnie spojrzeć, i unosi swój długi palec, a jego usta wymawiają słowa: „Tę. Chcę tę”.

Mnie. Sauscony Valdorię.

Uciekałam. Ale nawet Jagernauta nie potrafi umknąć sześciu uzbrojonym po zęby żołnierzom i jednemu Aristo w grawilocie. Złapali mnie, a ja błyskawicznie musiałam podjąć decyzję, która przerodziła się później w prześladowający mnie koszmar: walczyć czy się poddać? Początkowo chciałam zadać im tyle bólu, ile Tarque planował zadać mnie, ale w ten sposób zdradziłabym swoje wojskowe wykształcenie. Natychmiast zorientowaliby się, że jestem kimś o wiele bardziej interesującym niż tylko zwykłą obywatelką Tams, w efekcie czego przesłuchiwaliby mnie tak długo, aż odkryliby moją tożsamość - nie tylko rangę, ale również i tytuł noszony w cywilu. A wtedy moje życie przerodziłoby się w zły sen.

Ponieważ na ucieczkę nie było szans, mogłam tylko czekać na bardziej dogodny moment. Dlatego nie walczyłam jak Jagernauta, a tylko szarpałam się jak zwykła, przerażona dziewczyna z ulicy. Tarque'a bardzo to wtedy ubawiło. Zabrał mnie potem do swojej posiadłości na wzgórzach i trzymał tam przez trzy tygodnie. Na noc przywiązywał moje nadgarstki do łóżka, aż któregoś razu znalazłam wreszcie sposób na uwolnienie się z pęt.

Uduśiłam go tamtej nocy.

Przez te trzy tygodnie Rex bezskutecznie próbował dostać się do wnętrza posiadłości. Znalazł mnie zaraz

po mojej ucieczce, gdy biegłam przez pola, a mój umysł nadal wrzeszczał z bólu. Złapał mnie wtedy i przytrzymał mocno, tak mocno, jakby się obawiał, że zaraz zniknę. Drżącym głosem mówił mi raz za razem, że nic mi nie grozi i że wszystko będzie w porządku.

Ale nic nie było w porządku. Tarque był antytezą empaty, istotą z dziurą ziejącą w miejscu, gdzie powinno znajdować się współczucie. Sadysta i empatka, paszyt i gospodarz. Jego umysł był negatywem mojego. Gdy skupiał się na mnie, wpadałam w jego pustkę, wypełniałam ją dla niego, tworząc więź, której pożałował bardziej od orgazmu. Mówił cichym, słodkim szeptem, a ja wrzeszczałam bez końca.

Tej samej nocy wraz z Reksem opuściliśmy Tams. W szpitalu spędziłam tylko kilka dni. Tarque nie życzył sobie dostarczycielek pokrytych bliznami i moje fizyczne obrażenia były niewielkie, jednak doktorzy polecili mi odwiedzić prostownika. Nie poszłam, więc dostałam taki rozkaz. W gabinecie powiedziałam wszystko, co lekarka chciała usłyszeć - w końcu jestem empatką. W swoim raporcie napisała, że dojdę do siebie i że potrzeba mi tylko trochę czasu, by zaleczyć rany.

Jeśli chodzi o moje prawdziwe odczucia odnośnie tego, co się wydarzyło - skoro wspomnienia prześladowały mnie przez dziesięć lat, była to moja sprawa, tylko i wyłącznie moja.

Psibernaut

Gruby, czerwony dywan na korytarzu stłumił odgłosy moich kroków. Ściany pokrywała tu boazeria z prawdziwego drewna. Obok drzwi do pokoju Reksa wisiał owal z kości słoniowej. Przedstawiał człowieka z rybim ogonem, który unosił się na szczycie fontanny, a lśniące krople wody przemykały wysoko nad jego głową i trzymanym w rękę trójzębem. Gdy dotknęłam reliefu, rozległ się odgłos dzwonu na tle szumu fal wdzierających się na brzeg.

Z ukrytego głośnika dobiegł głos Reksa:

- Wejdz.

Dotknęłam drzwi, a te rozsunęły się, ukazując pokój pokryty tą samą nieprzyzwoicie drogą, drewnianą boazerią. Na podłodze leżał aksamitny dywan w kolorze burgunda. Jedynym źródłem światła była lampa z abażurem z różanego szkła. Rex siedział po turecku na łóżku zaścielonym purpurową kapą i czyścił swój devastator. Wokół niego walały się elementy z czarnego, połyskliwego metalu.

- Planujesz kogoś rozwalić? - zapytałam, zamykając drzwi.

Spojrzał na mnie, gdy przechodziłam przez pokój.

- To przecież ty zawsze powtarzasz, żebyśmy dbali o swoją broń.

- Ma być czysta i gotowa do działania. - Uśmiechnęłam się z sympatią, siadając na łóżku obok niego. Po prysznicu czułam się naprawdę zrelaksowana. - Założyłam gościnne konto w systemie hotelowym. Możemy tam wprowadzić nasze informacje na temat Handlarzy, gdy tylko Taas i Helda wrócą z obiadu.

Rex pokiwał głową, nadal pochylony nad swoim devastatorem. Polerował właśnie wyrzutnik, który miał zaraz wsunąć w przyspieszacz w korpusie broni.

- Spodziewałam się, że będziesz z tą dziewczyną z baru - powiedziałam. - Wydawała się tobą zainteresowana.

Skończył pracę nad wyrzutnikiem i zabrał się do rękojeści.

- Jest młoda - stwierdził beznamiętnie.

- Sądziłam, że takie właśnie lubisz.

- Chyba mam już dosyć.

Intrygował mnie jego nastrój. Od wyjścia z baru wydawał się przygaszony, co było dziwne. Widok Aristo powinien raczej wzburzyć w nim krew. Czyżby coś go dręczyło? Traciłam jego umysł, ale zablokował dostęp, trzymając mentalne bramy zatrzaśnięte.

- Rex. - Położyłam dłoń na rękojeści devastatora, przerywając mu pracę. - Co się dzieje?

Uniósł głowę i przyglądał mi się przez chwilę.

- Odchodzę ze służby.

- Co takiego?

- Myślę o tym od dawna, Soz. - Westchnął. - Wkrótce skończę czterdzieści siedem lat. Wszyscy oficerowie z mojej klasy z DAW już dawno odeszli.

Oboje przemilczeliśmy drugą alternatywę: „albo zginęli”.

- Nie możesz odejść! - Z determinacją odepchnęłam świadomość, że skończył Dieshańską Akademię Wojskową rok po mnie. - Potrzebuję cię!

Przeczesał dłonią swoje siwiejące włosy.

- Nie jestem taki jak ty. Nie mogę odłożyć starzenia się na później. Czterdzieści siedem lat... To nie jest tylko zapis w moich aktach. Ja naprawdę czuję swój wiek. - Potrząsnął głową. - Mam już dosyć. Chcę wrócić do domu, założyć rodzinę, kopać w ogródku.

- Rodzinę możesz założyć już teraz - odparłam szybko, trochę za szybko. - Do tego nie trzeba odchodzić ze służby! A kopać w ziemi możesz, gdzie tylko ci się żywnie podoba! Jak chcesz, załatwię ci misję polegającą tylko na tym!

Przecież on miał niewiele więcej lat ode mnie. Tak, to prawda, dzięki moim genom byłam w stanie żyć dwa razy dłużej niż przeciętny człowiek, ale współcześni ludzie zazwyczaj dożywali minimum setki. Rex miał mnóstwo czasu.

Uśmiechnął się, emanując dziwnym, pozbawionym dzikości nastrojem, który bez reszty owładnął go tego wieczoru. A potem zrobił coś, czego nigdy bym się nie spodziewała. Otoczył mnie ramieniem, przyciągnął do siebie i pocałował.

- Hej - zaprotestowałam, ale jego usta stłumiły moje słowa. - Co ty wyrabiasz?

Odsunął się nieco, by na mnie spojrzeć.

- Całuję cię.

- Po co?

- Cóż, zastanówmy się. Może to nowy sposób na sprawdzanie prognozy pogody?

- Bardzo śmieszne. Dlaczego zachowujesz się tak dziwnie?
- Soz, chcę cię poślubić - powiedział cicho. Oszalał do reszty?!
- Chyba za dużo dziś wypieś.
- Niczego nie piłem. Nie przyniesiono nam w końcu tego piwa „U Jacka”.
- Nie mogę za ciebie wyjść. To wbrew regulaminowi.

Istniały uzasadnione przepisy zabraniające Jagernau-tom tworzenia zażytych związków, gdyż utrudniało to wypełnianie obowiązków. Oczywiście, pomimo przepisów, pary i tak się tworzyły, ale często prowadziło to do dramatów. Gdybym została żoną Rekxa, nie byłabym w stanie posłać go do walki. Nie przestawałabym myśleć o tym, że może mu się stać coś złego.

Chyba że któreś z nas zrezygnowałoby ze służby.

- Ale ja nie chcę odchodzić z wojska - powiedziałam. Nie byłam pewna, czy to prawda, ale na razie był to dobry argument.

- Przecież cię o to nie proszę.

Aha. Czyli nie stawiał mnie pod murem. Próbowalam uspokoić myśli. Czy byłabym w stanie postrzegać Rekxa jako swego męża? Od piętnastu lat był moim najbliższym przyjacielem, powiernikiem moich tajemnic, człowiekiem, na którym naprawdę polegałam. Był dla mnie niczym brat. Więcej niż brat.

- Nie kapuję - powiedziałam. - A co z tymi wszystkimi pannami, które płaczą za tobą po całej galaktyce?

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- I dlaczego właściwie chcesz mnie poślubić?

Wyglądał, jakby nie wiedział, czy się roześmiać, czy mnie zganić.

- Bo uwielbiam kobiety, które mają w sobie tyle romantyzmu, co korek od szampana.

- W takim razie naprawdę do siebie pasujemy - stwierdziłam, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

- Sauscony, ja mówię poważnie.

Skoro nazywał mnie Sauscony, to na pewno nie żartował. Z wyjątkiem moich rodziców nikt i nigdy tak się do mnie nie zwracał.

- Znienawidziłabym cię, gdybyś mnie zostawił.

- A dlaczego miałbym to zrobić? - jego głos złagodniał.

Czy mogłam o tym mówić? Minęło szesnaście lat - wystarczająco dużo, by ból stał się bladym wspomnieniem.

- Mój pierwszy mąż nie miał w tym temacie żadnych skrupułów.

- Nie wiedziałem, że byłaś w związku więcej niż raz.

- Byłam. Dwukrotnie.

Mój drugi mąż umarł zaledwie kilka lat temu, jakiś czas po naszym ślubie. Wciąż nie mogłam o tym myśleć. Może nigdy nie odzyskam tej umiejętności. Ale pierwszy...

- Dlaczego cię opuścił? - spytał Rex.

- To nudna historia. Nie chcesz jej słuchać.

Rex odsunął lok z mojej twarzy.

- Proszę, opowiedz.

Minęła dłuższa chwila, nim się odezwałam.

- Nienawidził mojej służby. Bał się, że zginę, i nieraz prosił mnie, żebym odeszła.

- Ale ty nie mogłaś...

- Mogłam. Nie zawarłam umowy dwustronnej, więc wolno mi było się wycofać w każdej chwili...

- Tylko czy wtedy nie wypadłabyś z linii sukcesji?

I co z tego? Kiedy przychodziłam na świat, nikt mnie nie pytał, czy chcę być jednym z niedobitków Rubinowej Dynastii, która przez całe stulecia rządziła dogorywającym imperium; potomkiem ludzi, których Tiller nazywał Rhonami, nie mając pojęcia, że rozmawia z jednym z nich. Mój brat, Kurj, od lat dzierżył tytuł imperatora. Dowodził też Imperialnymi Siłami Kosmicznymi. Wszyscy dookoła wypełniali wszelkie jego rozkazy z takim zapalem i lojalnością, że niektórzy obserwatorzy mieli go de facto za dyktatora wojskowego.

- Technicznie rzecz ujmując, masz rację - wyjaśniłam. - Lecz należy pamiętać, że w świetle prawa Kurj nie ma żadnych legalnych sukcesorów. Jest jedynym dzieckiem z pierwszego małżeństwa mojej matki i nie ma własnego potomstwa.

A w każdym razie - nie z prawego łoża.

- Dlatego to ciebie wybrał na swojego następcę, tak?

- To nie takie proste. Mam siedmiu braci i dwie siostry. Cały czas może wybrać kogokolwiek z nas. Ba, może nawet uczynić swoim spadkobiercą naszą matkę.

- Matkę? - Rex uśmiechnął się krzywo. - Wtedy nikt nie kwapiłby się do walki. Wszyscy by się w niej kochali i nie byłoby komu myśleć o wojaczce!

- Tylko mężczyzna może powiedzieć coś takiego. -Obrzuciłam go niechętnym spojrzeniem.

- Nie jestem tego taki pewien. - Roześmiał się. -A Helda?

Niezależnie od wszystkiego, musiałam przyznać mu rację. Sama nie widziałam matki w roli dowódcy sił zbrojnych. Była świetną dyplomatką i wspaniałą tancerką baletową, ale językiem wojny mówić nie umiała.

Nim kogokolwiek znów poślubię, powinnam najpierw jeszcze raz przemyśleć sobie kwestię dziedziczenia. Wywołałam swe myśli niczym gracz rozkładający planszę z trzema elementami: Imperatorem, Kluczem Zgromadzenia i Kluczem do Sieci. Czy, jak się powszechnie mówiło, z Pięścią, Umysłem i Sercem Skolii. Jako Imperator występował mój przyrodni brat Kurj, który dowodził armią. Ciotka, Klucz Zgromadzenia, była z kolei łączniczką między Zgromadzeniem a Rhonami. Na końcu pojawił się mój ojciec - Klucz do Sieci.

Matka wyszła za niego, ponieważ był rhońskim psio-nem. Kurj dla odmiany nienawidził człowieka, który stał się jego ojczymem. Co by się stało, gdybym wyszła za Reksa? I czy w ogóle mogłam porównywać go z moim ojcem? Czy dałby sobie radę z imperialnymi intrygami? Gdy moi rodzice się poznali, ojciec mieszkał na prymitywnej planecie. Jego lud wywodził się z kolonii założonej jeszcze w czasach Rubinowego Imperium, pozostającej w izolacji przez tysiące lat po jego upadku. Ślub z matką wyrwał go z tej prostej cywilizacji rolniczej i cisnął w labirynt skoliańskiej polityki. Z perspektywy Kurja wszystkie dzieci spłodzone w tym związku były w jakimś sensie niedoskonałe, niemniej dopóki nie weźmie on sobie za żonę jakiejś Rhonki i nie spłodzi własnego potomstwa, byliśmy jedynymi pretendentami do tronu.

- Kurj potrzebuje następcy, który umiałby dowodzić ISK - powiedziałam.

- Czyli ciebie.

- Wybrał troje z nas. Mnie i dwóch moich braci, którzy również zostali Jagernautami.

- Dlaczego troje? Przecież tylko jedno z was może objąć władzę.

- Racja. - Zacisnęłam zęby.

- I to będzie ten, który przeżyje... - Rex wbił we mnie spojrzenie.

- Kurj wie, że nie mogę przez całą wieczność przebywać w czynnej służbie. - Napięłam mięśnie. - Sprawdzam się w boju od dwudziestu pięciu lat, lecz szesnaście lat temu wszystko wyglądało inaczej.

- To wtedy twój mąż chciał, żebyś odeszła...

- Byłoby to równoznaczne z porzuceniem wszelkich roszczeń do tytułu - pokiwałam głową.

Rex parsknął z niedowierzaniem.

- A niby czego twój mąż oczekiwał, poślubiając na stępczynię tronu?

Wbiłam wzrok we własne dłonie i jakoś zdołałam dokończyć myśl:

- Zaszłam w ciążę. Nie wiedziałam o tym. Zostałam ranna w bitwie i straciłam dziecko.

Zmusiłam się, by spojrzeć na Rekxa.

- Jato... Mój mąż... Bardzo źle to zniósł. Został przy mnie do chwili, gdy odzyskałam pełnię sił, a potem... odszedł.

- Soz - szepnął Rex.

Chciał mnie objąć, ale nie pozwoliłam mu na to.

Zawsze się zastanawiałam, czy Kurj wiedział, jak bardzo Jato i ja pragnęliśmy tego dziecka. Był to kolejny temat w moim mentalnym katalogu rzeczy, o których nie mogłam myśleć.

- Wiedz, że ja nigdy bym cię nie opuścił - powiedział Rex. - I nie chcę, żebyś odchodziła ze służby.

Obróciłam pomysł kilkakrotnie w głowie, niczym dziecko bawiące się nową monetą. Kurj przecież nie mógł kazać mi walczyć przez całą wieczność. Ktoś z moją rangą i doświadczeniem przydałby się o wiele bardziej

w sztabie, podczas planowania strategii. Gdyby pozabijał wszystkich swoich następców, na kolejnych musiałby długo czekać. Nikt z moich braci i sióstr nie posiadał jeszcze należytego wykształcenia.

Rex był dobrym człowiekiem, wiedziałam o tym od chwili naszego pierwszego spotkania. Był potężnym telepatą i czułam, że silniejszego od niego pewnie już nie znajdę. Przecież nie mogłam spędzić całego życia na poszukiwaniu tego jednego na bilion, z którym uzyskam idealną jedność umysłową. Jak do tej pory, tylko raz w życiu doznałam tego stanu z innym rhońskim psionem i w dodatku nastąpiło to przez przypadek. Pewnego razu, gdy miałam szesnaście lat, wybrałam się na wędrowną z moim siedmioletnim braciszkiem Kelrikiem. Złapała nas burza - lunął bladoniebieski śnieg z deszczem i schroniliśmy się w jaskini w Górach Ostoi. Przytuliliśmy się do siebie w poszukiwaniu ciepła i wtedy nasze umysły połączyły się. Trwało to zaledwie przez kilka godzin, ale było najgłębszą i najbardziej satysfakcjonującą relacją mentalną, jaką kiedykolwiek udało mi się nawiązać z innym człowiekiem. Nigdy więcej już tego nie powtórzyliśmy, gdyż była to więź zbyt intymna, aby ją tworzyć z bratem, niemniej żadne z nas o tym nie zapomniało. To wtedy postanowiłam, że będę szukać dla siebie partnera wśród Rhonów.

Tylko że to wcale nie było takie łatwe. Podejmowano wiele prób stworzenia psiona - jeszcze zanim komisje etyczne litościwie położyły im kres - lecz moja babcia okazała się jedynym sukcesem. Od dnia jej narodzin upłynęło wiele lat, ale mimo to na ponad tysiącu światów, zamieszkałych przez miliardy ludzi, tylko dwóch osobników urodziło się z pełnym zestawem genów Rhona

i zdołało przeżyć. Jednym z nich był mój dziadek, a drugim - mój ojciec.

- Soz? - Rex dotknął mojego policzka. - Dokąd od płynęłaś?

Spojrzałam na niego, ale tym razem tak, jak jeszcze nigdy wcześniej. Ten człowiek stał u mego boku od piętnastu lat: siedł ze mną do boju, śmiał się i płakał. Wspólnie przemierzaliśmy całą Skolię - zresztą nie zawsze w ramach naszych obowiązków - i wywiązała się między nami ogromna zażyłość, która jednak nie miała nic wspólnego z seksem. Czy mogłabym z nim sypiać? Teraz, gdy zaczęłam o tym myśleć, odpowiedź wydała mi się oczywista. Jedynym zaskoczeniem było to, że dojście do tego wniosku zajęło aż tyle czasu.

- Któż inny chciałby pakować się w taką udrękę na resztę życia?

- A co twoim zdaniem jest najtrudniejsze do wytrzymania?

- Moje poczucie humoru.

- Spróbuję dać sobie z tym radę - skrzywił się Rex.

-Tak.

- Tak? - Przechylił głowę. - Co tak?

- Nie zastanawiamy się już nad tym.

- Nad czym?

- No wiesz.

- Co wiem?

- Sam wiesz.

Dotknął obiema rękami mojej głowy i zmierzwił mi włosy.

- No, wykrztuś to z siebie.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- No dalej! - śmiał się.

- Zaraz zmienię zdanie! - Spojrzałam na niego groźnie.

- Sam nie wiem, Soz. Jeśli nie potrafisz powiedzieć tego na głos, skąd mam mieć pewność, że na pewno to zrobisz?

- Dobrze już, dobrze! Wyjdę za ciebie! Zadowolony?

Przestał się uśmiechać i odezwał się tym samym dziwnym, łagodnym głosem, który już dziś słyszałam:

- Tak. Zadowolony.

Cóż, nie było to aż takie straszne. Wsunęłam dłoń pod jego kurtkę i powoli przesunęłam nią po czarnym swetrze. Pociągnął mnie za sobą na łóżko, otoczył ramionami i przewrócił się wraz ze mną na plecy.

- Mogę jeszcze dziś wysłać Oświadczenie Zamiaru przez Sieć Kyle'a - powiedział. - Wręcę rezygnację po powrocie do kwatery głównej.

Oświadczenie Zamiaru. Dziwnie to brzmiało w ustach Reksa, choć musiałam przyznać, że wybrał dobry moment. Po naszym urlopie na Delos mieliśmy się skierować do kwatery głównej po nowe rozkazy. Rex wyczekał, aż znaleźliśmy się między jedną misją a drugą, bym mogła go kochać bez przeszkód. Nie będę już musiała posyłać go do walki.

Konsola zabrzęczała.

- Cholera - mruknął Rex. Wyciągnął ramię i dotknął dłonią panelu. - Czego?

- Cześć, Rex - z głośnika dobiegł głos Hedy. - Wiesz może, gdzie jest Soz?

- Tutaj - odezwałam się. - Spotkamy się w moim pokoju.

Helda i Taas czekali na mnie na zewnątrz. Helda obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem. Nie wiem, co wy-

chwyciła, ale na pewno coś wyczuła. Nic nie było już takie jak kiedyś. Nigdy nie będę patrzeć na Reksa jak dawniej.

Pager przy moich drzwiach uformowany był na kształt czarnowłosej kobiety na skalistym wybrzeżu. Na plecach miała kołczan ze strzałami, a w ręku łuk. Dotknęłam fal na plaży i po moich palcach prześlizgnął się laser. Skojarzenie odczytu linii papilarnych z zapisem dokonany przez komputer hotelowy zabrało ułamek sekundy, a potem moje drzwi rozsunęły się.

Po wizycie w apartamencie Reksa, w którym panowała atmosfera zmysłowości, mój pokój wydał mi się zimny i niegościnny. Ściany pokryto tu niebiesko-zieloną ceramiką z motywem piany, co tylko pogłębiało to wrażenie. Konsola, zainstalowana w blacie biurka przy łóżku, miała oznaczenia w sześciu językach, w tym w skoliańskim.

Usiadłam przy niej i dotknęłam panelu oznaczonego obrazkiem wrót.

- Proszę o dostęp do mojego konta gościnnego, a potem o podłączenie do Sieci Kyle'a.

- Dzień dobry, primanie Valdoria - odezwała się konsola. - Tu Homer. Witamy w Hotelu Egejskim. Z prawdziwą radością otwieram pani konto gościnne... Podłączam do Sieci Kyle'a. Proszę wybaczyć opóźnienie.

- To ci uprzejma konsola - powiedziała Helda.

Uśmiechnęłam się. Węzły sieciowe stosowane w Sojuszu często były nastawione do użytkowników przyjaźnie, a na pewno przyjaźniej niż te, które funkcjonowały w ramach ogromnej sieci skoliańskiej. Wybraliśmy jednak ten hotel z innego powodu - jego konsole wyposażono w psifony, co stanowiło prawdziwą rzadkość w obiektach Sojuszu. Podniosłam niewielki panel i wy-

jęłam przezroczysty stożek połączony kablem z konsolą. Gdy z kliknięciem wsunęłam stożek do gniazdka, całe moje ramię po wewnętrznej stronie przeszło mrowienie. Logika podpowiadała, że nie było to prawdziwe zjawisko, ale mimo to czułam je za każdym razem, gdy uruchamiałam psifon.

Na niewielkim ekraniku na biurku pojawił się komunikat: „Szukanie połączenia”.

- Wygląda na to, że działa - rzekł Taas.
- Przynajmniej na razie.

Widząc, że Homer kontaktował się z psifonem przy pomocy komend pisemnych zamiast werbalnych, zaczęłam się zastanawiać, czy informatycy Sojuszu naprawdę przyłożyli się do instalacji systemu.

Kilkakrotnie potarłam dłonią ramię. Miałam ten odruch od lat - zresztą nie ja jedna. Wielu Jagernautów tak robiło, zupełnie jakbyśmy wyczuwali biomechaniczne elementy w naszych ciałach. Mieliliśmy ich cztery rodzaje: światłowody, gniazdka w nadgarstkach, kręgosłupie, szyi i kostkach, węzeł w rdzeniu kręgowym oraz bioelektrody. Homer przesyłał sygnały do psifonu, który przekazywał je przewodem do mojego nadgarstka, a stąd wędrowały one dalej do mózgu oraz do węzła. Bioelektrody zainstalowane w czaszce aktywowały neurony i tłumaczyły dane na myśli. Jeśli elektroda odbierała jeden, przesyłała neuron krótkim wstrząsem, jeśli zaś odbierała zero, neuron pozostawał nietknięty. W ten sam sposób bioelektrody przekładały moje myśli w ciąg binarny, a światłowody przekazywały wiadomości do psifonu, skąd trafiały one do Homera. Zważywszy na zakres i poziom zaawansowania operacji potrzebnych do umieszczenia w ciele biomechanicznej sieci, a także na długie lata konieczne do nauki posługiwania się nią i ryzyko, że nosi-

ciel po prostu odrzuci tak skomplikowany wszczep - nie mówiąc o licznych względach bezpieczeństwa - podobnym wyposażeniem dysponowało niewielu ludzi.

Na ekranie pojawił się komunikat: „Psifon aktywowany”.

- Powolne to dziadostwo - mruknęła Helda.

- Sprzęt Sojuszu - powiedział Taas, jakby to cokolwiek wyjaśniało.

„Test” - pomyślałam.

Słowo to pojawiło się pod ostatnim komunikatem Homera, który zaraz wyświetlił własne pytanie: „Parametry?”.

Jego komendy jaśniały na czerwono, moje miały kolor niebieski. Ale pomimo tego, że dostrzegałam to barwne rozróżnienie, zupełnie nie wyczuwałam go moim umysłem.

„Weryfikuj połączenie z węzłem” - pomyślałam.

Na ekranie pojawiły się słowa: „Weryfikuj połączenie z węzłem”.

- Węzłem? - zaśmiał się Rex.

- Nieprawidłowe tłumaczenie - stwierdziłam i nakażałam w myślach:

„Przeprowadź test diagnostyczny psifonu”. Na ekranie zajaśniały słowa: „Test diagonalny”. „Proszę powtórzyć polecenie” - poprosił Homer. Tym razem spróbowałam ustnie:

- Uruchom test diagnostyczny psifonu.

„Uruchamiam” - rzekł Homer, a po chwili dodał: „Nie wykryto żadnych problemów”.

Jeśli to nie psifon był źródłem problemów, winna mogła być tylko sieć biomechaniczna lub konsola. W obu przypadkach zwiastowało to poważniejsze kłopoty. Wyciągnęłam stożek i przyjrzałam mu się uważnie. Czubek

pokrywała cieniutka warstwa kurzu. Starłam go palcami i wpięłam urządzenie ponownie.

„Weryfikuj połączenie z węzłem” - pomyślałam.

Tym razem komunikat poprawnie wyświetlił się na ekranie.

„Zweryfikowane” - potwierdził Homer. „Jeśli wprowadzisz odpowiednie informacje dotyczące twego konta, spróbuję zalogować cię do Sieci Kyle'a”.

To niepotrzebne. Sama to potrafię. Dotknęłam panelu oznaczonego grecką literą „Ψ”.

Na ekraniku zajaśniał napis: „Dostęp wzbroniony”.

- Co to ma znaczyć? - spytał Taas.

„Homer, dlaczego nie mogę przejść bramki psiberne-tycznej?” - pomyślałam.

„Nie potrafię przełożyć słowa »bramka« w tym kontekście” - zameldował Homer.

„Chcę skorzystać z psibernetycznych funkcji psifonu. Funkcji obsługujących Sieć Kyle'a”.

„Funkcje te nie zostały udostępnione”.

- Po co im psifony, skoro olewają ich poprawną instalację? - parsknęła Helda.

- Może nie wiedzą, jak to zrobić - powiedziałam, a w myślach spytałam:

„Homer, czy potrafisz udostępnić funkcje Kyle'a?”

„Nie wiem. Do czego służą?”

„Dzięki nim psifon przeniesie mój umysł do psiber-przestrzeni”.

„Jedynym dostępnym mi tłumaczeniem słowa »psi-berprzestrzeń« jest »hipotetyczna sieć komputerowa«”.

- No i masz - mruknęła Helda.

„To właśnie nazywamy Siecią Kyle'a”.

„Sieć Kyle'a i psiberprzestrzeń są tym samym?”

„Tak. I nie jest to wymysł, a realna rzecz”.

„Gdzie się znajduje?”

„To zewnętrzna czasoprzeźren. Informacje s tam przesyłane strumieniami myśli, a nie fotonami czy czsteczkami materii”.

„Skoro nie jest umiejscowiona w naszej czasoprzeźreni, to jak mam j odnaleźć?”

„Istnieje wszędzie” - pomyślałam. „Dzięki temu inne węzły mog natychmiast pobierać od nas dane, bez względu na to, gdzie się znajduj”.

„Taka operacja wymaga superszybkich transmisji na dystansach międzygwiazdnych”.

„Tak”.

„Lecz to pogwałcenie praw fizyki”.

Skrzywiłam się, patrząc na przyjaźnie nastawion, ale mało kooperatywn konsolę.

„Przeźren Kyle'a jest zewnętrzna, pamiętasz?”

„Nie mogę otworzyć dostępu do czegoś, co znajduje się poza naszym wszechświatem”.

Usiłowałam naprędcie wymyślić jakieś wytłumaczenie, które okazałoby się zrozumiałe dla Homera. Gdybym w normalnej przeźreni dysponowała dwiema identycznymi czsteczkami i zmierzyła kwantowe wsćciwości jednej z nich, natychmiast poznałabym również wsćciwości drugiej, nawet gdyby była na drugim końcu galaktyki. W przeźreni Kyle'a ow „zmierzon” wsćciwością była myśl. Gdy tylko telepata sformował myśl, kaźdy uźytkownik międzygwiazdnej Sieci Kyle'a mógł j odebrać.

Ani Sojusz, ani Handlarze nie dysponowali niczym podobnym, bowiem psiberprzeźren wymagała, by napędz j Rhon-telepata, a Źaden z członków mojej rodziny za nic w świecie nie zgodziłby się na tak współpracę. Aristo takźe nie mieli cech Kyle'a. Dysponowali nimi ich

dostarczyciele - przynajmniej na tyle, by móc skorzystać z sieci - ale okrutni tyrani nie potrafili przyjąć do wiadomości tego, że ich niewolnicy mają inne, o wiele ważniejsze umiejętności niż tylko karmienie swoich panów doznaniem. Nie byłabym jednak zdziwiona, gdyby obydwie te frakcje próbowały stworzyć podobną formę komunikacji. Sojusz nadal reagował sceptycznie na psiber-netykę, ale ich przywódcy musieli zdawać sobie sprawę, że Sieć Kyle'a pomogła mojemu ludowi odeprzeć ataki Handlarzy. Przewyższali nas pod względem liczebności i wyposażenia sił zbrojnych, ale dzięki psiberprzestrzeni mogliśmy ich ubiec i pokrzyżować im szyki. Oni brnęli wśród fal, a my na nich tańczyliśmy.

Z tego właśnie powodu moja rodzina, Rubinowa Dynastia, nadal dzierżyła władzę - i to w dobie obieralnych przywódców. Żadna maszyna nie była w stanie połączyć się z Siecią Kyle'a. Mógł tego dokonać tylko telop - telepatyczny operator. Tylko on mógł stworzyć i podtrzymać tak rozległy system. Cała sieć ze swymi miliardami węzłów nie mogła istnieć bez rhońskiego psiona, ponieważ żaden inny nie był na tyle silny, by przetrwać jej napór. Bez mojej rodziny sieć przestałaby istnieć, a bez niej Skolia padłaby ofiarą Handlarzy.

„Homer, spróbuj w ten sposób” - pomyślałam. „Wywołaj węzeł PS42.mil w sieci skoliańskiej. Gdy uzyskasz komunikat »zastrzeżone«, przekaz mi kontrolę nad konsolą. Może uda mi się znaleźć lukę, pozostawioną przez nasz wywiad w systemach Sojuszu”.

„Wywołuję” - oznajmił Homer, a zaraz potem dodał: „Przekazuję połączenie”.

Do mojego umysłu wtargnęła nowa myśl, chłodna i wyraźna:

„Wymagana identyfikacja”.

„Dostęp do mojego węzła otwarty” - pomyślałam.
„Mod 16, ścieżka 0001HA9RS”.

„Tożsamość potwierdzona. Łączę”.

Pokój się rozwiął i po chwili pływałam w opalizującym morzu, a mój umysł skupiał się na jednym węźle, będącym elementem migotliwej sieci rozciągającej się we wszystkich kierunkach. Tu i ówdzie rozbłyskiwało światło, gdy inne umysły przemierzały jej bezkres. Byłam teraz kwantowym strumieniem myśli, okrągłym wzgórzem otaczanym przez koliste fale, które rozbiegały się coraz dalej w głąb niezmiernego oceanu Sieci Kyle'a. Im dalej były od szczytu, który wyznaczał moją tożsamość, tym stawały się mniejsze.

Od czasu do czasu pojawiał się inny strumień myśli, który przemykał przeze mnie bez najmniejszej interakcji.

„Kontrola bezpieczeństwa” - pomyślałam.

„Wszystkie linie bezpieczne” - przekazał PS42. „Jesteś niewykrywalna dla użytkowników o wtajemniczeniu niższym od Błękitnego Czterdzieści Siedem, Poziom B”.

„Połącz mnie z IMIN”.

Wzgórze, którym byłam, roztopiło się w oceanie i wyrosło ponownie w innej jego części, która połyskiwała jak metal. Wokół materializowały się i znikwały iskry.

Siec przede mną wypiętrzyła się, tworząc kobaltową górę wypolerowanego metalu.

„DOTARŁAŚ DO A5A.MIL. UWAGA, PRÓBA NIEAUTORYZOWANEGO WEJŚCIA DO TEGO WĘZŁA JEST KARANA ŚMIERCIĄ”.

Nie ma to jak słodkie powitanie. Na szczęście dysponowałam kodem dostępu M-16.

„TOŻSAMOŚĆ POTWIERDZONA. PRZEDSTAW CEL WIZYTY”.

„Chcę skorzystać z ComtraceHT.

Kobaltowy węzeł przeniósł mnie na białą sieć rozciągającą się w morzu boleśnie jaskrawego światła. Odpowiedź Comtrace wbiła się w mój umysł niczym sople lodu.

„GOTOWE”.

„Comtrace, połącz się z moim nerwem optycznym” - poleciłam. „Zmień moją percepcję, żeby wyświetlać także fizyczne otoczenie”.

„GOTOWE”.

Zobrazowanie Sieci Kyle'a przybladło, stając się pół-przejrzystym wzorem nałożonym na widok pokoju. Ujrzałam Rekxa, który pochylał się, by zerknąć na konsolę. Helda stała obok niego, skrzyżowawszy swe ogromne ramiona na piersi, a Taas przysiadł na łóżku i przeglądał książkę, którą otrzymałam od Tillera. Ekran nie pokazywał ani jednej z moich interakcji z Siecią i ostatnim komunikatem były słowa Homera.

„Uruchomić przekaz audio” - pomyślałam.

- Przekaz audio uruchomiony - potwierdził Comtrace, wykorzystując głośniki konsoli. Lodowaty ton jego głosu stanowił ostry kontrast dla przyjaznego tonu wypowiedzi Homera.

Taas uniósł głowę znad książki.

- Problemy?

- Nie, wszystko w porządku - powiedziałam. - Przekazuję mój plik na temat Aristo.

„Comtrace, pobierz plik M-86, D-4427, F-1 z mojego węzła” - pomyślałam.

„POBRANY”.

„Teraz odłączę się od psifonu, ale nie zrywaj połączenia”.

„ZROZUMIANO”.

Wyciągnęłam kabel stożka i przekazałam go Rekso-
wi.

-Twoja kolej.

Wprowadzenie jego wspomnień na temat Aristo do
Comtrace'u zabrało jedynie chwilę, po czym stożek prze-
jęła Helda, a na końcu Taas. Gdy ten ostatni skończył,
znów podłączyłam się do Sieci.

„Wywołaj obraz obiektu na podstawie wspomnień”
-poleciałam.

„WYWOŁUJE”.

Nad poziomym ekranem wkomponowanym w biur-
ko pojawił się niewielki hologram przedstawiający Ari-
sto widzianego w barze.

- Nie był aż tak srogi - stwierdził Rex.

Konsola nie zareagowała, hologram również się nie
zmienił.

„Comtrace, ustosunkuj się do danych przekazywa-
nych przez trzy osoby wymienione w moim pliku bez-
pieczeństwa” - pomyślałam.

„BLACKSTONE REX - WERYFIKUJĘ... BJORSTAD
HEL-DAGAARD - WERYFIKUJE... MOROTO TAAS-KO-MAR -
WERYFIKUJĘ...”

Czekałam niespokojnie, aż Comtrace zakończy ten
etap i zacznie analizować dane pozostałych członków
oddziału. Ich personalia tworzyły swoisty
mikrokosmos Skolii. Słowo Blackstone było
współczesnym tłumaczeniem starożytnego nazwiska z
planety Raylicon i podobnie jak sam Rex,
odzwierciedlało mrok i potęgę jego świata. W
przeciwieństwie do niego Helda nosiła skolianizowaną
wersję imienia ziemskiego - jej rodzice, prawomyślni
obywatele Sojuszu, swego czasu przenieśli się do jednej z
naszych kolonii i tam zmienili tożsamość, dostosowując
się do nowych warunków. Taas z kolei był

przykładem totalnej mieszaniny rodowodów, a to dlatego, że część jego rodziny pochodziła ze Skolii, a część z pewnego miejsca na Ziemi, które nazywano Japonią. Moje personalia — Valdoria Skolia — także stanowiły mieszaninę, ale innego rodzaju. Choć moja babka od strony matki była owocem eksperymentu genetycznego, wywodziła się wprost z Rubinowej Dynastii, natomiast ojciec i dziadek od strony matki pochodzili z odkrytych na nowo imperialnych kolonii.

„WSZYSTKIE OSOBY ZWERYFIKOWANE. BIORĘ PO-PRAWKI NA DANE BLACKSTONE'A”.

Rysy twarzy Aristo złągodniały. Wyglądał teraz na szesnastolatka.

- Za młody - stwierdził Taas i Comtrace dodał mu trzy lata.

- Nadal za młody - dodała Helda i Comtrace postarzył go o kolejne trzy lata.

- Miał też nieco dłuższe włosy.

Wspólnie przyjrzeni się hologramowi.

- Teraz jest chyba dobrze - podsumował Rex.

Taas i Helda potwierdzili, kiwając głowami.

- Comtrace, poszukaj tożsamości tego osobnika - powiedziałam. - Porównaj go z każdym żyjącym obecnie członkiem kasty Highton.

- Uruchamiam poszukiwania - oznajmił Comtrace, a po chwili uzupełnił: - Brak zgodności, identyfikacja niemożliwa.

- Sprawdziłeś dokładnie? - Zmarszczyłam brwi.

-Tak.

- Może nie mamy danych na temat wszystkich High-tonów - zastanawiał się głośno Taas.

- To mało prawdopodobne - powiedziałam. - W sumie jest ich tylko kilka setek.

- Może więc postawiliśmy na niewłaściwą kastę? - zapytała Helda.

No cóż, niewykluczone. Choć Hightoni przewodzili Handlarzom, istniały przecież jeszcze dwie inne kasty, dzięki czemu liczba wszystkich Aristo sięgała kilkunastu tysięcy.

- Comtrace, jak oceniasz szanse, że ten człowiek to Highton?

- Sprawdzam.

- Jest w tym Aristo coś znajomego. - Zerknęłam na Rekxa. - Coś, czego nie mogę ustalić.

- Ja też mam takie wrażenie - przyznał Rex. Spojrzałam na Heldę i Taasa, lecz oboje pokręcili głowami.

- Ten facet po prostu wygląda na Hightona i tyle - stwierdziła Helda. - Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

- Poszukiwania zakończone - oznajmił Comtrace. - W oparciu o dane dotyczące wyglądu, zachowania i obstawy szacuję, że prawdopodobieństwo przynależności do kasty Highton wynosi dziewięćdziesiąt osiem procent. W oparciu o rozmowę primana Valdorii z obiektem określam te szanse na osiem procent.

- Dziwna sprawa - gwizdnął Rex.

- Te osiem procent wyliczył pewnie na podstawie moich wspomnień - powiedziałam. - Może po prostu źle coś spamiętałam!

- Zważywszy na twoje doświadczenia - powiedział Rex - nie wydaje mi się, żebyś uznała go za mniej groźnego.

- Moje analizy zawierają korelację wszystkich ważnych raportów, jakie kiedykolwiek składaliście w sprawie Aristo - odezwał się Comtrace. - Wziąłem też pod uwagę

waszą zgodność z meldunkami innych osób w sprawie tych samych Aristo, a także wszelkie zgłoszenia składane przez innych oficerów i spójność ich raportów w innych kwestiach z waszymi obserwacjami. W oparciu o te wyliczenia wnioskuję, że w swoich ocenach jesteście dokładni w dziewięćdziesięciu jeden procentach.

- Nie marnujesz czasu. - Uśmiechnęłam się.

- Potrafisz nam powiedzieć, dlaczego Aristo jest tutaj? - zapytał Taas.

- Szacuję pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, iż poszukuje niecodziennego dostarczyciela - powiedział Comtrace. - Istnieje trzydzieści procent szans, że ciekawi go Pelos, dziewięć, że szpieguje Sojusz, i sześć, że jego statek wymaga napraw.

- Sądzisz, że próbował mnie nakłonić, bym udała się z nim? - zapytałam.

- Wątpliwe. Twój status wojskowy jest oczywisty. Żaden Aristo nie jest tak naiwny, by wierzyć, że dasz się namówić w tak prosty sposób.

- Jakie zatem istnieje prawdopodobieństwo, że powiedział prawdę i że zależy mu jedynie na randce ze mną?

- Praktycznie zerowe. - Comtrace urwał. - Jeśli poszukuje dostarczycieli, szacuję, iż istnieje dziewięćdziesięciotrzyprocentowe prawdopodobieństwo, że na tobie ćwiczył.

Brzmiało to sensownie. Problem jednakże tkwił w tym, że w to nie wierzyłam. Co gorsza, moje wątpliwości nie miały żadnego uzasadnienia, a mimo to wcale nie malały.

Rex pochylił się nad konsolą.

- Skąd tak niewielkie szanse na działalność szpiegowską?

- Angażowanie się w tajne operacje jest uważane przez Hightonów za uwłaczające ich godności - wyjaśnił Comtrace. - Chyba że prowadzi to bezpośrednio do zdobycia władzy. Zważywszy na niewielką odległość między Delos a bazą Tams i na trwający tam obecnie kryzys, być może któryś z Hightonów przybył tu osobiście, aby sprawdzić, czy Sojusz jest w jakimkolwiek stopniu odpowiedzialny za ich sytuację.

Ironią losu było to, że Tams ze swoją niewielką bazą górniczą zyskał tak duże znaczenie. Mieszkało tam sześćset milionów ludzi, potomków starożytnej kolonii raylikańskiej, którzy z uporem usiłowali obronić swoją niezależność przed nami, Handlarzami i Sojuszem. Piętnaście lat temu planetę ostatecznie zagarnęli Eubianie, którym udało się zmanipulować sytuację polityczną tak, że każda reakcja z naszej strony oznaczałaby pogwałcenie wszelkich traktatów pokojowych. W każdym razie jawna reakcja.

- Comtrace, jakie są najnowsze informacje na temat Tams? - zapytałam.

- Raporty IMIN mówią, że buntownicy opanowali naziemne systemy obronne planety.

Nie zaskoczyło mnie to. Nie mogliśmy pomagać im otwarcie, ale na szczęście istniały jeszcze inne sposoby. To, że cywilnym przywódcom rebelii udało się przejąć i utrzymać skomplikowane eubiańskie instalacje wojskowe, bynajmniej nie oznaczało, że sprzyja im tylko szczęście.

- Jaka była reakcja Aristo?

- Ich sabotażyści zniszczyli fabryki na Czerwonych Wzgórzach - oznajmił Comtrace - a także magazyny w okręgach Piach, Doker i Huta. Uszkodzili też napędy gwiazdne i sztuczną inteligencję wszystkich statków na-

dających się do wyjścia w przestrzeń kosmiczną w obu portach Tams.

Rex zaklął pod nosem.

- Cholera, precyzyjna robota.

- Dlaczego? - zapytał Taas. - Czym się zajmują fabryki na Czerwonych Wzgórzach?

- Niczym szczególnym, są przystosowane do produkcji części zamiennych dla statków kosmicznych - powiedziała. - W tych magazynach zaś składowano gotowe do instalacji elementy.

- Skoro rebelianci kontrolują systemy obronne planet - powiedziała Helda - sami przecież mogą sprowadzać statki z nowymi modułami sztucznej inteligencji i częściami do silników.

- To niemożliwe, dopóki Handlarze nadal kontrolują obronę orbitalną - powiedział Rex. - W konflikcie między nimi a rebeliantami pojawił się impas.

- Comtrace, jakie jest oficjalne stanowisko Handlarzy odnośnie sytuacji na Tams? - zapytałam.

- Utrzymują, że powstanie upadło - odparł Comtrace.

- Czemu mnie to nie dziwi? - spytała sucho Helda.

- Dysponuję nagraniem ostatniego przemówienia Ura Qoxa - odezwał się Comtrace. - Mam odtworzyć?

Nie miałam ochoty patrzeć, jak cesarz Handlarzy wygłasza swoją żalowaną mowę. Jego imię tak naprawdę brzmiało U'jir Qox, ale wymawialiśmy je Ur Qox. Apostrof w oryginalnym zapisie oznaczał, że należał do kasty Highton. Był najwyższym spośród tego rodu. Moje odczucia wobec niego nie miały jednak znaczenia, musieliśmy się dowiedzieć, co miał do powiedzenia.

- Tak - powiedziała. - Odtwórz nagranie.

Tajemniczy Aristo zniknął, a w jego miejsce pojawił się pięćdziesięcioletni, szczupły mężczyzna z połyskliwymi, czarnymi włosami i czerwonymi oczami, stojący na kryształowym podium. Kiedy się odezwał, jego akcent zmroził mi krew w żyłach. Tarque również był Hightonem i mówił z tą samą, nigdy niesłabnącą arogancją i tym samym wyrazem pogardy bijącym z jego perfekcyjnej do przesady twarzy.

Większość przemówienia Qoksa zabrało wychwalanie armii Handlarzy. Przedstawił rebeliantów jako niegodnych miana ludzi, a swoich żołnierzy jako bohaterów. Istotnych informacji przekazać już nie raczył. Mówił tylko bez końca o banalach, co rusz powołując się na chwałę swego imperium, dumę Aristo i owiane sławą imię swego ojca.

- Dobrze, że przynajmniej ten staruch nie żyje -mruknął Rex.

Nie mylił się. Poprzedni cesarz był jeszcze gorszy. J'briol Qox przez wszystkie lata swojego panowania podbił prawie tysiąc planet. Przez cały ten czas darzył moją rodzinę nienawiścią - i to jaką. Doprowadzało go do szalu, że my, niezrównani dostarczyciele, nie dość, że jesteśmy wolni, to jeszcze mamy tupet, by zbudować mocarstwo gotowe rywalizować z jego własnym.

W angielskim jego imię tłumaczyło się jako Gabriel, jednakże w Sojuszu przyjęła się nasza forma, czyli Jai-briol, z miękką wymową spółgłoski „j”. Kiedyś spytałam recepcjonistki w ambasadzie Ziemi, dlaczego korzystają z naszej wersji przekładu, ta zaś odpowiedziała mi, że w jednej z ich świętych ksiąg imię Gabriel nosił jakiś archanioł i że oznaczało ono „Bóg jest mą siłą”. Jej zdaniem Jaibriol Qox powinien zostać raczej nazwany Lucyferem -

na cześć upadłego anioła, który został strącony z nieba do piekieł. Niegłupi pomysłu.

- Ten Qox przynajmniej ma coś w sobie z odkupiciela - powiedział Taas.

- Będzie miał jeszcze więcej, kiedy już znajdzie się w trumnie - parsknęła Helda.

- Ciekawe, że wciąż nie ma następcy - rzekł Taas. - Jak to możliwe, że po dwudziestu pięciu latach małżeństwa nie doczekał się ani jednego potomka?

- Myślisz, że to takie łatwe? - zapytał Rex. - Że po prostu rozwiedzie się z cesarzową i weźmie sobie płód-niejszą żonę?

- A co stoi na przeszkodzie? - Taas wzruszył ramionami. - Przecież do robienia dzieci Hightonom potrzeba tego samego co nam: plemników i komórek jajowych.

- Nie wolno im się rozwodzić - oświadczyła Helda.

- Tak naprawdę to mógłby ją odesłać, ale tylko wtedy, gdyby oficjalnie odmówiła rozrodu - dodałam. - Zamierzona niepłodność jest wystarczającym powodem, by rozwiązać małżeństwo władcy. Właściwie to nawet jedynym powodem, nie licząc cudzołóstwa.

- Sądysz, że on ją kocha? - zapytał Taas.

- Czy ja mam na sobie strój baletnicy? - odparowała Helda.

- Dużo bym dał, żeby to zobaczyć. - Rex wyszczerzył złośliwie zęby. - Taką różowutką spódniczkę!

Helda skrzyżowała ramiona, a jej mięśnie wybrzuszyły się pod materiałem regulaminowego puloweru.

- Spadaj - syknęła.

Uśmiechnęłam się, wyobraziwszy sobie Heldę w różu.

- Jego potomek musi być Hightonem - powiedziałam.

Dla tego jednego klanu Aristo utrzymywanie czystości krwi było sprawą, do której podchodzili wręcz obsesyjnie. Nim dziecko zostało uznane za nowego członka rodu, musiało przejść liczne testy genetyczne, które miały potwierdzić jego pochodzenie. Linia Qoksa oczywiście musiała być najczystsza ze wszystkich. Jeśli Ur Qox nadal by zwlekał ze splodzeniem swojego następcy, ryzykował utratę praw do tronu.

- Przynajmniej my nie musimy się tym przejmować - rzekł Taas.

- Nie musimy? - spytałam.

- A jakże, przecież Zgromadzenie jest obieralne - odparł. - Członkostwo w nim nie jest zależne od urodzenia.

- Jasne, zgodzę się w kwestii Zgromadzenia - powiedziałam. - Ale nie zapomnij o Sieci Kyle'a.

Widząc jego zdumione spojrzenie, szybko dodałam:

- Dziedzic imperialny musi być rhońskim psionem.

Kątem oka ujrzałam, że Rex pobladł w reakcji na moje słowa. Wyglądał, jak gdybym grzmotnęła go prosto w żołądek. Skąd to zachowanie? Przecież chyba zdawał sobie sprawę z tego, że nasze dzieci nigdy nie znajdą się wśród kandydatów do tronu?

- Nie wiedziałem, że kwestie pokrewieństwa są tak istotne dla rodziny imperatora - powiedział ostrożnie.

Miałam ochotę kopnąć się w tyłek. Pozwoliłam sobie na zbyt wiele swobody w stosunku do Reksa; założyłam przy tym, że zna mnie lepiej, niż to było w ogóle możliwe. Skąd niby miał znać tak intymne sprawy? Zważywszy na to, jak bardzo reszta wszechświata chciała poznać szczegóły naszego życia, moja rodzina pilnie strzegła swojej prywatności.

„Zablokuj Moroto i Bjorstad" - pomyślałam, a gdy moja świadomość umysłów Hedy i Taasa rozmyła się, spróbowałam porozumieć się z Reksem. Zablokował mnie.

- To nie tak - powiedziałam. - My musimy powiększać naszą pulę genetyczną. Wśród rhońskich genów znajduje się zbyt wiele niebezpiecznych genów recesywnych, których nie możemy się pozbyć. Gdyby tak się stało, przestalibyśmy być Rhonami.

- Nie rozumiem tylko jednej rzeczy... - zaczął Taas.

- Przepraszam, ale właśnie sobie coś przypomniałam - przerwała mu Helda. - Chyba nie pozamykaliśmy naszych kont po sprawdzeniu poczty w moim pokoju.

- Zamknęliśmy je. - Taas przyjrzał się jej uważniej.

- Nie, chyba nie. Chodźmy to lepiej sprawdzić.

- Jak chcesz - zgodził się, wciąż marszcząc brwi.

- Subtelność nigdy nie była jej mocną stroną - powiedziałam do Rekxa po ich wyjściu, uśmiechając się lekko.

- Od lat działamy wspólnie, połączeni Siecią Kyle'a - odparł. - Nic dziwnego, że wychwyciła napięcie między nami.

- Rex, przepraszam cię - powiedziałam, odłączając psifon i podchodząc do niego.

- Już sobie wszystko poukładałem - powiedział głosem wypranym z emocji. - Moje aspiracje mierzą zbyt wysoko.

- Nie znam żadnego mężczyzny bardziej godnego mojej ręki.

Jego emocje - mieszanina gniewu i wstydu - przebiły się przez barierę.

- Ale już nasze dzieci nie będą zasługiwały na nazwisko Skolia?

- Ależ oczywiście, że będą! Niemniej kandydaci do tronu muszą być Rhonami.

Cisza w pokoju wytlumionym grubymi ścianami i dywanem wydawała się przytłaczająca.

- To jedyny sposób na utrzymanie Sieci Kyle'a! Kto ma się tym zająć, jeśli nie my? Sojusz? Ur Qox pożarłby ich bez popijania! Jeśli kiedykolwiek utracimy Sieć, Ari-sto zdmuchną nas jak płomień świecy!

- W porządku, nasze dzieci być może i nie będą w stanie sprostać temu zadaniu - rzekł Rex. - Ale cóż to, na ognie piekielne, ma wspólnego z ich umiejętnościami rządzenia?

- Nadal pozostaną dziedzicami Rubinowego Tronu. Nie będą jedynie mogły zostać członkami Triady i nie otrzymają pełnego dostępu do Sieci przynależnego Rho-nom, a bez tego zginą, próbując złamać zabezpieczenia - mówiłam łagodniejszym głosem. - Ale mają za to szansę stać się potężnymi empatami. To jeszcze jeden powód, żebyśmy się połączyli, bo musimy być silni. Jeśli Skolia wpadnie w ręce Handlarzy, ja, ty i nasze dzieci staniemy się ich dostarczycielami.

Pod jego okiem drgnął mięsień.

- Nie dopuścimy do tego.

- Nie. Nie dopuścimy.

Nadal mnie blokował, choć nie tak szczelnie jak poprzednio. Nie napierałam - chciałam, by wszystko ułożyło się jak należy, by tym razem uniknąć błędów, które pograżyły moje dwa wcześniejsze małżeństwa.

- Rex, przepraszam cię.

- Chyba powinienem położyć się spać - powiedział.

-Do jutra.

I wyszedł.

Dziedzictwo Lucyfera

Przepiękny zachód słońca ostygł i ustąpił miejsca ciemnościom. Jedyne źródłem światła na ulicy ciągnącej się za oknem mojego pokoju były teraz mieniące się holoszyldy. Nie mogłam zasnąć. Dzień na Delos kompletnie rozjeżdżał się z moim zegarem biologicznym. Leżałam naga pod lekkim, błękitnym kocem i rozmyślałam. Zastanawiałam się, czy Rex już śpi. I co powie jutro, podczas ostatnich godzin nocy, kiedy mieszkańcy planety rozpoczynali swój normalny dzień? Obróciłam się z boku na bok. A potem jeszcze raz. I znów. W końcu owinęłam nogi kocem tak ciasno, że ledwie mogłam się poruszyć, a później uwolniłam je i obróciłam się ku konsoli. Chłodne powietrze omiotło moją skórę.

Klawisz rozmiarów monety zapłonął na niebiesko. Wcisnęłam go.

- Tak?
- Soz? - usłyszałam głos Reksa.
- Cześć. - Z moich ramion w jednej chwili zeszło całe napięcie.
- Spałaś?
- Nie. Leżałam tylko.
- Pamiętasz Jo Santis? Tę oficer, z którą dzieliłaś pokój podczas szkoleń kilka lat temu?

- No - bąknęłam. *Co* go naszło tym razem?
- Zdradziła mi coś na twój temat. Właśnie sobie o tym przypomniałem.

Naszły mnie złe przeczucia. Nie miałam bladego pojęcia, co takiego ledwie znana mi kobieta mogłaby opowiedzieć Reksowi na mój temat, co dręczyłoby go przez te wszystkie lata.

- I? - zawiesiłam niepewnie głos.

- Podobno sypiasz nago - wypalił, a ja niemalże widziałam jego szczery uśmiech. - To prawda?

Przeciągnęłam się leniwie.

- Może...

Na końcu języka miałam: „Może przyjdiesz i sam się przekonasz?“, ale słowa uwięzły mi w gardle.

- Kiedyś tak robiłam, kiedy byłam młodą dziewczyną, a na dworze panował skwar - powiedziałam zamiast tego.

- Soz...

- Tak?

- Gdzieś mam tę całą sprawę sukcesji. Po prostu zaskoczyło mnie to, stąd moja reakcja.

- Powinam ci była wcześniej o tym powiedzieć. Głupio postąpiłam.

- Ty nigdy nie postępujesz głupio. - Roześmiał się. - Zdarza się, że jesteś gapą, ale nigdy nie bywasz głupia.

- Hej. - Uśmiechnęłam się. - Nadal jestem twoim zwierzchnikiem.

- Wolalbym, żebyś była moją żoną.

- Ja też.

Po odejściu ze służby będzie musiał zdobyć aprobatę mojej rodziny, nim się pobierzemy, ale nie musi się o to martwić. Zaaprobują go. Nawet ja widziałam, jak dobrze do siebie pasujemy.

- Też wolałabyś żonę? - zapytał z rozbawieniem Rex.

- Nie! - Zaśmiałam się. - Ciebie. Męża!
- Do jutra, Soz - jego głos złagodniał.
- Dobrej nocy.

Po zakończeniu rozmowy sen nadal długo nie przychodził, lecz tym razem z innego powodu - nie mogłam zapomnieć obcisłych spodni Reksa. Wyglądało na to, że nigdy nie zasnę. W końcu usiadłam i włączyłam lampę nad łóżkiem. Pokój zalała łagodna poświata, sącząca się przez błękitny klosz.

Książka подарowana mi przez Tillerę leżała na stoliku nocnym. Otworzyłam ją na stronie tytułowej. „Wersy na szybie okiennej”. Atramentowa rycina pod tytułem przedstawiała okno pokryte szronem. Po drugiej stronie szyby majaczyła niewyraźna postać, ledwie widoczna przez warstewkę lodu. Wydrapywała coś na szkle i wyraźnie widać było koniuszki jej palców. Tylko to.

Gdy przekartkowałam książkę, ze środka wypadł bilet z Arkady. Na stronie, którą Tiller zaznaczył, znajdował się wiersz oraz kolejny rysunek zamrożonego okna. Postać, która znajdowała się po drugiej stronie, zniknęła, szyba była strzaskana, a wokół leżały szklane okruchy najeżone kawałkami półprzezroczystego lodu. Wiersz napisany był po angielsku.

Kamienna rama.
Posrebrzone szkło
oszronione zamrożniętymi łzami.

Moja dłoń
Dotyka lustra;
Palce zaciskają się na lodzie.

Pękają kruche,
Zamarznięte ły. Widzę cię,
Jak stoisz za mną Zawsze
czujna, Zawsze oczekująca,
Nigdy niezaspokojona.

Skrywam swe serce, Jego
delikatną nagość, Teraz
strzeżoną przez lód.

- Na ognie piekielne, co to za wiersz? - mruknęłam,
zamykając książkę.

Z jakiegoś powodu przypominał mi Kurja. Rzuciłam
tomik na konsolę i położyłam się na łóżku. Co robił Rex?
Spał? Ciekawe, czy on sypiał w ubraniu? Wizje wywołane
wierszem mieszały się w moim umyśle z o wiele bardziej
atrakcyjnymi wyobrażeniami Reksa bez munduru.

- Dość tego - mruknęłam. - Nie, przecież ja nigdy
nie zasnę.

W końcu wstałam, ubrałam się i poszłam na spacer.
Drugą alternatywą pozostawał zimny prysznic.

Ulice Arkady były niemalże wyludnione. Skręciłam
za róg prowadzący do Aten i puściłam się biegiem przez
porośnięte krótkimi kłęczami pola wokół portu gwiazd-
nego Delos. Po dotarciu do budynku terminalu weszłam
na poziom, na którym znajdowały się wejścia do hal
przylotów i odlotów. O tej porze w porcie kosmicznym,
którego ściany z chromu i szkła opromieniały nigdy
nie-gasnące, chłodne światła, wyczuwało się niezwykłą
atmosferę. Szłam po sztucznie oświetlonych
korytarzach, niczym odziany w skóry zbior w czarnych
butach.

W końcu dotarłam do jednej z niezliczonych bramek kontroli bezpieczeństwa, łuku o wysokości dwóch metrów. Bramka mogła sprawdzać tożsamość przechodzących pod nią ludzi na wiele sposobów, od skanów rezonansu magnetycznego począwszy, a na analizie kośćca skończywszy. Była nawet w stanie zweryfikować czyjeś zachowanie i osądzić, czy jest ono podejrzane. Obsługę bramki stanowiło dwoje mundurowych, mężczyzna i kobieta, którzy przeprowadzali kontrolę szeregu znudzonych ludzi. Ustawiałam się w kolejce, czując, że muszę się stąd wyrwać. Wszystko wydawało się lepsze od powrotu do hotelu, gdzie jedyną atrakcją były dziwaczne wiersze o skrywanych sercach.

Kolejka posuwała się naprzód i coraz więcej ludzi ustawiało się za mną. Większość z nich wyglądała na wciąż pogrążonych we śnie. Gdy nadeszła moja kolej, przeszłam przez bramkę, przyprawiając tym samym obsługującą ją konsolę o szaleństwo. Światła migotały, a alarmy wyły przeraźliwie, gotowe zbudzić wszystkich śpiących w okolicy.

Strażnicy zagrodzili mi drogę. Kobieta spojrzała na moje opaski, a potem powiedziała po angielsku:

- Przykro mi, primanie, ale nie możemy pani przepuścić, póki nie odkryjemy przyczyny problemu.

Problemu, akurat. Co w tej sytuacji można nazwać problemem wyjąwszy to, że jestem żywą bronią?

Osiągnęliśmy kompromis - zgodzili się mnie przepuścić, jeśli oddam im wszystkie metalowe przedmioty. W pierwszej kolejności wyciągnęłam z buta mój sprężynowy nóż. Gdy się prostowałam, oboje opuścili dłonie na swoje wypalacze, lecz ja po prostu podałam broń kobiecie. Zamrugała, ale przyjęła ją. Następnie wręczyłam jej szpon skryty w rękawie kurtki i miotacz rzutków, znaj-

dujący się za pasem. Strażniczka obracała ten mały arsenał w dłoniach, jakby nie wiedziała, co z nim zrobić.

- To wszystko? - zapytała.

-Tak.

- Te elementy znów wywołają alarm - rzekł mężczyzna, wskazując metalowe ćwieki na mojej kurtce.

A niech to szlag trafi. Zdjęłam kurtkę i oddałam mu. Mogłam ją przecież odebrać w drodze powrotnej. Pod spodem nosiłam górną część regulaminowego Kombinezonu Klasy Szóstej typu trzeciego, lecz gdy mężczyzna spojrział na moje spodnie, w których również znajdowały się metalowe ćwieki, powiedziałam:

- Spodni ci nie oddam.

- Nie miałem zamiaru... - bąknął tamten, czerwony jak burak. - Oczywiście, że nie.

Poklepałam się po klatce piersiowej, głowie i udach.

- Mam tu wszędzie wszczepy biomechaniczne.

- Cóż - westchnął strażnik. - Spróbujmy raz jeszcze i zobaczymy, co się wydarzy.

Ponownie przeszłam przez bramkę, ale alarmy zawyły równie głośno, jak poprzednio. Strażnicy zaś, nadal zachowując uprzejmość, przeskanowali mnie w poszukiwaniu kolejnych broni. Z tą samą uprzejmością jeszcze trzykrotnie poprosili mnie o przejście przez bramkę i poddanie się kolejnym skanom, by mogli mieć niezbitą pewność, że alarmy wywołuje technologia w moim ciele i w moim kombinezonie. Ja zaś miałam już wszystkiego dość i żałowałam, że nie wybrałam się gdzieś indziej. Kolejka za moimi plecami stawała się coraz dłuższa.

- Jest czysta - stwierdziła w końcu kobieta.

- W porządku - odetchnął mężczyzna. - Może pani przejść.

Ktoś w kolejce zaklaskał. Wybuchnęłam śmiechem i połowa oczekujących podskoczyła niczym wystraszone króliki. To ci dopiero. Pewnie oglądali za dużo filmów o Jagernautach, którym odbija.

Po przejściu przez kontrolę uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia, dokąd się udać. Szłam więc przed siebie, coraz dalej i dalej, aż wreszcie zatrzymałam się przy opuszczonym stanowisku odlotów. Stałam przed drzwiami i wpatrywałam się w swoje odbicie w szybie.

- Chcesz odejść? - spytałam kobiety po drugiej stronie. Może w istocie nadszedł czas, by odpocząć, złapać drugi oddech. Spokój na pewno by mi się przydał, żeby móc wreszcie oczyścić katalog z tłumionymi wspomnieniami.

Gdzieś w pobliżu rozległy się drobne kroczki, a potem usłyszałam dziecięce pytanie po angielsku:

- Czy masz motocykl?

Odwrociłam się i ujrzałam dziewczynkę w wieku około pięciu lat, wpatrującą się we mnie wielkimi oczyma. Uśmiechnęłam się i postanowiłam wypróbować mój angielski:

- Co to mo-to-cykl?

- To coś takiego jak duży rower - wyjaśniło dziecko i odpowiedziało uśmiechem.

- Aha - powiedziałam z udawanym przekonaniem. Czym był „rower”, również nie wiedziałam. - A ty masz mo-to-cykl?

- Nie. - Dziewczynka pokręciła główką. - Mam tylko trójkołowiec. Taki czerwony. W kole była dziura.

Zaraz, jej chyba chodziło o pojazdy pedałowe! To przecież oczywiste.

- Przykro mi z powodu tej dziury.

- Już wszystko w porządku - odpowiedziała. - Tata naprawił. Była pusta, ale już jest pełna.

W jej słowach było coś ważnego, ale nie byłam w stanie dojść, coż to takiego. Potem zauważyłam mężczyznę biegnącego korytarzem.

- Kimberly, nie przeszkadzaj pani oficer! - zawołał szybko.

- W porządku. - Uśmiechnęłam się. - Ja zadowolona.

Spojrzał na mnie, a ja przechwyciłam przeblysłk jego myśli - był zaskoczony, że odezwałam się jak normalna istota ludzka.

- Pa, pa! - pomachała Kimberly.

- Pa, pa! - powiedziałam.

Olśniło mnie, dopiero gdy dziewczynka odeszła ze swym ojcem. Nagle zrozumiałam, dlaczego jej słowa były dla mnie takie ważne. „Już wszystko w porządku. Była pusta, ale już jest pełna”. Oto klucz do zagadki spotkanego w barze Aristo! On nie był pusty! Nie potrzebował innych, by go napełnili. Nie miał w sobie tej potwornej nicości, jak pozostali z jego rodzaju.

- To nie był Aristo - oznajmiłam opustoszałemu korytarzowi. - Gdzieś mam to, jak wyglądał, mówił i się poruszał. To na pewno nie był Aristo.

To odkrycie sprawiło, że cały incydent wydał mi się jeszcze dziwniejszy. Jego ochroniarze, ludzie w knajpie, nawet mój własny oddział, wszyscy wzięli nieznanego za Hightona. Ba, nawet Comtrace się pomylił. Tylko wyszkolony, doświadczony telepata, który swego czasu sam był dostarczycielem, mógł odkryć, że jest kimś innym.

Jak on tego dokonał? Z tego, co wiedziałam, w ich systemie kastowym nie było żadnych wyjątków. Niemowlętom Aristo zawsze sprawdzano geny, by mieć niezbitą

pewność, że pochodzą od rodziców Aristo. Rodowód każdego z nich musiał zostać gruntownie przebadany, nim inni Hightoni uznali go za jednego ze swoich. Testującym zapewne nie można było zarzucić braku kompetencji, choć sama wątpiłam, czy istnieje jakikolwiek system, którego nie można skorumpować. A jednak prawdopodobieństwo, że nawet Highton byłby w stanie przekupić wszystkie organa biorące udział w weryfikacji, było znikome. Każdy Aristo miał identyczne zapatrywania na kwestię czystości gatunku - żaden z nich nie życzył sobie, aby jakikolwiek nie-Aristo splugawił ich krew. I w przeciwieństwie do innych ludzkich ras, traktowali tę sprawę śmiertelnie poważnie.

Działo się coś dziwnego, a ja nie przepadałam za dziwnymi zdarzeniami - zwłaszcza takimi, w które wmieszani byli Handlarze. Czas, żeby wyjaśnić, dlaczego nieznamy pojawił się na Delos.

Wróciłam po swoje rzeczy do bramki kontrolnej. Po opuszczeniu portu kosmicznego udałam się prosto do hotelu, ale tylko po to, by wziąć mój devastator. Wsunęłam broń do kabury na biodrze, unieruchomionej dodatkowo paskiem opinającym się wokół uda. Devastatory musiały być duże, gdyż każdy z nich zawierał przyspieszacz cząsteczek. Na szczęście, pomimo swych rozmiarów ważyły stosunkowo niewiele, gdyż wykonywano je z kompozytowych materiałów. Ich paliwem były abito-ny, antycząsteczki bitonów, jednostek subelektronicznych. Bitony, które z czułością przeżywałyśmy bitosiami, należały do najsłabiej reagujących cząsteczek połączonych z polem elektromagnetycznym. Tempo ich kreacji par było bardzo niewielkie i podobnie jak kwarki, rzadko kiedy występowały w izolacji. Elektrony składały się z bitonów - z setek tysięcy bitonów.

Gdy naciskałam spust devastatora, abitony zbijały się wokół przyspieszacza i wystrzeliwały w postaci wiązki. Ich właściwością była anihilacja bitonów, dzięki czemu powstawały fotony. W praktyce oznaczało to, że deva-stator zamieniał elektrony w światło. Jeśli choć cząstka elektronu ulegała anihilacji, reszta rozpadała się w inne cząsteczki. Wiązka devastatora w miarę dobrze pokonywała krótkie dystanse w powietrzu, ale z ciałami stałymi sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Dzięki zasadzie wyrażonej w prawie Coulomba i niestabilności okaleczonych elektronów ciało stałe eksplodowało. Nazwa broni zresztą wywodziła się z tego, jak wygładały trafione przez nią obiekty.

Nie miałam zamiaru zastrzelić nieznanego. Wbrew temu, co ludzie na ogół o nas myślą, Jagernauci wcale nie są bardziej agresywni od innych. Poza tym zabicie Aristo, nawet nieprawdziwego, doprowadziłoby tylko do zerwania rozmów pokojowych, które raz na jakiś czas usiłowaliśmy prowadzić z Handlarzami. Zależało mi jedynie na informacjach, a devastator idealnie sprawdzał się w sytuacjach, gdy należało kogoś namówić do zeznań. Oczywiście po moim wyjściu mógłby powiadomić policję, ale Eubianie nie znosili uchodzić na słabeuszy w oczach pozostałych ras. Mogłam się założyć, że jeśli nie wyrządę mu większej krzywdy, lęk przed upokorzeniem powstrzyma go od powiadomienia władz.

Skierowałam się ku wzgórzom na północy Arkady. Znajdujące się tam siedliska w istocie były posiadłościami, oddzielonymi od siebie parkami, przy czym każda z nich zajmowała obszar większy nawet od portu kosmicznego. Wiedziałam, że Aristo nie zniżyłby się do wynajęcia zwykłego apartamentu hotelowego i bardziej odpowiadałoby mu to właśnie miejsce. Problem

leżał w tym, że nie miałam pojęcia, gdzie zacząć poszukiwania.

Rezydencje oświetlone były licznymi lampami, roztańczającymi perłowy blask. Same domy kształtem przypominały statki. Zbudowano je z zielonego kamienia i ozdobiono motywami imitującymi spienione fale, a do tego część ścian pokrywała winorośl przypominająca bladozielony morbluszcz. Przejrzysty, błękitno-fioletowy materiał wykorzystany do budowy dachów przywodził na myśl niebo i chmury. Masztami owych statków były złote wieżyczki, każda przystrojona niewielkimi dyskami w kolorach platyny, srebra, zieleni, bieli, najbledszego z różów i wszelkich odcieni oceanicznego błękitu, które przy każdym podmuchu wiatru uderzały o siebie, wygrywając ciche melodie. Nawet ulice z nervopleksu wydawały się tutaj piękniejsze niż w centrum miasta. Teraz, gdy nie przemykały nad nimi żadne pojazdy, mieniły się srebrem, a gdy stąpałam po nich, każdy krok pobudzał rozbiegające się migotliwe fale. Nie cierpiałam tego wynalazku, czułam się przez niego odsłonięta i narażona na ciosy, ale musiałam przyznać, że w tej dzielnicy wygląda to pięknie.

Szłam ścieżką wijącą się między niskimi wzgórzami jednego z parków. Z wolna ogarniało mnie coraz większe zmęczenie. Mimo że w atmosferze Delos znajduje się wysokie stężenie tlenu, nie rekompensowało to faktu, iż była ona rzadsza. Miałam wrażenie, że wbiegam po zboczu wysokiej góry. Zatrzymałam się na polanie porośniętej gęsto koniczyną. Moja klatka piersiowa unosiła się i opadała, a ja chciwie łapałam powietrze.

Kwiaty wokół mnie śpiewały.

Uklękłam, by im się przyjrzeć. Każdy z nich był pękiem purpurowych rurek, które świstały, gdy wiatr

właczał w nie powietrze. Ton zmieniał się w zależności od ich kształtów i rozmiarów, a wszystkie dźwięki zlewały się w łagodną muzykę, która płynęła w noc. Przypominała mi o melodiach, które mój braciszek Kelric grywał na trzciniowym flecie, co sprawiało mu ogromną radość, gdy był małym dzieckiem. Słowo „mały” dziwnie teraz brzmi, gdyż Kelric wyrósł na olbrzyma, mogącego skryć cały flet w jednej dłoni, ale ja wciąż pamiętałam go jako siedmiolatka. I wciąż wspominałam ów dzień, gdy wspólnie skryliśmy się w jaskini.

Przygryzłam wargę. Jeśli zacznę się roztkliwiać nad moim dzieciństwem, nigdy nie znajdę tego Aristo. Znów ruszyłam ścieżką przed siebie, wprawiając swój umysł w stan medytacyjny. Dzięki scenarii relaksacja nie była trudnym wyzwaniem, łatwo też przyszło mi rozszerzenie sfery mentalnej. Bez psifonu, zwiększającego możliwości umysłu, nie było mnie stać na wiele, ale gdyby w pobliżu znalazł się jakiś empata, mogłabym wychwytać przebłyski...

Ból!

Nade mną znalazła się jego twarz - i jego oczy niczym dwa zardzewiałe płyty na ścianie krematorium. Żelazny pręt, którego koniec żarzył się czerwienią, był coraz niżej. Odwróciłam wzrok...

Gdy żelazo rozdarło mi skórę, przeszył mnie skurcz. Smród zwęglonego ciała zlał się z zapachem przypalonego nervopleksu. Chłopiec wrzasnął - ochryplym, rwącym się głosem błagał o litość... Moim głosem! Ze wszystkich sił próbowałam odepchnąć ból, wyobrazić sobie siebie w domu na Tams, siebie jako młodego, radosnego mężczyznę w Ogrodach z Kości Słoniowej... Nie! Ramiona poderwały się, usiłując odepchnąć żelazo, lecz im zacieklej walczyłam, tym mocniej nervoplex więził moje nadgarstki.

Pochylił się nade mną, a ja wpadłam w otchłań w jego umyśle. Leciałam, spadałam... spadałam...

Coś mnie uderzyło. Łapiąc chciwie powietrze, uświadomiłam sobie, że się przewróciłam. Leżałam na brzuchu, a mój policzek opierał się o obłą krawędź kamienia. Dłoń leżała tuż przy twarzy, złocisty pasek na rękawie kurtki odbijał słabe światło odległej lampy.

Usiadłam, nakazując memu ciału, by przestało się trząść. Ścieżka. Miałam na imię Soz, szłam po ścieżce w parku. Soz, a nie ten młody chłopak, związany i wrzeszczący. Lecz gdzie on się znajdował? I czyja to twarz pochylała się nad nim? Ja widziałam w niej Tarque'a, ale to nie mógł być on.

„Odtwórz wspomnienie” - poleciłam w myślach.

„Plik pamięci uszkodzony” - odpowiedział węzeł.

Nie zaskoczyło mnie to. Ludzki umysł nie był w stanie nagrywać idealnych kopii wspomnień - nawet przy wykorzystaniu tak zaawansowanego procesora jak mój węzeł, który nawiasem mówiąc, został usprawniony kilka miesięcy temu. Niemniej tak intensywne przeżycie musiało pozostawić w miarę dobre nagranie.

„Mimo to odtwórz go w całości” - przykazałam. „Ale nałóż filtr”.

„Odtwarzam”.

Znów ujrzałam pochylającego się nade mną Aristo i poczułam ukłucie żelaza na swej skórze. Na szczęście filtr rozrzedził wspomnienie i stłumił jego intensywność.

„Zatrzymaj”.

Projekcja znieruchomiła, ukazując twarz kata w pełnej krasie. Nie był to oczywiście Tarque, ale także nie ów fałszywy Highton, a jego ochroniarz - ten sam wysoki

mężczyzna, którego kolor włosów i oczu zwrócił wczoraj moją uwagę. Od początku miałam wrażenie, że przynajmniej w połowie był jednym z Aristo, co niestety oznaczało, że on także potrzebował dostarczyciela.

„Koniec” - pomyślałam i obraz natychmiast się rozplynął.

Odnalazłam Hightona lub przynajmniej dostarczyciela jego ochroniarza. Zamknęłam oczy, usiłując dotrzeć do młodzieńca, który był teraz moim jedynym łącznikiem z nieznanym, nie potrafiłam jednak się zmusić, by wrócić do jego umysłu.

Podniosłam się i ruszyłam ścieżką. Po chwili mój puls zwolnił, a oddech uspokoił się. Wywołałam menu, z którego dowiedziałam się, że moja adrenalina powróciła do normalnego poziomu. Nabierając tchu, znów zaczęłam skanować okolicę swym umysłem - tym razem starannie. Bingo! Odkoczyłam lekko od dostarczyciela, ale tak, by nie utracić z nim połączenia. Podtrzymując kontakt na dystans, starałam się nie zanurzyć w jego doznaniach. Zaciśnęłam zęby i odszukałam umysł ochroniarza. W normalnych okolicznościach nie byłabym w stanie dotrzeć do niego z takiej odległości, ale wykorzystałam połączenie z dostarczycielem jako punkt oparcia. Uchwyciłam się skrajów jego umysłu, niczym pływak walczący z wirami, który chwyta się gałęzi rosnącego na brzegu drzewa. Przez moją świadomość przebił się wrzask ofiary, a ochroniarz jęknął niczym kochanek przeżywający orgazm.

Ledwie zdawałam sobie sprawę z tego, że nadal znajduję się w parku i że opieram się o jakiś zmurszały pień. Jak powstrzymać tego człowieka? Nie byłam w stanie zmienić struktury jego cholernego mózgu, ale musiałam przecież coś zrobić!

„Nudny” - pomyślałam i pchnęłam tę myśl w jego kierunku najmocniej jak umiałam. „Ten dostarczyciel stał się nieprawdopodobnie, niepomierne nudny!”

Pół-Aristo ogarnęło znużenie. Jego zainteresowanie ofiarą prysło i zerwał połączenie. Wróciłam do umysłu chłopaka. Echa jego wrzasków już ucichły i powoli zalewała go ulga - tak ogromna, że ujrzałam ochroniarza i nawet pokój, w którym się znajdowali. Była tam jeszcze jedna dostarczycielka, dziewczyna leżąca na podium z rękami wyciągniętymi nad głowę.

Umysł katowanego chłopaka z wolna popadał w odrętwienie i nasza więź zaczęła coraz bardziej słabnąć.

„Gdzie jesteś?” - zapytałam w myślach po eubiańsku.

Tracił przytomność - jeszcze chwila i przestanę go zupełnie wyczuwać. Ochroniarz wyszedł z pokoju. Zaraz, zaraz - druga dostarczycielka, ta dziewczyna! Zapewne pół-Aristo uwolnił ją przed wyjściem, gdyż podbiegła do chłopaka. Szalała z lęku o niego. Intensywność jej reakcji sprawiła, że gwałtownie odzyskałam łączność z nimi. Wskoczyłam do jej umysłu.

„Gdzie jesteście? Gdzie?”

Z płaczem rozwiązała pęta z nervopleksu i utuliła chłopca w swych ramionach. Poddał się jej i w tej samej chwili połączenie zaczęło zanikać. Na szczęście, nim zerwało się do końca, ujrzałam niewyraźne wyobrażenie budynku, przypominającego kształtem wielki galeon. Nie miałam pojęcia, które z dostarczycieli próbowało przesłać ten obraz - zakładałam, że wypłynął on z natłoku wzburzonych myśli dziewczyny - ale i tak najważniejsze było, że wreszcie dostałam wskazówkę, której tak bardzo potrzebowałam.

Radość jednak okazała się przedwczesna. Po godzinie poszukiwań nadal nie wiedziałam, gdzie znajduje

się dziwna rezydencja. Miałam świadomość, że wkrótce powinnam wracać do hotelu. Zrozpaczona obesłam piękną fontannę, która zamiast wody tryskała w powietrze aromatycznymi zapachami. Moje kroki zagłuszył trawnik różanych dzwoneczków. Za fontanną ciągnęła się droga połyskująca srebrnym światłem padającym z lamp ulicznych. Spojrzałam w tamtym kierunku i... ujrzałam galeon.

Dom „unosił się” pośród okalających go ogrodów, otoczony krzewami uformowanymi na podobieństwo fal i zwieńczonymi białymi kwiatami, przypominającymi pianę. Maszty fosforyzowały, a zwinięte żagle z tej odległości przypominały wielkie płyty złota. Dyski zawieszane na masztach pobrzękiwały w jednym rytmie, a wydawane przez nie dźwięki zlewały się w melodię przywodzącą na myśl wiatr i wodę.

Wokół posiadłości migotały słabe światła przypominające zorzę polarną. Znałam te kolory, często widywałam je wokół Triady - mojej ciotki, brata Kurja i ojca. Zgodnie z wolą Zgromadzenia, gdy członek Triady pojawiał się publicznie, otaczała go identyczna tęcza. Była to jedyna zewnętrzna oznaka działania cybergenerato-ra, implantu mózgowego. Ja również taki miałam, choć rzadko z niego korzystałam. Po aktywacji implant generował pole dostrojone do fal mózgowych właściciela. Pole o niewielkiej mocy ostrzegało o naruszeniu przez intruza, nastawione na średnią moc odrzucało go, a na wysoką - zabijało.

Widziałam, jak przez tęczę przelatuje ptak, co oznaczało, że pole nastawione jest na niską moc i działa jako system ostrzegawczy, ale przenika cały dom i jego otoczenie. Nie było najmniejszych szans na wślizgnięcie się do środka. Czy generator dostrojony był do Hightona?

Chcąc korzystać z takiego implantu, musiał poddać się skomplikowanej operacji. Był to mozolny, trudny proces, na który decydowało się niewielu ludzi. To, że tak młody Aristo dysponował tak szczelną ochroną, okazało się kolejną niepokojącą tajemnicą, która go otaczała.

„Przełącz na tryb walki” - pomyślałam.

„Tryb walki aktywowany”.

Przyjrzałam się uważnie posiadłości, próbując wybrać najlepszy sposób użycia moich możliwości. W trybie walki moje ciało wykorzystywało biowszczepy rozmieszczone wzdłuż kręgosłupa oraz na silnikach podłączonych do mojej sieci światłowodowej. Szybkość reakcji ograniczona była jedynie czasem działania biowszczepów poruszających moimi kończynami, a te były szybkie, o wiele szybsze od mięśni. Często w walce polegałam tylko na odruchach, automatycznie odwołując się do rozległej biblioteki manewrów bitewnych zebranej w moim węźle. Rzadko z tego trybu korzystałam - mimo że kości i stawy zostały wzmocnione, system nadweręzał mój szkielet. Szybkość reakcji ponadto nie zdałaby się na wiele w parku. Musiałam się dostać do wnętrza domu, co na tę chwilę wydawało się całkiem niemożliwe.

Wtedy do głowy przyszedł mi pewien pomysł. Uśmiechnęłam się pod nosem. Nie, przecież czegoś takiego nie zrobię. To niemożliwe.

- Cholera, a właściwie czemu nie? - powiedziałam.

Przeszłam na drugą stronę drogi, sprawiając, że ner-voplex zadrzał pod moimi stopami. Potem wkroczyłam w zasięg tęczy i stanęłam przed drzwiami frontowymi. Zapukałam.

Kiedy drzwi się otworzyły, ujrzałam dwóch ochroniarzy z karabinami laserowymi oraz magazynkami u pasa. Ich zdumienie uderzyło we mnie niczym fala powietrza:

czyżby ich władca naprawdę był aż tak szalony, by mnie tu zaprosić? Czyżbym i ja była tak szalona, by przyjąć zaproszenie?

- Witajcie - powiedziałam, a potem błyskawicznym kopnięciem wybiłam pierwszemu z nich karabin z rąk, a drugiego rozbroiłam uderzeniem pięści. Broń poszybowała w głąb pomieszczenia.

Pozbawiłam ich przytomności tak szybko, że żaden nie zdążył nawet wezwać pomocy. Gdy wbiegłam do środka, pojawiło się kolejnych ośmiu napastników -niektórzy zbiegali po schodach prowadzących do hallu, inni wypadali ze zwieńczonych łukami przejść po prawej i lewej stronie. Co znowu? Hightoni zawsze podróżowali z obstawą, ale zazwyczaj ochroniarzy było najwyżej czterech. Ja spodziewałam się ujrzeć tych pięciu z baru.

Skupiłam się na walce. Mój umysł przyspieszył działanie, przez co wszyscy Handlarze sprawiali wrażenie, jakby poruszali się w zwolnionym tempie. Reagowali, jakby znajdowali się pod wodą, i mało który zdążył drgnąć, gdy wycelowałam w nich swój devastator.

„Aktywacja uzbrojenia” - przekazał mój węzeł. Obraz korytarza przecięła siatka celownicza, a w rogu błysnęły statystyki:

paliwo: abitony pozostała
energia: 1.9 v ładunek:
 5.95×10^{-25} c namagnesowanie:
0.0001 T zasięg maks.: 0.05

M

Wiązka devastatora omiotła podłogę tuż przed nadbiegającymi ochroniarzami. W powietrzu pojawiały się pomarańczowe iskry i wszędzie tam, gdzie promień

musnął posadzkę, parkiet eksplodował. Odłamki strzeliły na wszystkie strony i opadły z powrotem do wrytego przez wiązkę koryta. Wszędzie kotłował się kurz. Przez myśl przemknęło mi, że właściciele tej posesji już nigdy nie wynajmą jej żadnemu Aristo. Ich gościom najwyraźniej brakowało głady.

Ochroniarze wyhamowali na granicy rozoranej strzałem podłogi. W zwolnionym tempie unosili ramiona, by osłonić się przed wirującymi odłamkami. Wiedziałam, że na długo ich to nie powstrzyma, a ja nie byłam w stanie pozbawić ich przytomności nawet przy tak rozwiniętych umiejętnościach. Miałam przed sobą tylko dwie opcje - albo podejmę nieodwołalną, drastyczną decyzję i pozabijam ich wszystkich, albo znajdę jakiś inny sposób na odnalezienie Hightona.

Wybiegłam z powrotem do ogrodu. Ścigająca mnie wiązka lasera przemknęła tak blisko mojego ucha, że usłyszałam skwierczenie palącego się kosmyka włosów. Ktoś zaklął i wrzasnął po eubiańsku, że chce mnie żywą, a nie zwęgloną.

Pędziłam ze zwiększoną prędkością ku wieży na południowym skraju posiadłości. To właśnie tam musiało się mieścić centrum ochrony Handlarzy. Rzadko kiedy zmieniali swoje procedury, kompletnie nie doceniając innowacji i pokładając zaufanie jedynie w czystej sile. Inna sprawa, że na nasze nieszczęście byli w stanie wiele tą strategią osiągnąć - i to bez względu na to, jak bardzo brakowało im wyobraźni.

W kilka sekund dotarłam do wieży, wypaliłam prosto w zamek przy drzwiach i wpadłam do środka. W pomieszczeniu znajdował się kolejny strażnik. Stał o krok ode mnie, z karabinem uniesionym i gotowym do strzału. Zanim jeszcze zarejestrowałam jego obecność, moja

noga zakresliła w powietrzu łuk, ciskając broń tamtego na ścianę.

Ochroniarz natychmiast zrewanżował się tym samym, jednym szybkim uderzeniem wybijając mi z dłoni deva-stator. On również dysponował zwiększoną prędkością. Z trudem zablokowałam jego kolejne ciosy. Wysunęłam z rękawa cierń i uwolniłam mikroskopijnie cienki metalowy pocisk z narkotykiem. Mój przeciwnik zasłonił się przedramieniem, na którym nosił specjalny ochroniacz, ale dzięki temu zyskałam potrzebną mi sekundę i trafiłam go kolejną strzałką prosto w szyję. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, ręce opadły mu wzdłuż tułowia, a na szyi pojawiły się naciągnięte z wysiłku ścięgna. Po chwili mężczyzna padł nieprzytomny na podłogę.

Rzuciłam okiem na konsolę, potwierdzając przypuszczenie, że strażnik monitorował stąd system obronny całej rezydencji. Podeszłam do niej i w pierwszej kolejności dezaktywowałam pole ochronne, a potem połączyłam się z awaryjnym węzłem Sieci Kyle'a. Było to dziecinnie proste zadanie - o ile wiedziało się, gdzie go szukać. Z chwilą otwarcia konta do systemu Hightona wtargnął wirus. Od momentu mojego wejścia do posiadłości upłynęła ledwie minuta.

Na zewnątrz zagrały dzwonki. Złapałam devastator i wybiegłam z wieży, by w jednej chwili znaleźć się w samym centrum chaosu. Światła sygnałowe migotały na czerwono i niebiesko, wylądował alarm, a reflektory dziko omiały ogród. To efekt działania wirusa, który właśnie uruchomił każdy system alarmowy w posiadłości. W tym szaleństwie Handlarze nie mieli najmniejszych szans, aby odnaleźć to, czego naprawdę szukali - mnie.

Wystrzeliłam z devastatora w przeciwnym kierunku. W oślepiającej feerii błysków, jaka wciąż trwała, iskry

powstające podczas anihilacji molekuł powietrza były ledwie widoczne, ale bez względu na to lampa uliczna po drugiej stronie drogi i tak zniknęła w pomarańczowej eksplozji. Przy okazji trafiłam też w drzewo rosnące obok fontanny z zapachami i kiedy jego pień rozpadał się na niezliczoną ilość cząsteczek, kilka grubych konarów z hukiem zważyło się na ziemię, wzbijając chmurę liści oraz pyłu. Wsunęłam swoją broń z powrotem do kabury i popędziłam w kierunku głównego budynku. Jeśli rzeźkomy Highton postępował w sposób typowy dla Aristo, na pewno zatrzymał się na drugim piętrze, w pokoju, do którego najtrudniej dotrzeć z ziemi oraz z powietrza.

Spojrzałam w górę i wybrałam najbardziej odosobnione okno. Wskoczyłam na trelią z nervopleksu, który natychmiast zadrżał, chcąc mnie zrzucić z siebie. Zaczęłam się wspinać, wiedząc, że w każdej chwili mogę spaść na ziemię. Ale nie było już odwrotu. Wreszcie udało mi się dotrzeć do balkonu, przesadzić balustradę, a potem bezszelestnie opaść na kamienną posadzkę. Przez okno ujrzałam młodego Aristo, jak stoi pośrodku sypialni i wpatruje się w rozbłyskującą dziko konsolę, wiszącą na przeciwległej ścianie.

Zniszczyłam zamek w drzwiach, pchnęłam je i wkroczyłam do środka.

- Witaj - powiedziałam w języku Hightonów.

- Jak się tu dostałaś? - spytał, obróciwszy się gwałtownie w moją stronę.

- Schowam się tam. - Ruchem głowy wskazałam szafę przy ścianie. - Za chwilę wpadną tu twoi ochroniarze i oświadczą, że na teren posiadłości wkradł się intruz. Powiesz im, że widziałeś, jak uciekam do parku, i że chcesz, by mnie ujęli.

Przyglądał mi się ze zdziwieniem.

- Niczego takiego nie zrobię.

- Owszem, zrobisz - wycodziłam przez zęby, ściągnęłam zasłony i skryłam się za szafą, mierząc mu cały czas w głowę. - W przeciwnym razie staniesz się wspomnieniem.

Nie zaprotestował. W sumie to dobrze, bo mój deva-stator był już pusty. Nie mogłabym zniszczyć ani jednego pyłka, a co dopiero człowieka.

Ktoś zapukał.

Highton aż podskoczył, przestraszony.

- Wejść!

Z mojej kryjówki widziałam jedynie nieznanego. Usłyszałam odgłos otwieranych drzwi.

- Przepraszamy, że panu przeszkadzamy, sir - rozległ się czyjś głos.

Na twarzy Aristo pojawił się perfekcyjny, typowy dla Hightonów grymas.

- To coś przeszkadza mi o wiele bardziej. - Machnął ręką w kierunku wyjącej konsoli. - O co tu chodzi? Kim była ta kobieta, którą widziałem na zewnątrz? Wyglądała jak imperialny Jagernauta.

- Bo to prawda - powiedział ochroniarz. - To ta pri-manka z baru. Narobiła zniszczeń w hallu i wybiegła na zewnątrz.

- Dlaczego? - Aristo wydawał się być autentycznie zadowolony.

- Nie wiemy, sir - odezwał się twardo ktoś drugi. -Przesłuchamy ją natychmiast po złapaniu.

Mój żołądek skurczył się ze strachu. Od razu rozpoznałam ten umysł - to był ochroniarz, który wcześniej pilnował obu dostarczycieli.

- Widziałem, jak przebiega przez ulicę i znika w parku - powiedział Aristo.

- Za pozwoleniem, przeszukamy całą okolicę.
- Dobrze. A teraz zostawcie mnie w spokoju. I zróbcie coś z tymi alarmami.
- Nie udało nam się jeszcze wyizolować wirusa, sir - odezwał się pierwszy strażnik. - Niewykluczone, że będziemy musieli wyłączyć system bezpieczeństwa i zre-startować go.
- Wtedy ona mogłaby niespostrzeżenie wspiąć się po murze do tego pokoju.
- To niemożliwe, sir. Treliarz by ją strącił. Poza tym ta kobieta znajdowała się na terenie posiadłości jedynie przez chwilę. Nie miałaby czasu, żeby się do pana dostać.
- Cieszy mnie twoja pewność - oznajmił sucho Ari-sto. - Idźcie jej szukać.
- Tak jest, sir.
- Ochroniarze musieli się uklonić, ponieważ ich ubrania zatrzęszczały w ten sam irytujący sposób, co mundury Handlarzy, gdy ci zginali się wpół. Drzwi zamknęły się niemal bezszelestnie, a potem usłyszałam oddalające się kroki.
- Czego chcesz? - Aristo podszedł do mnie.
- Nadal celując w niego ze swej pustej broni, podeszłam do konsoli i wyłączyłam audio. Alarmy wciąż wyły w całej posiadłości, lecz w naszym pokoju było już ciszej.
- Usiądź - powiedziałam. - Pogadamy sobie.
- Ani drgnął.
- Nie mam ci nic do powiedzenia - oświadczył zdecydowanym głosem.
- W knajpie miałam inne wrażenie.
- Tu muszę się zgodzić. - Uśmiechnął się nieoczekiwanie.

Ktoś kiedyś powinien wprowadzić ustawę zabraniającą Aristo używania tych ich gładkich minek. Nie, to nie może być jeden z nich. Nie z takim uśmiechem.

- Coś mi się wydaje, że nie jesteś Hightonem - stwierdziłam otwarcie.

- A dlaczego?

Jego zaskoczenie wydawało się autentyczne. Albo naprawdę nie wiedział nic o swoim pochodzeniu, albo był świetnym aktorem - nie miałam jednak pewności, którą z tych wersji wybrać. Z bliska potrafiłam wychwycić emocje Aristo - brak zdolności telepatycznych u Handlarzy bynajmniej nie przeszkadzał mi w odczytywaniu ich nastrojów - ale od tego osobnika nie wyczuwałam nic. Absolutnie nic. Facet wydawał się pusty w środku.

Podeszłam do drzwi balkonowych i stanęłam przy zasłonie, wyglądając ostrożnie na zewnątrz. Ogród patrolował któryś z ochroniarzy.

- Masz niezłą obsadę.

- Okazuje się, że nie aż tak niezłą.

- To nie ma sensu. - Zasunęłam kotary. - Masz jedenaście goryli, w tym przynajmniej jednego ze wspomaganie biomechanicznym.

Przypomniałam sobie też człowieka, który zabawiał się jednym z dostarczycieli. Pozyskiwanie psionów nie było łatwe nawet dla Aristo czystej krwi, a co dopiero dla ich ochroniarzy.

- Inny - ciągnęłam - ma wsparcie jakiegoś potężnego Hightona. Ponadto naprawdę niewielu ludzi, zwłaszcza w twoim wieku, chce lub musi przejść inwazyjną operację wprowadzenia implantu generującego pole wartościowe w mózgu. Skoro to twoja obstawa nim steruje, a nie ty, zapewne przyjmują rozkazy od kogoś innego.

- Jak do tego doszłaś? - Aristo wbił we mnie spoj-
rzenie.

Pewności nie miałam żadnej, a większość tego, co po-
wiedziałam, to jedynie domysły.

- Jestem dobra w tym, co robię.

- Owszem, jesteś.

Nieźle, nieźle. Żaden Aristo nigdy by nie przyznał, że
ktoś taki jak ja jest dobry w czymkolwiek innym, poza
służeniem jako niewolnik. Wiedzieli, co naprawdę po-
trafimy, ale nigdy tego nie cenili. Tak, ten człowiek miał
sposób zachowania, postawę i akcent Hightonów, ale
brakowało mu najważniejszej rzeczy - poczucia wyż-
szości. Prawdziwy Aristo nie kryłby się z tym, że chce
mnie ukarać za moją bezczelność. I nie kryłby pogardy.
W przypadku nieznanego nie odbierałam jednak nic.
Wydawał się rozdrażniony i zaintrygowany, ale tego też
nie wyczuwałam. Nic, absolutnie nic. Już chyba wołała-
bym wykryć w nim ową ziejącą otchłań, która tak mnie
zawsze przerażała.

I wtedy mnie olśniło. Ten człowiek miał blokady
w swoim umyśle - i to nie instynktowne bariery psy-
chologiczne, które potrafił wznieść każdy, bez względu
na to, czy był empatą, czy nie. Tego człowieka chroniły
złożone, skomplikowane procedury mentalne, zupełnie
jakby przeszedł szkolenie w sztuce blokowania transmi-
sji swego mózgu. Dobrze wiedziałam, ile czasu i wysiłku
potrzeba, aby wyuczyć się tych technik - był to w koń-
cu element mojego treningu - tak jak zdawałam sobie
sprawę, że bariery mojego rozmówcy różnią się od men-
talnych drzwi, które zatrzaśkiwałam przed innymi
em-patami, chroniąc prywatność swoich uczuć. Tu
miałam do czynienia z istnymi fortyfikacjami, które
przełamać mógł wyłącznie silniejszy umysł.

Ale przecież tylko psioni mogli wznosić takie bariery. Tylko i wyłącznie oni. Normalni ludzie nie umieli ich tworzyć bądź nie mieli potrzeby, by się za nimi chować. W rzeczy samej, nawet mając biomechaniczne wspomaganie, większość Jagernautów nie była w stanie wznieść blokad tak silnych jak te, które wykryłam w tym człowieku. On nie dopuszczał nawet mnie, co oznaczało, że jest potężnym empatą. Ale przecież Aristo nie mogli być telepatami - tego talentu nie było w ich cennej puli genetycznej.

- Czemu tak na mnie patrzysz? - zapytał Aristo.

- Jak? - zapytałam, próbując kupić sobie nieco czasu do namysłu.

- Jakbym był okazem laboratoryjnym.

- Próbuję ustalić, dlaczego dostarczyciel podróżuje jako Highton.

Jego gniew buchnął na nowo.

- Wdzierasz się tu, obrzucasz mnie obelgami, wymachujesz bronią, znieważasz moje dziedzictwo. Cóż, nie robi to na mnie wrażenia. Chcesz, to strzelaj, nie krępuj się. W końcu tym się właśnie zajmują Jagernauci, nie prawdaż? Zabijają bez skrpułów.

Nie potrzebowałam telepatii, by wiedzieć, że jego gniew nie jest udawany. Ten człowiek wierzył w to, że jest Hightonem.

- Nigdy nie zabijamy bez skrpułów - powiedziałam powoli. - Jak byśmy mogli? Jesteśmy empatami. Wiemy, co czują nasze ofiary.

- Ta rzecz, którą zwiecie empatią... Ona osłabia umysł -jego głos przycichł. - To wielka ułomność. A ułomni ludzie muszą pracować o wiele ciężiej, by pokonać swoje niedostatki.

Jak to należało zrozumieć?

- Czy tak mówili twoi rodzice, kiedy uczyli cię, że należy ukrywać telepatyczne umiejętności?

Poblądł, a ja nabrałam pewności, że trafiłam w dziesiątkę. Był telepatą, co oznaczało, że żadne z jego rodziców nie należało do Aristo. Ktoś kiedyś dołożył wielkich, naprawdę wielkich starań, by ukryć ten fakt. Dlaczego? Cóż, wielu Hightonów miało dzieci ze swymi dostawcami i nierzadko wynosili swoje potomstwo na wysoką pozycję w obrębie niewolniczej hierarchii. Ale udawanie, że takie dziecko jest Hightonem... Cóż, byłby to wyjątkowy przypadek pogwałcenia gloryfikowanych i starannie pielęgnowanych zasad czystości krwi.

- Jak długo jesteś w stanie to ukryć? - zapytałam.

- Co masz zamiar z tym zrobić? - odpowiedział pytaniem na pytanie, wbijając we mnie wzrok.

Nie mogłam w to uwierzyć. On się mnie bał! Wylapałam wiele uczuć od Hightonów - pożądanie, gniew, obsesję, obrzydzenie - ale nigdy nie było wśród nich strachu. W ich oczach byłam tylko dostawczyce i żaden nigdy nie dopuściłby myśli, że ktoś taki jak ja może w jakikolwiek sposób wzbudzić w nim bojaźń. Lecz uczucie mego rozmówcy było wyraźne i ostre niczym potłuczone szkło.

Wyczułam jego umysł.

Na moje skronie wystąpił pot. Jeszcze chwilę temu jego bariera była nieprzenikniona, stanowiła mentalną fortecę, której pokonanie wymagałoby morderczej bitwy na siłę woli, lecz teraz blokada powoli zanikała. Nie było innego wyjaśnienia jak to, że sam, z własnej woli, otwierał swe wrota. Nie wyczułam jednak ani takowego zamiaru, ani też świadomości, że coś takiego się dzieje.

Przeglądał mi się ze zwykłym, ludzkim, zmysłowym pożądaniem, na co nie byłam przygotowana. Krew za-

częła mi krążyć żywiej i poczułam podniecenie. Blokada! Psikona synapsy rozbłysła w moim umyśle, informując mnie, że polecenie nie zostało wykonane. Niewykluczone, że jego reakcje były zbyt intensywne, by móc je zneutralizować. Albo to moje emocje przeszkadzają. Co się, u licha, dzieje? Przecież to miało wyglądać inaczej! Wszystko idzie nie tak! Choć właściwie to nie - wszystko było jak należy i to właśnie stanowiło powód do niepokoju.

Nabrałam tchu.

„Uspokój się. Dowiedz się, kim jest”.

Tylko jak? Miałam jeden dobry pomysł na początek. Jeśli ktoś chciał, by nieznajomy uchodził za Hightona, musiał mu dać odpowiednie imię.

- Zaskakuje mnie, że twoi rodzice nadali ci miano, do którego z oczywistych względów nie masz prawa - powiedziałam.

Ten komentarz nie wzbudził jego gniewu, na co miałam nadzieję. W odpowiedzi po prostu wzruszył ramionami.

- Mam do niego o wiele większe prawa niż setka innych, którzy je noszą.

Setka? Zważywszy na fakt, że w całym znanym wszechświecie żyło tylko kilka tysięcy Aristo, imię musiało cieszyć się naprawdę dużą popularnością. Jakie były najpopularniejsze? No cóż, to akurat proste. Choćby Kryx. Nigdy nie zapomnę jednego z nich - Kryksa Tarque'a. Innym popularnym imieniem był Vitar, potem Jaibriol i...

Jaibriol... Nagle zrozumiałam, dlaczego Reksowi i mnie ten człowiek wydał się znajomy, choć Helda i Taas nie rozpoznawali go. Ten fałszywy Aristo, wilk w owczej skórze, był żywym wspomnieniem jednego z najbardziej

znanych Hightonów, potomkiem kogoś, kto zmarł, gdy Helda była małą dziewczynką, a Taas nawet nie przyszedł jeszcze na świat. Comtrac nie przedstawił go, ponieważ pytałam o współczesnych Hightonów. Ten zaś przypominał nieżyjącego już cesarza Jaibriola Qoksa, ojca obecnego władcy.

Między tym człowiekiem a hologramami przedstawiającymi legendarnego monarchę istniała jednak dramatyczna różnica. Mimo że Jaibriol Qox był za młodu bardzo przystojnym młodzieńcem, z czasem na jego twarzy pojawiły się zmarszczki, które ukazywały prawdziwą, surową naturę cesarza. Jego obecnie panujący syn był władcą o wiele bardziej skrytym i nie tak agresywnym, ale w tym samym stopniu złośliwym i okrutnym. Lata rządów stopniowo odciskały to okrucieństwo także na jego twarzy - identycznie jak w przypadku jego ojca. W przeciwieństwie do nich obydwu mężczyzn, z którym rozmawiałam, nie nosił żadnych śladów brutalności.

Myśl, która wykuła się w mojej głowie, wydała mi się absurdalna. Nie, to na pewno była bzdura, ale musiałam się przekonać.

- Jak ty masz w ogóle zamiar objąć władzę, Jaibriol? Twój lud nigdy nie zaakceptuje telepaty na tronie.

- Mojemu umysłowi niczego nie brakuje. - Zarumienił się. - Mój lud mnie poprze.

Nie, nie! Kłamał. To musiało być kłamstwo. Jego umysł jednakże otwierał się ku mnie i wkrótce wszystko zrozumiałam. Myliliśmy się. Wszyscy się myliliśmy.

Cesarz Ur Qox miał potomka.

- Jesteś synem dostarczycielki - udało mi się powie dzieć ze spokojem. - W przeciwnym razie nigdy nie uro-

dziłbyś się jako psion. Musisz mieć geny obojga rodziców.

Obojga. Obojga! Wpatrywałam się w niego. Teraz, gdy elementy układanki zaczęły się łączyć w logiczną całość, jego przynależność do rodu Qoksa wydawała mi się oczywista. Nie dość, że przypominał poprzedniego władcę, to jeszcze dostrzegałam podobieństwo do obecnego.

- Oznacza to, że twój ojciec jest w najlepszym razie jedynie pół-Hightonem, ty zaś jesteś nim tylko w jednej czwartej.

- Przestań! - Jaibriol zacisnęła pięści. - Nie chcę słuchać tych obrzydliwych obelg!

Jego mentalna blokada rozpuszczała się niczym grudki soli w wodzie. Jego umysł był niepojęty. Piękny i zmysłowy. Pożądałam go niczym ziemski łosoś, który pomimo wszelkich przeszkód gotów jest brnąć pod prąd, by dotrzeć do domu i złożyć ikrę. Poruszyło mnie to do tego stopnia, że chciałam poderwać się i przyłożyć temu Ari-sto, wściekła, że doprowadził mnie do takiego stanu.

- Zrozum, że oni będą pożądać twojego cierpienia - powiedziałam. Powoli przegrywałam walkę o zachowanie spokoju. - Wszyscy, co do jednego. Twój ministrowie, rówieśnicy, kobiety, ochroniarze, dowódcy wojskowi. Zamienią twoje życie w piekło.

- Oszalałaś.

- Chronią cię silne bariery, ale jak długo tak wytrzymasz? Wystarczy, że uchylisz którąś z nich, choćby raz, jedynie na krótką chwilę, a zaraz się zorientują. Poznasz wówczas prawdę na temat swych drogich kuzynów. Poznasz prawdę o swoim ojcu. Ten człowiek to potwór.

- To jedyny świat, który znasz - powiedział, wskazując mój devastator. - Postrzeżasz wszystko w katego-

riach wojny i nienawiści. Mój ojciec jest wielkim człowiekiem, o wiele większym, niż kiedykolwiek będziesz w stanie zrozumieć.

- Gdzie ty spędziłeś ostatnie dwadzieścia lat? W koninie? - Miałam ochotę go uderzyć. - Hightoni torturują ludzi! Twój ojciec najprawdopodobniej znęcał się nad twoją matką w chwili zapłodnienia!

- Jesteś chora! - Pobladł niczym ściana. - Chora!

- Myślisz, że kłamię? - Machnęłam bronią w jego kierunku. - Świetnie. Wejź więc do mojego umysłu, mój ty udawany Hightonie. Chcesz poznać dolę dostarczycielki? Popatrz sobie, zapraszam. O ile starczy ci odwagi.

Patrzył na mnie takim samym wzrokiem jak człowiek, który stoi na skraju przepaści i spogląda w dół. A potem skoczył w tę otchłań.

Chodziło mi tylko o to, żeby zobaczyć, co się stało na Tams, by to wspomnienie zabolalo go tak samo jak mnie, ale nie byłam w stanie wyswobodzić się z naszego połączenia. Jego umysł był zbyt silny - o wiele silniejszy, niż się spodziewałam. Runęliśmy więc oboje, splatając się ze sobą, niemal stapiając. Nawiązałam połączenie, którego doznałam tylko raz, z siedmioletnim chłopcem - tym razem doświadczałam go z dorosłym mężczyzną, a intensywność tej więzi została dodatkowo spotęgowana przez gniew i pożądanie. Moc doznań uderzyła we mnie z siłą przyboju.

Jaibriol Qox był Rhonem.

Wyczuwałam jego woń - piżmowy, męski zapach, który wprowadzał zamęt w mojej głowie. To były feromony, rhońskie feromony! Moje ciało zareagowało w jednej chwili, a on wyczuł moje podniecenie i ukazał mi je, przez co jego poziom wzrósł jeszcze bardziej. Nie pozostało to bez wpływu na reakcję samego Jaibriola, w efek-

cie czego utknęliśmy w sprzężeniu zwrotnym, którego intensywność błyskawicznie stała się zniewalająca. Gdybyśmy mniej do siebie pasowali, oszalałabym ze zgrozy. Ale byliśmy wręcz dla siebie stworzeni. Jego bliskość działała na mnie niczym afrodyzjak. Był twardy, mocny i męski, był gorący i wabił mnie... Zapadałam się we wspomnieniach młodego Aristo niczym pływak nurkujący w ciemnych toniach. Jego myśli otoczyły mnie ze wsząd, jakbym była jedyną materialną istotą w morzu samotności - tym samym, w którym Jaibriol egzystował od tak dawna. Przeżył w ten sposób dwadzieścia dwa lata. W tym czasie jego izolację przerywały tylko wizyty nauczycieli, a także rzadkie odwiedziny ojca...

„Trudy rządzenia nie pozwalały mu na częstsze spotkania” - przekazał mi w myślach młodzieniec. „Nie ja jeden go potrzebowałem. Był przecież cesarzem Eube”.

Ujrzałam to, czego on sam nie potrafił dostrzec. Choć był dla swego ojca ideałem dostarczyciela, to jednak Ur Qox w głębi swej mrocznej duszy odnalazł na tyle przyzwoitości, by go unikać, nie ryzykując, że ulegnie pokusie i zacznie torturować własnego syna.

Zbyt późno uświadomiłam sobie, że mój towarzysz pozna te myśli, kiedy je tylko sformułuję.

„Jak możesz w to wierzyć?” - oburzył się.

„Przykro mi, Jaibriol...”

Muszę się wyrwać z tego połączenia. Nie mogę sobie pozwolić na dłuższą więź. Nie chcę reagować ze współczuciem wobec Hightona. I to jeszcze następcy tronu!

A potem ujrzałam jego matkę, cesarżową...

Była wysoką kobietą, wyglądającą zaiste królewsko w swych czarno-złotych szatach. Drogocenna biżuteria połyskiwała na jej nadgarstkach i wokół szyi, a na wysokości uszu migotały diamenty. Gęste włosy opadały

aż po talię niczym pasmo czarnego jedwabiu. Jej oczy były tak czyste i czerwone, że przypominały rubiny. I ta twarz - tak piękna i dostojna, a zarazem tak zimna, bezwzględna...

„Dlaczego mnie nienawidziła? Cóż takiego zrobiłem, że moja własna matka gardziła każdym moim słowem, każdym krokiem, każdym oddechem?”

Przyglądałam się jego twarzy. Chciałam dotknąć jego policzka, jego ust.

„Jaibriol, czy ty tego nie widzisz? Nie jesteś nawet w najmniejszym stopniu podobny do cesarzowej! Ona nie może być twoją matką, przecież ty jesteś Rhonem, a ona pochodzi z Hightonów”.

„Dość!” Złapał mnie mocno za przedramię. „Ja nie jestem dostarczycielem!”

Przeczył, ale przypuszczam, że sam od dawna musiał domyślać się prawdy.

Jak długo jego dziadek szukał dostarczycielki z pełnym zestawem rhońskich genów? Lata? Dekady? Tylko taką mógł wykorzystać, by spłodzić syna, który byłby w połowie Qoksem, a w połowie Rhonem, jednocześnie z pozoru niczym nie różniąc się od innych rodowitych Hightonów. Nie mogłam się nadziwić, że potrafił przełamać głęboko zakorzenione przyzwyczajenia i spłodzić potomka, który był tylko w połowie Aristo. Ur Qox - ojciec Jaibriola - zapewne dokończył proces. Ale jak? Użył własnych genów, klonując ich sekwencję? A może znalazł kolejną dostarczycielkę, by urodziła następnego pół--Rhona?

Cesarz zapewne sfalszował jego pochodzenie. Miał przecież środki, którymi nie dysponował żaden inny Highton. Nie miałam też wątpliwości, że wymordował wszystkich tych, którzy byli odpowiedzialni za weryfi-

kację, i że wykonał karę śmierci własnoręcznie, pozbywając się w tajemnicy wszystkich świadków, którzy znali rzeczywiste pochodzenie jego syna.

„Nie”. Myśli Jaibriola migotały niczym lzy spływające po lustrze. „Mylisz się! Mylisz!”

„Jaibriol, naprawdę mi przykro”.

Usiłowałam przerwać połączenie, ale nie mogłam. Był taki samotny i tyle wycierpiał. Jedynym stałym elementem w jego życiu zdawał się ojciec.

„To wielki człowiek.” - pomyślał Jaibriol. „Nigdy mu nie dorównam”.

„Nie czcuj go jak świętego. W ten sposób sprawiasz sobie tylko ból”.

„Nie czczę go. Ja go kocham”.

„Zostawił cię samego”.

„Sprowadził nauczycieli”. Jaibriol przedstawił wyobrażenie starszego, siwowłosego mężczyzny z wielkimi oczami. „Uwielbiałem Marlina. Nauczył mnie śpiewu. Miał doprawdy wspaniały głos. W dniu moich szóstych urodzin podarował mi szczenię myśliwca. I pomagał mi rozwijać zainteresowania”.

„Co masz na myśli?”

Jaibriol przywołał widok biblioteki w posiadłości, którą zajmował. Pokazał mi, jak się uczył, śpiewał, ćwiczył, budował, badał - wszystko to, co nazywał „zainteresowaniami”. Nie miał nic innego do roboty. Władał czterem językami, grał na siedmiu instrumentach, miał głos, który rozciągał się na cztery oktawy, osiągnął też mistrzostwo w siedmiu sportach. A to i tak nie koniec. Znał historię i geografę ponad stu planet, studiował matematykę oraz inne nauki ścisłe na poziomie doktoratu, potrafił ze swobodą dyskutować o dziełach filozofów zarówno Ziemi, jak i innych cywilizacji.

Patrzyłam na niego z podziwem.

„To wszystko nie ma jednak żadnego znaczenia”. Najwyraźniej nie szczylił się swoimi osiągnięciami. „Dla mojego ojca i tak jestem porażką. Czy w przeciwnym wypadku ukrywałby mnie przed światem?” - Przerwał i dopiero po chwili zmusił się do podjęcia wyводу na nowo. „Pewnego dnia Marlin przestał mnie odwiedzać. Zawsze tak się działo. Nauczyciele uczyli mnie przez jakiś czas, a potem znikali. Tylko ojciec zawsze powracał”.

Kolejna myśl wzbudziła mój niepokój.

„Moja niania, Camyllia... Opiekowała się mną, gdy byłem mały... Zabierała mnie na spacer, wymyślała zabawy, śpiewała do snu i pocieszała, gdy budziłem się z koszmaru. Zawsze dawała mi do zrozumienia, że każda spędzona razem chwila jest bezcenna, że nigdy już nie wróci - i nieustannie starała się, by spędzony razem czas był jak najwspanialszy”.

Jego oddech drżał.

„A potem odeszła... Ojciec powiedział, że zachorowała... Że... że umarła”.

Ujrzałam Camyllię w swym umyśle - piękną, młodą kobietę; brązowooką wersję Jaibriola. Jej włosy i oczy zmieniono, by wyglądała na Hightona, przez co mogłaby uchodzić za jego bliźniaczkę, ja jednak nie miałam wątpliwości, że wcześniej zmieniono także włosy i oczy chłopca. Camyllia nie była jego siostrą. Była jego matką.

Ledwie myśl ta się wykluła, błyskawicznie wyobraziłam sobie koc, który narzucam na własny umysł, skrywając go przed Hightonem. Wiedziałam już, że cesarz zabije każdego, kto pozna prawdziwą tożsamość następcy tronu. Ale jak to możliwe, że matka wyprosiła u Qoksa

opiekę nad synem i że pozwolił jej żyć tak długo, by Jaibriol ją zapamiętał? Kiedy się nad tym zastanawiałam, Aristo sforsował blokadę wokół moich myśli.

„Nie! Mylisz się!” - pomyślał, a po jego policzku spłynęła łza. „Mylisz się!”

„Twój ojciec cię kochał. Odizolował cię od światła, gdyż był to jedyny sposób, żebyś ocalał. Jeśli światło dzienne ujrzałby choć strzęp prawdy na temat tego, kim naprawdę jesteś, zginąłbyś w męczarniach. Twój ojciec również byłby skończony. On chciał, byś wyrósł na silnego człowieka i nauczył się troszczyć o siebie”.

Jego uścisk na moim ramieniu spotęźniał.

„Dlaczego uważasz, że cokolwiek wiesz o miłości mojego ojca do mnie? Jesteś Jagernautą. Zabójcą! Czy ty w ogóle potrafisz kochać?”

Usiłowałam się opanować, ale na próżno - mój umysł odpowiedział błyskawicznie, otwierając swoje podwoje. Jaibriol zanurzył się w moich wspomnieniach. Ujrzał dziewczynę otoczoną czułą, kochającą rodziną. Zrozumiał, na czym polega życie empatki, poznając, czym jest spełnienie i jak bardzo brakuje go w jego własnym życiu. Zobaczył Rekxa, Heldę i Taasa, a zaraz potem pojął istotę naszej więzi. Poznał też naszą zażyłość, zwłaszcza moją i Rekxa. Wreszcie ujrzał misję na Tams... I Tarque'a.

Jego twarz przeszył grymas. Opadł na kolana, ciągnąc mnie za sobą - i po chwili klęczeliśmy twarzą w twarz na dywanie. Opuścił głowę, zaciskając dłonie na moich ramionach z taką siłą, że jego kłykcie pobielały. Nasze czoła zetknęły się, a on nadal nie unosił spojrzenia, wpatrując się w podłogę. Odrzuciłam devastator i zacisnęłam dłonie na rękawach jego koszuli, jednocześnie przesłaniając dalsze wspomnienia mentalną barierą -

on jednak przedał się przez nią bez trudu, roztrzaskując kolejne osłony, jakby były z kruchego szkła.

Gdy zmagał się ze wspomnieniami o Tarque'u, a ja znowu walczyłam z własnym koszmarem, zrozumiałam, dlaczego Jaibriol przyszedł na świat. Jego ojciec i dziadek powzięli bowiem cel o wiele ważniejszy od zachowania czystości krwi Qoksa. Stworzyli go po to, by przejął Sieć Kyle'a. Dzięki niemu Handlarze mogliby podbić Skolię.

Nasze umysły stopniowo rozdzieliły się na podobieństwo słabnącej burzy. Nikt, nawet Rhon, nie był w stanie znieść tak intensywnego kontaktu przez dłuższy czas. Znow dostrzegłam pokój, w którym się znajdowaliśmy. Klęczeliśmy na podłodze, wsparci o siebie. Trzymał mnie za ramiona, jakby był moim kochankiem, ja zaś tak mocno ciągnęłam go za rękawy, że materiał pękł w moich dłoniach. Jego twarz była mokra od łez, moja zresztą też. Devastator leżał na podłodze.

Jaibriol usiadł, nadal trzymając się mnie.

- Mój ojciec nie jest złym człowiekiem - powiedział drżącym głosem. - Hightoni nie są źli. Zobaczysz. Mylisz się.

- Przecież byłeś tam ze mną. Poczuleś ich zło! Odezwał się dzwonek przy drzwiach, a z głośnika dobiegł głos:

- Księżę Jaibriolu?

Puścił mnie, jakbym płonęła. Przez chwilę obawiałam się, że nie zareaguje, a wtedy ochrona będzie chciała sprawdzić, co się dzieje. W końcu nabrał jednak tchu i zapytał głośno:

- Co się dzieje?

- Jesteśmy gotowi do reaktywacji pola ochronnego, Wasza Wysokość.

Wstaliśmy z klęczek, a potem on nachylił się i podniósł mój devastator.

Krew odpłynęła mi z twarzy. Jak mogłam dopuścić do tego, by przejął moją broń? Nie mógł z niej skorzystać, była bowiem dostrojona do moich fal mózgowych, ale w ten sposób blef stracił jakikolwiek sens. Co więcej, mężczyzna znał teraz moją tożsamość. Wystarczyło tylko, by powiedział: „Priman jest w środku”.

Ale nic takiego się nie stało. Po prostu oddał mi devastator i powiedział:

- Idź już.

- W ogrodzie są strażnicy - powiedziałam, cofając się do swojej kryjówki za szafą.

Jaibriol otarł policzki rękawem, a potem podszedł do drzwi i dotknął panelu, który wyłączał światła. Gdy drzwi się rozsunęły, jego twarz skrywały cienie. Znowu usłyszałam twardy szelest munduru, domyślając się, że ochroniarz właśnie się skłonił.

- Odpoczywałem - oznajmił Jaibriol. - Z włączeniem pola poczekamy do jutra.

- Bardzo mi przykro, sir - w głosie strażnika wyraźnie słychać było zdenerwowanie. - Obawiam się jednak, że będziemy musieli zrobić to teraz.

Zalała mnie mieszanina gniewu i strachu, lecz nie były to moje emocje. Wciąż mogłam czytać w umyśle Jaibriola i dostrzegłam, że znowu uruchamia swoje blokady. Nasza jedność osłabła i jej intensywność stała się znośna, ale bynajmniej nie znikła. Widziałam przy tym, że więź, która nas połączyła, jest nie tylko mentalna, ale również fizyczna. Naszło mnie wspomnienie zapachu młodzieńca, jego bliskości, umięśnionych nóg, których dotykałam... Moje ciało zareagowało falą tak intensywnego pożądania, że niemalże znowu upuściłam devastator.

Blokada! Psikona błyskała chaotycznie, a potem eksplodowała, sycząc niczym mokry fajerwerk.

Na falę niechcianego pożądania nałożyła się kolejna emocja - nienawiść Jaibriola wobec pola ochronnego.

„Obrzydliwe, duszące, wstrętne...”

Wiedziała z własnego doświadczenia, że włączenie pola ochronnego generowanego przez implant mózgowy porównywalne było z nagłym atakiem zawrotów głowy, które trwały do chwili jego dezaktywacji. Zastanawiałam się, dlaczego Ur Qox posłał tutaj swojego syna, skoro uznawał, że ryzyko było tak duże, iż wymagało użycia cyberobrony. Dzięki naszej jedności z młodym Aristo wykryłam tylko, że sam także nie znał odpowiedzi na to pytanie.

- Poczekacie z włączeniem do jutra - oznajmił Jai-briol.

- Ja... Ja obawiam się, że to niemożliwe, sir.

- To rozkaz - usłyszałam lodowaty głos, dźwięczący perfekcyjnym akcentem Hightona.

- Ppp... Przykro mi... Bbb... Bardzo mi przykro, sir - strażnik aż jąkał się ze strachu. - Ale... Ale mamy rozkazy... Od waszego ojca, sir.

- Daj mi sześć godzin.

- Nie mogę. Nnn... Naprawdę mi przykro, sir... Przez sześć godzin wiele się może zdarzyć.

- A więc dwie godziny - rzekł Jaibrol. - W przeciwnym razie okażę niezadowolenie.

- Wasza Wysokość, naprawdę nie mogę - rzekł tamten nieszczęśliwym głosem. - Gdyby cokolwiek ci się przytrafiło, cesarz skazałby mnie na śmierć.

- Nic się nie stanie.

- Ja... Sześć godzin... To tyle czasu... - jego słowa zabrzmiały, jakby pytał.

Na twarzy Jaibriola pojawił się uśmiech.

- Słyszałem, że twoja córka jest zdolną szwaczką.

- Sir, błagam, moja córka nigdy nie uraziła żadnego...

- Nie o to chodzi - przerwał mu Jaibriol łagodnym tonem. - Słyszałem wiele pochwał na jej temat. Czy już zgłosiła akces do Gildii Krawców?

- Została odrzucona. - Strażnik zawahał się. - Nie ma w sobie krwi Aristo.

- Być może będę w stanie wspomnieć jej nazwisko Mistrzowi Gildii.

Mundur strażnika zaszeleścił kilkakrotnie, gdy ten wykonał serię ukłonów.

- Dziękuję, Wasza Wspaniałość, to znaczy Wasza Najjaśniejsza Wysokość! - wołał, płacząc słowa. - Na prawdę dziękuję!

- A więc? - w głosie Jaibriola zabrzmiał chłód.

Strażnik nabrał tchu.

- Książę, przed ponownym uruchomieniem pola ochronnego muszę osobiście przyjrzeć się naprawom systemu bezpieczeństwa. Potrwa to jakieś dwie godziny. - Przerwał na moment. - Może nawet trzy. Czy będziecie mnie potrzebować przed upływem tego czasu, panie?

Z trudem powstrzymałam się od parsknięcia. Mimo że wpuszczony przeze mnie wirus należał do skutecznych, oczyszczenie systemu zabraloby najwyżej godzinę.

- Nie, nie będę potrzebował twoich usług. - Jaibriol rozluźnił się. - Zajmij się systemem bezpieczeństwa.

- Tak jest, sir.

- Znaleźliście tę primankę?

- Nie, sir. Zbiegła do parku, niszcząc tam kilka drzew oraz słupy wysokiego napięcia, a potem rozplynęła się w ciemnościach.

- Jak się nazywa strażnik, którego przed chwilą widziałem pod moim balkonem?

-Rak.

Jaibriol zeszywniał jak rażony piorunem, a ja przechwyciłam od niego realistyczne wyobrażenie ochroniarza strzegącego dwójki dostarczycieli. Wraz z nim pojawiło się ukłucie niepokoju - strach przed Rakiem, którego młody Highton nigdy nie umiał wytłumaczyć...

Blokada! Strach zniknął, ale psikona nadal migotała.

- Wyślij go do centrum kontroli - rzekł Jaibriol. - Ma bezzwłocznie napisać raport o całym tym incydencie.

- Tak jest, Wasza Wysokość. - Mundur znów zatrzęszczał nieprzyjemnie.

Zamknawszy drzwi, Jaibriol podszedł do mnie.

- Sauscony...

Nigdy dotąd nie słyszałam, by Highton wymawiał moje imię z takim uczuciem. To było dziwne doznanie.

-Tak?

- Zostań ze mną.

- Dobrze wiesz, że nie mogę.

- A więc żegnaj - powiedział, dotykając mego policzka.

- Żegnaj - wyszeptałam.

Wyszedł na balkon i wyjrzałam na zewnątrz. Rak szedł po trawniku, kierując się w stronę domu. W ogrodzie panowały ciemności, co oznaczało, że mój szalony wirus przeciążył system lub ktoś odłączył zasilanie i wyłączył błyskające dziko reflektory. Dwóch innych strażników chodziło między drzewami w sąsiednim ogrodzie, ale w tym momencie zarówno balkon, jak i treliaż były skryte w mroku.

Ześlizgnięcie się po treliazu zajęło mi tylko kilka sekund. Przekradłam się wzdłuż ściany, trzymając się w cieniu. Potem przebiegłam przez ulicę i zniknęłam w ciemnym parku.

Zaprzeczenia

Do hotelu wróciłam grubo po północy. W recepcji czekała policjantka Sojuszu, która podeszła do mnie, gdy tylko pojawiłam się w lobby.

- *Navarhos Valdoria?*

Obrzuciłam ją pustym spojrzeniem, uświadamiając sobie, że jestem zbyt zmęczona, by borykać się z programem translacyjnym.

- *¿Español?* - zapytała.

- *Un poco* - odparłam.

- *Ist Deutsch besser?* - ponowiła, a kiedy się nie odezwałam, spróbowała jeszcze inaczej: - A może angielski?

- Tak - zgodziłam się, ale bynajmniej nie dlatego, że mój angielski jest lepszy od hiszpańskiego; po prostu nie miałam ochoty stać tu przez całą noc.

- Czy pani to priman Valdoria?

- Owszem.

- Obawiam się, że muszę panią aresztować.

- Nie można - stwierdziłam. Nie była to tak do końca prawda, ale miałam nadzieję, że zniechęcę tym policjantkę.

Wedle skoliańskiego prawa w Imperialacie żadne instytucje cywilne nie mogą aresztować Jagernautów.

Podczas rozmów koalicyjnych politycy Sojuszu narobili wokół tego mnóstwo zamieszania. „Nikt nie może stać ponad prawem” - powtarzali bez przerwy. Najwidoczniej bardzo cenili sobie tę zasadę, ale dla nas była ona tylko kolejną pustą frazą. Jeśli jakiś Jagernauta złamał prawo skoliańskie, władze cywilne mogły jedynie złożyć skargę w Imperialnym Dowództwie Sił Kosmicznych. Nie oznaczało to oczywiście, że wszystko uchodziło nam na sucho - IDSK oczekiwało od nas, że będziemy przestrzegać kodeksu honorowego, wedle którego złamanie prawa mogło mieć miejsce tylko wówczas, gdy było to konieczne dla interesu Imperialatu. Naturalnie, tak mówiło prawo skoliańskie, zaś w chwili obecnej znajdowałam się na terenie Sojuszu.

- Przykro mi, proszę pani - oznajmiła kobieta. - Sekcja czterysta trzydziesta szósta, rozdział G, paragraf szesnasty traktatu zawartego między Sojuszem a Imperialatem zezwala na aresztowanie i deportację każdego Jagernauty, który zostanie uznany za winnego pogwałcenia prawa Sojuszu...

- Dobra - warknęłam i zmrużyłam oczy. - Kajdanki?

Przez jej twarz przemknęła ulga.

- Nie, nie sądzę, żeby to było konieczne.

Następnie wyrecytowała mi głośno moje prawa, twierdząc między innymi, że ponoć wszystko, co powiem, może i będzie użyte przeciwko mnie. Recepcjonista za ladą z podnieceniem przyglądał się całej tej sytuacji. Jutro najprawdopodobniej niezwykła opowieść znajdzie się na ustach wszystkich mieszkańców Delos - imperialny priman demoluje posiadłość Hightona. Mogłam mieć tylko nadzieję, że nie wykorzystają tego jako wątku w kolejnym filmie o Jagernaucie, któremu odbija.

Policjantka zaprowadziła mnie do swojego grawilo-tu. Ekran, który nas oddzielał, trzeszczał raz na jakiś czas, a dźwięk ten przywodził mi na myśl wyładowanie elektryczne. Z tylnej części pojazdu, w której mnie umieszczono, usunięto jakiegokolwiek przyciski otwierające drzwi, a cały moduł przebudowano tak, że znajdowało się tu tylko jedno siedzenie dla aresztowanego pasażera. Przepraszając, kobieta oplotła siecią bezpieczeństwa całe moje ciało. Poczulałam się jak idiotka. Ciekawe, co by było, gdybym powiedziała, że pochodzę z rodu Rhonów. Z pewnością pomogłoby mi to wydostać się z tej opresji, ale wtedy musiałabym znieść wyrzuty mojego przyrodniego brata, który nienawidził, kiedy ktoś wykorzystywał swój tytuł, by obejść postanowienia traktatu.

Policja na posterunku przedstawiła mi zarzuty z ujmującą uprzejmością, co było dziwne, zważywszy na fakt, że zostałam zatrzymana za włamanie, napaść, pobicie, zniszczenie własności i uszkodzenie lokalnej sieci. Faktem jest, że nosiłam wysoki stopień, ale mimo to zламаłam wszystkie ich prawa. I spowodowałam więcej problemów, niż zamierzałam. Tymczasem oni zdawali się niemal aprobować moje wyczyny.

Zrobiono mi serię holozdjęć i pobrano odciski palców, wzory siatkówki oraz próbkę tkanki do analizy DNA. Potem umieszczono mnie w pokoju, w którym oczekiwało pięć innych kobiet - wszystkie z ciemnymi włosami i ubrane w obcisłe, skórzane stroje przypominające mój mundur. Policjantka ustawiła nas wzdłuż przeszklonej ściany, na której widniały nasze odbicia. Gdy wsunęłam dłonie do kieszeni i skrzywiłam się, pozostałych pięć kobiet uczyniło dokładnie to samo. Mia-

łam wrażenie, że biorę udział w jakimś surrealistycznym spektaklu.

Nie dostrzegałam niczego przez szybę, ale mogłam się założyć, że osoby po drugiej stronie widzą nas doskonale. Usiłowałam się odprężyć i spróbowałam zbadać umysłem przestrzeń za ścianą. Wyczułam kilka osób, ale nie odebrałam ich wyraźnie. Nikt nie był psionem.

I wtedy wpadłam w otchłań.

To był ochroniarz Jaibriola, ten od dostarczycieli. Przepaść w jego umyśle nie była aż tak groźna, jak w przypadku prawdziwego Aristo, ale tak czy owak poczułam się, jakby po mojej skórze pełzało robactwo. Co więcej, facet był wściekły.

Uskoczyłam niczym jeleń przed myśliwym. Błyskawicznie pchnęłam ochroniarzom wyraźną sugestię innej kobiety w szeregu, byłam jednak przekonana, że się spóźniłam. Czułam, że zdążyli mnie już zidentyfikować.

Po okazaniu zabrano mnie do zwierzchnika posterunku. Był nim niski, korpulentny mężczyzna, którego krótko przystrzyżone włosy sterczące na czubku głowy przypominały równo przycięty krzak ogrodowy. Powitał mnie w tym samym nieznanym języku, którym władała policjantka. Gdy pokręciłam głową, stojący za nim oficer pochylił się i szepnął mu coś na ucho.

- Mówi pani po angielsku? - zapytał komendant.

- Trochę.

- Skąd pani wiedziała, gdzie zatrzymał się lord Kyr?

- Lord Kyr? - zdziwiłam się szczerze. „Czy jemu chodzi o Jaibriola?”

- Mam na myśli człowieka, w którego domu urządziła pani strzelaninę.

Mój węzeł podsunął mi kilka tłumaczeń wyrazu „strzelanina”, wśród których znalazło się „odpalenie serii pocisków”. Zapewne miał na myśli posiadłość, którą tej nocy odwiedziłam. Posiadłość „lorda Kyra”. Cóż, Jaibriol nie był przecież szaleńcem, nie mógł publicznie przyznać się do tego, że jest synem cesarza.

- Dostarczyciel mi powiedziec - odparłam. - Ja czytać umyśl jego.

Nie, to zabrzmiało okropnie. Uruchomiłam program tłumaczący i powtórzyłam to, co mi przekazał:

- Wyczytałam lokalizację z umyślu dostarczyciela należącego do jego strażnika.

- Rozumiem - odparł komendant.

Wyglądało na to, że spodziewał się tej odpowiedzi. Najwyraźniej Sojusz uznawał telepatię w znacznie większym stopniu, niż to publicznie przyznawał. Ale jak to możliwe, że przewidział moją odpowiedź? Nie mógł przecież wiedzieć, że ochroniarz dysponuje dostarczycielami. Chyba że ten mu o tym powiedział, co jednak zakrawało na nonsens. Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić Handlarza, który gawędzi z policjantem Sojuszu na temat niewolników trzymanyh dla przyjemności.

- A co ona ci powiedziała? - zapytał komendant.

- Dostarczyciel?

-Tak.

Sprawdziłam w programie translacyjnym, że słowo „ona” odnosiło się do płci żeńskiej. Ale przecież pierwszym dostarczycielem, do którego dotarłam, był chłopak. Poza tym nie rozmawiałam z nim telepatycznie, a tym bardziej z dziewczyną. Czyżby komendant celowo zadawał pytania, które miały wprowadzić mnie w błąd? A może mnie sprawdzał? Ochroniarz przecież nie mógł

wiedzieć, że skontaktowałam się z jego więźniem. Jai-briol także tego nie podejrzewał, bo mu o tym nie powiedziałam. W istocie wątpiłam, czy sami dostarczyciele mieli świadomość naszego połączenia.

Na szczęście nie wyczuwałam w komendancie żadnych prób zmylenia mnie. Chciał tylko potwierdzić fakty

- Ja nie rozmawiać z dostawcami - oświadczyłam. - Ja dotknąć umysł chłopiec. Potem dziewczyna.

- To właśnie nam powiedzieli - pokiwał głową policjant.

Rozmawiał z nimi?

- Nic oni nie jest?

- Dziewczyna ma się lepiej niż chłopak - wyjaśnił mężczyzna. - Mogłaby już teraz wyjść ze szpitala, ale nie chce się rozstawać z bratem. Prosił mnie o spotkanie z panią. Chyba chcą pani podziękować.

Nic dziwnego, że strażnik Aristo był wściekły. Jeśli dostarczyciele trafili do szpitala, znaleźli się na neutralnym terenie i Handlarz nie miał możliwości odzyskania ich. Ale dlaczego chcieli podziękować akurat mnie? Przecież w niczym im nie pomogłam.

I nagle uświadomiłam sobie, że w zamieszaniu, jakie wywołałam w posiadłości, mogli po prostu wymknąć się na wolność. Ochrona skupiła się tylko na poszukiwaniu mojej osoby, a system bezpieczeństwa oszalał.

- Tak - powiedziałam. - Ja ich zobaczyc.

Szpital leżał w odległości dziesięciu minut od posterunku. Opustoszałe ulice z nervopleksu drzemały pod moimi stopami i nawet lampy uliczne świeciły jakby słabiej. Wielki księżyc minął już swoje apogeum i zmierzał ku horyzontowi, zalewając śpiące miasto bladym, pomarańczowym blaskiem.

- Dostarczyciele - odezwałam się, zerkając na policjanta. - Są z Tams?

- Nie do końca. Ich rodzice byli fachmistrzami sprowadzonymi na Tams kilka lat temu do gospodarstwa pewnego Aristo.

- Więc ci dostarczyciele to urodzeni niewolnicy?

- Nie znają innego życia - skrzywił się komendant.

- Cholera, ledwie potrafią mówić. Wygląda na to, że mieli idealną sytuację, ale zdecydowali się dać dyla dopiero w ostatniej chwili. O mały włos pozostałoby w posiadłości. Ucieczka wymagała mnóstwa odwagi.

„Przetłumacz: »dać dyla«" - pomyślałam.

„W tym kontekście określenie oznacza »próbować uciec«" - odparł węzeł.

Nic dziwnego, że zdaniem komendanta był to bardzo odważny wyczyn. W ich sytuacji nawet myśl o ucieczce oznaczała konieczność złamania nawyków wpajanych im przez długie lata.

- Pomożecie im?

- Na tyle, na ile będziemy mogli - odparł. - Gdy chłopiec wyjdzie ze szpitala, pošlemy ich na Ziemię. Znajdziemy tym dzieciakom rodzinę zastępczą i doradców, którzy pomogą im się dostosować do nowego życia.

A więc przynajmniej coś dobrego wyniknie z bałaganu, jaki dzisiaj zrobiłam. Dostarczyciele otrzymają azyl - kolejne słowo, które tak bardzo lubiano w Sojuszu. Ziemianie nigdy nie opowiadali się po żadnej ze stron konfliktu toczzonego między nami a Handlarzami, ale za to niezmiennie udzielali azylu tym, którzy go potrzebowali. Z tego właśnie względu zawsze odnosiłam się do nich z nieufnością. Miałam po prostu wrażenie, że ten cały pomysł z azylami to jedynie bardzo wygod-

ny dla imperialnych awanturników sposób na ucieczkę przed wymiarem sprawiedliwości. Dziś ujrzałam to w innym świetle.

Dostarczycieli umieszczono w osobnym pomieszczeniu. Rozpoznałam ich natychmiast, gdy lekarze wprowadzili mnie do środka. Wyglądali na bliźnięta w wieku około osiemnastu lat. Chłopiec leżał na łóżku, oparty na poduszkach, a dziewczyna siedziała na krześle obok niego, pokazując mu holoksiążkę. Aż podskoczyli, gdy otworzyły się drzwi.

Podeszłam powoli.

- Witajcie - odezwał się po eubiańsku, czyli w języku kast niewolniczych. Nosił nazwę po Eube Qoksie, pradziadku Jaibriola i pierwszym cesarzu. Słowem Eube Handlarze określali również swe imperium, Ugodę Eubiańską. Wyrażenie to było jednym z ich najbardziej po krętnych określeń. Wątpię, czy zniewolone światy, takie jak Tams, poczuwały się do „ugody” ze swymi niechcianyimi władcami.

Dziewczyna niemo wpatrywała się we mnie oczami koloru wyblakłych muszelek. Jej brat powoli usiadł na łóżku. Na jego nadgarstkach dostrzegłam pręgi od więzów i od razu domyśliłam się, że pod szpitalną pizamą skrywały się jeszcze gorsze rany. Nie chciałam nawet sobie wyobrazić, jakie krzywdy wyrządzał mu jego właściciel. Tak, „właściciel” było odpowiednim słowem, pomimo że wszyscy Aristo usiłowali przekonać resztę wszechświata, iż dostarczyciele byli „faworytami”, a nie niewolnikami.

Młodzieniec odezwał się nieśmiało:

- Czy to pani przyszła do tego domu?

Przytaknęłam skinieniem głowy.

- Cieszę się, że udało wam się uciec.
- Przepraszamy, że sprawiliśmy pani tyle kłopotu -wtrąciła się dziewczyna.

- Naprawdę nam przykro - dodał chłopak. - Nie chcieliśmy okazać się problemem.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Oni mnie przepraszali?

- To mnie jest przykro, że nie mogłam przybyć wcześniej - powiedziałam, a w myślach dodałam: „Powiedzmy jakies osiemnaście lat temu”.

- Nie będziemy już więcej sprawiać problemów - obiecała dziewczyna.

- Nigdy żadnego nie sprawiliście - mój głos złagodniał.

Im dłużej z nimi rozmawiałam, tym gorzej się czułam. Nie przestawali przeproszać. Ich umysły były otwarte, niczym niechronione. Czułam ich wstyd za to, że byli dostarczycielami, za to, że wywołali zamieszanie, za to, że w ogóle oddychali tym samym powietrzem co inni. Stwierdzenie, iż nie lubili samych siebie, zdobyłoby pierwszą nagrodę w konkursie na niedopowiedzenie studenckiego. Rany, które pozostawił ochroniarz, sięgały znacznie głębiej, niż sugerowałyby to pręgi.

Czy prostownik, z którym widziałam się dziesięć lat temu po zdarzeniach z Tarkiem, nie powiedział mi czegoś podobnego? Nie, nie chciałam nawet o tym myśleć.

Po wyjściu ze szpitala policja puściła mnie wolno. Mogli mnie deportować za złamanie ich praw, ale wcale się do tego nie kwapili. Miałam wrażenie, że woleliby deportować ochroniarza, który złożył skargę - człowieka, który był właścicielem dwójki dostarczycieli.

Zamyślona wracałam do hotelu. Wyobrażenie Reksa sprawiło mi ból. Nie mogłam dopuścić do tego, żeby wspomnienia moich doznań z Jaibriolem wbiły się między nas klinem. Nie potrafiłam znieść myśli, że jedyny mężczyzna, który mógłby zostać moim rhońskim partnerem, reprezentował wszystko to, czego nienawidziłam. Nie sądzę, by Ur Qox dojrzał ironię losu w swych działaniach - chcąc uzyskać ostateczną broń, mającą posłużyć do zniszczenia mojego ludu, stworzył bardzo przyzwoitego, normalnego człowieka.

Miałam przy tym świadomość, że gdy Jaibriol wyjdzie z cienia i oficjalnie zajmie pozycję następcy tronu, jego życie stanie się piekłem. Czekala go egzystencja Hightona, a to oznaczało, że zostanie uwięziony między ludźmi, którzy będą przyprawiać go o obrzydzenie. By przeżyć, będzie musiał stać się dokładnie taki sam jak oni - inaczej zdradzi swoje prawdziwe pochodzenie, a wtedy dola dwóch spotkanych właśnie dostawcy okaże się sielanką w porównaniu z tym, co czeka jego. Czy on w ogóle uświadamia sobie swoją sytuację? I czy sprosta zadaniu? Znałam odpowiedzi na te pytania. Zwłaszcza na to ostatnie. A ostatecznym argumentem był mój przyrodni brat Kurj, a nawet ja sama. Człowiek potrafi znieść wszystko i do wszystkiego się dostosować.

Nie chciałam myśleć o Jaibriolu jako o okrutniku, którym może się stać w przyszłości. Wolałam zapamiętać go takim, jakim był teraz. Być może zresztą uda mu się zachować swoje człowieczeństwo i któregoś dnia zasiądnąć z imperatorem skoliańskim do rozmów pokojowych. W rzeczywistości był jedynym cesarzem, którego mogłam wyobrazić sobie w tej sytuacji. Z tego też względu

za nic w świecie nie mogłam wyjawić, że jest rhońskim psionem.

Scaliłam się z nim. Było to doświadczenie, które nigdy nie stało się udziałem mojego przyrodniego brata. Szansa, że coś takiego mogłoby mu się przytrafić, była bardzo niewielka, doprawdy znikoma, a nawet gdyby do tego doszło, nigdy nie wzięłby w czymś takim udziału. W tej sytuacji nigdy nie zgodziłby się ze mną, że Jaibriol jest naszą jedyną szansą na przerwanie tej wojny. Gdyby się dowiedział, że Ur Qox spłodził potomka zdolnego przejąć Sieć Kyle'a, nie spocząłby, dopóki nie stanąłby nad jego ciałem, najlepiej po zadaniu mu bolesnej śmierci.

Mogłam osłonić swój umysł, by nie zdradzić tej wiedzy, ale oznaczało to, że będę musiała wznieść mur oddzielający mnie od wszystkich, których kocham. Rex domyśli się, że coś się stało. Nigdy nie odgadnie prawdy, ale będzie wiedział, że coś się zmieniło.

Było już grubo po północy, gdy znów zjawiłam się w hotelowym lobby o podłodze wyłożonej aksamitem i ścianach pokrytych polerowanym drewnem. Gdy mijalam recepcję, siedząca za ladą kobieta uniosła głowę znad holoksiążki.

- Przepraszam - powiedziała po angielsku i sięgnęła po jakąś kopertę. - To chyba do pani. Ktoś to przyniósł godzinę temu.

Dziwne. Któż na Delos mógłby chcieć przesłać mi list w środku nocy?

- Dziękuję - odparłam i wzięłam przesyłkę.

Idąc w stronę schodów, rozerwałam kopertę. W środku znajdowała się kartka z odręcznie skreślonymi słowami: „Muszę z tobą porozmawiać. Czekam w porcie, czwarty dok”. Na świstku brakowało jakiegokolwiek podpisu.

Cholera. Padałam z nóg. Ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, była kolejna nocna wędrówka. Wróciłam do recepcji.

- Przepraszam bardzo - zwróciłam się do dziewczyny pochylonej znów nad książką.

- Tak?

- Kto ten przyjsć? - zapytałam, pokazując jej kopertę.

- Przepraszam? - Recepcjonistka wybałuszyła oczy. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego w Sojuszu przeparsza się w sytuacjach, gdy ktoś inny wyraża się niejasno.

- Ten list - powiedziałam. - Kto przyjsć z list?

- Jakiś mężczyzna. Nie znam go.

- Jak on wyglądać?

- Czarne włosy. Ciemne oczy. Brzmiał jak Chorwat.

- Jak kto?

- To taki naród pochodzący z Ziemi.

O co tu chodzi? Dlaczego jakiś Ziemianin chce się ze mną spotkać? I to nocą, w porcie morskim? Czyste szaleństwo... Powinnam pójść na górę i położyć się do łóżka, ale wiedziałam, że i tak nie zasnę, dopóki nie dowiem się, czego ode mnie chce ten człowiek. Raz jeszcze wyszłam na zewnątrz.

Port znajdował się na południowy wschód od Arkady i dotarcie tam zajęło mi dziesięć minut. Spienione fale przetaczały się po rafach, tu i ówdzie rozdierane przez zwieńczenia koralu nożycowych, przypominające wieżyczki. Niektóre z nich dorównywały wzrostem dorosłemu mężczyźnie, inne strzelały w powietrze na minimum dziesięć metrów. Wokół nich uwijały się migotliwe owady - to właśnie dzięki wydzielinom z ich ciał, odkładającym się przez całe lata, te dziwne twory natury osiągnęły taką wysokość, a ich powierzchnia mieniła się od

fluorescencyjnych świateł: niebieskich i zielonych, purpurowych i różowych, a miejscami nawet złotych. W rafach wycięto bramy, łuki i kanały, przez co nawet największe frachtowce mogły bez trudu wejść do portu.

Nad horyzontem wisiał księżyc, przypominający ogromny, pomarańczowy portal gotowy pochłonąć całą flotyllę. W powietrzu znajdowało się tyle soli, że wyczuwałam jej smak na ustach. Słodki zapach morbluszczu drażnił moje nozdrza. Wszędzie dookoła widziałam jego wiechcie otoczone rojem fosforyzujących owadów, które zostały wyrzucone na brzeg przez fale lub wyciągnięte na nabrzeże przez robotników portowych.

Wiele pirsów tonęło w mroku, inne były puste. W niektórych dokach kołysały się statki, trzeszcząc pod naporem wiatru. W sektorze numer dwadzieścia siedem, gdzie płonęły liczne lampy, grupa robotników pracowała nad załadunkiem frachtowca z żaglami z purpurowego nervopleksu. Żurawie przenosiły ładunek nad wodą i opuszczały go do ładowni, a muskularni mężczyźni w czerwonych koszulach i niebieskich czapkach popychali skrzynie lub wykrzykiwali polecenia.

Dok numer cztery znajdował się na samym końcu portu, spowity w nieprzeniknionych ciemnościach. Panującą tu ciszę zakłócał jedynie cichy plusk fal, które uderzały w słupy podtrzymujące całą konstrukcję. Zeszłam pod pomost, kryjąc się w cieniu. Było tak zimno, że ściągnęłam ciaśniej kurtkę i zapięłam ją po samą szyję. Moje buty obmyły płytkie, spienione fale, a potem kiedy cofnęły się, odsłoniły wilgotny piasek migoczący błękitem i złotem.

- Sauscony?

Zamarłam. Przy jednym ze słupów stał wysoki mężczyzna, patrzący dokładnie w moją stronę. Na głowie miał kaptur, ale i tak natychmiast go rozpoznałam.

- Jaibriol? - zapytałam.

Podszedł bliżej, odrzucając kaptur na plecy. W ciemnościach nie widziałam ani jego czerwonych oczu, ani połyskujących włosów, przez co wydawał się jeszcze piękniejszy.

- Już myślałem, że nie przyjdiesz - powiedział.

- Dopiero co dostałam twoją wiadomość. - Pokazałam mu kopertę. - Długo czekasz?

- Jakąś godzinę...

Tak długo?

- W hotelu powiedzieli, że list przyniósł Ziemianin.

- Zapłaciłem jakiemuś człowiekowi, żeby dostarczył moją przesyłkę do recepcji.

- Ale jak ci się udało wymknąć z posiadłości i nie wzbudzić podejrzeń strażników? Przecież pole ochronne powinno już działać.

- Przekonałem ich, żeby nie włączali go przez kilka następnych godzin. Staję się w tym coraz lepszy. O ile Raka nie ma w pobliżu. - Skrzywił się. - Ten facet robi wszystko, żeby pole było cały czas włączone. Dobrze wie, że czuję się wtedy źle, i myślę, że go to bawi.

- Rak to ten ochroniarz z dwójką dostarczycieli?

-Yhm.

- Podejrzewam, że masz rację. Jego naprawdę to bawi, nawet jeśli sobie tego nie uświadamia. Musisz szczególnie chronić przed nim swój umysł.

Przyglądał mi się przez moment, a potem powiedział:

- Utrzymujesz, że jesteśmy sadystami. Pokazujesz mi straszne sceny. Dostarczyciele Raka nie chcą wracać do domu. Chciałbym móc ci nie wierzyć... - urwał. - Lecz bez względu na to, co mówisz, mój ochroniarz nie jest Aristo.

- W jego żyłach płynie ich krew. Przepuszczalnie jest nim w większym stopniu niż ty sam.

Jego gniew buchnął na nowo.

- Obrażasz mnie! Nawet nie pomyślisz o tym, ile to dla mnie znaczy!

- Przykro mi. - Położyłam dłoń na jego ramieniu.

-Tak jednak wygląda prawda.

Zesztywniał, gdy go dotknęłam. Potem westchnął, jakby skapitulował, i objął mnie. Wtedy to ja zeszywniałam, ale dotyk jego twardego, ciepłego ciała był dla mnie nie do zniesienia. Oparłam policzek o jego klatkę piersiową i otoczyłam talię ramionami. Jaibriol pochylił głowę i z nieoczekiwaną niezdarnością zaczął szukać moich ust. Jego nieprawdopodobny intelekt i maniera Hightonów sprawiały, że wydawał się starszy - i to do tego stopnia, iż całkiem zapomniałam, że jeszcze nie tak dawno był nastolatkiem, który spędził całe swoje życie w samotności.

Gdy mnie pocałował, natychmiast zapomniałam o jego wieku. Nasze umysły znów zaczęły się zlewać, znów staliśmy się jednym, przez co moje pożądanie buchnęło niczym płomień polany olejem.

Przez mój umysł przemknęło wyobrażenie Reksa. Moje marzenia o tym, co mógł mi dać Jaibriol, były bezpodstawne. Dałam przecież słowo Reksowi.

- Przepraszam cię. - Odepchnęłam go.

W pierwszej chwili nie chciał ustąpić, lecz po chwili, gdy przestałam odpowiadać na jego pieszczoty, cofnął ramiona.

- Mam nadzieję, że ten człowiek o imieniu Rex doceni swoje szczęście.

- Nie powinnam była tu przychodzić.

- Poczekaj. Proszę, nie odchodź.

Wyciągnął z kieszeni kartę, którą okazał się Vscript, zapis wirtualnego telegramu.

- Dostałem to dwie godziny temu. Chciałbym się do wiedzieć, co ty na ten temat uważasz.

Wzięłam kartę i z najwyższym trudem powstrzymałam się od rozdziawienia szeroko ust. Tej pieczęci nie dało się pomylić z żadną inną - pochodziła od jego ojca, cesarza. Nagłówek wskazywał, że rozkodowano ją w konsoli Jaibriola, a więc zapewne przesłano ją w tajemnicy. Człowiek, który rządził cesarstwem Handlarzy, oczywiście nawet nie pomyślał, że jego wiadomość może ujrzeć imperialny Jagernauta.

Treść listu była krótka:

J'briol, posłałem flagi, by uciszyć sytuację na Tams. Udaj się tam, by nadzorować rozwój wydarzeń.

Zamknęłam oczy, a potem otwarałam je i przeczytałam treść listu, by mieć pewność, że się nie mylę.

- Co to oznacza? - spytałam. - Co ci powiedziano?

- Nic mi nie mówiono, ale mogę się domyślić. Wyrażenie „uciszyć sytuację” oznacza, że ojciec chce nastraszyć powstańców, być może nawet ostrzelać planetę.

Mówił bez skrępowania, ochocho zdradzając ważne informacje oficerowi wrogiej armii, nie przybierając nawet tonu wyższości, z którym odnosił się do swojej ochrony.

- Ojciec chce, abym znalazł się tam przed zakończeniem działań. Mam na własne oczy zobaczyć, jak się rozwiązuje tego typu problemy - mówił, a w jego głosie pojawiło się obrzydzenie. - Nie za bardzo nadaję się na następcę tronu. Wygląda na to, że ojciec chce to zmienić.

- Sądzisz, że Tams jest problemem?

-Tak.

Zacisnęłam pięść, miażdżąc Vscript.

- Przyczyną tego „problemu” jest strach, jaki garstka zdeterminowanych ludzi czuje wobec swych ciemię-życieli z kasty Highton.

- Sauscony. - Ujął mnie za ramiona. - Ty postrzegasz sytuację ze swojego punktu widzenia. Masz swoje zapamiętania i wiem, że w nie wierzysz. Ja jednakże patrzę na wszystko inaczej.

Wyrwałam się z żelaznych objęć, zastanawiając, czy mimo wszystko nie powinnam jednak go znienawidzić.

- A więc posłuchaj, Hightonie. - Wcisnęłam mu kartkę do ręki. - Przechwytywaliśmy już takie zakodowane wiadomości. „Flaga” to kryptonim eskadry składającej się z krążownika międzygwiazdowego oraz jego eskorty. A wiesz, co oznacza „uciszenie sytuacji”? Te okręty zniszczą atmosferę Tams!

- Jak ty możesz wierzyć w te wszystkie kłamstwa?

- Kłamstwa? - Miałam ochotę nim potrząsnąć. - Ja już widziałam podobne akcje! Twój ojciec zafundował taki los CJ4 oraz BuUseye po tym, jak ich mieszkańcy obalili swych panów Aristo.

Jego gniew zapłonął ze zdwojoną siłą.

- Mieszkańcy CJ4 zniszczyli się sami bronią chemiczną, a o Bullseye nigdy nie słyszałem. Pewnie to wymysł waszych ministrów propagandy.

- Wiem, że nie muszę cię przekonywać - powiedziałam cichszym głosem. - Być może żyłeś w izolacji, ale nie jesteś głupcem. Gdy tylko rozpoczniesz swoje życie wśród innych Hightonów, poznasz całą prawdę. Przypuszczam, że pomimo swych słów już podejrzewasz, jak to wszystko wygląda w rzeczywistości. W przeciwnym razie nigdy byś mnie tu nie ściągnął.

Na jego twarzy zamiast arogancji pojawił się ból.

- Jeśli mój ojciec ma rację, to jesteś potworem i powinienem cię zabić, tu i teraz, zanim otrzymasz szansę zostania imperatorką Skolii, a jeśli to ty ją masz, potworem jest mój ojciec i to jego powinienem unicestwić.

Rozłożył dłonie.

- Tak czy inaczej, oczekuje się ode mnie, że pozabawię życia kogoś, kogo kocham. A ja tego nie potrafię. Nie umiałbym zabić ojca. Ciebie również nie.

- Skąd ci przyszło do głowy, że mnie kochasz? - Wbiłam w niego spojrzenie. - Przecież znasz mnie dopiero od kilku godzin?

- Znamy się całe życie - powiedział i dotknął mojej skroni. - Dziś wieczorem wspólnie je przeżyliśmy.

Odepchnęłam jego dłoń. Mylił się. Za nic w świecie nie mogłam pokochać syna cesarza Handlarzy.

- To nie zniknie, Sauscony. - Ze spokojem wytrzymał moje spojrzenie. - Bez względu na to, jak bardzo będziesz się wypierać, to, co wydarzyło się dziś wieczór, pozostanie z nami przez resztę życia. Jeśli zostanie cesarzem, a ty imperatorką, będziemy musieli z tym żyć, nawet jeśli każde z nas poprzysięgnie zniszczyć wszystko to, co nawzajem najbardziej cenimy.

- Nie będziesz cenił tego, co odziedziczysz - z trudem utrzymywałam spokojny ton głosu. - Znienawidzisz ten system, znienawidzisz wszystko, co on przedstawia. A co gorsza, będziesz żył w strachu, wiedząc, że w każdej chwili możesz stać się jego ofiarą.

- Jeśli to prawda, to go zmienię.

- Zmienisz? Na bogów, Jaibriol, struktura twojego cesarstwa opiera się w całości na uzależnieniu Aristo od dostawców. To nie problem społeczny, który można łatwo naprawić, ani kwestia kilku złych ludzi, których trzeba pozbawić urzędu. Nie jesteś w stanie wyeliminować

brutalności swoich pobratymców. Równie dobrze mógłbyś zacząć walczyć z ich potrzebą spania lub jedzenia. Jeśli tylko spróbujesz, ukrzyżują cię.

- Mylisz się. - Zacisnął pięści.

- Przykro mi, że twoje życie stanie się takim koszmarem - powiedziałam łagodnie. - Chciałabym móc to zmienić.

- Nie pragnę współczucia. Pragnę ciebie.

Jego pożądanie stało się tak intensywne, że mogłam go niemalże dotknąć. Było to cierpienie mężczyzny, którego pozbawiono kontaktu z innymi ludźmi na całe życie, ból dziecka pozbawionego miłości od chwili narodzin. Pragnęłam go tak bardzo, że moje serce aż płonęło - ale musiałam to ukryć. Gdybym wyznała prawdę, nawet tutaj, gdzie nie usłyszałby jej nikt poza nami, nigdy już nie mogłabym spojrzeć w oczy nikomu innemu, kogo bym kochała.

- Nie mogę z tobą pozostać - powiedziałam.

Nabrał tchu, nieruchomiejąc na moment.

- A więc idź - odparł w końcu chłodnym głosem.

Jakoś udało mi się odwrócić i odejść w mrok.

Dywizjon Czarnej Gwiazdy

Popędziłam do hotelu, wzywając telepatycznie resztę mojego oddziału: „Wstawać! I to zaraz!”. Gdy wpadłam do lobby, Rex zbiegał po schodach, które opadały w dół niczym tren krwistoczerwonej sukni ślubnej. Przemknęłam obok wystraszonej recepcjonistki i wyszłam mu na spotkanie.

- Dowiedziałam się, dlaczego ten Aristo jest tutaj -wysapałam. - To syn Qoksa!

- Co? - Rex wybałuszył oczy.

- To dziedzic! - Dopiero gdy wypowiedziałam to na głos, uświadomiłam sobie, jak nieprawdopodobnie to brzmi. - Ten człowiek, którego widzieliśmy... To następca tronu!

U szczytu schodów pojawili się Helda i Taas - w samą porę, by usłyszeć moje słowa. W dwie sekundy znaleźli się przy nas.

- Ma na imię Jaibriol - mówiłam, patrząc na nich. -Jaibriol Qox. To dlatego mnie i Reksowi wydał się znajomy. Przypomina z wyglądu swego dziadka.

- Jak się tego dowiedziałaś? - spytała Helda.

- Odkryłam, gdzie się zatrzymał, a potem włamałam się do miejscowej sieci. Ojciec przesłał mu zakodowaną wiadomość odnośnie sytuacji na Tams.

- Nie próżnowałaś - rzekł Rex.

Skrzywiłam się.

- Mam za sobą aresztowanie, fotografowanie na policji, stanie w szeregu z pięcioma klonami, przesłuchanie przez najgrzeczniejszą policję wszechświata i wizytę w szpitalu u dwójki dostarczycieli, którzy zbiegli, korzystając z wywołanego przeze mnie zamieszania. Poprosili o azyl w Sojuszu.

- I wszystko to jednej nocy? - spytał Taas.

- Po co my ci w ogóle jesteśmy potrzebni, Soz? - spytała z uśmiechem Helda.

Nabrałam tchu.

- Ponieważ Ur Qox ma zamiar zalać Tams.

- Że niby co? - spytał Taas.

Obrzuciłam go przeciągłym spojrzeniem.

- Kiedy mieszkańcy Bullseye zbuntowali się przeciw Aristo, cesarz zamienił część księżycy ich planety w wodę. W przypadku CJ4 wykorzystał do tego celu asteroidę. Wtłaczając ten gaz do atmosfery, wywołuje się gigantyczne wyładowania, które doprowadzają do reakcji z tlenem. W efekcie powstaje mnóstwo wody, co z kolei doprowadza do globalnej powodzi.

Znów się skrzywiłam.

- Na Tams nieźle popada, a pod koniec w atmosferze zabraknie choćby cząsteczki tlenu, zaś powierzchnia planety będzie zalana.

Przypomniały mi się czytane kiedyś religijne teksty Sojuszu. Niestety, nie było arki, która mogłaby uratować Tams. Tam, gdzie Boga uosabiał Lucyfer, nikt nie miał szans na przeżycie.

Rex zacisnął mocno zęby. Oboje należeliśmy do batalionu, który odnalazł CJ4 po jej zniszczeniu. Szczegółowy raport z tej wyprawy został zaklasyfikowany jako

ściśle tajny. Dowództwo obawiało się paniki, która mogłaby wybuchnąć, gdyby ludzie dowiedzieli się, że Qox jest w stanie zniszczyć nasze świąty w ten sam sposób, jeśli nasz system obronny by zawiódł.

- Kiedy ma do tego dojść? - zapytała Helda.

- Wysłał kilka flag, ale chyba jeszcze nie dotarły na miejsce.

- Musimy jak najszybciej ostrzec mieszkańców Tams - rzekł Taas. - Trzeba im powiedzieć, żeby się ewakuowali!

- A niby czym? - zapytał cicho Rex.

Poczułam ucisk w żołądku. No właśnie, czym? Sabotaż Handlarzy przeprowadzony w fabrykach i magazynach bezpowrotnie zniszczył silniki międzygwiazdne i moduły sztucznej inteligencji. W jaki sposób górnicy z Tams mieli się ewakuować bez funkcjonujących poprawnie statków?

Taas przeniósł spojrzenie na Rekxa.

- W takim razie powinni spróbować przebudować napędy. Do tego nie potrzeba im całych linii produkcyjnych...

- To akurat nie jest ich największy problem - wyjaśnił Rex. - Sęk w tym, że nie mają sztucznej inteligencji.

- Tams to baza górnicza - dodałam. - Nie dysponują tam ani odpowiednią wiedzą, ani technologią, by zbudować takie moduły od zera. A nie mają za wiele czasu, żeby nadrobić te zaległości.

- Jest jedno proste rozwiązanie - rzuciła Helda. - Wystarczy wykonać kopie naszych własnych modułów i...

- Tak! - Taas aż podskoczył, jakby sam chciał się rzucić do pracy. - Możemy załadować je na pojazdy bezzałogowe i odpalić ze stanowisk bojowych w sektorze E.

Rex rozważył pomysł.

- Jeśli te pojazdy się nie przedostaną, nie będziemy już mieć czasu na kolejną próbę przed przybyciem flag.

- Rebelianci kontrolują naziemny system obronny -przypomniał Taas.

- Ale Handlarze nadal trzymają obronę orbitalną, a to też nie w kij dmuchał - rzekł Rex. - Musimy odnieść sukces za pierwszym razem. Gdy flagi dotrą na miejsce, będzie po zabawie. Nie pozostaje nam nic innego, jak wysłać statki załogowe.

Spojrzeli na mnie. Wiedziałam, jak brzmi rozkaz, na który czekają. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, jakie mamy szanse. Sztuka prowadzenia działań wojennych osiągnęła poziom wykluczający ludzki udział w starciach. Choć pojazdy wyposażone w sztuczną inteligencję nie mogły równać się z ludźmi w kwestii innowacji, żaden człowiek nie był w stanie mierzyć się z robotami, które dysponowały mocą obliczeniową sięgającą prędkości światła i zdolnością do wytrzymywania nieprawdopodobnych przyspieszeń.

Wyjątkiem byli Jagernauci.

Po połączeniu naszych mózgów ze statkami za pomocą wzmocnionego łącza podnosiliśmy ich sztuczną inteligencję, a dzięki odkryciom w teorii stabilności nasze ciała chronione były przed przeciążeniami. W efekcie powstawała broń cechująca się prędkością i trwałością pojazdu kierowanego przez robota, a także kreatywnością charakterystyczną dla ludzkiego umysłu.

- Jesteśmy jedynym oddziałem w tym kwadrancie -powiedziałam.

- To kiedy ruszamy? - spytał Taas.

Jak zawsze, nikt nie miał żadnych wątpliwości ani się nawet nie zająknął. Chcieli jedynie usłyszeć rozkaz i czekali na moje słowa, które pchną nas wszystkich do walki.

Walki, której nie mogliśmy wygrać. Nawet gdyby udało nam się przetransportować moduły na Tams, nie było absolutnie żadnych szans, aby na czas ewakuować sześćset milionów mieszkańców zasiedlających tę kolonię.

„Nawet jeśli uratujemy tylko jedno ludzkie istnienie, nadal jest się o co bić” - dotarła do mnie myśl Rekxa.

Tak bardzo się bałam, że przejścia tej nocy zniszczą to, co do niego czuję. Na szczęście z chwilą, gdy dotknął mnie jego umysł, uświadomiłam sobie, że nasza więź jest silna jak zawsze. W końcu to ten sam stary, dobry Rex, mężczyzna, który trwał u mego boku od wielu lat, który był kimś więcej niż tylko przyjacielem i który wkrótce miał zostać moim mężem. Najgorsze, że teraz miałam zrobić to, czego przysięgałam unikać jak ognia - posłać swojego ukochanego do walki. Tak, wiem, że robiłam to od lat, ale dopiero tego wieczoru wiele spraw się zmieniło.

Moi podkomendni wciąż patrzyli na mnie, czekając na rozkazy.

- Najpierw wyślemy raport do kwatery głównej - powiedziałam. Nie było szans, by posiłki dotarły na czas, ale należało spróbować. - A potem ruszamy.

Gdy wybiegliśmy z bramki portu gwiazdowego, do wschodu słońca nadal brakowało paru godzin. Od razu skierowaliśmy się w tę stronę lotniska, gdzie stały nasze statki, jednoosobowe pojazdy kosmiczne zwane Jagami. To właśnie od nich pochodziło nasze miano - Jagernauta. Ich pełna nazwa techniczna brzmiała „myśliwiec JG-17”, a nazwę potoczną wymyślili piloci doświadczalni, oblatujący prototyp JG-01.

Statki te w istocie były niczym alabastrowe dzieła sztuki. Po wylądowaniu każdy z nich wyglądał niczym wydłużone cygaro z niewielkimi skrzydłami, ale w trakcie lotu zmieniał swój kształt w zależności od potrzeb - rozkładał skrzydła, by uzyskać prędkość poddźwiękową, skracał je po rozwinięciu naddźwiękowej, przybierał zaokrąglone kształty podczas przelotów międzygwiazdnych, by zminimalizować swoją powierzchnię, i jeszcze bardziej zaokrąglone podczas zwiadu bądź starcia. W tej chwili ich uzbrojenie było ukryte w dobrze osłoniętych wnękach.

Przeszłam obok mojego Jaga, muskając go dłonią. Jego kadłub wykonany był z teleranu przetkanego mikroskopijnymi przewodami z fulerenu. Ultralekki i odporny na zmęczenie materiał był odporny nawet na wysokie temperatury towarzyszące wyjściu z prędkości naddźwiękowej. Wyposażono go również w funkcje samo-naprawcze - zerwane wiązania fulerenów łączyły się na powrót i samoistnie naprawiały przewód, dlatego na kadłubie pozostawało bardzo niewiele dziur, rys i innych uszkodzeń powstających podczas lotów kosmicznych. Podobnie jak sami piloci, Jagi były najdoskonalszym typem broni - najszybszym i najbardziej zabójczym, jaki kiedykolwiek wymyślono.

Zatrzymałam się w połowie kadłuba. Gdybym nie wiedziała o znajdującym się tam niewielkim, srebrnym stożku, nigdy bym go nie znalazła na idealnie gładkiej powierzchni. Przybliżyłam doń swój nadgarstek, a stożek błyskawicznie wsunął się do gniazdko.

„Połączenie” - przekazał mój węzeł.

„Potwierdzam” - odpowiedź nadeszła od Czarnej Gwiazdy, sztucznej inteligencji myśliciela.

Śluz powietrzna otworzyła się z cichym sykiem. Niewielki otwór powiększył się do rozmiarów człowieka w takim tempie, że jego krawędzie aż zamigotały. Zewnętrzne i wewnętrzne drzwi przegrody zostały rozwarte jednocześnie - Czarna Gwiazda zawczasu zbadała atmosferę i uznała ją za odpowiednią.

Gdy weszłam do środka, wewnętrzny kadłub ożył, rozświetlając się natychmiast bladym światłem. Kabina była niewielkim pomieszczeniem, długim na trzy i szerokim na dwa metry. Wolną przestrzeń oraz przedziały ładunkowe w całości zapełniał sprzęt niezbędny do przetrwania w przestrzeni kosmicznej - dystrybutor jedzenia, generator wody, przetwornik odpadów, ekwipunek osobisty, broń ręczna, krzesło ze stolikiem oraz koja.

Dotknęłam błony oddzielającej kokpit od kabiny, a ta rozsunęła się niczym migawka holoaparatu. Wślizgnęłam się na fotel pilota, który natychmiast otoczył mnie ze wszystkich stron i uwolnił kokon - ściśle przylegającą tkaninę, która chroniła przed przyspieszeniami, ale nie tamowała ruchów. Egzoszkielet załączył się z trzaskiem i moje ciało zastygło, otoczone ze wszystkich stron elementami wyposażenia myśliwca. Do gniazdka przy pniu mózgu podłączył się psifon. Nad głową znieruchomiał wizjer, a na jego ekranie przewinęły się dane. Gdy tylko fotel zarejestrował moją wagę, przednie holoekrany ukazały trójwymiarowy obraz świata dookoła myśliwca. Pojazd Rekxa miałam z prawej, zaś Taasa i Heldy - po lewej. Płyta lotniska, na której się znajdowaliśmy, wyglądała niczym płaski naleśnik.

Sztuczna inteligencja Jaga odezwała się w moim umyśle:

„Czarna Gwiazda zgłasza gotowość”.

„Meldunek przyjęty” - pomyślałam.

Nie potrzebowałam żadnych procedur wejściowych, kodów ani niczego w tym stylu. Statek był dostrojony wyłącznie do mojego mózgu i gdyby ktokolwiek inny próbował go przejąć bez odpowiedniej autoryzacji, wszystkie systemy zostałyby natychmiast zamknięte.

„Przejdźcie na psiberprzestrzeń” - przekazała Czarna Gwiazda.

Pojawiłam się w Sieci Kyle'a jako czarna fala sunąca po ciemnej siatce. Obok mnie rozbłysło światło i przeistoczyło się w drugą falę, czerwoną z ognistymi rozbłyskami. Potem pojawiła się także fala złota, a na końcu zielona.

„Czerwona Gwiazda, zgłaszam się” - pomyślał Rex.

„Złota Gwiazda, zgłaszam się” - dodała Helda.

„Zielona Gwiazda, zgłaszam się” - zakończył Taas.

„Czarna Gwiazda, potwierdzam” - odpowiedziałam.

Wymiana myśli trwała ułamek sekundy, o wiele krócej niż w przypadku zwykłego ludzkiego umysłu, niedysponującego żadną technologią.

Na moim mentalnym ekranie rozbłysła psikona ukształtowana jako zamek.

„Pełna osłona” - przekazał mi mój statek. „Obecność dywizjonu niewykrywalna dla innych użytkowników”.

„Dobrze. Połącz nas” - pomyślałam.

„Czerwona połączona. Złota połączona. Zielona połączona”.

Teraz, gdy nasza mentalna więź została wzmocniona aparaturą Jaga, mogłam bez problemu wychwytywać myśli Rekxa, Hedy i Taasa na tle moich własnych. Gdy skupiłam się na Taasie, szum przeistoczył się w ciąg poleceń przekazywanych przez młodego pilota Zielonej Gwiazdy. Rozluźniłam nieco uwagę i jego umysł na powrót stopił się z otoczeniem. Gdzieś na drugim planie

cały czas przelatywały szeregi danych, które w razie potrzeby mogłam przywołać i przeanalizować dokładniej.

Po wielu latach ćwiczeń bez trudu potrafiłam ignorować migoczące w tle ekrany - zwane przez Jagernautów jaźniościanką - i skupić się na otoczeniu. Musiałam też wykształcić umiejętność myślenia pośród nieustannego „hałasu”, wywoływanego przez inne świadomości. Wielu psionów nigdy nie opanowało tej sztuki, co również tłumaczyło, dlaczego istniało tak niewielu pilotów Jagów.

Potarłam skronie. Płaciliśmy słoną cenę za tę więź. Do jej podtrzymania potrzeba było tak wiele energii - zarówno tej płynącej z naszych umysłów, jak i pochodzącej z zasobów statku - że nie dało się połączyć ze sobą więcej niż czterech umysłów. Co gorsza, ludzie nie mogli wytrzymać takiej intensywności zbyt długo, choć trzeba przyznać, że w okresach połączenia komunikacja działała wprost perfekcyjnie. Mogliśmy się kontaktować zawsze i wszędzie, w dowolnych okolicznościach, błyskawicznie.

„Gotowi?” - zapytałam.

„Czerwona Gwiazda zgłasza gotowość” - stwierdził Rex.

„Złota Gwiazda zgłasza gotowość” - oznajmiła Hel-da.

„Taas?” - rzuciłam po chwili.

„Zielona Gwiazda zgłasza gotowość” - odezwał się z ociąganiem chłopak.

„Jakieś problemy?”

„Nie. Po prostu musiałem się dopasować”.

W sumie takie opóźnienie nie powinno nikogo dziwić; w końcu Taas był nowym członkiem naszego dywizjonu. Niemniej w sytuacji, w której się znaleźliśmy, mogło się ono okazać zgubne w swoich skutkach. W normalnych okolicznościach nigdy bym nie dopuściła, żeby

pilot bez doświadczenia wziął udział w tak trudnej misji -nie mieliśmy jednak wyboru. Pozostawało tylko liczyć na to, że jego dziewiczy lot nie okaże się ostatnim.

„Test koordynacji” - zarządziłam.

Każdy z myśliwców kolejno uruchamiał testy weryfikujące ustawienia wprowadzone przed lotem w pozostałych maszynach. Wzajemnie sprawdziliśmy w ten sposób nawigację, cyberłącza, broń, komunikację i zespoły hydrauliczne - co dawało nam poczwórną pewność, że wszyscy jesteśmy gotowi do działania.

„Sprawdzam silniki inwersyjne” - przekazała Czarna Gwiazda.

Inwersja. Nawet po tylu latach zjawisko to nadal budziło moją fascynację. Nie pokonaliśmy magicznej bariery szybkości w podróżach kosmicznych - prześlizgnęliśmy się obok niej.

Osiągnięcie nadświetlnej oznaczało przekroczenie prędkości światła, kiedy to masa pojazdu stawała się nieskończona w porównaniu do mniejszych obiektów, długość skracała się do zera, a czas zatrzymywał. To było po prostu niewykonalne. Przez długie wieki ludzkość wiedziała, że żaden statek międzygwiazdny nie może podróżować szybciej niż światło. I przez długie wieki ludzkość była w błędzie.

Rozwiązanie okazało się banalnie proste. Po osiągnięciu nadświetlnej masa i energia stają się pojęciami abstrakcyjnymi, pierwiastkami kwadratowymi liczb ujemnych, by zatem uzyskać taką szybkość, wystarczy tylko dodać abstrakcyjny element do naszej prędkości -i to wszystko, cała tajemnica. Statek kosmiczny porusza się jak grawilot opuszczający drogę, by wyminąć drzewo - z tą różnicą, że dla niego ową „drogą” jest realnie istniejący wszechświat.

Oczywiście wyliczenia matematyczne były o wiele łatwiejsze od zaprojektowania działającego silnika, nasi przodkowie w końcu jednak sprostali temu zadaniu i kosmos stanął przed nami otworem. Nawiasem mówiąc, określenie „inwersja” przejęliśmy od Sojuszu, gdyż całkiem wiernie opisywało działanie tego zjawiska. Pochodziło ono zresztą z bardziej ezoterycznego źródła, a nawiązywało do matematycznych odniesień między przestrzenią podświetlną i nadświetlną, wyliczonych przez ziemskich naukowców Mignaniego i Recamiego pod koniec dwudziestego wieku.

W praktyce wyglądało to tak, że silnik wprawiał mój myśliwiec w obroty, które wyrwały go z realnego wszechświata i wprowadzały do abstrakcyjnego, a następnie wiodły przez dziwaczną formę egzystencji, w której człowiek stawał się na pół rzeczywisty. Owo przejście nieźle mieszało w głowie, łagodnie rzecz ujmując, i nie miałam najmniejszego zamiaru dowiadywać się, co by się stało, gdybyśmy spędzili tam choćby sekundę dłużej niż trzeba. Podczas podróży zawsze tylko zbliżaliśmy się do „drzewa” najbardziej jak to było możliwe, unikając zbytniego zjechania z drogi, co realnie oznaczało rozwinięcie prędkości bliskiej prędkości światła, uruchomienie obrotów wprowadzających w przestrzeń nadświetlną i powrót do normalnego czasu kosmicznego. Kiedy już wychodziliśmy z inwersji z prędkością relatywistyczną, zawsze bombardowaliśmy okolicę potężnym promieniowaniem i strumieniami cząsteczek. Gdyby nastąpiło to zbyt blisko obiektów materialnych, zakończyłoby się tragicznie dla wszystkich wokół, dlatego statek mógł zakończyć taką podróż tylko w próżni. W przeciwnym razie jego nagle pojawienie się wstrząsnęłoby molekułami i doprowadziło do eksplozji zarówno pojazdu, jak i obiektu,

przy którym się znalazł. To właśnie z tego powodu dokonaliśmy inwersji z daleka od jakichkolwiek planet.

Oczywiście wynalazek ten brutalnie zmienił formę prowadzenia działań wojennych. Po pojawieniu się statków i pocisków, które mogły wypadać z inwersji z prędkością bliską prędkości światła, koncepcja wytyczania jakiejś wyraźnej linii frontu stała się momentalnie przestarzała. Systemy obronne zaczęły się rozwijać w tym samym tempie co formy ataku, przez co ochrona zasiedlonych światów stała się w ogóle możliwa, ale nie mogliśmy pilnować całego kosmosu jednocześnie. Ogromne połacie nadal pozostawały przedmiotem sporu, obszarami, gdzie nie istniały wyraźne podziały na to, co eubiańskie, skoliańskie i ziemskie.

„Przegląd silników zakończony” - przekazała Czarna Gwiazda.

„Kontrola dopalaczy”.

W małej odległości od planety Jag korzystał z napędu termojądrowego, ale w głębokiej przestrzeni kosmicznej używał przede wszystkim silników fotonowych.

„Dopalacze w normie”.

„A jak stoimy z paliwem?”

„Zawartość pozytronów w normie”.

„Dobrze”.

Magnetyczny pojemnik utrzymujący pozytrony był światem samym w sobie, który pojawiał się tylko podczas działania silników inwersyjnych. Podczas lotu urządzenie to pobierało potężne strumienie promieniowania kosmicznego, rozprawdzając paliwo zarówno po realnej, jak i abstrakcyjnej przestrzeni, dzięki czemu jego ładunek był o wiele wyższy niż w zwykłym kontinuum. Nie był to skomplikowany proces, jeśli przeprowadzało się go na materii nieożywionej, nie zaś na ludziach.

Cząsteczki nie przejmowały się psychologiczną traumą związaną z tym, że jest się zarówno bytem realnym, jak i abstrakcyjnym.

Gdy pojemnik wypychał pozytrony w rejon interakcji, odpowiedni selektor usuwał elektrony relatywistyczne z przestrzeni. Materia - antymateria. Skutkiem tych działań były potężne, przepiękne wprost eksplozje, dzięki którym uzyskiwaliśmy odrzut. Pola osłonowe z promieni gamma oraz siatki nadprzewodników chroniły statek przed zniszczeniem przez fale gorąca, zaś nas przed rozplaszczaniem na fotelach podczas przyspieszeń broniły obwody statyczne. Dzięki nim żadne przeciążenie nie mogło nam zaszkodzić, gdyż ich stan kwantowy pozostawał niezmienny. Nie zamieraliśmy - nasze atomy nadal poruszały się, obracały i zachowywały dokładnie tak samo, jak przed aktywacją obwodów statycznych. Atomowy zegar w każdym z nas, który mierzył upływ czasu, nadal pracował. Przy tym wszystkim atomy nie były w stanie zmienić stanu kwantowego, co oznaczało, że myśliwiec stawał się odporny nawet na działanie ogromnych sił.

„Proces przerwany” - przekazała Czarna Gwiazda.

„Co się stało?”

Na jaźniościance pojawiło się wyobrażenie satelity Sojuszu - tak dokładne i rzeczywiste, że mogłam dostrzec nawet nity na jego kadłubie. Ujrzałam również zakodowaną wiadomość, którą miał dostarczyć. Dawno już złamaliśmy ten szyfr, dzięki czemu teraz, tuż obok ciągu pozbawionych znaczenia znaków, na jaźniościance ukazało się tłumaczenie komunikatu. Na ognie piekielne! Wiadomość dotyczyła mnie! Władze Delos wysłały raport na mój temat do Imperialnego Dowództwa Sił Kosmicznych!

„Dlaczego pokazałaś mi ten komunikat?" - zapytałam Czarną Gwiazdę.

„Gdy wykryłam transmisję, twój węzeł wyświetlił skojarzenie »Tiller Smith«, a to miano osoby, która przetłumaczyła raport z greckiego na skoliański".

Skupiłam myśli na węźle.

„Dlaczego zwróciłeś uwagę na to nazwisko?"

„Uzyskało ono aż osiemdziesiąt dwa procent w skali twojego zainteresowania".

To nie miało sensu. Dlaczego węzeł zakładał, że Tiller jest dla mnie aż tak ważny? Skąd w ogóle taki pomysł? Ostatnią rzeczą, której potrzebowałam podczas przygotowań do startu, były nieistotne przekazy satelitarne na jaźniościance.

„Uruchom badania diagnostyczne swoich funkcji" - przykazałam. „Tiller nie powinien być tak interesujący".

„Uruchamiam" - zameldował węzeł, a po chwili przekazał: „To nie skojarzenie z Tilerem Smithem wywołało komunikat. Przyczyną była twoja reakcja na książkę, którą ci podarował".

Nie miałam pojęcia, dlaczego tomik niezrozumiałej poezji miałby do tego stopnia zaintrygować mój węzeł.

„Usuń wszelkie pochodne z zakresu: »Wersy na szybie okiennej«".

„Wykonano".

Przekaz z satelity zniknął.

„Przymanie Valdoria" - usłyszałam w głowie Taasa. „Zalęwają mnie odebrane przez ciebie informacje z satelity. Nie mogę tego przerwać".

„Z jakich komend skorzystałeś?"

„Zatrzymaj, przerwij, wyjdź, usuń, zmaż, zjeżdżaj, spadaj, won, spierdalaj".

„Spierdalaj? A co to takiego?"

„Trochę sobie pobluzgałem”.

„Spróbuj polecenia: skasuj” - uśmiechnęłam się.

„Aha. O, zadziało”.

Jego psikona „skasuj” pojawiła się w moim umyśle -biuściasta kobieta odziana w kuse szmatki, dzierżąca wiadro z farbą. Pomalowała rąbek swej sukienki, a ten znikł, ukazując jeszcze więcej uda. Potem kobieta cofnęła się do systemu Taasa.

Roześmiałam się.

„Wszyscy gotowi?”

„Gotowy” - przekazał Rex.

„Gotowa” - dodała Helda.

„Gotowy” - rzucił Taas.

„No, to do dzieła.” - pomyślałam. - „Startujemy”.

Wieża dała nam zielone światło i nasze pojazdy ruszyły w kierunku wyrzutni startowych.

- Przepraszam, primanie Valdoria - w słuchawce zaskrzecztał głos kontrolera. - Wasza czwórka będzie musiała trochę zaczekać. Mamy zator na dwunastce.

- Przyjęłam.

„Co się dzieje?” - zapytałam w myślach, gdy nasze pojazdy zwolniły i w końcu zatrzymały się.

Czarna Gwiazda ukazała mi kilka innych statków, które właśnie szykowały się do startu w sektorze dwunastym. Na ich kadłubach widniały czarne pumy - znak Handlarzy. Pojazdy spoczywały już na wyrzutniach, a ich kadłuby omiały łuny silnych, portowych reflektorów. Najsmuklej prezentował się streamliner, ulubiona maszyna Hightonów. Trzy inne statki, cięższe i masywniejsze, były eskorterami, które go konwojowały. Zważywszy na fakt, iż większość Hightonów podróżowała zazwyczaj w o wiele mniejszej obstawie, nie musiałam się domyślać, kto znajduje się na pokładzie owego streamlinera.

„Qox" - powiedział Rex w moim umyśle.

Przytaknęłam.

„Powinniśmy go rozwalić w drobny mak" - w myślach Taasa pojawiło się napięcie.

„Aha" - dodała Helda.

„To, o czym teraz mówicie, nazywa się zabójstwem".
Skrzywiłam się.

„Aha" - zgodziła się Helda.

„Na co czekamy?" - ponaglił Taas.

Nie mogłam w to uwierzyć. Żadne z nich nie żartowało. Chcieli zniszczyć cywilny pojazd i bez najmniejszych wyrzutów zamordować jego załogę! Do tego nie było jaką załogę.

„Spokój!" - powiedziałam.

Moje ekrany pokazały, że jedna z wyrzutni w sektorze dwunastym była pusta. Bez wątpliwości mogliśmy z niej skorzystać, ale nie miałam wątpliwości, że wieża nie życzy sobie, byśmy znaleźli się w pobliżu Handlarzy. Zapewne obawiali się, że zrobimy dokładnie to, co sugerowali Taas i Helda.

Błysnęły światła ostrzegawcze na płycie lądowiska, rozświetlając całą okolicę. Kłęby dymu zawirowały wokół statków Handlarzy i jeden z eskorterów wystrzelił w niebo, zostawiając za sobą opustoszałą wyrzutnię zatopioną w sinych oparach. Pozostałe pojazdy ruszyły za nim w chaotycznym porządku, a ich grzmot długo jeszcze dźwięczał mi w uszach.

Mknęliśmy przez przestrzeń kosmiczną, ścigając widmo flag.

W inwersji mogliśmy podróżować z dowolną prędkością, o ile była ona wyższa od prędkości światła. Gdyby ktokolwiek na Delos nam się przyglądał, zauważyłby, jak w miarę przyspieszania nasze pojazdy stają się coraz krótsze, a ich masa się zwiększa. Po przejściu w nad-światlną dalsze przyspieszanie sprawiało, że zwiększaliśmy długość i zmniejszaliśmy masę. Po osiągnięciu stu czterdziestu jeden procent prędkości światła czas zaczął się kurczyć. Mogliśmy teraz pędzić przez przestrzeń kosmiczną przez cały wiek, a na Delos upłynęłaby zaledwie godzina. Gdybyśmy kiedykolwiek osiągnęli prędkość nieskończoną, Jagi nie miałyby w ogóle masy. Rozciągałyby się na całą długość wszechświata, a czas wokół nich stanąłby w miejscu, sprawiając, iż znaleźlibyśmy się w samym centrum wieczności. Zawsze zdumiewało mnie, że mimo tych wszystkich niezwykłych zjawisk dla mnie mój pojazd był całkowicie normalny, ale to dlatego, że w stosunku do niego ja nie poruszałam się wcale.

Istniał tu zresztą inny wymierny problem, związany z naszą misją. Gdy zbliżaliśmy się do poziomu prędkości światła, nasz czas zaczynał się rozciągać, co oznaczało, że dla nas biegł o wiele wolniej niż na Tams. Inaczej mówiąc, traciliśmy cenne chwile, których tak bardzo potrzebowaliśmy.

„Czarna Gwiazdo, wyznacz kurs w przeszłość, który zrekompensuje spowolnienie czasu” - poleciłam.

„Kurs wyznaczony”.

Całe szczęście, że z prędkością nadświatlną mogliśmy także podróżować w przeszłość. Gdyby ktoś prowadził teraz obserwację przestrzeni międzygwiazdnej, byłby świadkiem niezwykłego zjawiska, zobaczyłby bowiem,

jak zaraz po opuszczeniu Delos w systemie Tams pojawiają się cztery nowe statki oraz cztery statki z antymaterii, powstałe na skutek anihilacji fotonów. Statki z materii oraz ich piloci są identyczni z nami - i w *rzeczy* samej, to jesteśmy my sami.

Podczas gdy statki z materii nadal zmierzają do celu, dywizjon z antymaterii odbywa podróż w stronę przeciwną, również z prędkością nadświatłą, ale zyskując paliwo, nie zaś je tracąc. Sęk w tym, że lecąc, cofa się w czasie, jak na filmie puszczone od tyłu. W momencie, w którym kazałam Czarnej Gwieździe ruszyć w przeszłość, obserwator ujrzałby, jak nasze statki spotykają się ze statkami z antymaterii i wszystkie ulegają anihilacji. Energia uzyskana w wyniku zniszczenia zrównoważyłaby tę utraconą na skutek powstania nowych statków i ich bliźniaków z antymaterii w pobliżu Tams.

Oczywiście my nie widzieliśmy żadnych osobliwych aktów tworzenia czy destrukcji. W stosunku do naszych statków pozostawaliśmy w tym samym położeniu, tak więc dla nas była to po prostu podróż z jednej planety na drugą. W efekcie rezultat będzie taki sam jak zawsze - nasze cztery Jagi w jakiś czas po wylocie zjawiają się w punkcie docelowym, i to wszystko. Gorzko żałowałam, że nie możemy dotrzeć na Tams PRZED opuszczeniem Delos, by mieć czas na ewakuację planety, ale żaden statek nigdy jeszcze nie zdołał odwrócić stosunku przyczynowo-skutkowego i wyjść z inwersji przed wejściem w ten stan. W najlepszym razie mogliśmy dotrzeć do celu w chwilę po inwersji, ale zazwyczaj trwało to dłużej - od kilku godzin do paru dni. Co ważniejsze, im dalej podróżowaliśmy, tym więcej pojawiała się błędów i rozbieżności. Mogłam mieć tylko nadzieję, że zdążymy. Flagi Qoksa miały dłuższą drogę do przebycia, ale

z drugiej strony dysponowały całymi systemami, których jedynym zadaniem była optymalizacja zmiennych podróży kosmicznych.

Inna sprawa, że my także mieliśmy pewien atut w zapasie.

Na statek podróżujący z prędkością nadświatlną nie dawało się przesyłać żadnych sygnałów elektromagnetycznych i jedynym sposobem na porozumiewanie się z jego załogą było wystrzeliwanie cząsteczek zwanych tachionami. Niestety, nikt do tej pory nie opracował sposobu, aby przekazywały one informacje w sposób wiarygodny, zwłaszcza w trakcie trwania inwersji. Bywało, że sygnały docierały, zanim zostały wysłane. Koniec końców statki podczas przelotów przechodziły w stan zawieszenia i nie odbierały żadnych wiadomości.

Z wyjątkiem Jagów.

Rex, Helda, Taas i ja byliśmy jednym umysłem. Nawet więcej - byliśmy częścią Sieci Kyle'a, dzięki której w błyskawiczny sposób mogliśmy się skontaktować z kimkolwiek w obrębie sieci rozciągającej się na wiele układów planetarnych. Dzięki temu koordynowaliśmy nasze działania z precyzją, która nieodmiennie zadziwiała osoby postronne.

Ale nawet ta metoda miała swoje ograniczenia. Gdybyśmy połączyli się z Siecią w chwili, kiedy rozciągnięcie czasu przeniosłoby nas w przyszłość, teoretycznie moglibyśmy dowiedzieć się, co się za chwilę wydarzy, lecz gdybyśmy powrócili do przeszłości, ós czasowa z przyszłości przestałaby obowiązywać i musielibyśmy reperować połączenie między nami a Siecią. Oczywiście taka operacja zawsze trochę trwała, a zważywszy na sytuację na Tams, nie powinniśmy sobie pozwalać na żadną zwłokę. Poza tym, patrząc w przyszłość, moglibyśmy na przykład

dowiedzieć się, że zginęliśmy w bitwie, ponieważ nie byliśmy przygotowani na takie starcie w chwili jego rozpoczęcia - a to dlatego, że zajmowaliśmy się w tym czasie przewidywaniem przyszłości. W efekcie już sama próba prekognicji tak naprawdę zwiększała prawdopodobieństwo naszej śmierci - dlatego utrzymywałam oś czasową spójną z momentem opuszczenia Delos.

„Czarna Gwiazdo” - pomyślałam. „Sprawdź, czy w Sieci Kyle'a są jakieś informacje na temat flag Qoksa?”.

„Jeden z naszych statków zwiadowczych dostrzegł eu-biańskie okręty wojenne podchodzące do Tams”.

Czas ich przybycia wyświetlił się na mojej jaź-niościance.

„Ile ich jest?”

Na jaźniościance pojawił się obraz okrętów Handlarzy. Dwa krążowniki, platforma orbitalna, trzy shield-crafty, a do tego jedno labo.

Skrzywiłam się. To właśnie tę eskadrę miał na myśli ojciec Jaibriola. Labo był w stanie nawet księżyc zmienić w substancje chemiczne zdolne wejść w reakcję z atmosferą Tams. Jedno dobre, że najeźdźcy nie mieli pojęcia o naszym nadejściu. Miałam ochotę zrobić co trzeba i zniknąć z planety przed ich przybyciem.

„A co z tym streamlinerem, który wystartował z Delos?” - zapytałam.

Na ekranach pokazały się statki Jaibriola. Szły kursem, którym dotrą na miejsce w mniej więcej tym samym czasie, co flagi.

„Czy są jakieś dane na temat rozwoju sytuacji na Tams?”

„Ostatnie raporty potwierdzają, że buntownicy kontrolują system obrony naziemnej, lecz wszystkie ich linki z Siecią Kyle'a są niedostępne”.

Nic dziwnego. Handlarze na pewno usunęli je, gdy tylko się dowiedzieli, że nasz wywiad w ten sposób otrzymuje informacje.

„A co z orbitalnym systemem obronnym?” - przesłał myśl Taas.

Wydawał się spokojny, ale wyczuwałam w nim napięcie. W odpowiedzi na moje obawy Czarna Gwiazda przedstawiła mi jego widok w kokpicie i wyświetliła wszystkie istotne dane: puls, ciśnienie krwi, temperaturę ciała, tempo oddychania i aktywność mózgu.

„Hej, nic mi nie jest!” - zaprotestował Taas.

Pozwoliłam, by obraz wyblakł. Podobnie jak pozostali, wiedziałam, że na miejscu najprawdopodobniej natknemy się na roje bomb satelitarnych, zwanych potocznie sat-bangami. Stanowiły dla nas istne utrapienie, były to bowiem pułapki o niskim stopniu zagrożenia, które rozwałało się jednym pociskiem lub pojedynczym strzałem z lasera starego typu, ale ich elektroniczne sygnaurki sprawiały, że aparatura wychwytywała je jako cele o wiele niebezpieczniejsze, niż to miało miejsce w rzeczywistości.

„Pewnie napotkamy tam także statki kierowane przez roboty” - pomyślałam. „I zautomatyzowaną platformę orbitalną”.

„Dlaczego tak uważasz?” - zapytała Helda. „Przecież coś takiego byłoby łatwym celem”.

Przerzuciłam pytanie do Rekxa, który uchodził za eksperta w tej dziedzinie.

„Nie mają księżycy, który mogliby wykorzystać jako bazę, więc potrzebują punktu wypadowego na orbicie” - odpowiedział Rex. „Muszą mieć coś takiego, ponieważ rebelianci kontrolują naziemny system obrony. Jeśli platforma będzie obsadzona tylko przez roboty, rzeczywiście

może okazać się łatwa do zniszczenia. Zwłaszcza że nie mają powodu spodziewać się naszego ataku..."

Bez względu na te wyjaśnienia, perspektywa spotkania z podobnym obiektem bardzo mnie niepokoiła. Dzięki platformie orbitalnej system obrony Eubian zyskiwał wiele dodatkowych atutów. Teoretycznie dywizjon Jagów mógł wyskoczyć z inwersji w pobliżu instalacji i zaatakować ją zniemacka, nie ponosząc przy tym żadnych strat własnych, ale w praktyce, jeśli nie udało się jej zniszczyć błyskawicznie, przy wykorzystaniu efektu zaskoczenia, szanse na sukces mocno spadały.

„A co z załogowymi Solo?” - zapytał Taas.

Dobre pytanie. Solo były najbliższym odpowiednikiem Jagów we flocie Handlarzy.

„Spodziewam się najwyżej kilku” - przekazał Rex. „Zazwyczaj stacjonują w bazach naziemnych, ale tu faktycznie mogą się znajdować na orbicie”.

„Tym bardziej że wyposażono je w zaawansowane typy sztucznej inteligencji” - dodałam. „Gdyby rebeliantom udało się przechwycić chociaż jednego, mieliby sztuczną inteligencję do swoich własnych statków”.

„Będą mieli pociski tau?” - zapytała Helda.

„Wchodzą w skład uzbrojenia Solo” - pomyślałam. „Miejmy nadzieję, że tym razem nie dali im ich zbyt wiele”.

Pociski tau standardowo wyposażano w napęd inwer-syjny, co zamieniało je w miniaturowe statki kosmiczne - Handlarze jednak zaabsorbowani byli tym, co działo się na planecie, a nie w przestrzeni kosmicznej, a to być może oznaczało, że ta potężna, ale i droga broń przesunięta została na sam dół listy priorytetów. Przynajmniej na to liczyłam.

Inna sprawa, że Eubianie mogli chcieć unicestwić rebeliantów, odpalając tau z prędkością relatywistyczną prosto w Tams, a to zmieniało postać rzeczy. Wszyscy wychodzili z oczywistego założenia, że Ur Qox, podobnie jak inni ludzie, myśli racjonalnie i nie odważy się zniszczyć tak cennej planety, ale prawda wyglądała przecież inaczej. Bunt na Tams jawił się w oczach okrutnego władcy jako coś o wiele groźniejszego, niż ktokolwiek by się tego spodziewał - był bowiem jawnym sprzeciwem wobec Handlarzy, symbolem dla ruchu oporu, który cesarz chciał zniszczyć w możliwie najbardziej dramatyczny i widowiskowy sposób, ostrzegając wszystkich innych, którzy zapragnęliby rzucić mu wyzwanie.

Rozważyłam naszą sytuację i doszłam do wniosku, że najlepiej będzie wyskoczyć z inwersji jak najbliżej wroga i puścić chmurę inteligentnych pocisków. Gęsto zaludnione planety zazwyczaj posiadają rozbudowane systemy orbitalne, chroniące je przed atakami z prędkością relatywistyczną, ale Tams było niewielką bazą górniczą na samym skraju imperium. Właśnie to mogło sprawić, że taki podstęp się uda. I to pomimo faktu, że widziałam część statystyk eubiańskich instalacji obronnych i miałam świadomość, że nie będzie to bułka z masłem.

Zaraz po dotarciu na Tams nasza prędkość, efekt zaskoczenia i połączenie umysłów z pewnością dadzą nam przewagę. Z kolei na niekorzyść zadziała to, że była nas zaledwie czwórka przeciwko całej wyprawie karnej. Do tego nie mogliśmy skontaktować się z rebeliantami do chwili wyjścia z inwersji. W tej sytuacji plan mógł być tylko jeden: maksymalnie blisko planety, czyli w odległości zaledwie dwudziestu milionów kilometrów, wychodzimy z inwersji w zwartej formacji i natychmiast

przekazujemy rebeliantom ostrzeżenie za pomocą komunikatorów neutrino. Handlarze będą mieli trudności z zatrzymaniem transmisji, gdyż neutrino przenikały niemalże przez wszystko. Następnie bezzwłocznie wypuszczamy chmurę MIRV-ÓW, czyli pocisków wielogłowicowych, które wymierzamy w niezależne cele i które będą gnać wraz z nami z prędkością relatywistyczną, zyskując energię megatonowych bomb. Po zniszczeniu orbitalnego systemu obronnego, już na spokojnie, wysyłamy kolonistom moduły sztucznej inteligencji.

„Zrozumiano” - nadeszła odpowiedź ze wszystkich myślicieli.

„Gotowość do wyjścia z inwersji” - przekazała Czarna Gwiazda.

Uruchomiłam dopalacze fotonowe i przesłam w inercję. W żaden sposób nie odczułam procesu zwalniania statku i jedynym dowodem na to, że coś takiego w ogóle się działo, były nieregularne odczyty wyświetlane na jaź-niościance. Jag w końcu wytracił swoją prędkość w serii krótkich szarpnięć, które ja odebrałam jako proces ciągły. Gwiazdy przesunęły się do przodu, zmieniając swoje kolory aż po głęboki fiolet, potem zbiegły się w jeden punkt i wreszcie zniknęły całkiem z ekranów. Czarna Gwiazda stworzyła holomapę kosmosu rozciągającego się przed statkiem i...

...nagle z rykiem wypadliśmy z inwersji, zachowując idealny szyk. Popędziliśmy ku Tams, wysyłając nasze ostrzeżenie, a po nim chmurę pocisków.

Czarna Gwiazda zalała mój umysł danymi. System obronny Tams natychmiast zareagował na nasz atak, wysyłając coś, co wyglądało na całą flotyllę statków, ale ja rozpoznałam sygnatury i domyśliłam się, że większość to tylko atrapy.

„Zauważono wrogie tau" - stwierdziła Czarna Gwiazda. „Wrogie tau zniknęły".

Wiedziałam, że te pociski znikają tylko w chwili przejścia w inwersję...

...ale zanim o tym pomyślałam, zostałam wręcz wyszarpięta w rzeczywistość. Czarna Gwiazda wykonała tak gwałtowną zmianę kursu, że zareagowały obwody statyczne, chroniąc mnie przed śmiercią na skutek zbyt gwałtownych przyspieszeń.

„Wszystkie tau eksplodowały z lewej" - przekazała Czarna Gwiazda.

Statystyki zalewały mój węzeł z taką prędkością, że mózg pozbawiony wspomagania nigdy nie dałby rady ich przyswoić. Eubiańskie pociski przechwytywały nasze MIRV-y, nakierowywały się na nas i przechodziły w nadprzestrzeń, a po osiągnięciu zaplanowanego wcześniej punktu wybuchały wraz z naszymi rakietami. Żeby w ogóle nas dopaść, tau musiały przechodzić w inwersję, ale jednocześnie traciły w ten sposób nasze Jagi z pola widzenia. Gdyby mogły namierzać cele w chwili, gdy pędziły z prędkością nadświatlną, byłoby po nas, ale że tak się nie działo, wychodziły z nadprzestrzeni albo kilka sekund za późno, albo w niewłaściwym miejscu.

Minęliśmy orbitę planety, kierując się ku słońcu. Leciliśmy coraz szybciej i szybciej...

„Inwersja" - nakazałam.

Mój żołądek skręcił się, gdy weszliśmy w nadświatlną. Nadal przyspieszaliśmy, aż osiągnęliśmy milionową wielokrotność prędkości światła. Czas biegł dla nas szybciej niż na Tams, tak więc mogliśmy zawrócić i pojawić się w systemie ledwie w ułamek sekundy po zniknięciu. Wyszliśmy z inwersji kilka milionów kilometrów od pla-

nety, atakując od strony słońca i wypuszczając przed siebie nasze ostatnie MIRV-y.

„Orbitalny system obronny unieszkodliwiony” - przekazała Czarna Gwiazda.

Na jaźniościance wciąż przelewały się dane. Zniszczyliśmy wszystko, co mogło nam zagrażać - pociski tau, pojazdy bezzałogowe i orbitalną platformę Sentinel. Hel-da krzyknęła z radości, a Rex przesłał mi zobrazowanie swojego uśmiechu satysfakcji. Udało się!

W moim umyśle rozbrzmiał rechot Taasa.

„Orbita sprawnie rozbita!” - zrymował.

Jęknęłam w myślach.

„Dobra, hamujemy. Naszym celem nadal jest Tams”.

Z każdą sekundą coraz bardziej zwalnialiśmy, raz za razem wskakując w inercję. Powoli szykowaliśmy się do wejścia w atmosferę. Nagle z apatii wyrwał mnie ryk alarmów. Na jaźniościance tłoczyły się statystyki - z powierzchni planety startowały Solo i pojazdy bezzałogowe.

„Cholera! Ekrany osłonowe!”

„Uruchomione” - odpowiedziały w ułamku sekundy trzy umysły.

Zniknęliśmy. Ekrany osłonowe, wykorzystujące właściwości ciała doskonale czarnego, zamieniły kadłuby naszych Jagów w powierzchnie nieodbijające światła. Był to oczywiście jedynie środek doraźny - przy każdym manewrze zdradzał nas strumień wylotowy, więc Handlarze i tak w końcu nas namierzą.

„Helda, pędź na dół najszybciej jak potrafisz - rozkazałam - i wypuść moduł sztucznej inteligencji w sondzie bezzałogowej. Będziemy cię osłaniać”.

Nie miałam pojęcia, czy rebeliantom uda się ją odzyskać, ale nie mieliśmy wyboru. Straciliśmy efekt zasko-

czenia, a do tego wykorzystaliśmy już wszystkie Mmv-y. Nie mogliśmy też zastosować sztuczek z inwersją, ponieważ wtedy pozostawilibyśmy Heldę na pastwę losu.

Czarna Gwiazda przedstawiła mi analizę Solo i pojazdów bezzałogowych. Wystartowały z podziemnej bazy, jedyne ocalałego odcinka naziemnego systemu obrony. Wyglądało na to, że armia Handlarzy pokonała rebeliantów, ale ci zdążyli wcześniej wysadzić większość instalacji, nie oddając ich w ręce zwycięzców.

„Anihilatory” - pomyślałam.

Były to istne monstra, które wykorzystywały anty-protony o energii dwieście razy większej od pozytronów i miliony od bitonów. To, że ich wiązki wymijało się łatwiej od inteligentnych pocisków, nie miało większego znaczenia. Anihilatory były najlepszą bronią przeciwko statkom w fazie inercji. Pojazd z zatrzymanym stanem kwantowym może znieść działanie ogromnych sił, łącznie z nieprzyjacielskim ostrzałem, ale zarazem jest bardziej podatny na działanie jakichkolwiek wiązek energetycznych, gdyż w tym stanie anihilacja materii zachodzi o wiele łatwiej niż jej zdeformowanie.

„Czy statki Handlarzy mają napęd inwersyjny?” - zapytałam Czarnej Gwiazdy.

„Tak” - usłyszałam w odpowiedzi, widząc na jaż-niościance obraz czterech pojazdów bezzałogowych i pięciu Solo. Trzy spośród tych ostatnich były uzbrojone w MIRV-y.

„Cholera” - zaklęłam.

Eubianie mogli chcieć zastosować tę samą metodę ataku co my. Na szczęście, w przeciwieństwie do nas, nie działali z zaskoczenia i mieliśmy czas na reakcję. Mogliśmy na przykład wyrzucić chmury wabików, by zmylić ich pociski - choć nie potrzebowałam wsparcia sztucznej

inteligencji, by wiedzieć, jak niewielkie efekty przyniesie taki zabieg. Dobrze chociaż, że piloci Solo nie byli w stanie koordynować swoich manewrów podczas inwersji ani wychodzić z niej równocześnie, zwłaszcza z nami na ogonach. W rezultacie, celując w nas, mogli trafić MIRV-ami także siebie nawzajem. Czy byli gotowi na takie poświęcenie?

Nie chciałam się tego dowiadywać. Miałam świadomość, że powinniśmy ich zniszczyć, zanim w ogóle dojdzie do takiej sytuacji. Jagi Reksa i Taasa ruszyły w kierunku dwóch Solo, a Czarna Gwiazda pokazała mi pojazd bezzałogowy na kursie przecięcia.

„Zniszcz go” - rozkazałam.

„Strzelam”.

Pojazd chroniony był polem magnetycznym, które odbijało naładowane cząsteczki, ale że nie istniały całkowicie jednorodne wiązki, moja salwa i tak dotarła do celu. W trafionych miejscach eksplodowały strumienie pionów, co wyzwoliło ogromne ilości energii i rozpoczęło proces zniszczenia. Cząsteczki i promieniowanie przedarły się przez silniki termojądrowe, wnęki z uzbrojeniem, silniki inwersyjne, generatory napędzające pola chroniące przed antymaterią i...

...pojazd rozprysnął się w niemyim wybuchu. Spore fragmenty wystrzeliły w kosmos, a inne po prostu zniknęły na skutek niesamowitego efektu kolapsacji, który miał miejsce, gdy prawdziwa materia zapadała się w przestrzeń wewnątrz pojemnika z paliwem.

„Ostrzeżenie” - przekazała Czarna Gwiazda. „Zielona Gwiazda wykryta”.

Taas wystrzelił w stronę lecącego ku niemu Solo. Czarna Gwiazda podświetliła na ekranie jego pocisk na czerwono i zobaczyłam, jak miniaturowy, eterycz-

ny kształt pędzi prosto w kierunku eubiańskiego statku. Jagi nie były w stanie pomieścić zbyt wielu tau, a Taas właśnie wykorzystał jedną czwartą swojego zapasu...

...nie, nie wykorzystał, tylko stracił, ponieważ wrogi pilot trafił w jego pocisk wiązką z anihilatora. Ładunek eksplodował na tyle blisko nieprzyjacielskiego statku, że ten powinien się rozpaść, jednak nic takiego się nie stało, gdyż w ostatniej chwili pojazd został wprawiony przez moduł sztucznej inteligencji w ruch inercyjny. Z boku wyglądało to tak, jakby maszyna odskoczyła gwałtownie w bok na moment przed wybuchem i... pomknęła bezwładnie w moją stronę. Potem Solo wyskoczył z inercji, a ja, przerażona do granic, aż rozdziawiłam usta.

„Blokada” - przekazała Czarna Gwiazda.

Strach cofnął się, ale nie ustąpił. Mój wzmocniony aparaturą umysł był tak mocno skupiony na nieprzyjacielskim pilocie, że nie mogłam odciąć się od jego reakcji. Czuł przerażenie. Był taki młody, ledwie co wyrósł z wieku chłopięcego i na pewno nie spodziewał się walki podczas tej zwykłej, zdawałoby się, misji.

„Nigdy nie chciałem latać na Solo, nigdy nie chciałem nawet się do nich zbliżyć. Jak ja mogłem wierzyć, że w ten sposób zrealizuję swoje marzenia... Teraz za to zapłacę...”

„Czarna Gwiazdo, blokuj!”

Po mojej twarzy płynęły łzy, łzy mojego wroga. Psi-kona blokady na próżno połyskiwała w moim umyśle.

„Strzelam” - przekazała Czarna Gwiazda.

Wiązka z anihilatora trafiła Solo bez trudu i wrogi pojazd odszedł w zapomnienie. Przedśmiertny wrzask chłopca wciąż wibrował w moim umyśle i ledwie mogłam powstrzymać się od rozpaczliwego szlochu.

„Czarna Gwiazdo - nabrałam z trudem tchu, opanowując się na moment - odłącz ośrodek odpowiedzialny za emocje”.

„Wykonano”.

Część mojej świadomości, która krzyczała w proteście przeciwko zabijaniu, w jednej chwili została zamknięta w więzieniu o szklanych ścianach. Niemy sprzeciw został zdławiony w zarodku i nie mógł już powstrzymać mnie przed tym, co chciałam zrobić. Po bitwie, jeśli przeżyję, nie będę mogła pozbyć się wrażenia, że korzystając z tej opcji, zaprzedałam swoją duszę, ale bez tego zabiegu po prostu nie byłam w stanie funkcjonować.

Czerwona i Złota Gwiazda również zostały wykryte. W myślach ujrzałam obraz Hedy i Reksa zmagających się z dwoma pojazdami bezzałogowymi i jednym Solo. Kolejne trzy statki próbowały nas właśnie przechwycić.

„Seria uników numer dwa” - przekazałam.

Czarna Gwiazda odpaliła rakiety manewrujące przy wykorzystaniu „zimnego” odrzutu z silników termojądrowych, zmieniając nasz kurs co sekundę lub jeszcze częściej. Kokon dobrze chronił mnie przed słabszymi przeciążeniami, ale gdyby zadziałały potężniejsze siły, nawet te grożące utratą życia, Czarna Gwiazda przerzuciłaby nas w inercję.

Mój anihilator trafił w jeden z bezzałogowców, rozwalając go w drobny mak. Wiązka z innego statku przeszła miejsce, gdzie sama znajdowałam się przed sekundą. Pojazdy kierowane przez roboty nie musiały przejmować się życiem pilotów, przez co były o wiele zwrotniejsze od Jagów, ale miały za to inne ograniczenia. Potencjał dojrzałej, dobrze rozbudowanej sztucznej inteligencji był zbliżony do ludzkiego umysłu, jednak i tak nie mogło się to równać z więzią Jagernauty ze swoim statkiem. Praco-

walam z Czarną Gwiazdą od dwudziestu lat i wypracowałyśmy syntezę, która o całą klasę przekraczała możliwości tak pojedynczego człowieka, jak i samodzielnej jednostki AI.

Mój Jag przemknął obok trzeciego bezzałogowca, a ja rozbiłam go anihilatorem. Kiedy pojazd eksplodował, Czarna Gwiazda wyznaczyła mi kolejny cel. Solo znajdował się w odległości kilku tysięcy kilometrów i właśnie zmierzał w moją stronę, ukryty za ekranami osłonowymi. Zdałabym sobie sprawę z jego obecności, nawet gdyby nikt go nie wskazał. Od dawna wyczuwałam pilota. Był to fachmistrz, półkrwi Aristo, podobny do ochroniarza Jaibriola. Z każdą chwilą zbliżał się coraz bardziej, a ja z powodu wyczerpania ogniów nawet nie mogłam ostrzelać go z anihilatora. Jag dysponował ograniczoną ilością antymaterii, a spora jej część przeznaczona została na paliwo pozytronowe.

„Przygotuj impaktor” - rozkazałam.

Solo pędził ku mnie niczym rycerz z kopią podczas turnieju. Gdy przelatywaliśmy obok siebie, posłałam w jego stronę krótką salwę. Ładunki impakcyjne miały to do siebie, że stapiały się ze sobą podczas uderzenia w cel, zyskując w ten sposób moc porównywalną z uderzeniem niewielkiej bomby wodorowej. Ale nie tym razem. Natychmiast po strzale eubiański pilot wykonał serię uników, wypuszczając jednocześnie chmurę inteligentnego pyłu, która zmyliła moje systemy naprowadzające i skierowała cały atak w pustą przestrzeń. W rewanżu Handlarz wypalił we mnie z anihilatora, a wirujące dziko cząsteczki aż zaiskrzyły w moim polu magnetycznym. Wedle informacji na ekranie kilkanaście razy weszłam w inercję, dzięki czemu mój Jag na szczęście nie odniósł żadnych obrażeń.

Tymczasem ładunki impakcyjne zawróciły i pomknęły w ślad za Solo. Na drodze stała im kolejna chmura pyłu, detonując część klastrów. Mój Jag również wypuścił własną chmurę, która rozeszła się za nami w formie stożka, inicjując falę eksplozji.

„Złota trafiona” - oznajmiła Czarna Gwiazda.

„Złota, meldunek”.

„Straciłam pole magnetyczne i anihilatory” - wyjaśniła Helda, udostępniając swoje dane.

Kontrolki alarmowe migotały na ekranie niczym lampki choinkowe i wystarczył mi jeden rzut oka, aby zrozumieć powagę sytuacji.

„Helda, zjeżdżaj stamtąd! Rex, osłaniaj ją!”

„Rozkaz” - rzucił Rex.

„Zielona trafiona” - odezwała się znów Czarna Gwiazda.

„Taas?” - pomyślałam, analizując kolejne dane.

Wyglądało na to, że jego statek odniósł mniej uszkodzeń od Jaga Hedy.

„Wszystko w porządku” - odezwał się, zamieniając najbliższego bezzałogowca w pył. Kątem oka ujrzałam rozbłysk, który oznaczał zapis w jego aktach.

„Przeciwnik z lewej” - ostrzegła Czarna Gwiazda.

Przerzuciłam uwagę na przeciwnika.

„Impaktor, schemat ostrzału K. Uwolnić zasłonę”.

Nadlatujący Solo uniknął trafienia dosłownie w ostatniej chwili. Jego pilot także otworzył ogień, ale zamiast celować prosto w mojego Jaga, wypalił w przestrzeń z lewej - i prawie mnie trafił, gdyż tam właśnie planowałam zakończyć manewr.

„Cholera, dobry jest! Seria uników Q!”

„Giń, słodka Jagernautko”.

Myśl Handlarza uderzyła we mnie niczym młot. Na pewno nie powstała w umyśle telepaty, ani nawet kogoś, kto by go przypominał, ale jej intensywność zaskoczyła mnie. Była tak bardzo przesycona duszną, dławiącą pogardą oraz prymitywną chucią, że aż mnie skręciło.

„Giń, słodka Jagernautko. Giń powoli, w straszliwych cierpieniach”.

Bez wątpienia miałam do czynienia z wojownikiem Aristo.

„Włącz impaktor!” - rozkazałam.

Robiłam wszystko, co w mojej mocy, by otrząsnąć się ze skupionych myśli napastnika, ale nie dawałam rady. Jedynym sposobem na uwolnienie umysłu było zerwanie więzi z Czarną Gwiazdą, to jednak w obecnej sytuacji równało się samobójstwu.

Solo zręcznie lawirował między moimi kolejnymi wystrzałami. Kilka razy dostał nawet bezpośrednio w kadrę, ale wciąż wydawał się nietknięty.

Wkrótce detektory wykryły kolejny statek, który doganiał mnie równie szybko, jak pierwszy. Nie musiałam długo czekać na myśli kolejnego pilota:

„Giń, Jagernautko”.

Spadałam, spadałam w otchłań, w czarna dziurę, zlapana, uwięziona...

„Blokada” - poinformowała Czarna Gwiazda.

Nieprzyjemne uczucie zniknęło, a ja odetchnęłam z ulgą.

„Wal z impak...”

Zanim dokończyłam, moim Jagiem targnął potężny wstrząs, sprawiając, że boleśnie uderzyłam barkiem o fotel wyściełany egzozszkieletem. Alarmy rozjarzyły się na kokpicie i rozbłysły na jaźniościance.

„Oberwaliśmy od pierwszego Solo" - powiadomiła mnie Czarna Gwiazda. „Prawoburtowy impaktor zniszczony".

„Słodka Jagernautko..." - obca myśl wśliznęła się do mojego umysłu niczym niechciana pieszczota. „Jesteś moja".

„Moja!" - odezwał się drugi Aristo.

A potem - o bogowie! - w moim umyśle zabrzmiał trzeci głos:

„Giń, malutka Jagernautko!"

Nowy napastnik zmaterializował się w miejscu, którego nawet Czarna Gwiazda nie przewidziała, od razu strzelając w moją stronę.

„Unik!" - wrzasnęłam rozpaczliwie.

Znów zatrzęsło Jagiem, aż zawyły alarmy przeciążeniowe.

„Trafienie w prawą burtę" - zameldowała Czarna Gwiazda. „Anihilatory wyłączone z użytku".

„Odpalaj tau!"

Pociski wysunęły się z wyrzutni i pomknęły ku myśliwcom Aristo, co chwila znikając w inwersji. Pierwszy z nich został zniszczony wiązką lasera, drugi podążył za uciekającym Solo, a trzeci dotarł do celu i w sekundę później eubiański statek zniknął w oślepiającej eksplozji.

W moim umyśle zawrzał gniew pierwszego z pilotów.

„Giń, Jagernautko! W mękach!"

Drugi Solo niespodziewanie wyskoczył z nadświatlonej tuż obok mnie. Całą przestrzeń wokół zalała czysta energia z jego dyszy wylotowych, nieomal spalając mój pojazd na popiół, a potem... a potem jego także rozsadziła nagła eksplozja.

„Dorwałem go!" - krzyknął Rex. „Zaraz..."

„Czerwona dostała" - przekazała Czarna Gwiazda.

„Rex!"

Statystyki dotyczące jego Jaga przewinęły się przez mój umysł: moc ekranów osłonowych spadła do ośmiu procent, a szczelność kadłuba - do czterech. Do tego pola osłaniające pojemnik z antymaterią w każdej chwili groziły zanikiem.

Poczułam, jak rozpiera mnie złośliwa satysfakcja, płynąca wprost z umysłu kogoś z Aristo.

„Odpalaj czwórkę." - rozkazałam. - „Zniszcz tego sukinsyna".

W chwili gdy moja ostatnia wyrzutnia opustoszała, Handlarz, który trafił Rekxa, również wystrzelił. Jego pocisk w okamgnieniu doścignął mój, przechwycił go i przeszedł w inwersję. Oba tau pojawiły się ponownie po mojej prawej i natychmiast eksplodowały. Czarna Gwiazda pchnęła mnie w inercję.

„Bezzałogowce po lewej" - usłyszałam meldunek.

Natychmiast rzuciłam się do ucieczki. Ogień z im-paktorów przeszył miejsce, gdzie znajdowałam się jeszcze sekundę temu. Zamiast we mnie obydwie wiązki trafiły w siebie nawzajem i spektakularnie wybuchły. Od jakiegoś już czasu miałam nudności wywołane ciągłymi przeskokami w inercję. Mój węzeł usiłował to zrekompensować i nieustannie stymulował przeciążony mózg, aby ten produkował endorfiny, ale to nie wystarczało.

„Uwaga!"

Czarna Gwiazda ukazała mi Solo, który leciał gdzieś w kierunku słońca.

„Dogoń go" - pomyślałam i z desperacją rzuciłam się w pościg.

Nie miałam już ani tau, ani działających anihilatorów, po prostu niczego, czym mogłabym walczyć - ale gdyby

zaszła taka konieczność, gotowa byłam nawet staranować przeciwnika własnym Jagiem.

Złota Gwiazda pojawiła się przede mną tak nieoczekiwanie, że w pierwszej chwili kompletnie nie zrozumiałam, co się dzieje. Zorientowałam się tylko, że uciekający Solo eksplodował, jakby trafił go jakiś niewidzialny promień. Wkrótce z pomocą Czarnej Gwiazdy poznałam całą prawdę. Okazało się, że Helda odczytała pozycję statku Aristo prosto z mojego umysłu i z zabójczą precyzją, możliwą do osiągnięcia jedynie przez Jagernau-tów, wyszła z inwersji dokładnie tuż przed napastnikiem. Utrzymując osiemdziesiąt procent prędkości światła, smagnęła Solo strumieniem energii z dysz wylotowych i zniknęła, zanim pojazd Handlarza detonował.

Jej podstęp w istocie graniczył z szaleństwem. Gdyby pomyliła się o kilka metrów - metrów! - wyskoczyłaby z nadświetlnej wprost na statku przeciwnika i spłonęłaby razem z nim w jednej wielkiej kuli ognia. Albo jeszcze gorzej, wpadłaby na mnie lub na to, co zostało ze statku Rekxa, z tym samym oczywiście skutkiem.

Nie miałam czasu, aby zbesztać ją za lekceważenie zasad bezpieczeństwa, a zarazem podziękować. Mój Jag zadrzał i gwałtownie wychylił się w bok, aż zrobiło mi się niedobrze, a siła ciężkości znów wcisnęła mnie w fotel z egzozkioletem.

„Trafienie w prawą burtę” - zameldowała Czarna Gwiazda.

Statystyki nie wyglądały najlepiej - ten strzał nieomal nas załatwił. Jeszcze jedno takie uderzenie i zamienimy się w promieniotwórczą chmurę gazu.

„Soz” - usłyszałam myśl Rekxa, cichą, ale wyraźną.

Żył! Udało mu! Z trudem się powstrzymywałam, by nie wybuchnąć śmiechem, a potem płaczem.

Niespodziewanie Czarna Gwiazda uruchomiła dopalacze. Sekundę później w miejscu, gdzie się przed chwilą znajdowaliśmy, rozbłysła wiązka anihilatora.

„Fuksiara” - mój umysł przeszła kolejna myśl. Uragliwa, łakoma, oślizgła.

Solo uciekał od nas jak najdalej, podobnie jak jego poprzednik zmierzając w stronę słońca.

Z trudem nabrałam tchu. Nie po raz pierwszy Czarna Gwiazda przewidziała strzał wrogiego pojazdu. Handlarze znali nasze słabości i wiedzieli, że zwiększenie możliwości naszych umysłów podczas walki jednocześnie czyni nas wrażliwymi na ciosy mentalne, i wykorzystywali to do maksimum - drażnili nas, prowokowali, lżyli. Niemniej każdy pilot, który skupiał się zbyt mocno na Ja-gernaucie ze zwiększonymi możliwościami, a zwłaszcza takim, który dysponował moim doświadczeniem i statusem w Sieci Kyle'a, ryzykował tym, że połączenie naszych umysłów zadziała na jego niekorzyść. Dzięki temu Czarna Gwiazda była w stanie wychwycić lepiej strzeżone myśli Aristo - jak choćby chęć otwarcia ognia.

Po moich skroniach spływał pot.

„Helda, wracaj do kwatery głównej. Słyszysz mnie? W tej chwili! Koniec z popisami! Ktoś z nas musi przeżyć, żeby złożyć raport!”

„Zjeżdżam”.

Obydwa statki Handlarzy, które ostrzelały Czarną Gwiazdę, były teraz poza moim zasięgiem. Nie miało to zresztą większego znaczenia - i tak brakowało mi amunicji, a z tego, co przekazywały moje skanery, były to ostatnie dwie jednostki wroga. Bezzałogowca ścigał Taas, a ostatni Solo przyspieszał ku słońcu.

„Na podstawie trajektorii lotu wyliczyłam, że Aristo przejdzie za chwilę w inwersję i powróci do bitwy, -

przekazała Czarna Gwiazda. „Wyskoczy tuż nad Czerwoną Gwiazdą”.

Nad Czerwoną Gwiazdą. Nad statkiem Reksa, który właśnie dryfował bezradnie w przestrzeni.

„Przechwyć go” - nakazałam. „Dorwij tego oślizgłego gada”.

Czarna Gwiazda wrzuciła mnie w inercję. A potem znów. I jeszcze raz. Było mi już niedobrze od tych skoków - czułam zawroty głowy, a w gardle całkiem mi zaschło. Ledwie o tym pomyślałam, z mojego hełmu wysunął się niewielki stożek i w ustach pojawiła się woda.

„Nie mamy działającej broni” - uprzedziła Czarna Gwiazda.

„Przepompuj paliwo pozytronowe do anihilatora” - rozkazałam.

„Anihilatory są uszkodzone”.

„No to przerzuć to cholerstwo do czegokolwiek, co je utrzyma. Na przykład do wyrzutni tau!”

„Mogę wykorzystać zapasowy zbiornik paliwowy. Ale to nie będzie trwałe rozwiązanie”.

„Nie ma takiej potrzeby”.

„Solo przechodzi w inwersję”.

„Leć za nim” - poleciłam, zrzucając mentalną blokadę.

Otworzyłam swój umysł na ostatniego Aristo i poczułam się, jakbym była odpływem w beczce wypełnionej po brzegi kwasem. Obce myśli wwierciły się we mnie niczym żrący wir.

„Ból, Jagernautko! Ból, strach i terror! Giń...”

Wykonaliśmy manewr inwersji, ale Czarna Gwiazda nadal kontrolowała położenie Solo dzięki mojej mentalnej więzi z eubiańskim pilotem. Krzyczeliśmy bezgłośnie poprzez niematerialną, abstrakcyjną przestrzeń

i ścigaliśmy przeciwnika, który zawrócił i pomknął ku Tams.

„Wyskakujemy” - pomyślałam.

Wyszliśmy ułamek sekundy wcześniej niż pojazd Handlarza, ale nie byłam w stanie ustawić Jaga tak, by wykorzystać przeciw niemu strumień wylotowy z dysz silnika. Gdy tamten wyskoczył z nadświatłnej, od razu przekazałam do Czarnej Gwiazdy:

„Wystrzel zbiornik z paliwem pozytronowym w otwór jego wyrzutni, a potem zabieraj nas stąd!”

W tej samej chwili, kiedy mój zaimprovizowany pocisk pomknął ku Solo, jego pilot odpalił tau. Pojemnik pełen antimaterii uderzył w głowicę i statek Aristo zniknął, pochłonięty przez gwałtowną eksplozję.

„Dziesięć pojazdów bezzałogowych wystartowało z dziennej półkuli Tams” - przekazała Czarna Gwiazda.

DZIESIĘĆ? Na bogów...

„Kiedy znajdą się w zasięgu strzału?”

„Cztery minuty. I trzy do chwili, gdy w awaryjnych zbiornikach Reksa zabraknie powietrza”.

Przełknęłam ślinę.

„Zielona Gwiazda, raport”.

„Robot, którego ścigałem, nie ma już roboty” - oświadczył żartobliwie Taas.

„Przestań, musisz przekazać sztuczną inteligencję rebeliantom. Masz cztery minuty, żeby zbliżyć się do planety, wykonać zrzut i uciec”.

„Tak jest”.

„Soz, nie bądź głupia” - rozległa się cicha, niewyraźna myśl Reksa. „Ty leć na dół, a Taas niech cię osłania”.

Zbliżyłam się do jego statku, manewrując najostrożniej, jak tylko mogłam i na ile pozwalał mi na to mój Jag.

W końcu byliśmy tak blisko siebie, że nasze myśliwce nieomal się dotykały.

„Wypuść przełaz i podłącz mnie do Czerwonej Gwiazdy” - rozkazałam.

„Gotowe”.

„Do jasnej cholery, Soz, Tams jest ważniejsze od jednego starzejącego się Jagernauty. Leć z Taasem! Sam nie da sobie rady”.

„Powinieneś mieć do niego więcej zaufania”.

Przełaz wysunął się z mojej śluzy powietrznej, a gdy przywarł do Jaga Rekxa, Czarna Gwiazda przekazała:

„Ciśnienie powietrza w Czerwonej Gwieździe wynosi zero. Uszczelniam twój kombinezon. Blackstone ma w butlach zapas tlenu na nieco ponad minutę”.

„Rex, idź do przełazu!”

„Nie mogę się ruszyć” - odparł.

„Czarna Gwiazdo, otwórz grodzie Czerwonej, a potem mnie wypuść”.

„Gotowe”.

Egzoszkielec uwolnił mnie ze swych objęć. Zerwałam się z fotela, przebiłam przez błonę kokpitu i skoczyłam w stronę włazu. Czarna Gwiazda otworzyła zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne drzwi śluzy. Przemknęłam przez nie i wpadłam do przełazu, który wiódł ku Czerwonej Gwieździe niczym tunel. Grodzie na drugim końcu także były otwarte i bez najmniejszego problemu wparowałam do kabiny uszkodzonego Jaga - w sam środek chaosu.

Wszędzie dookoła wałały się szczątki wyposażenia, a część wewnętrznej kadłuba zapadła się do kokpitu. Rex wciąż siedział w fotelu pilota, raz po raz próbując z niego wstać, ale oplatający go egzoszkielec ani drgnął. Podeszłam do niego i pomogłam mu wydostać się z tej

dziwacznej pułapki. Prowadząc go do wyjścia, zauważyłam, jak powłóczy nogami, ledwie trzymając się w pionie. Usiłowałam porozumieć się z nim przez radio wbudowane w kombinezon, ale bez skutku.

„Blackstone'owi właśnie skończył się tlen” - powiadomiła mnie Czarna Gwiazda.

Spojrzałam na jego twarz widoczną przez wizjer hełmu i zobaczyłam, jak rozpaczliwie próbuje złapać choć łyk powietrza. Nagle skoczył naprzód, wpadając do przełazu niczym żywa torpeda, a potem przetoczył się do służby mojego Jaga. Byłam tuż za nim. Zewnętrzne grodzie zaczęły się zamykać. Powoli, bardzo powoli. Rex uderzył plecami o ścianę, a później upadł bezwładnie na podło-

„Czarna Gwiazdo, powietrze! Natychmiast!”

Zerwałam hełm z jego głowy, złapałam go za kombinezon i sapiąc, zawlokłam do kabiny. Kiedy już leżał na pulpicie medycznym, zdjęłam swój hełm oraz rękawice. Później odchyliłam mu głowę, ścisnęłam nos i przez rozchyłone usta wpompowałam powietrze wprost do jego nieruchomych płuc. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

„Walcz. Na bogów, walcz”.

„Pojazdy bezzałogowe znajdują się w zasięgu ognia za czterdzieści pięć sekund” - przekazała Czarna Gwiazda.

Wdech... Wydech... Nagle Rex wciągnął potężny haust powietrza. Wyprostowałam się, a on otworzył oczy i spojrzał na mnie w milczeniu. Jego twarz wydawała się błąda w chłodnym świetle kabiny.

„Czarna Gwiazdo, zajmij się rannym” - poleciłam, a pulpit medyczny natychmiast zaczął otaczać męczyzną membraną aseptyczną.

„Trzydzieści dwie sekundy. Zostaliśmy namierzeni”.

Pobiegłam do kokpitu i wcisnęłam się w fotel pilota. Ledwie podłączyłam się do statku, a od razu pchnęłam myśl:

„Taas! Wyrrywaj stamtąd! Natychmiast!”

Nie było odpowiedzi.

„Bezzałogowce otworzyły ogień”.

Przyspieszenie wcisnęło mnie w fotel... Kiedy statek wyszedł już z inercji, łapczywie chwyciłam oddech, otrząsając się z szoku. Zatrzymanie stanu kwantowego ludzkiego organizmu na tak długi czas nie było bezpiecznym rozwiązaniem. W chwili powrotu ze stanu bezwładności każdy obiekt natychmiast reagował na siły działające w otoczeniu i gdyby ta zmiana stanów przebiegła zbyt gwałtownie - a różnica potencjałów była tym większa, im dłużej przebywało się w fazie inercji - fluktuacja taka mogłaby rozbić człowieka na pojedyncze atomy. Tym razem tworzącym mnie molekułom jakoś udało się utrzymać jedność, ale tak czy owak, czułam się potwornie. Ledwie co widziałam, przez co nie byłam w stanie odczytać żadnych danych na ekranach, ale na szczęście jaźniościanka przekazała mi wszystko, co musiałam wiedzieć. Czarna Gwiazda przeszła w inwersję i przez cały ten czas utrzymywała nas w stanie inercji.

„Taas, zgłoś się” - pomyślałam. „Taas?”

Cisza.

„Nie mogę namierzyć Zielonej Gwiazdy” - przekazała Czarna Gwiazda.

„A co ze Żłotą?”

„Tak samo”.

Tylko nie to! Żadne z nich dobrowolnie nie przerwałyby połączenia umysłowego. Być może Helda zdołała wylądować, ale zważywszy na uszkodzenia jej pojazdu, najprawdopodobniej się rozbiła.

„Co z Reksem?” - zapytałam.

„Jego funkcje życiowe ustają”.

„Pomóż mu!”

„Nie mogę. Potrzebna jest fachowa pomoc”.

Czyżby mój desperacki plan miał jedynie doprowadzić do zagłady mojego dywizjonu? Mieliśmy tutaj zginąć? Po tym wszystkim, przez co wspólnie przeszliśmy? Nie, to było nie do zniesienia.

„Czarna Gwiazdo, przerzuć nas z powrotem w inercję” - rozkazałam. W obecnej sytuacji rozszerzenie czasu czy jakiegokolwiek inne zjawisko relatywistyczne nie miało dla Rekxa większego znaczenia; liczyło się tylko to, jak długo będzie przebywał na Jagu. „I nie przerywaj lotu, dopóki nie znajdziemy się przy jakiejś placówce medycznej, która może mu pomóc”.

„Zarówno ty, jak i komandor Blackstone możecie nie przeżyć kolejnego...”

„Czy ma jakiegokolwiek szanse na przeżycie, jeśli tego nie zrobimy?”

„On nie. Ale ty tak”.

„Wrzuć nas więc w inercję. A potem pobij rekord wszechświata w drodze do szpitala”.

Tak brzmiała moja ostatnia myśl.

Następstwa

Zaraz po wyjściu z inercji wyrzygałam się i w moim kombinezonie zaszumiały sterylizatory, czyszcząc cały ten bałagan.

Wpadliśmy do systemu Dieshan i okazując w pośpiechu moje uprawnienia kolejnym posterunkom, pokonywaliśmy jedną strefę bezpieczeństwa za drugą. Wreszcie posadziłam Jaga na rozświetlonym reflektorami dachu jakiegoś szpitala. Rex wciąż leżał na pulpicie medycznym, otoczony potężnymi ramionami manipulatorów, a przezroczyste włókna doprowadzające dożylnie leki wnikały w otwory wycięte w jego kombinezonie.

Gdy otworzyłam śluzę, ujrzałam ludzi pędzących w moją stronę. Nie minęło kilka sekund i Rex znalazł się na noszach. Kiedy ruszyli w drogę powrotną, pobiegłam za nimi, a otaczający mnie sanitariusze próbowali skanerami odczytać mój stan zdrowia.

Wszystko działo się za szybko. W jednej chwili pędziliśmy rozświetlonym korytarzem w kierunku oddziału chirurgii, a zaraz potem siedziałam w okrągłym pokoju z jaskrawymi ścianami, osaczona przez lekarzy w białych kitlach. Jeden z nich próbował zaciągnąć mnie do innego pokoju. Nie ustępował, więc posłałam go na pod-

łogę. Grzmotnął, aż się poniosło. Jego szpitalny kombi-
nezon rozdarł się w szwach. Trzej inni medycy - dwie
kobiety i mężczyzna - złapali mnie za ręce. Ten, którego
pchnęłam na ziemię, zerwał się na nogi, a kolejna lekar-
ka usiłowała zrobić mi zastrzyk.

- Przestańcie! - krzyknęłam, oswabadzając ramię.
Musiałam zachować przytomność, żeby wiedzieć, co się
dzieje z Reksem.

- Primanie Valdoria, proszę. - Kobieta ze strzykaw-
ką odsunęła potargane szare loki z oczu. - Potrzebuje
pani opieki medy...

- Odlóż tę cholerną szprycę albo wtrąć cię do wię-
zienia za napaść na imperialną dziedziczkę!

Kobieta pobladła i opuściła rękę, ale nie ustąpiła. Po-
zostali medycy spróbowali posadzić mnie na krześle.
Wyrываłam się i obrzucałam ich wyzwiskami.

- Proszę usiąść - powiedziała kobieta ze strzykaw-
ką. - Proszę usiąść i odprężyć się.

Odbiło jej. Rex umierał, a ta wariatka chciała, bym
się odprężyła? Próbowалам się od nich uwolnić, ale trzy-
mali mnie mocno.

- Soz. - Czyjaś ciężka dłoń opadła na moje ramię,
a ja obróciłam się i uniosłam głowę.

Helda.

Zamknęłam oczy i otworzyłam je ponownie. Na bo-
gów, a więc nie wszystkich zabiłam.

- Złożyłaś raport? - zapytałam.

Chciałam się rozplakać, ale nie mogłam tego zrobić
przed tyloma obcymi ludźmi.

- Tak - odparła i nagle na jej twarzy pojawiło się wa-
hanie. - A Taas?

- Nie odpowiedział, gdy kazałam mu uciekać.

- Cholera. - Wypuściła powietrze. - Przykro mi.

- Mnie też - powiedziałam łagodnie.

Helda wskazała łukowatą kanapę idealnie dopasowaną do kształtu ściany, pod którą stała.

- Zaczekasz ze mną?

Skinęłam głową i wyrwałam ramiona z łap trzymających mnie medyków. Nie protestowali. Najwidoczniej mieli nadzieję, że obecność Hedy uspokoi mnie. Usiadłyśmy we dwie na sofie.

A potem czekałyśmy.

I czekałyśmy.

W ten sposób minęło osiem godzin, po których ktoś zapytał, czy chcę oglądać operację Reksa na holokra-nie. Podziękowałam. Nie sądzę, bym dała radę to znieść. Potem ktoś zadał mi serię pytań, spisując jakiś raport. A później wszyscy zniknęli. Przez cały ten czas przeżywałam bitwę na nowo, przypominałam sobie rozkazy wydawane Taasowi, Heldzie i Reksowi, rozgrywałam w głowie inne scenariusze, zastanawiając się, które z nich mogłyby zmienić rezultat starcia, a przy tym ocalić zarówno Tams, jak i moich podkomendnych.

W końcu spróbowałam całkiem odłączyć umysł, ale bez większych sukcesów. Wciąż słyszałam przedśmiertny krzyk nastoletniego pilota Solo, a później dołączyło się jeszcze wspomnienie wojowników Aristo, którzy prawie doprowadzili do mojej zguby. Żądza, z jaką pragnęli mojego unicestwienia, była niczym paskudny smak w ustach, którego za żadne skarby nie można się pozbyć. Wiedziałam, że nie oczyszcze się z tego uczucia, tak jak nigdy nie mogłam zniwelować nienawiści, wynoszonej z każdej bitwy, jaką stoczyłam przez ostatnie ćwierć wieku.

W jakąś godzinę po nastaniu świtu zapadłam w lekką drzemkę. Kiedy w pewnym momencie moja głowa opadła na oparcie kanapy, ocknęłam się i na powrót usiadłam w wyprostowanej pozycji. Przymknęłam powieki.

- Może kawy? - zapytał ktoś.

Otworzyłam natychmiast oczy. Przecież znałam ten głos!

- Primanie Valdoria? Przyniosłem trochę...

- Taas! - Zerwałam się na równe nogi.

Chłopak uśmiechnął się i podał mi plastikowy kubeczek z paskudnym napojem, który Sojusz od jakiegoś czasu wpychał do naszych sklepów. Ucisnęłam go, a po mnie z całej siły przytuliła go także Helda. Kawa roz-bryznęła się na podłodze.

- Hej! - jęknął zduszonym głosem. - Nie mogę oddychać!

- Fakt - zaśmiała się kobieta, wypuszczając go z objęć. - Głupio byłoby zostać uduszonym po tym, jak powróciło się z martwych.

- Z martwych? - Wybałuszył oczy.

- Kiedy zerwałeś połączenie, uznałam, że nie żyjesz - wyjaśniłam.

- Trafił mnie jakiś bezzałogowiec - odparł Taas. - I tyle.

Wbiłam w niego spojrzenie. Jedynym sposobem, żeby zerwać łączność między naszymi umysłami, było uszkodzenie Zielonej Gwiazdy tak poważne, by nie mógł wejść do Sieci Kyle'a.

- Udało ci się wrócić z uszkodzonym komputerem?

- Nie było to aż takie trudne - rzekł Taas. - Musiałem tylko wykonać w głowie kilka obliczeń.

W głowie?

- Masz niesamowity umysł - powiedziałam, choć dobrze o tym wiedziałam już w chwili, gdy wybrałam go do dywizjonu. - Udało ci się dostarczyć sztuczną inteligencję na Tams?

- Wypuściłem zasobnik - powiedział. - Ale nie wiem, czy coś to dało. Nie słyszałem jak dotąd żadnych raportów.

- Soz. - Helda dotknęła mojego ramienia.

Zerknęłam na nią, a ona wskazała głową drzwi. Odwróciłam się i ujrzałam zbliżającego się lekarza. Mężczyzna podszedł i zatrzymał się tuż przede mną.

- Priman Valdoria?

-Tak?

- Jesteśmy po operacji.

-I?

„Powiedz mi, że będzie żył. Powiedz, że nic mu nie jest”.

Doktor przetarł dłonią czoło.

- Pacjent ma mnóstwo siniaków i połamanych kości, a do tego krwawienie wewnętrzne. Na szczęście nic z tych rzeczy nie sprawiło nam trudności...

Ale? Miałam wrażenie, że zawiesił głos.

- A jego nogi? - zapytałam.

- Problemem nie są nogi. Chodzi o gniazdo psifonu umieszczone w lędźwiowej części kręgosłupa. Zostało wyrwane z ciała, częściowo rozrywając włókna nerwowe między wszczepem karkowym a lędźwiowym.

- Proszę mówić tak, żebym pana rozumiała.

- Implant przeciął rdzeń kręgowy.

- Da się to uleczyć?

- Zazwyczaj jesteśmy w stanie odbudować nawet komórki nerwowe, tworząc im warunki zbliżone do stanu

embrionalnego - tłumaczył cicho lekarz. - U Blackstone'a to jednak nie zadziało. Wypróbowaliśmy więc kolejno trzy sposoby łączenia rozerwanych fragmentów za pomocą biooptyki. Niestety, jego organizm wszystkie odrzucił.

Nie to chciałam usłyszeć.

- Ale przecież jesteście w stanie poradzić sobie z takimi obrażeniami, nieprawdą? Gdy tylko jego organizm zacznie reagować na leczenie.

Lekarz zawahał się.

- W normalnych okolicznościach odpowiedziałbym twierdząco. Niestety, tak rozbudowany system biomechaniczny, który umieszcza się w waszych ciałach, czasami powoduje nieoczekiwane efekty uboczne. Ponadto system nerwowy pacjenta odniósł już wcześniej tyle obrażeń, że wypracował toksyczną reakcję na niektóre leki, jakie stosujemy, by wzmocnić proces regeneracji, jeśli zdecydujemy się na kolejne próby w obrębie jego sieci, ciało może odrzucić cały system.

- Jak mam to wszystko rozumieć? - Wbiłam w niego spojrzenie.

W oczach mężczyzny pojawiło się bolesne współczucie.

- Secundan Blackstone jest sparaliżowany od pasa w dół. Przymuszczałnie nigdy nie odzyska władzy w nogach.

- Nie...

To nie mogło być prawdą. Czy oni próbowali mi wmówić, że Rex został kaleką w przeddzień złożenia rezygnacji? Nie, to nie mogło być prawdą!

- Możemy się z nim zobaczyć? - spytała łagodnie Helda.

- Teraz śpi - odparł doktor. - Powiadomimy was, gdy tylko będzie mógł już przyjmować gości - dodał i przeniósł spojrzenie na mnie. - Primanie Valdoria...

Wiedziałam, co za chwilę nastąpi. Troska i opieka. Nie miałam na to najmniejszej ochoty.

- Słucham?

- Powiedziano mi, że wedle danych z komputera pokładowego pani myśliwca nie spała pani od pięćdziesięciu godzin. - Zawahał się. - Wstępne skany wykazały zaś, że ma pani dwa złamane żebra, wiele obić i wewnętrzne obrażenia tkanki na skutek zbyt długiego przebywania w inercji. Potrzebuje pani opieki medycznej i snu.

Snu? Emocje szalały we mnie do tego stopnia, że nie byłam nawet w stanie usiąść.

- Nic mi nie jest.

- Wręcz przeciwnie. Ledwie się pani trzyma na nogach.

Zaczęłam protestować, lecz wtedy uniósł rękę.

- Możemy dać pani łóżko tutaj.

- Nie chcę łóżka. - Obrzuciłam go wrogim spojrzeniem.

- Będzie to w pani najlepszym interesie.

Moje myśli nagle rozproszyła wyraźna wizja tego, jak wyglądam z perspektywy lekarza. Przypominałam rannego skalnego jelenia, dzikie, piękne zwierzę odsłaniające zęby, gdy próbował je zwabić do siebie, by móc wyleczyć jego rany. Była to wizja tak przerażająca, że zamarłam. Stałam tylko i mrugałam. Ukradł mi przysłowiowy wiatr z przysłowiowych żagli, jak mówiono w Sojuszu. Durne skojarzenie, skoro on postrzegał mnie jako skalnego jelenia, a nie jako statek.

Może jednak byłam bardziej wyczerpana, niż mi się wydawało, zbyt zmęczona, by logicznie myśleć.

- Dobrze - powiedziałam. - Odpocznę. Ale tylko chwilkę.

Zasłony zatrzymywały ostre promienie dieshańskiego słońca, wpuszczając tylko tyle światła, by było cokolwiek widać. Leżałam w wygodnym, ciepłym łóżku, powoli odzyskując przytomność i zastanawiając się, dlaczego jestem taka obolała.

Aż nagle wszystko sobie przypomniałam.

To był rozgniatacz. Podczas snu mój umysł odpręzał się i rozluźniał, czasami na tyle, że przypominałam sobie o rzeczach, które blokowałam na jawie. Bywało też, że pojawiały się wtedy wizje prawdopodobnych wariantów przyszłości, co właściwie można było nazwać prekogni-cją w prymitywnym wydaniu. Sny takie nabierały wyrazistości w sytuacji, gdy pojawiały się w nich bliskie mi osoby, a do najintensywniejszych należały te, w których przeżywałam niepowodzenia. Nienawidziłam ich. Nie budziłam się wówczas świeża i wypoczęta - zamiast tego otwierałam oczy prosto na nieszczęście i rozpacz, mając świadomość, że doznałam lub doznam wkrótce krzywdy, a jeśli nie ja, to ktoś, kogo kocham. Nazywałam takie koszmary rozgniataczami, bo miałam wrażenie, że mnie miażdżą, rozdeptują. I właśnie z takimi odczuciami obudziłam się tego ranka.

Dopiero po chwili udało mi się zebrać myśli i natychmiast zrozumiałam, że ktoś znajduje się w pokoju. Jego obecność zdawała się przykrywać mój umysł niczym ciężki, sztywny koc. Odwróciłam głowę.

Stał przy moim łóżku. Był ponaddwumetrowym olbrzymem z muskulaturą świadczącą o tym, że wycho-

wy wał się na planecie o niestandardowej grawitacji. Wyglądał bardziej jak metalowy posąg niż człowiek - jego skóra połyskiwała, jakby wykonano ją ze szczerzego złota. Miał otwarte oczy, ale zakrywały je wewnętrzne powieki, przypominające nieprzezroczyste, jaśniejące zasłony. To właśnie przez nie większość ludzi myślała, że nie patrzy, ale ja wiedziałam, że dobrze wszystko widzi. Jego twarz mogłaby nawet wydać się komuś przystojna, gdyby nie jej surowy i zacięty wyraz. Miał na sobie prosty mundur, beżowe spodnie i sweter bez żadnych oznaczeń. Nic nie wskazywało na to, kim był w istocie - z wyjątkiem złotych opasek na każdym ramieniu, szerszych nawet od tych, które oznaczały moją rangę.

Sam imperator przyszedł do mnie z wizytą.

Skrzywiłam się, gdy moją klatkę piersiową przeszył ból, ale powstałam z łóżka i zaszutowałam, zwracając pięści i krzyżując je w nadgarstkach, prawą nad lewą.

Kurj pochylił głowę. Nawet po tylu latach trudno mi było uwierzyć, że jesteśmy ze sobą spokrewnieni. Mieliśmy tę samą matkę, lecz nie było między nami wielkiego podobieństwa, gdyż on przypominał naszego dziadka, a ja babkę. Złoty kolor ciała Kurja był wynikiem genetycznej adaptacji jego przodków, którzy skolonizowali układ planetarny z nazbyt jasnym słońcem. Metaliczny połysk skóry i włosów odbijał światło słoneczne, a wewnętrzne powieki chroniły oczy. Był przy tym maszyną w tym samym stopniu co człowiekiem, ponieważ jego system biomechaniczny został jeszcze bardziej rozbudowany od mojego. Jego wygląd stał się symbolem - był przecież Pięścią Skolii, zahartowanym w bojach imperatorem pozbawionym słabości, które mogłyby zostać wykorzystane przez Handlarzy.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Nieźle. - Pomasowałam bandażę na żebrach. Nie przypominałam sobie, żeby ktoś zakładał mi opatrunki. Pewnie lekarze zrobili to zaraz po tym, jak mnie uśpili.

Za plecami Kur ja po ścianie, podłodze i suficie przesuwali się tęcze promienie pola ochronnego, wytwarzanego przez cybergenerator. Kolory były intensywniejsze od tych, które widziałam wokół Jaibriola w jego posiadłości na Delos. Dawały inne ostrzeżenie - pole Kurja nastawione było na zabijanie.

- Lekarze powiedzieli mi o Reksie - oświadczył.

- Widziałeś go? - Ożywiłam się.

- Nadal śpi.

Chciałam spytać, co jeszcze wie, ale nie byłam w stanie. Widok metalowej, obojętnej twarzy brata sprawił, że moje słowa zamarły i uleciały.

- Czy sztuczna inteligencja zrzucona przez Taasa - podjęłam ostrożnie - przydała się na coś?

-Tak.

To jedno proste słowo tyle mi powiedziało.

- Kiedy przybyliśmy z odsieczą, okazało się, że flagi Qoksa zalały już planetę. Nie byliśmy w stanie niko go ocalić, udało się jednak osłonić statki z uchodźcami, które wcześniej zbiegły z Tams.

Najbardziej bałam się tego, czego nie powiedział.

- Ilu ludzi zginęło?

- Dwie trzecie populacji - jego słowa spadały niczym ciężkie kamienie.

Dwie trzecie z sześciuset milionów. Ciekawe, co teraz Jaibriol sądził o swoim ojcu.

- Zapoznałem się również z twoim raportem na temat tego Aristo - rzekł Kurj.

Powiedział tylko tyle. Ani słowa więcej. A więc wiedział już wszystko. Ur Qox miał potomka. Zło się rozmnożyło.

Nic dziwnego, że cesarz nigdy nie rozwiódł się ze swoją żoną. Z pewnością wiedziała, że jej „syn” jest dzieckiem innej kobiety. Przypuszczalnie uważała, że Qox ma kochankę wśród Hightonów. Czyżby zamknął gdzieś swą żonę, a dopiero po tym pokazał się z dzieckiem? Gdyby wyparła się Jaibriola, hightoński dziedzic musiałby przejść gruntowną kontrolę, której Qox chciał uniknąć. Dziwiło mnie, że nie kazał zamordować cesarzowej. Czyżby Taas miał rację? Czyżby Qox naprawdę kochał swą żonę? A może po prostu przeczuwał, że pozbycie się jej nie uszłoby mu na sucho? Nie, zapewne zawarł z nią iście diabelski układ - jeśli zgodzi się milczeć, zachowa również swój tytuł.

W przeszłości próbowałam przekonać samą siebie, że wśród Aristo kobiety są tą łagodniejszą częścią ich społeczności. Gardziły służbą wojskową, co oznaczało, że rzadko je widywaliśmy. Niemniej trzy tygodnie, jakie spędziłam w posiadłości Tarque'a, wyleczyły mnie z tych przekonań. Wszyscy Aristo byli tacy sami. Kompletnie nic - ani wzrost, ani sylwetka, ani nawet płęć - nie robił tu żadnej różnicy.

Kurj przyglądał mi się uważnie.

- Władze Delos przysłały nam raport odnośnie twoich wybryków w posiadłości Hightona. - Uniósł brwi, nie spuszczając ze mnie wzroku. - Jak widzę, nie bawisz się w subtelności.

- Czy to reprimenda, sir?

- Nie.

Nie zdziwiło mnie to. Kurj sam nie miał w sobie za grosz poczucia winy w takich sytuacjach.

- Zatrośczyłem się o to, by dywizjon Czarnej Gwiazdy otrzymał wyróżnienie - ciągnął imperator. - Będzie o tym w holowiadomościach.

Jasne, zrób z nas bohaterów. Oczywiście miało to swój sens, gdyż poprawiało wizerunek Imperialnych Sił Kosmicznych, ja jednak zupełnie nie czułam się jak bohaterka.

Kurj nieproszony wdarł się do moich myśli.

„Za każdym razem, gdy ruszasz do walki, ryzykujesz swoim życiem. Ty to wiesz i każdy z twoich pilotów to wie. Blackstone również”.

„Tak jest, sir” - odparłam, nie ujawniając innych myśli. Cóż innego mogłam odpowiedzieć? Świadomość tego, że Rex zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w niczym mi nie pomagała.

- Soz - głos Kurja złagodniał. - Zasluguje na to wyróżnienie.

Na nadgarstku jego rękawicy zapłonęło światełko, zalewając blaskiem przedramię i dłoń. Dotknął kontrolki, a wtedy rozległ się męski głos:

- Opiekunka chce się z panem zobaczyć, sir. Przeszła już kontrolę bezpieczeństwa.

- Wpuść ją.

Pole ochronne przygasło i utworzyło lukę obejmującą cały pokój. W ścianie pojawił się owal, który powiększył się tak, że sięgał od podłogi po sufit. Do środka wmaszerowało dwóch Jagernautów, którzy byli ochroniarzami Kurja. Za nimi weszła kobieta, zarumieniona, wpatrująca się w podłogę. Była prawdziwą pięknoscią. Jej bujne, jedwabiste włosy opadały aż po talię, a łagodną, subtelną twarz okalały złociste loki. Wyglądała jak młodsza wersja mojej matki, nie miała jednak jej energii ani promieniejącej pewności siebie, którą by przyciągała ludzi

niczym nocna lampa ómy. Była od niej o wiele delikatniejsza.

- Możecie odejść. - Kurj skinął na swoich ludzi.

Po wyjściu Jagernautów ściana zamknęła się, a pole ochronne ponownie zafalowało dookoła, otaczając naszą trójkę ze wszystkich stron. Przeszył mnie strach i poczułam się jak nieostrożny owad złapany i zamknięty w szklanym słoiku. Nie mogłam się poruszyć, nie mogłam oddychać...

„Blokada” - pomyślałam i strach uszedł. Dziewczyna nadal stała w miejscu, wbijając wzrok w podłogę. Nie pozdrowiła nawet Kurja, co było wykroczeniem, za które groziło więzienie. Ech, o czym ja myślę. Przecież Kurj mógł ją skazać na dowolną karę, łącznie z karą śmierci. Nikt by mu się nie sprzeciwił. Czułam jednak, że nie o to mu chodzi.

- Chodź tu - odezwał się do dziewczyny.

W pierwszej chwili nawet nie drgnęła. Potem nabrała tchu i ruszyła przed siebie. Stała przed nim i uklękła - najpierw na jedno kolano, a potem na oba, gdy nie pozwolił jej powstać. Jej ramiona drżały, przez co koronkowy dekolot białej sukni, którą miała na sobie, powiększył się i każdy, kto stał przed nią, mógł teraz dostrzec piersi dziewczyny.

Przez chwilę Kurj spoglądał w dół, a potem spytał:

- Czy to ty jesteś tą kobietą, którą widziałem w żłobku, gdy zajmowała się dziećmi?

- Tak, Wasza Wysokość.

- Jak się nazywasz?

- Charissa Deirdre.

- Masz dla mnie wiadomość?

- Tak, Wasza Wysokość - mówiła cichym, łagodnym głosem.

- Cóż to takiego?

- Wasz ochroniarz, panie... Ten największy. Powiedział, że wydaliście rozkazy. Że... że mam was poinformować, gdy... - Nabrała tchu. - Kiedy materiał, który chcecie obejrzyć, będzie gotowy do puszczenia.

- Naprawdę?

- Tttak.

Cóż on wyczyniał, na ognie piekielne? Jeśli chciał obejrzyć jakiś program informacyjny, wystarczyło, żeby nastawił moją konsolę w pokoju, a ta włączyłaby się w chwili rozpoczęcia holowiadomości. Po co miałby kazać dziewczynie pracującej w żłobku, żeby mu o tym powiedziała? Nie, zaraz, to przecież głupie pytanie. Wiedziałam, dlaczego to zrobił. Niektórzy mężczyźni zapraszali pociągające ich kobiety na obiad. Kurj preferował inne metody.

- Wstawaj - powiedział. Jego głos był łagodny, ale nie miałam wątpliwości, że był to rozkaz.

Dziewczyna podniosła się, nadal na niego nie patrząc. Była tak młoda, że mogłaby być jego prawnuczką. Choć wyglądał na wysportowanego, muskularnego czterdziestolatka, miał już dziewięćdziesiąt lat. Pochylił się nad nią - czubek jej głowy ledwie sięgał środka jego masywnej klatki piersiowej.

- Spójrz na mnie - powiedział.

Uniosła swoje wielkie oczy, brązowe ze złotymi plamkami. Jej rumieńce nabrały intensywności. Kurj wsunął dłoń pod jej podbródek i pogładził policzek kciukiem. Dłoń imperatora była tak ogromna, że palce zakryły płatek lewego ucha, a kciuk musnął prawe. Drugą dłonią dotknął komunikatora na nadgarstku.

- Tu Ko, słucham, sir - rozległ się głos ochroniarza.

- Dziewczyna jest gotowa do wyjścia - rzekł Kurj.

Pole ochronne rozsunięło się i dwaj Jagernauci weszli do środka. Kurj zignorował ich, całkiem skupiony na Cha-rissie, która odwzajemniała jego spojrzenie jak płochliwa gazela zahipnotyzowana lampą myśliwego. W końcu pochylił głowę, nadal trzymając jej policzek, i pocałował ją. Nie spieszył się, jakby smakował każdą chwilę, aż wreszcie wyprostował się i spojrzał na ochronę.

- Każcie ją zaprowadzić do pałacu.

- Tak jest, sir - powiedział potężniejszy z dwóch mężczyzn.

Charissa odeszła z nimi w milczeniu, nie spoglądając na żadnego. Gdy zniknęła, usiadłam na łóżku. Zaciśnięte pięści skryłam pod kocem.

Kurj odwrócił się ku mnie.

- Nie zgadzasz się? - spytał po chwili.

- Jesteś empatą. Dobrze wiesz, jak bardzo była przerażona.

- Może. - Wzruszył ramionami.

Może? Jak to możliwe, by stał tu przede mną, nurzając się w jej strachu, i nie zareagował?

Lecz z drugiej strony kto, do jasnej cholery, dał mi prawo, aby oceniać innych? W końcu zabiłam przerażonego pilota, nieledwie dziecko, celowo wyłączając wszystkie emocjonalne reakcje, bym mogła zniszczyć jego statek.

- Gdybyś go nie zabiła, on zniszczyłby ciebie - rzekł Kurj.

Pomyślałam o Aristo.

- I tak oto stajemy się tym, z czym walczymy - stwierdziłam.

- Nie. Tak oto dożywamy kolejnego dnia.

- Więc dla ciebie sztuka przeżycia to gwałcenie każdej kobiety, która ci się spodoba? - usłyszałam swój głos.

- Zapominasz się. - Kurj zeszywniał.

Wspomnienie Tarque'a rozdarło mój umysł. Zmuszał mnie, bym klękała przed nim i w zamian za ulgę w cierpieniach wychwalała go każdym szalonym mianem, które przyszło mu do głowy.

Kurj przesunął dłonią po swych krótkich włosach, a potem podszedł do okna i odsunął zasłony. Jasne, rażące promienie słońca wpadły do środka. Stał w ich blasku, mieniając się i migocząc, zapatrzony w pozostałe budynki szpitala ISK.

- Porównujesz mnie z Hightonem? - zapytał w końcu.

Pokręciłam głową. Nie byłam w stanie rozmawiać z nim na temat Tarque'a. Odwrócił się.

- Przyszło ci kiedyś do głowy, że mogę potrzebować towarzystwa?

Wbiłam w niego spojrzenie. Nie wiem, co zaskoczyło mnie bardziej - to, że dokuczała mu samotność czy jego sposób na radzenie sobie z nią. Przecież Charissa była tak przerażona w jego obecności, iż nawet oddychała z trudem. Cóż z niej będzie za towarzysz dla niego?

- Chciałabyś, żebym ją uwodził - rzucił sarkastycznie. - Żebym się do niej zalecał, łąsił, przymilał.

Jego głos nagle stwardniał.

- Ja nie kłaniam się przed nikim! Nie kłaniam się przed Urem Qoksem, nie kłaniam się przed prezydentem Sojuszu, nie kłaniam się przed żadną kobietą!

„Czy tak postrzegasz miłość?” - zapytałam w myślach. „Jako utratę kontroli? A może karzesz tę opiekunkę za to, że z wyglądu przypomina jedyną kobietę, której pożądasz, a której mieć nie będziesz?”

Nie pozwoliłam jednak, by mnie usłyszał. Niewykluczone, że faktycznie odzywałam się do Kurja śmieiej

i *szczerze*) niż ktokolwiek z żyjących, ale istniały granice tego, co można było powiedzieć - lub pomyśleć - w jego towarzystwie.

Znałam go od wielu, wielu lat, ale mimo to Kurj nadal pozostawał dla mnie zagadką. Miał w sobie mnóstwo dobrych cech. Ba, miał w sobie nawet uprzejmość i życzliwość. Był znakomitym dowódcą, uwielbianym przez swych oficerów, których lojalność nie pozostawiała cienia wątpliwości. Niemniej całe dekady wojen z Handlarzami zahartowały go do tego stopnia, że nie potrafił już okazać uczuć nawet dziewczynie tak delikatnej jak Cha-rissa. Nie znałam sposobu, by uporać się z ciemną stroną osobowości człowieka, którego nazywałam bratem.

Po drugiej stronie pomieszczenia uruchomił się zamontowany w ścianie moduł rzeczywistości wirtualnej. Na jego powierzchni przez chwilę wirowały nieregularne, poznaczone plamkami kształty, po czym ukształtował się hologram przedstawiający smukłą pumę z czerwonymi oczami. Drapieżnik uniósł wargę, ukazując kły, a jego pazury załśniły niczym sztylety. Rozległy się pierwsze takty złowieszczej melodii hymnu Handlarzy.

Aha, a więc Kurj jednak nastawił zawczasu konsolę. Wpatrywał się teraz w ekran z ramionami skrzyżowanymi na piersi, wbijając spojrzenie w symbol swego wroga. Najwidoczniej zapomniał już o Charissie, skupiając się na nowym zadaniu. W przeciwieństwie do niego nie byłam w stanie zapomnieć o niej tak szybko. W myślach nadal widziałam jej twarz pełną przerażenia i wciąż czułam rozpacz, gdy usłyszała słowa Kurja: „Każcie ją zaprowadzić do pałacu”.

„Blokada” - pomyślałam.

Psikona rozbłysła w moim umyśle i wspomnienie dziewczyny nieco przygasło, ale nie odeszło całkowi-

cie. Nie zaskoczyło mnie to, gdyż dobrze wiedziałam, że w ten sposób mogłam jedynie wyciszać emocje innych ludzi. Kasowanie własnych wspomnień było zbyt niebezpieczne, bowiem zawsze zachodziło ryzyko usunięcia innych ważnych informacji.

Puma wyciągnęła łapę, a jej pazury rozpostarły się w wachlarz. W tej samej chwili hymn osiągnął crescendo.

- Kto to nadaje? - zapytałam obojętnym głosem.

- Przechwyciliśmy to od Handlarzy. - Kurj nadal wpatrywał się w pumę.

- Przemawia sam cesarz?

- Tak. - Na jego policzku drgnął mięsień.

Przypuszczałam, że złapaliśmy tę transmisję, zanim jeszcze dotarła do innych światów Handlarzy. Chcąc wysłać ją w eter, Qox musiał najpierw nagrać jej treść, a potem użyć statku kosmicznego jako stacji transmisyjnej. My zaś zaraz po przechwyceniu mogliśmy ją błyskawicznie przerzucić w dowolne miejsce za pośrednictwem Sieci Kyle'a.

Nagranie dotyczyło Tams. Tym razem Qox nie mógł ukryć swej odpowiedzialności - w końcu jego ostatnią próbę ludobójstwa przeżyło dwieście milionów świadków. Ich zeznania obalą wszelkie kłamstwa.

Puma zniknęła, a my znaleźliśmy się w środku wielkiej, okrągłej sali. Wysoko nad naszymi głowami sufit tworzył białą kopułę. Wykonane z białego kamienia ławy z wysokimi oparciami tworzyły serię wielu koncentrycznych kręgów. Wyściełały je poduszki w kolorze krwi. Wokół tłoczyli się Aristo, całe setki, a nawet tysiące. Siedzieli jeden przy drugim, niczym trybiki wielkiej maszyny, co do jednego strojni w czerń, z lśniącymi czarnymi włosami i rubinowymi oczami.

W centrum sali wyrastała kryształowa kolumna sięgająca nieomal do sufitu, załamująca i rozszczepiająca światło na różnokolorowe refleksy. Za kolumną, w powietrzu, pojawiła się przyczajona puma. Zwierzę niespodziewanie zaczęło rosnać. Jego tylne łapy rozciągnęły się, ciało przybrało pozycję pionową, przednie łapy przeistoczyły się w ramiona i nagle w miejscu tym pojawił się szczupły mężczyzna wzrostu około dwóch metrów, potem trzech, czterech... Gdy przemiana dobiegła końca, przybyły gość był pięciometrowym olbrzymem, którego głowa prawie dotykała sklepienia. Już na pierwszy rzut oka dało się zauważyć hightońskie rysy twarzy, choć prócz nich osobnik ten nie miał żadnych cech szczególnych. Wyróżniała go jedynie jego prezencja, namacalna aura niekwestionowanego autorytetu.

To był sam Ur Qox, cesarz Eube.

Muzyka ucichła, a wtedy mężczyzna odezwał się potężnym głosem w swoim ojczystym języku:

- Rodacy, staję dziś przed wami przepelniony dumą. Cieszymy się! My, dzieci Eube, zostaliśmy wybrani! Przy padł nam nieznanym dotąd zaszczyt, honor współtworzenia wielkiej cywilizacji, mechanizmu napędowego całej galaktyki! Promieniejemy tam, gdzie kiedyś ciągnęły się ciemności...

Na ognie piekielne, jak długo można? Eubiański władca zdawał się gadać bez końca, opisując swoje cesarstwo coraz bardziej wydumanymi, pretensjonalnymi przymiotnikami. O Tams nie zająknął się ani słowem. Czy on naprawdę sądził, że jest w stanie to ukryć? Nie mogłam już go słuchać. Sam widok sprawiał, że skóra swędziała mnie, jakby wgryzały się w nią tysiące małych stworzonek. Qox, Hightoni, wszyscy Aristo... Wystarczył ich

widok, by obudził się w nas strach, zupełnie jakby nasze umysły wyczuwały podświadomie, jak wielką krzywdę mogliby nam wyrządzić.

- Rodacy, staję tu, bowiem mam dla was wspania łą wieści - cesarz zmienił nagle temat przemowy. - Oto wszechwieczna groźba zniewolenia nas przez naszych podstępnych wrogów na naszych oczach została bezprowrotnie unicestwiona.

Jego oblicze stwardniało, jakby próbował opanować święty gniew.

- Tams, jeden z najbardziej bezbronnych członków Ugody, będzie ostatnią ofiarą bezlitosnego Imperialatu, a wczorajszy dzień będzie ostatnim, kiedy nasz wróg bez najmniejszego powodu i z zaskoczenia zaatakował i zniszczył jedną z naszych planet.

Co takiego? Stojący obok mnie Kurj zeszywniał. Wszędzie dookoła nas Aristo stukali z podnieceniem swoimi zdobnymi pierścieniami, a mnie przez moment wydawało się, iż znajduję się pośród stada ogromnych owadów.

- Mówię te słowa pogrążony w wielkim smutku - ciągnął grobowym głosem cesarz. - Ludność Tams poniosła wielką ofiarę. Czteryście milionów niewinnych obywateli zginęło z rąk imperatora Skolii.

Nie mogłam w to uwierzyć. On obwiniął nas! Oczy Kurja były przesłonięte, a twarz wydawała się metalową maską, ale byłam empatką, kobietą z jego rodu - starał się ukryć swój gniew, jednak ja go i tak wyczuwałam.

Na twarzy Qoksa pojawił się tryumf.

- Na szczęście nasi nieustraszeni piloci zdołali odegnać podżegaczy wojennych, dzięki czemu ocaliliśmy dwieście milionów istnień!

Zacisnęłam zęby. Było gorzej, niż się spodziewałam.

- Rodacy, nie mogę przypisywać sobie zasług za uratowanie ludności Tams - w głosie Qoksa pojawiła się duma. - Nie, wszelkie słowa uznania należą się bohaterowi, który nie ma sobie równych, człowiekowi, którego wielkość dopiero zaczęła jaśnieć, gwiazdzie, która roz błysła w najciemniejszej godzinie Tams!

Skinął na kogoś pozostającego poza zasięgiem kamer. Przez krótką, pełną napięcia chwilę stał sam, czekając z wyciągniętą dłonią.

Potem na podium pojawił się Jaibriol.

„Na bogów” - przemknęło mi przez głowę i natychmiast zasłoniłam się szczelną blokadą.

Qox spoglądał na zgromadzoną przez nich arystokrację swojego imperium.

- Ten oto człowiek dowodził misją, która ocaliła bazę na Tams. - Położył dłoń na ramieniu Jaibriola. - Przedstawiam wam lorda J'briola U'jir Qoksa. Mego syna. Dziedzica hightońskiego.

- Niemożliwe - rzekł Kurj.

Zebrani Aristo niemal jednocześnie nabrali tchu i wypuścili powietrze, a odgłos ten przypominał szum skrzydeł spłoszonych, ulatujących wspólnie ptaków. Ich pierścienie stukały dziko, stuk-stuk-stuk, stuk-stuk-stuk. Jaibriol ledwie przypominał człowieka, którego poznałam na Delos. Jego oczy obwiedziono czarną kreską. Stał obok swego ojca niczym martwy posąg, milczący i ponury.

Qox wyjaśnił, dlaczego ukrywał istnienie syna - ponoć dowiedział się o zabójcach, wysłanych przez Imperialat z misją zamordowania następcy tronu, niemniej wszyscy oni polegli w walce z dzielnymi eubiańskimi żołnierzami, którzy bronili sukcesora z narażeniem życia. Wystąpienie zakończył kolejnym peanem na temat

wielkości siebie samego, swojej dynastii, rodu Hightonów oraz całego imperium. Przez cały ten czas Jaibriol stał u jego boku, posępny, wysoki, barczysty, nieodrodny potomek swych wielkich przodków, bohater w każdym calu, cudownie piękny dziedzic dynastii Qoksa. Wiedziałam, że dla Handlarzy stanie się obiektem kultu.

Na szczęście transmisja dobiegła końca, a sala rozplynęła się. Wokół siebie znów widziałam ściany pokoju szpitalnego. Siedziałam na łóżku, zbyt oszołomiona, by odezwać się choć słowem.

- To nieprawdopodobne - rzekł Kurj. - Obwinia nas o tragedię na Tams.

- Nikogo tym nie przekona - odparłam. - Mamy dwieście milionów świadków na to, że było inaczej.

„A może ten jego cholerny syn zginie marną śmiercią w bitwie” - pomyślał Kurj.

Może. Ta strata ugodziłaby Qoksa znacznie głębiej, niż się Kurjowi zdawało. Zniszczyłaby szatański plan dwóch pokoleń cesarzy, którzy poświęcili swoją żalną czystość krwi, by spłodzić rhońskie dziecko. Ale cesarz nie podjąłby takiego ryzyka - byłam tego pewna.

Ciekawe, co zrobiłby Qox na wieść o tym, że świadkowie jego ohydnej zbrodni przeżyli tylko dlatego, że Jaibriol, „gwiazda, która rozbłysła w najciemniejszej godzinie Tams”, zdradził swego ojca z dziedziczką tronu Imperialatu.

Blackstone leżał nieruchomo na plecach i tylko ledwie widoczny ruch klatki piersiowej zdradzał, że wciąż żyje. Jego szczupła zazwyczaj twarz była teraz jeszcze bardziej wychudzona i blada. Niebieska pidżama, którą miał na

sobie, kontrastowała ze złotym prześcieradłem podciągniętym aż po ramiona. Kołnierz pod szyją był rozpięty, przez co Rex przypominał mi kogoś zupełnie bezbronnego. A może to tylko złudzenie - w końcu tak bardzo przywykłam do jego skórzanego munduru Jagernauty.

Leżał na lewitorze działającym na zasadzie poduszki powietrznej. Siateczka kolistych nadprzewodników wplecionych w tkaninę pozwalała materacowi reagować na każdy ruch pacjenta, a w przypadku Reksa sprawiała, że materiał stwardniał pod jego plecami i stał się miękki na wysokości nóg. Lewitator kołysał się lekko, niczym łódź unosząca się na spokojnych falach. Większość em-patów wołała ten typ łóżek od tych z nervopleksu, ponieważ ich zachowanie bardziej przypominało im materię nieożywioną niż nieustanne migotanie zmiennobarwnych tworzyw.

Stałam w pół drogi, zastanawiając się, czy mam zostać i czekać, czy może wrócić po jego przebudzeniu. W końcu zdecydowałam się wyjść z pokoju, ale idąc w stronę drzwi, usłyszałam za sobą ochryply szept:

-Soz?

Odwrociłam się. Radość wypełniła mnie do tego stopnia, iż zupełnie zapomniałam, co chciałam powiedzieć.

- Obudziłeś się - stwierdziłam jak jakaś idiotka.

- Wszystko na to wskazuje - odparł słabym głosem, patrząc na mnie obojętnie.

- Jak się czujesz?

- Nieźle.

„Rex, tak mi przykro” - pomyślałam.

- Za co? Za to, że uratowałaś mi życie?

- Za to, że... - Spojrzałam na obrys jego nóg pod prześcieradłem. - Za to.

- Paraliż - rzekł Rex. - To się nazywa paraliż.

- Przepraszam...

- Soz, przestań. - Odsunął kosmyk włosów z kącika oka, a łóżko natychmiast dostosowało się do zmiany sylwetki. - Przestań się winić za coś, za co nie odpowiadasz. Nie udźwignę tego.

Otworzyłam usta, ale uświadomiłam sobie, co mam zamiar powiedzieć i tylko uśmiechnęłam się.

- Co w tym zabawnego? - spytał Rex.

- Właśnie miałam cię przeprosić za to, że cię przeprosiłam.

- Tylko nie to. - Rex również się uśmiechnął. Usiadłam na łóżku, a lewitator dopasował się do mojego ciężaru. Ujęłam Rekxa za dłoń.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałam. - Po trzebujesz tylko trochę czasu, żeby się do tego przyzwyczaić.

Oplótł moje palce swoimi.

- Soz...

Jego spojrzenie tchnęło we mnie niepokój.

- Co takiego?

- Myślę, że powinniśmy dać sobie spokój ze ślubem.

- Ty chyba żartujesz...

- Tylko nie mów, że i tobie nie przyszło to do głowy.

- Słuchaj, nie interesuje mnie, że nie możesz chodzić...

- Ale mnie interesuje.

„Damy sobie z tym radę” - przekazałam w myślach.

Rex osłonił swój umysł szczelną blokadą.

- Interesuje za każdym razem, gdy cię widzę... Po prostu nie mogę, Soz...

„Nie blokuj mnie” - poprosiłam. „Czy ty niczego nie rozumiesz?” Uścisk jego dłoni spotężniał.

„Nie!" Przygryzłam dolną wargę. „Obiecałeś, że mnie nie zostawisz! Że nie odejdziesz!"

„Że nie odejdziesz?" - wybuchnął. „Ja nie jestem w stanie dojść do tych drzwi!"

„Co nie znaczy, że przez to kocham cię mniej!"

„Soz, zrozum, ja nie jestem już w stanie wypełniać małżeńskich powinności!" Zacisnął zęby.

„To może się jeszcze zmienić".

„A jeśli nie?"

„Mam to gdzieś".

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

„Soz, masz ciało i popędy młodej kobiety i nadal będziesz je mieć, gdy ja się stanę belkotliwym staruchem" - stwierdził gorączkowo, usiłując jednocześnie zapanować nad emocjami. „Nie mam ochoty przyglądać się, jak wyszukujesz sobie kolejnych kochanków".

„Mówisz, jakbyś mnie nie znał". „Wbiłam w niego spojrzenie.

„Jesteś zwykłą kobietą, a nie świętą".

Cóż, temu akurat zaprzeczyć nie mogłam, ale w kwestii kochanków mylił się całkowicie.

„Nigdy bym się od ciebie nie odwróciła".

„Do jasnej cholery, Soz, czy ty mnie słuchasz?" Wsparł się na łokciu. „Nie będę kalekim mężem imperatorki!"

„Nie jestem imperatorką".

„Ale nią zostaniesz i potrzebujesz godnego siebie małżonka".

„Nie musisz mi tego mówić" - z trudem utrzymywałam spokojny ton. „Ale nawet jeśli kiedyś przejmę tron, nie będzie to miało dla mnie żadnego znaczenia!"

„A dla mnie będzie miało ogromne".

„Rex, damy sobie z tym radę".

Położył się i wbił spojrzenie w sufit. Potem otworzył swój umysł, rozchylając barierę tak szeroko, jak to tylko było możliwe. Dowiedziałam się, o czym myśli, gdy tak leży, bezradny i okaleczony, a także jak bardzo cierpi, kiedy wspomina, kim kiedyś byliśmy i kim nigdy już nie będziemy. Poczułam cały jego gniew i frustrację. I ból wywołany moim widokiem - zupełnie jakby jakiś laser ciął jego ciało na kawałeczki. Nie życzyłam tego żadnemu człowiekowi we wszechświecie, a tym bardziej mężczyźnie, którego kochałam.

- Do widzenia, Sauscony - powiedział.

- Do widzenia - zdołałam odpowiedzieć.

Wyszłam z jego pokoju oślepiona łzami.

Biuro imperatora sprawiało wrażenie ogromnego i zarazem niemal całkowicie pustego pomieszczenia. Nie umieszczono w nim ani zdobnych dywanów, ani ekstrawaganckich dekoracji, a mebli było dokładnie tyle, ile wymagała tego wygoda i funkcjonalność. Na trzech ścianach, które wykonano z materiału łączącego właściwości szkła i metalu, połyskiwały złote płaskorzeźby, przedstawiające sceny z pustynnej planety, będącej ojczyzną naszego dziadka. Pięćdziesiąt pięć lat temu to on zasiadał w tym gabinecie - zanim zabił go Kurj. I mniejsza o to, czy zrobił to przez przypadek, czy nie.

Zawsze zastanawiałam się, jak zareagowała nasza matka na wieść o tej tragedii. Zgromadzenie oczywiście zawyrokowało, że był to wypadek, ale czytając zapisy z obrad, zadawałam sobie pytanie, czy doszli do tego wniosku dlatego, że w to naprawdę wierzyli, czy może

obawiali się potęgi Kurja. Jedno było pewne, dramatyczna sytuacja w mojej rodzinie - po śmierci dziadka, panicznej ucieczce matki i jej potajnym ślubie z moim ojcem - zagroziła istnieniu Imperialatu. Gdyby Rhoni zniszczyli samych siebie, Sieć Kyle'a przestałaby istnieć, a bez niej Skolia natychmiast padłaby ofiarą Handlarzy. Zgromadzenie zrobiło wszystko, co było konieczne, by zapewnić przetrwanie gorącokrwistej, wybuchowej rodzinie, która utrzymywała istnienie Sieci.

Matka nigdy nie wspominała o śmierci swojego ojca. Czy Kurj naprawdę go zamordował? Przypuszczalnie tylko on znał prawdę. Matka zaś, bez względu na to, co czuła, nadal kochała Kurja. Bogowie jedni wiedzieli dlaczego, ale naprawdę go kochała.

Kurj siedział na swoim fotelu i przyglądał mi się spod łba. Jego biurko rozciągało się na całą długość pokoju - był to gruby, szklany blat z wbudowanymi rzędami kontrolek i paneli, wsparty na kolumnach. Ścianę za jego plecami w większości zajmowało ogromne okno, którego szyba łagodziła intensywne, ostre światło dieshańskiego słońca. Biuro zajmowało najwyższe piętro wieży w metropolii Miasta-Kwatery, za oknem rozciągała się więc panorama prostokątnych wieżowców ze szkła, stali i lu-mineksu. Zza najbliższego budynku wyłonił się jakiś pojazd latający i zatoczył łagodny, zgrabny łuk. Promienie słońca odbiły się od jego połyskliwego, czarnego kadłuba i zamigotał srebrny emblemat Imperialnych Sił Kosmicznych - obwiedzione trójkątem litery ISK wpisane w eksplodujące słońce.

Ku mojemu niezadowoleniu na ścianie okiennej nie umieszczono żadnych zasłon, a do tego Kurj celowo kazał ustawić polaryzację szyby tak, aby słońce nieprzyjem-

nie raziło jego gości w oczy, nie oślepiając ich jednak całkowicie - stałam więc wyprostowana na baczność przed jego biurkiem, usiłując powstrzymać się od mrugania. Nawet pomimo tego, że moje nerwy optyczne zostały wzmocnione, nie potrafiłam skoncentrować się jednocześnie na lśniącej intensywnie panoramie miasta oraz ocienionej twarzy Kurja. W efekcie mój brat był dla mnie jedynie ciemną sylwetką, a jego oblicze wydawało się nieprzeniknione.

- Udasz się na planetę Foreshires Hold - oznajmił. - Chcę, byś trenowała kadetów Wojskowego Instytutu Jacoba.

Nie miałam na to najmniejszej ochoty.

- Proszę o pozwolenie na zabranie głosu - powiedziałam.

- Słucham.

- Chciałabym znów stanąć na czele dywizjonu Czarnej Gwiazdy.

Kurj nie spuszczał ze mnie spojrzenia. Jego umysł napierał na mój niczym ogromny ciężar, ale nie przejmowałam się tym. Chciałam jedynie wydostać się stąd i walczyć tak długo, aż każdy Handlarz dozna tyle samo cierpienia, co ludność Tams, co każdy ich dostarczyciel. I co Rex. Chciałam się wyrwać w kosmos i szatkować tych sukinsynów.

- A więc marzy ci się kolejna misja bojowa? - zapytał Kurj.

- Tak jest, sir.

- Chcesz walczyć z Handlarzami.

- Tak jest, sir.

- Zabijać ich.

- Tak jest, sir.

Jego spojrzenie nawet nie drgnęło.

- Kiedyś odbyłem podobną rozmowę... z Reksem Blackstone'em.

- Nie rozumiem? - To stwierdzenie zbiło mnie z tropu.

Kurj wstał i podszedł do okna. Stał odwrócony do mnie plecami, z dłońmi splecionymi z tyłu, i przyglądał się miastu. Swojemu miastu. Swojej planecie. Swojemu imperium.

- To było wtedy, gdy wróciliście we dwójkę z Tams - podjął. - Po tym, jak uciekłaś z rąk Kryksa Tarque'a.

Zesztywniałam. Kurj doskonale znał moje raporty i wiedział, co się tam wydarzyło, ale do tej pory nigdy o tym nie rozmawialiśmy, a ja nie miałam ochoty robić tego teraz.

- Myślisz pewnie, że chcę się zemścić za to, co spotkało Rekxa - powiedziałam.

- A jest inaczej?

- Cóż, chyba nie.

- Czasem pragnienie zemsty przyćmiewa umysł.

- Mnie to nie dotyczy.

- Blackstone powiedział to samo.

- Ale to inna sytuacja.

- Nieprawda. - Kurj odwrócił się ku mnie. - Zrozum, że jesteś mi potrzebna. Zdrowa na ciele i trzeźwa na umyśle.

- Szukasz problemów tam, gdzie ich nie ma.

Kurj nie odpowiedział. Nawet nie drgnął. Stał i przyglądał mi się z kamienną twarzą.

„Ostrzeżenie” - przekazał węzeł. „Ingerencja z zewnątrz.”

A niech sobie zagłada. To fakt, że nie istnieli telepaci, których moc mogłaby dorównać mocy Kurja, ale wie-

działam też, że nie różniła się ona niczym od jego siły fizycznej - była tak samo surowa, tępa i brutalna, co oznaczało, że nie miał w sobie finezji potrzebnej do odkrycia tego, co chciałam przed nim teraz zataić.

Stał przez dłuższą chwilę w bezruchu, aż w końcu powiedział:

- Kwestia misji bojowej pozostanie otwarta, ale póki co potrzebuję cię w instytucie. Przyda się tam dobry trener.

- Tak jest, sir - odparłam, postanawiając dłużej nie naciskać.

Jednocześnie gdzieś za wszystkimi moimi barierami, w samym sercu mojej lodowej fortecy kryjącej najskrytsze emocje, pojawiła się myśl:

„Ale wróć. Mam tu jeszcze wiele spraw do załatwienia”.

**CZĘŚĆ
DRUGA.**

**FORESHI
RES
HOLD**

Czas poszukiwań

Przybycie na Foreshires Hołd pod wieloma względami przypominało powrót do domu. No, prawie. Dawno temu, zaraz po otrzymaniu mojego stopnia, stacjonowałam tu przez kilka lat i żyłam się z tym miejscem jak z żadnym innym. Baraki, w których wówczas mieszkałam, stanowiły fragment niewielkiego kompleksu mieszkalnego, położonego niedaleko Wojskowego Instytutu Jacoba, który z kolei leżał jakieś dwadzieścia kilometrów od miasta Eos. Dziś rozciągała się tu zamożna dzielnica, a same baraki zostały przebudowane na luksusowe, szanowane ze względu na wiek apartamentowce. Szczerze powiedziawszy, wolałabym chyba zatrzymać się w zwykłych koszarach - skromne warunki przynajmniej nie pozwoliłyby mi myśleć o sprawach, których roztrząsać wcale nie chciałam.

Moim zadaniem było stworzenie programu, dzięki któremu kadeci wij-u osiągnęliby lepszą kondycję fizyczną. W ośmiodniowym cyklu poświęcałam im dwa dni, a przez resztę czasu zajmowali się nimi instruktorzy, pracujący wedle ułożonego przeze mnie harmonogramu. Był to całkiem udany program, dzięki któremu każdy z kadetów mógł się znaleźć w szczytowej formie, niemniej po zakończeniu swoich wykładów nie miałam

kompletnie nic do roboty. Przez sześć dni siedziałam więc w moim apartamencie położonym na samym szczycie budynku i rozmyślałam. Wiedziałam, o co chodziło Kurjowi. Chciał, żebym uwolniła się od napięcia, które jego zdaniem przeszkadzało mi w normalnym funkcjonowaniu. Byłam istotnym trybem w wielkiej maszynie wojennej, który jego zdaniem wymagał naprawy. Dał mi więc niedorzeczny rozkaz i skazał na pobyt w pięknym mieście na pięknej planecie, zakładając, że natura zajmie się resztą.

Pomylił się. Natura nie mogła mi pomóc. Co gorsza, z każdym dniem coraz bardziej narastała we mnie złość. Byłam głupia, że zgodziłam się na to wygnanie. Powinam walczyć, a nie rozmyślać o głupotach i się relaksować.

Kurj miał rację w jednej tylko kwestii. Program WIU-U rzeczywiście wymagał przeróbek. Dlatego właśnie przekonstruowałam harmonogram kadetów - począwszy od tego, co jedzą na śniadanie, przez ilość przebieganych kilometrów aż po przeszkody, na które się wspinali. Jedynie czternaście procent spośród nich mogło sprostać wymaganiom fizycznym, gdy testowałam ich po raz pierwszy.

Char Iaki, komendant wij-u, zaprosił mnie pewnego popołudnia do swego biura. Na zewnątrz, w blasku złocistego słońca, widać było dziedziniec, a na nim kadetów, zmierzających na zajęcia, do biblioteki lub do symulatorów.

- Potrzeba im więcej czasu na naukę - powiedział Char. - Pod koniec dnia są tak wyczerpani, że ruszyć się nie mogą, nie mówiąc o nauce.

- W DAW-ie mieliśmy jeszcze surowsze wymagania - odparłam. Dieshańską Akademię Wojskową, któ-

ra kształciła całe pokolenia Jagernautów, kończyła tylko połowa każdej klasy, istniał jednak ku temu ważki powód. - Ci kadeci to elita. Najlepsi z najlepszych. Jeśli nie potrafią sprostać naszym oczekiwaniom, to lepiej, żebyśmy dowiedzieli się o tym tutaj niż podczas walki, kiedy od ich umiejętności zależeć będzie czyjeś życie.

- Szkolenie i gnębienie to dwie różne rzeczy - stwierdził sucho laki.

Po tej rozmowie wróciłam do swojego mieszkania i zaczęłam się zastanawiać, czy rzeczywiście nie przesadzam. Po co ja w ogóle przejmuję się jakimś głupim ćwiczeniem kadetów? Przecież Handlarze są nieugięci. Zniszczą nas bez względu na opór. Po co to wszystko? I tak umrzemy, pochłonięci przez maszynę wojenną Ari-sto.

„Nie smęć, dziewczyno" - napomniałam się w myślach.

Podniosłam holoksiążkę, którą zostawiłam zeszłej nocy na sofie. Połyskliwe, różowe litery układały się w słowa: „Idiomy z daleka". To było moje hobby - uczyłam się figur retorycznych spotykanych w innych językach. W dzieciństwie bawiłam się w to z moim bratem Kelrikiem, z którym całymi dniami wyszukiwałam różnego rodzaju zwroty i powiedzonka. *Sauscony estd con-struyendo castillos en el aire*. Sauscony buduje zamki w chmurach. O, i ciekawy przykład z angielskiego: *shot to high heaven*.

Westchnęłam, odłożyłam książkę, a potem poszłam do okna w salonie i rozejrzałam się po okolicy. Budynek wznosił się na skraju Jacob's Shire, parku pełnego łagodnych wzgórz, które porastała chmurzana trawa, przez co przypominały złociste chmury. Bursztynowe słońce wisiało nisko nad horyzontem. Nie świeciło tak

intensywnie jak nad Dieshą, a jednocześnie dzień był tu krótszy niż na Delos.

Ze wszystkich miejsc, w których mieszkałam jako dziecko, najbardziej lubiłam Foreshires Hold. Była to druga planeta krążąca wokół pomarańczowego słońca Ruth, nazwanego tak po badaczce, która odkryła ten system planetarny. Przed nastaniem rządów ISK zamieszkujący ów świat ludzie swoje dwadzieścia trzy miasta po prostu numerowali i dopiero jakiś administrator z poetycką duszą zamienił nazwę jednego z nich na Eos, czcząc w ten sposób pamięć bogini świtu, o której czytał w mitologii Sojuszu.

Kurj nie miał za grosz poetyckiego zacięcia i preferował nazwy dosłowne oraz konkretne, jednakowoż od zawsze był zafascynowany mitologią Ziemi, a zwłaszcza dziełami tragika zwanego Seneką. Sama nigdy go nie czytałam, ale i tak wątpiłam, czy Kurj wiedział, co go przyciągało do twórczości tego artysty. W każdym razie mój brat ostatecznie pozwolił, by nazwa Eos zastąpiła funkcjonującą wcześniej Ruth-2, ***17.

Rozumiałam powody, dla których ludzie tak szczerze zachwycali się tym miejscem. Jego piękno od zawsze skłaniało mieszkańców, potomków kolonistów sprzed stu lat, do poetyckich wynurzeń. Tutaj, na trzydziestym stopniu szerokości północnej, okalające planetę pierścienie tworzyły swoisty most na niebie, który osiągał najwyższy punkt dokładnie na południu. Gdybym dla odmiany znalazła się na równiku, pierścienie przechodziłyby dokładnie nad moją głową, tak wąskie, że niemal niewidoczne. Z miejsca, w którym teraz przebywałam, widać było szersze pasmo, którego dolna krawędź ciągnęła się na wysokości czterdziestu jeden stopni nad horyzontem, a wyższa na wysokości czterdziestu pięciu

stopni. Pierścienie miały białawo-złoty odcień, lecz na wschodzie i zachodzie, gdzie horyzont wieńczyły góry, przechodziły w pomarańcz, róż, a na końcu w czerwień.

Ciekawiło mnie, jak to wszystko wyglądało setki lat temu, gdy od powierzchni Foreshires Hołd odbiła się asteroida. Skutki tej katastrofy nie mogły być nazbyt poważne, zważywszy na fakt, że planeta wciąż istniała, a jedyną pamiątką po zderzeniu były owe pierścienie, jednakże fauna i flora nadal przystosowywały się do nowych warunków klimatycznych. Zresztą nie tylko do nich. Na skutek tarć z górnymi warstwami atmosfery oraz zderzeń między skalnymi odłamkami tworzącymi pierścienie na powierzchnię Foreshires nieustannie spadały spore kawałki metalu. Na tle nocnego nieba zjawisko to przypominało zwykły deszcz meteorów, ale jego skutki były o wiele poważniejsze. W powietrzu wечно unosił się pył - szkodliwe substancje zmieszane z popiołem, tworzące naturalny smog, którego nic nie było w stanie rozwiać. Bursztynowy blask słoneczny był ponadto bliżej czerwonego końca spektrum i z tych właśnie powodów niebo tu miało kolor złoty, a nie błękitny, jak na większości planet z atmosferą azotowo-tlenową.

Wielu ludziom podobne widoki zapierały dech w piersiach, lecz dla mnie wszystko to było teraz cokolwiek dziwaczne. Zresztą i tak nie miałam ochoty na zachwyty. Chciałam się spotkać z ludźmi. Nie z robotami, maszynami czy Jagernautami. Z normalnymi, prawdziwymi ludźmi.

Pochyliłam się i rozmasowałam skurcz w łydce. Przyciąganie było tu większe, niż się do tego przyzwyczaiłam, choć i tak nie przebijało grawitacji na mojej ojczystej planecie, niemniej przystosowanie się zawsze chwilę

trwało, zwłaszcza po pobycie w przestrzeni kosmicznej czy na Dieshy.

Podeszłam do okna wychodzącego na zachód, ku miastu. Blask wieczornego słońca opromieniał ciągnący się dołem bulwar. Większą część ulicy zakrywały bujne korony drzew, które zaczynały się już kilka metrów poniżej poziomu mojego mieszkania. Ich skupisko tworzyło zielony dywan, ciągnący się wiele kilometrów na zachód i na północ. Przez moment poczułam się, jakbym mieszkała nad puszystymi, zielonymi chmurami. Niedaleko mnie grubą warstwę gęstego listowia przebijała wieża, a dalej widać było kolejne. W niczym nie różniły się od tej, w której mieszkałam obecnie - zwykle konstrukcje z metalu i kasatonu, które jednak przypominały delikatne twory z palisandru, hebanu i kości słoniowej. Pomyślałam, że wyglądają zupełnie tak, jakby ktoś zawiesił je na tle złocistego nieba. Każda uformowana była w łuk przywodzący na myśl pierścienie wokół planety, przy czym najbliższa z nich zwracała się wypukłą stroną na zachód, inne zaś - bez żadnego konkretnego planu - w rozmaite kierunki.

Spojrzałam w dół, chcąc sprawdzić, czy ktoś spaceruje po bulwarze. Czasami, gdy silniejszy podmuch rozchyłał gałęzie, mogłam dostrzec błady błękit kamieni, którymi wybrukowano puste ulice - i właśnie w jednej z takich chwil dojrzałam parę, ubraną w kuse stroje, które przypominały szare i różowe płatki furkoczące na wietrze. Niewiele można było z tej wysokości zobaczyć, ale wydawało mi się, że kobieta się śmieje. Towarzyszący jej mężczyzna był potężnym człowiekiem o ciemnych włosach i donośnym głosie. Zupełnie jak Rex.

Odwrociłam się od okna. Na żar piekiel, co też odbiło mojemu bratu, że posłał mnie akurat tutaj, gdzie nie

ma nic ciekawego do roboty i można tylko zadręczać się myślami?

Cóż, najwyższa chyba pora ruszyć się z tego apartamentu - wyjść na świat, spotkać się z kimś, porozmawiać. Tylko z kim? Jedyne znane mi ludzi na Foreshires Hołd byli członkowie personelu wojskowego. Poza tym ciągle zapraszano mnie na uroczyste obiady w ambasadzie Imperialatu, na które nieodmiennie przybywałam w moim złocistym mundurze z lśniącymi spodniami, tuniką i pasem, a także z regulaminową szablą u boku, której jedynym zadaniem było to, aby błyszczeć. Istna makabra.

Zerknęłam na zamontowaną w ścianie konsolę, podłączoną do systemu sieciowego zwanego Pak 20. Za jego pośrednictwem mogłam dostać wszystko, na co tylko miałam ochotę. Prawie wszystko, bo coś mi się nie wydaje, by mogła dostarczyć męża. Cholera, a może? Co stoi na przeszkodzie, żeby zainstalować w sypialni rzeczywistość wirtualną?

- Pako, potrzebne mi ciuchy - powiedziałam.

Na konsoli zapaliło się światełko.

- Mundur galowy czy służbowy? - zapytał Pako.

- Nie chodzi o mundur. Chcę jakieś ciuchy. Ubrania.

No wiesz, to, co noszą normalni ludzie.

- W jakim stylu?

W jakim stylu?

- Pojęcia nie mam. Wybierz coś, co mieszkanka tej planety założyłaby na spacer.

Pako wyświetlił hologram, przedstawiający moją nagą postać. Zaskoczyło mnie, jak młodo wyglądam. Potem pojawiło się na niej ubranie - czy może raczej coś, co ledwie zakrywało moje ramiona, piersi i pośladki.

- Czy ten styl pani odpowiada? - zapytał Pako.

- Chodziło mi o ubranie, a nie o jakieś strzępki - po wiedziałam czerwona jak burak.

Strój rozciągnął się i zamienił w przejrzystą, błękitną suknię, która sięgała prawie do kolan.

- Czy ten styl pani odpowiada?

Zazwyczaj nie nosiłam tak kusych ubrań, ale w porównaniu do tego, co inne kobiety tu nosiły - a raczej czego nie nosiły - strój ten można było nazwać wręcz konserwatywnym.

- Chyba tak. Przyślij to do mnie.

Po kilku minutach do moich drzwi zastukał młody, uśmiechający się nieśmiało mężczyzna w schludnym uniformie. Przyniósł suknię, a także pasujące do niej buty - błękitne pantofelki z małutkimi, srebrnymi dzwoneczkami, które wisały na skraju kostki. Kiedy już zostałam sama, przebrałam się szybko. Spoglądając w lustro, odkryłam, że suknię wykonano z koronki. Po co? Do tego dekolci był zbyt głęboki, brakowało rękawów, a na odkrytych plecach krzyżowały się jedynie dwa cieniutkie paseczki. Czuję się naga.

- No i co z tego? - mruknęłam.

Po opuszczeniu budynku uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia, dokąd iść. W tej dzielnicy było niewiele budynków, głównie drzewa i place wyłożone błękitnym kamieniem. Niektóre ścieżki ozdobiono różowymi i złotymi mozaikami. Na szczęście nigdzie nie widziałam nervopleksu.

Przeszłam przez ulicę i weszłam do parku. Przez dłuższą chwilę spacerowałam po ścieżkach pod drzewami. Tego wieczoru powietrze było czyste i rześkie, a zawartość pyłu spadła do mało zauważalnego poziomu. Ludzie przechodzili obok mnie niespiesznym krokiem, pozdrawiali skinieniem, życzyli dobrej nocy. Niektórzy

mężczyźni uśmiechali się zalotnie. Wszyscy wokół nosili buty z dzwoneczkami, przez co park wypełniła słodka, ledwie słyszalna melodia. Z pewnością była to jakaś nowa moda, nigdy dotąd bowiem o czymś takim nie słyszałam - choć z drugiej strony nigdy nie przyszło mi do głowy, by udać się na taki spacer. Poczułam się jak intruz. Nie pasowałam do tego miejsca. Ten piękny wieczór należał do zwykłych ludzi.

W końcu odkryłam kawiarenkę, nad którą wisiał pozłacany szyld. Wielkie litery głosiły: „Marzenie Hea-ther”.

„Ciekawe, o czym ta Heather marzy?” - pomyślałam i zaciekawiona pchnęłam drzwi.

Przedemną pojawiła się potężna kobieta w fartuchu.

- Świetnie - powiedziała z szerokim uśmiechem.
-W samą porę.

- Co takiego?

Popędziła mnie do półksiężycowatego stołu z nieheb-łowanego drewna i usadziła na ławie po jego wklęsłej stronie.

- Proszę bardzo.

Obok mnie usiadł młodzieniec, który nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat.

- Cześć - powiedział. - Jestem Pulli.

Zamrugałam ze zdziwienia, a kobieta spytała:

- Czy ktoś z was ma ochotę na coś do picia?

- Dla mnie sok z korzeniny - rzekł Pulli.

Sok z korzeniny? Nie do wiary! Ludzie, którzy go piją, łykają także witaminy i jedzą paskudne warzywa, wyglądające jak miniaturowe kapusty. Dlaczego ona usadziła mnie z tym całym Pullim?

Nim zdążyłam uciec, pojawili się kolejni ludzie. Z każdą chwilą wokół stołu robiło coraz tłoczniej, a goście

wkrótce obsiedli zarówno wypukłą, jak i wklęsłą część, zamawiając drinki i przedstawiając się sobie. Niespodziewanie znalazłam się w samym środku tłumu wielbicieli korzeniny. Wszyscy mówili jednocześnie, opowiadali, gdzie mieszkają, czym się zajmują, gdzie chodzili do szkoły. Wszyscy oni byli absolwentami uniwersytetu, młodymi profesjonalistami, co do jednego kipiący mi zdrowiem.

Wysoki, chudy mężczyzna otoczył mnie ramieniem i uśmiechnął się.

- Masz jakieś imię, zielonooka?

- Na pewno nie jest nim „zielonooka” - powiedziałam.

Roześmiał się.

- Ja nazywam się Hilten, Raik Hilten, ale wszyscy mówią do mnie Hilt.

Pokiwałam głową, rozważając jednocześnie, jak wyrwać się z towarzystwa natręta i jego zdrowych przyjaciół.

Kobieta siedząca po drugiej stronie stołu nagle powstała.

- Dobrze, moi drodzy, przejdźmy do sprawy - oznajmiła donośnym głosem. - Mam na imię Delia i jestem waszą przewodniczką. Zrobimy dziś wieczorem tylko kilka kilometrów. Następnym razem nasza wycieczka potrwa cały dzień, ale póki co zależy mi na tym, abyście się poznali: - Uśmiechnęła się. - No, moi weseli wędrowcy, czas ruszać w drogę.

Na ognie piekielne! Trafiłam w sam środek sekty wesółych, chlejących korzeninę wędrowców. Gdy wszyscy zaczęli wstawać, zdecydowałam się wykorzystać zamieszanie i czmychnąć gdzie pieprz rośnie.

Hilt powstał wraz ze mną i... ujął mnie pod rękę.

- Wiesz co, zielonooka? Stajesz właśnie przed szansą zostania moją partnerką na ten wieczór.

- Dzięki, ale muszę już iść.

„Nazwij mnie tak jeszcze raz - stwierdziłam w duchu - a wyleję ci dzban tej trucizny na łeb”.

Poczułam delikatne szturchnięcie czyjegoś umysłu. Ktoś roześmiał się w myślach, rozbawiony moją wizją Hilda skąpanego w soku. Odwróciłam się i uświadomiłam sobie, iż spoglądam na młodzieńca stojącego w samym środku rozgadanej grupy. Miał brązowe loki i oczy tego samego koloru. Uśmiechał się do mnie. Jego ingerencja nie była silna, ale zauważalna na tyle, by wiedzieć, że należy do empatów. Poza tym był bardzo przystojny i w niczym, absolutnie w niczym nie przypominał ani Reksa, ani Jaibrola. Odpowiedziałam mu uśmiechem. Może mimo wszystko przyłączę się do tej grupy?

Koniec końców udałam się na wycieczkę z grupą nieprawdopodobnie zdrowych i całkowicie obcych mi ludzi. Wyprawa okazała się zwykłym spacerem po ścieżkach wijących się wśród porośniętych chmurzaną trawą wzgórz Jacob's Shire, a przy tym dobrą okazją do zawarcia nowych przyjaźni dla członków dopiero co założonego klubu turystycznego. Młodzieniec, który trącił mój umysł, miał na imię Jarith i studiował muzykę w miejscowym konserwatorium.

Wycieczka nawet mi się podobała. Trwał piękny wieczór, a ja przemierzałam piękne miejsca w towarzystwie pięknych ludzi. A mimo to jakoś nie mogłam się odprężyć. O co mi chodziło? Dlaczego udawałam normalność? Byłam przecież oszustką, udającą kogoś innego, przypisującą sobie prawo do zachowywania się jak zwykli ludzie.

„Dość” - skarciłam się w myślach. „Zasłużyłam sobie na chwilę relaksu”.

„Powiedz to Reksowi" - zripostowałam po chwili.
„Powiedz to wrzeszczącym z bólu dostarczycielom. Po-
wiedz to kolonistom z Tams".

Przeczesałam dłonią włosy. Moja ręka drżała. Co się ze mną działo? Hilt opowiadał mi coś od paru minut, a ja nie miałam nawet pojęcia, o co mu chodziło. Po-
trafię bez cienia strachu o własne życie rzucić się w
naj-krwawszą bitwę, a nie umiem odnaleźć się w
zwykłej rozmowie?

Wspięliśmy się na szczyt wzgórza, z którego roztaczał
się widok na całą okolicę. Słońce zniżało się ku zachodo-
wi, tam gdzie pierścienie spotykały się ze szczytami gór.
Na tej wysokości geograficznej było nieco za wcześnie,
by skryło się całkiem za wielkim łukiem - dochodziło
do tego dopiero w późniejszej fazie lata. W sporej odleg-
łości widziałam dachy budynków Wojskowego Instytu-
tu Jacoba, które odbijały promienie słoneczne niczym
płynne szkło.

- Spójrz, Soz. - Hilt wskazał kompleks wij. - To tam
właśnie trenują roboty.

- Roboty? - Zerknęłam na niego.

Nie uśmiechał się.

- Otóż to. Roboty. Wyszkolone do salutowania i za-
bijania.

Próba zachowania spokoju sporo mnie kosztowała,
choć zdawałam sobie sprawę, że wysiłek jest całkiem
nieproporcjonalny w stosunku do błahaego w końcu ko-
mentarza.

- Ci kadeci, których nazywasz robotami, stoją mię-
dzy tobą a Handlarzami.

- Tylko mi nie mów, że jesteś jedną z nich - skrzy-
wił się Hilt.

- To znaczy kim?

- No, jedną z tych papug imperium, służą naszej ukochanej wojskowej dyktatury.

- Mylisz się, Hilt - wtrąciła się niespodziewanie kobieta imieniem Mika. - Dyktatura potrzebuje dyktatora, a my mamy Triadę. To trzech dyktatorów, przyjacielu - dodała oschle.

- Bzdura - rzekł Pulli. - Skolią rządzi Zgromadzenie, a nie Triada.

- Jeśli w to wierzysz, jesteś bezgranicznie naiwny - powiedziała Mika.

- Jaka znowu Triada? - spytał Hilt. - Wszyscy wiemy, że lord Valdoria to tylko propagandowa kukiełka, którą wystawiają na widok publiczny, ponieważ ludzie go kochają.

Zesztywniałam. Raik mówił o moim ojcu! O El-drinsonie Althorze Valdorii. To prawda, stał się władcą przez przypadek. Był zwykłym rolnikiem z planety leżącej z dala od wielkich wydarzeń i nie miał ani wiedzy, ani zainteresowań, które pozwoliłyby mu rządzić Imperiałem. Jedynym powodem, dla którego opuścił ojczyznę, była epilepsja. Cierpiał na tak silne konwulsje, że bez odpowiedniej opieki medycznej nie mógł właściwie funkcjonować.

Naszło mnie wspomnienie pewnego dnia sprzed dwudziestu siedmiu lat, kiedy Handlarze usiłowali zamordować Kurja. Istniała wówczas jedynie Diada - mój brat jako imperator i ciotka jako Klucz Zgromadzenia. Po próbie zamachu, kiedy to Kurj w stanie krytycznym znalazł się w szpitalu, Handlarze przypuścili atak na naszą stołeczną planetę. Ich ofensywa wywołała chaos i ochrona mojej ciotki w pośpiechu wywiozła ją do ukrytej bazy zwanej Safelanding. Handlarze włamali się wówczas do komputerów systemu obronnego i zawiesili Sieć Kyle'a.

Cała komunikacja międzygwiazdowa przestała istnieć. Operatorom telepatycznym udało się załatać pomniejsze uszkodzenia, ale jedynie Kurj i moja ciotka dysponowali zarówno mocą Rhona, jak i dostępem do Diady, co było konieczne do zrestartowania systemu. Ciotka pozostała jednak poza zasięgiem, a Kurj leżał w śpiączce. Ślepa i głucha Skolia miotła się niczym okaleczone, zdychające zwierzę z wypatroszonym mózgiem.

Wiedząc o tym, Handlarze ruszyli do ostatecznej, rozstrzygającej wieloletni konflikt bitwy, ale przeliczyli się. Mój ojciec - „nikt” wśród Rhonów - przebywał wówczas w szpitalu ISK i czekał na diagnozę lekarzy badających jego padaczkę. Gdy padła Sieć Kyle'a, znajdował się jedynie kilka minut od jednego z ośrodków kontroli. Doprowadzeni do ostateczności wojskowi posłali go, by dołączył do Diady i utworzył Triadę.

Nikt nie wiedział, co się stanie, gdy przystąpi do kręgu mocy utworzonego przez tamtą dwójkę. Mógł się rozpaść, niezdolny do rozciągnięcia się na trzy tak różne umysły. Mógł się też przeładować, zabijając ich wszystkich w jednym spięciu, obejmującym całą galaktykę. Istniała jednakże szansa - choć bardzo niewielka - że mimo to przeżyje na tyle długo, by móc ponownie uruchomić system. Nikt nie przejmował się tym, że nie miał pojęcia, jak ów krąg działał, gdyż pochodził ze społeczeństwa tak prymitywnego, że nie dysponowało nawet elektrycznością. Nikt też nie martwił się, że może umrzeć z powodu przeładowania, nawet jeśli uda mu się uruchomić system. Nasi wojskowi widzieli tylko dwie możliwości - albo lord Valdoria przyłączy się do Diady, albo Skolia padnie na kolana przed Handlarzami.

Nikt nie przewidział tego, co zdarzyło się naprawdę. Ojciec powiedział mi później, że tego dnia Sieć Kyle'a wy-

glądała dlań jak zabawka, jak proste komunikatory, którymi my, jego dzieci, bawiliśmy się w dzieciństwie. Jedy-
na różnica polegała na tym, że owa migotliwa struktura
była porwana na strzępy. A więc naprawił ją i
zrestarto-wał cały międzygwiazdny system skoliański.

Nie rozumiał technologii. Nawet dzisiaj nie jest w sta-
nie wejść do sieci bez pomocy, ale nie ma to żadnego zna-
czenia. Gdy już się w niej znajdzie, wręcz staje się nią,
podtrzymując jej funkcjonowanie niczym prądy ocea-
niczne regulujące przepływ mas wodnych. Robi to zresz-
tą ze szczególnym talentem, w czym nikt inny w rodzinie
nie jest mu w stanie dorównać.

Mój głos był tak zimny, że mógłby wychłodzić nawet
sopel lodu.

- Bez tego człowieka, którego tak beztrósko nazywasz
kukielką, nie mógłbyś tu teraz stać i bezkarnie obrażać
Rhonów. Byłbyś niewolnikiem Handlarzy, mądrało.

- Zawsze zadaję sobie pytanie, czy wy, ludzie, któ-
rzy szerzą całą tę propagandę, w jakimkolwiek stopniu
rozumiecie, co naprawdę dzieje się wokół was - pars-
nął Hilt.

- Może nie powinniśmy ciągnąć tej rozmowy - ode-
zwał się niepewnie Pulli.

- I w tym sęk - parsnął Hilt. - Jesteśmy do tego
stopnia zniewoleni przez Rhonów, że boimy się o nich
rozmawiać. Wolno ich jedynie czcić. Cóż, ja nie mam
zamiaru sławić tyranów.

Na bogów, skąd mu się to wzięło?

- Dlaczego mówisz, że jesteś zniewolony przez Rho-
nów? - zapytałam.

- Wiem, co chcesz powiedzieć - oznajmił Hilt.

Ciekawa sugestia. Tym bardziej że sama nie miałam
pojęcia.

- Co takiego?
 - Że ISK okupuje planety dla ich własnego dobra.
 - Nasz wszechświat nie jest rajem - powiedziałam.
 - Żeby przeżyć, musimy być silni, a siła sprowadza się do ludzi, terytorium oraz zasobów. Jeśli my ich nie posiadamy, zrobi to Sojusz bądź Handlarze.
 - To ci dopiero uzasadnienie - rzekł Hilt. - Ale właściwie dlaczego to Rhoni powinni nas podbijać, a nie Sojusz czy Handlarze? W czym są lepsi?
 - Sojusz nikogo nie podbija - zaprotestowała Rebeka, kolejna kobieta w grupie. - Oferuje jedynie opcję obywatelstwa.
 - Twoim zdaniem powinniśmy zrobić to samo?
 - Spojrzałam na nią.
 - A nie przeszkadza ci, że jesteśmy zmuszeni przestrzegać praw, które narzucił nam nasz okupant, nie dając nigdy żadnego wyboru? - spytała ostrożnie.
 - Uważasz, że prawo Imperialatu nie jest sprawiedliwe? - Mój gniew wybuchł ze zdwojoną siłą.
 - Nie w tym rzecz - rzekła Rebeka. - Gdy ISK objęły władzę,abrały wszystko, łącznie z nazwą planety. Nigdy nie otrzymaliśmy możliwości, by móc samemu o czymkolwiek zdecydować.
 - A o czym chcielibyście decydować? - warknęłam. Skąd się we mnie brały te emocje? - Gdyby Foreshires Hold nie stało się częścią Imperialatu Skoliańskiego, nadal toczylibyście bój o przetrwanie, zamiast cieszyć się dobrobytem, dzięki któremu możecie wstępować do klubów turystycznych i wędrować sobie po łąkach.
 - Fakt, wcześniej byliśmy ubodzy - powiedziała cicho Rebeka. - Ale mieliśmy też prawo samostanowienia.
- Hilt przyglądał mi się bacznie.

- Dlaczego nie możesz zrozumieć, że ludzie chcą być niezależni w swoich wyborach?

- Sojusz dysponuje niedostępnym dla nas luksusem -powiedziałam. Nawet ja słyszałam gorycz w swym głosie. - Póki Skolia i Handlarze skaczą sobie do gardeł, Ziemia może robić, co jej się żywnie podoba. Świetnie. Brawo. Sęk w tym, że gdybyśmy przejęli ziemską politykę, oznaczałoby to nasz koniec.

- Przemawia przez ciebie cynizm - rzekła Mika.

- Jakoś nie wierzę w to, że Handlarze stanowią największe zagrożenie - parsknął Hilt. - Ciekawe, czy Rho-ni mogliby wymyślić jakieś większe zło od Aristo, by odciągnąć naszą uwagę od swoich własnych wad i wypaczeń?

Oblał mnie gorący rumieniec.

- Jeśli sądzisz, że Handlarze nie są zagrożeniem, to jesteś totalnym idiotą.

- Super - rzekł Hilt. - Pora, żebyś przedstawiła nam teraz Listę Wszystkich Złych Uczynków Aristo. No, dawaj, Soz. Czy ty w ogóle kiedykolwiek widziałaś któregoś z tych mitycznych dostarczycieli?

Zamarłam, gdyż niespodziewanie osaczyły mnie wspomnienia. Ujrzałam Tarque'a, klęczącego nade mną, i siebie, kiedy krzyczałam, krzyczałam, krzyczałam bez końca...

- Zostawcie ją w spokoju!

To był Jarith.

Wszyscy spojrzeli na muzyka, który do tej pory rzadko podnosił głos. Poczzerwieniał, ale nie spuścił z tonu.

- Przestańcie - powtórzył.

- A niby czemu? - spytał zaczepnie Hilt.

- To empatia - szepnęła do niego Rebeka.

Hilt zamrugał, przyglądając się Jarithowi, a potem odwrócił się do mnie.

- Co ja takiego powiedziałem?

Przelknęłam ślinę.

- Zapytałeś, czy kiedykolwiek widziałam dostarczy ciała. Odpowiedź brzmi: tak.

Wszyscy ucichli. Nie miałam zamiaru dalej się rozwodzić, nikt zresztą tego ode mnie nie oczekiwał. Wyraz twarzy Jaritha był wystarczającym dowodem, że lepiej darować sobie szczegóły.

Rebeka wskazała przeciwległe zbocze, gdzie znajdowała się reszta grupy.

- Słuchajcie, oni już idą dalej.

Poszliśmy za nimi. Znowu rozpoczęły się rozmowy -z początku niemrawe, lecz w miarę jak pojawiały się kolejne blahe tematy, coraz śmielsze i swobodniejsze. Nie brałam w nich udziału. Od początku nie miałam wielkiej ochoty na jakiegokolwiek dywagacje, a teraz po prostu chciałam się stąd wyrwać. Najbardziej bolała mnie świadomość, że ci ludzie w zasadzie mieli rację. Każdy potrzebuje wolności, by móc się rozwijać i prosperować. Mylili się jednak co do Rhonów. Byliśmy zniewoleni tak samo jak oni. Pochłaniała nas wojna, która nie pozostawiała żadnej alternatywy.

Czy naprawdę byłam idiotką, sądząc, że Jaibriol może wprowadzić jakieś zmiany? Należało się spodziewać, że to on się zmieni, a nie sytuacja polityczna. Zrobi wszystko, co potrzebne, by samemu przeżyć. Stanie się Highto-nem, a ja będę się temu przyglądać, nienawidząc się za to, że go pokochałam.

„Dłużej tego nie zniosę” - pomyślałam. „Zaraz rozsądzi mi głowę”.

Jarith pojawił się u mego boku.

- Przepraszam za podsłuchiwanie.
- Podsłuchiwanie?
- To twoje wyobrażenie Aristo... - Pobladł nagle.
-Było tak realistyczne.

- Nie musisz za nic przeproszać. Przecież ja to wręcz wykrzyczałam.

Nie naciskał, ale wiedziałam, o co chce zapytać: „Czy to ty byłaś na tym łóżku?”. Pokręciłam głową - nie miałam zamiaru ciągnąć tego tematu. Nie interesowało mnie, jak to odbierze.

- Mam nadzieję, że nie jesteś zła na resztę - powiedział. - Nie są przyzwyczajeni do rozmów z ludźmi o konserwatywnych poglądach.

- Uważasz mnie za konserwatystkę?

- Ultrakonserwatystkę. - Roześmiał się, lecz po chwili przez jego twarz przemknął jakiś nieokreślony grymas. - Nie przejmuj się Hiltem. Mnie też daje popalić.

„Przetłumacz ostatnie zdanie”.

„To slang” - przekazał węzeł. „»Dawać komuś popa-lić« oznacza: »zachowywać się nieprzyjemnie, dążyć do konfrontacji«”.

Nie mogłam zrozumieć, jak ktoś może zachowywać się nieuprzejmie wobec Jaritha.

- Dlaczego?

- Twierdzi, że jestem bierny i apatyczny. Jego zdaniem powinienem walczyć o to, w co wierzę. - Jarith wzruszył ramionami. - Cóż, wygląda na to, że polityka mało mnie obchodzi. Wolę śpiewać.

Westchnęłam. Oto miałam obok siebie delikatnego, wolnego od poglądów politycznych młodzieńca z twarzą anioła. Pako nie znalazłby dla mnie lepszego towarzysza, nawet gdybym zaprogramowała go, by przeszukał całą planetę.

„No właśnie" - pomyślałam. „W tym tkwi także twój problem, Soz. Nie dajesz sobie rady z ludźmi, którzy rzucają ci wyzwanie?"

Zacisnęłam zęby. Przecież ja przez całe życie zmagam się z takimi ludźmi. Całymi dniami, latami, dekadami. Potrzeba mi wytchnienia.

„Ty nie szukasz wytchnienia" - szepnął mój wewnętrzny głos. „Ty szukasz kryjówki".

„Zamknij się" - rozkazałam mu.

- Kilkoro z nas wybiera się na holofilm - powiedział Jarith. - Masz ochotę do nas dołączyć?

Na bogów. On właśnie zaprosił mnie na randkę. No, przynajmniej tak to wyglądało. Minęło już tyle czasu, odkąd bawiłam się w czyimkolwiek towarzystwie, że chyba zapomniałam, jak to jest z takimi rzeczami. Może zresztą istnieje inne określenie na sytuację, kiedy wielu ludzi umawia się gdzieś razem. Schadzka zbiorowa? Nie, to brzmi głupio.

Zresztą kogo obchodzi nazwa? Czy mi już kompletnie odbiło, że rozmawiam sama ze sobą?

- Tak - powiedziałam. - Z chęcią.

Nie miałam z tymi ludźmi nic wspólnego, ale pójście do kina z kimkolwiek wydawało się o wiele lepszym pomysłem niż powrót do pustego mieszkania.

Umyliśmy się w kawiarni i ruszyliśmy w dalszą drogę przez park. Był z nami Jarith, a także Hilt, Rebeka i kilkoro innych. Wszyscy zdjęli już buty terenowe i założyli pantofle z dzwoneczkami. Gdy słońce skryło się za wzgórzami, widnokraj zapłonął przepiękną czerwienią, a niebo stało się brązowe. Nad naszymi głowami ciągnęły się lśniące pierścienie - jasnobursztynowe w najwyższym punkcie i ciemnokarmazynowe nad zachodnim horyzontem. Po wschodniej stronie zakrywał je cień rzuca-

ny przez Foreshires, przez co wyglądały, jakby wgrzył się w nie baśniowy smok, krawędzie bowiem pozostawały czerwone, ale wewnątrz - czarne.

Na dworze zrobiło się zimno. Hilt oddał mi swój sweter. Rozmowa na szczęście nie dotyczyła już rzeczy ważkich, a towarzyszący mi ludzie wymieniali luźne uwagi na temat filmów, które mogliśmy obejrzeć. Nie miałam pojęcia, co teraz leci na ekranach. Problem rozwiązaliśmy, wchodząc do pierwszego napotkanego kina, gdzie grano film pod tytułem „Spaczenie mózgu”. Holoplakaty pokazywały Jagernautę, stojącego na szeroko rozstawionych nogach i plującego ogniem ze swojego devastatora. Żołnierze byli głównymi bohaterami przynajmniej połowy współczesnych filmów.

Zasiedliśmy na wielkim pluszowym dywanie w okrągłej sali kinowej. Prócz nas w środku było przynajmniej dwustu innych widzów. Ułożyliśmy się z Jarithem na poduszkach, rozmawiając o jego zajęciach na uczelni. Rebeka i Hilt coś zajadali, a Pulli kupił kolejną porcję soku z korzeniny.

Po chwili zgasły światła i usłyszeliśmy pierwsze takty ścieżki dźwiękowej - trąb i smyczków na tle szybkiego rytmu wybijanego na perkusji. Naraz znaleźliśmy się w pobliżu wij-u. Przed nami pojawił się Jagernau-ta - przystojny brunet z bajeczną muskulaturą. Z wiszącej u pasa kabury wystawała rękojeść ogromnego deva-statora. Nagle mężczyzna puścił się biegiem przed siebie, a my „podążaliśmy” za nim w odległości, z której zdaniem reżysera najlepiej było widać akcję.

Po kilku minutach wiedziałam już, że to był jednak błąd. Odgadłam zakończenie tego filmu zaraz po jego rozpoczęciu. Jagernauta miał ocalić biuściastą piękność, która rzekomo została porwana przez Handlarzy, ale

tak naprawdę była hightońskim szpiegiem. Handlarze pochwycili głównego bohatera, wstawili mu implant do mózgu i wypuścili, a my, widzowie, mieliśmy przejmować się straszliwym losem naszego nieświadomego zagrożenia Jagernauty i tym, co się stanie, kiedy czarne charaktery uruchomią implant.

Film miał niewiele wspólnego z rzeczywistością. Gdy bohater udał się na spotkanie z prostownikiem, ten przyjął go w swoim gabinecie w szpitalu. To oczywiście głupota, a to z tego powodu, że prostownicy nie pracują w szpitalach. Poza tym przekonanie kogoś z Ja-gernautów, żeby udał się po pomoc psychiatryczną, graniczyło z cudem. Na samą myśl o tym, że mielibyśmy odwiedzić jakiegoś lekarza i przyznać wprost: „Tak, mam nasrane w głowie”, większość z nas uciekała gdzie pieprz rośnie. Prawdziwy prostownik miałby gabinet w jakimś ustronnym miejscu, które w żaden sposób nie kojarzyłoby się z leczeniem i lekarzami.

Jeszcze bardziej irytujące było to, że bohater filmu bez przerwy łamał wszystkie zasady naszego kodeksu honorowego. Oszukiwał, kłamał, źle traktował swoje kochanki, a w walce nie okazywał nawet cienia litości. Absurd. Przecież on, na ognie piekielne, był podobno empatą!

Najgorsze jednak, że aktor przypominał z wyglądu Reksa, który nigdy nie zniżyłby się do takich zachowań. Och, jasne, Rex miał kochanki wszędzie. Przepadały za nim, bo był wytworny, czarujący i przystojny, ale zakochiwały się, ponieważ był także uczciwym, przyzwoitym człowiekiem, który dobrze traktował innych. Ten głupi, mdły film zwyczajnie go obrażał.

W scenie kulminacyjnej - wielka niespodzianka! Ja-gernauta wpadł w szal na zatłoczonym placu. Handla-

rze aktywowali implant, a on ruszył przed siebie, krzyżąc i siejąc zniszczenie swoim devastatorem. Wpadłam w taką wściekłość, że wstałam i ruszyłam do wyjścia. Po drodze przeszłam prosto przez holo szalonego Jagernau-ty, wzbudzając gniewne protesty reszty widowni. Byłam już w lobby, gdy pojawił się Jarith.

- Soz, zaczekaj! - zawołał, idąc w moją stronę szybkim krokiem.

Zatrzymałam się przy drzwiach, oddychając szybko. Gdy Jarith zrównał się ze mną, z sali kinowej wyszli także Hilt i Rebeka. Przez moment kręcili się po lobby, aż dostrzegli nas i ruszyli w naszym kierunku.

- Co się stało? - zapytał łagodnie Jarith. - Co cię gryzie?

- Nic mnie nie gryzie. - Byłam tak wściekła, że ledwie mogłam coś z siebie wykrztusić. - Nie lubię chały i tyle.

Para znajomych dotarła do nas dokładnie w chwili, kiedy wypowiadałam ostatnie słowa.

- Wiesz co? - Hilt zmierzył mnie ostrym spojrzeniem. - Powoli zaczynasz mnie nużyć.

Miałam ochotę rąbnąć go w twarz. Nie wiem, kiedy ostatnio byłam taka zła. Ale dlaczego? Z powodu jakiegoś głupiego filmu? Wielkie mi rzeczy...

- Pocałuj mnie w dupę - wycedziłam.

- Przecież to tylko zwykły holofilm. - Rebeka położyła dłoń na moim ramieniu.

Wyrwałam się.

- Ten film to policzek dla wszystkich Jagernautów, którzy codziennie ryzykują własne życie, by tacy gówniarze jak wy mogli żyć bezpiecznie i oglądać sobie w kinach durne opowiadki!

Spodziewałam się podświadomie, że Hilt nazwie mnie idiotką, ale zamiast tego wzruszył tylko ramionami.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się ekscytujesz. Przecież nikt nigdy nie nazwał „Spaczenia mózgu” manifestem politycznym czy dziełem sztuki.

- Słuchaj - odezwała się Rebeka. - Może po prostu źle zaczęliśmy naszą znajomość. Spróbujmy raz jeszcze, co? Zapomnijmy o tym filmie i chodźmy gdzieś na drinka.

Na drinka? Picie alkoholu w ich towarzystwie to ostatnia rzecz, na którą miałam ochotę.

- Wybaczcie, ale jestem trochę zmęczona - oznajmiłam przeproszającym tonem. - Chyba powinnam po prostu pójść do domu i położyć się spać.

To oczywiście była tylko wymówka. Dobrze wiedziałam, że i tak nie zasnę, ale musiałam przecież coś powiedzieć.

Rebeka i Hilt nie wyglądali na szczególnie zaskoczonych, natomiast Jarith nadal mi się przyglądał. Nie odezwał się ani słowem, gdy się żegnałam, ale gdy para jego przyjaciół odeszła na stronę, zapytał wprost:

- Mogę odprowadzić cię do domu?

No proszę... Od wielu, wielu lat nikt tego nie robił. Rozluźniłam się.

- Byłoby miło.

Szliśmy przez park, a ja głowiłam się, jak zacząć rozmowę. Nie miałam żadnych mądrych pomysłów. Na szczęście nie pojawił się też żaden głupi.

W końcu stanęliśmy przed moim apartamentowcem. Jarith aż rozdziawił usta ze zdziwienia.

- Mieszkasz tutaj?

- Tylko na Foreshires - odparłam.

- Wiele podróżujesz? - Uśmiechnął się.

- Trochę.

Chciałam, by poszedł ze mną na górę i dotrzymał mi towarzystwa. Chciałam, by był prawdziwym towarzyszem, by był mężczyzną, dzięki któremu kobieta nie musi bać się nocy. Chciałam się z nim kochać aż do świtu, aż jego gorąca męskość przepędzi demony nękające mój umysł.

- Nigdy nie poznałem nikogo, kto mógłby sobie pozwolić na coś takiego - gwizdnął Jarith.

„OK” - powiedziałam do siebie. „Oto okazja. Zaproś go”

A co, jeśli się nie zgodzi?

- Wracasz do kina? - zapytałam.

- Muszę wziąć płaszcz. - Skrzywił się. - Poza tym umówiłem się z kilkoma znajomymi na naukę. Jutro mamy egzamin ze sztuki.

- Ach, tak...

Egzamin. Rany, co się ze mną dzieje? Mam ochotę na artystę, człowieka z zacięciem estetycznym, którego we mnie nie było nawet śladu. To nie mogło się udać.

- A może chciałabyś się kiedyś jeszcze spotkać? - za pytał niepewnie Jarith.

Nie mogłam. Nie powinnam się z nim spotykać.

- Pewnie, czemu nie.

- Wybieramy się naszą paczką na plażę w Tillsorn. Może skoczysz z nami? Przyjechalibyśmy po ciebie pojutrze w południe.

- Nie ma sprawy. - Uśmiechnęłam się.

- Fajnie. - Jarith wyszczerzył zęby. - To na razie.

Uścisnął mi dłoń i ruszył w kierunku kina.

Wróciłam na górę. Moje mieszkanie wydawało się jeszcze ciemniejsze niż dotychczas. Włączyłam wszystkie światła i pokój natychmiast wypełniła łagodna, przyjemna dla oczu poświata, sącząca się z lamp przypominają-

cych kwiaty. Ściany wyłożono tu panelami z połączanego drewna, przy czym jedną z nich zajmowały ogromne, łukowate okna, przez które widać było ogromne pierścienie na niebie. Z kolei wewnątrz zaprojektowano tak, że dominowała w nim biel. Dywan, jedwabne poduszki na sofie, płaskorzeźba na drzwiach - wszystko było w tym jednym tylko kolorze. Piękne, cudowne mieszkanie - za zwyczaj, bo tego akurat wieczoru wyglądało na ciemne, zimne i puste.

Stałam przy barku. Właśnie nalewałam sobie szklankę whisky, kiedy odezwał się Pako:

- Masz gościa.

Uniosłam głowę, czując, jak serce zaczyna żywiej mi bić. Czyżby Jarith postanowił jednak wrócić i umilić mi czas?

- Kto to?

Na ekranie pokazały się schody prowadzące do budynku, a na nich Hilt, drżący z zimna.

- Cholera - mruknęłam. Podeszłam do konsoli i włączyłam komunikator. - O co chodzi?

- Zapomniałaś oddać mi sweter - usłyszałam jego głos.

- Och, przepraszam - bąknęłam zmieszana, uświadamiając sobie, że nadal mam go na sobie. - Pako, wpuść gościa na górę.

Chwilę później usłyszałam pukanie do drzwi. Gdy je otworzyłam, ujrzałam stojącego na zewnątrz Hilta.

- Cześć, zielonooka. Fajne miejsce.

- Jak się dowiedziałeś, gdzie mieszkam? - zapytałam.

- Jarith mi powiedział.

Oddałam mu sweter.

- Dzięki za pożyczenie.

Już chciałam zamknąć drzwi, gdy Hilt pchnął je i wszedł do mieszkania.

- Teraz wszystko zaczęło mieć większy sens - rzekł.

Przyjrzałam mu się bacznie.

- Nie przypominam sobie, że bym cię zapraszała do środka.

- Nic dziwnego, że trzymasz się konserwatywnych poglądów. Z tego, co widzę, twoje drugie imię to forsa -odwrócił się do mnie. - A nawet: duża forsa.

- Dobranoc, Hilt.

Podszedł do mnie.

- Lodowa księżniczka. Całkiem zrozumiałe, że po pierasz politykę Rhonów.

Jego palec przesunął się wzdłuż ramiączka mojej sukni i zatrzymał między piersiami.

- Utrzymanie status quo jest w twoim żywotnym in teresie.

- Zjeżdżaj stąd. - Odepchnęłam jego dłoń.

Przycisnął mnie do ściany. Jego twarz znalazła się tak blisko, że niemal dotykał moich ust.

- Ktoś powinien stopić skorupę lodowej suki!

Zareagowałam. To niedobrze, że sobie na to pozwoliłam, ale po prostu stało się. Swoje odruchy obronne zazwyczaj uruchamiałam dopiero w sytuacji bezpośredniego zagrożenia, a Hilt nie mógł do czegoś takiego doprowadzić. Zachowywał się niezdolnie i działał mi na nerwy, ale nie był przecież gwałcicielem. Wystarczyłoby zwykle: „przestań”.

Nic takiego jednak nie powiedziałam. Chciałam go zabić.

Gdy odzyskałam panowanie nad sobą, byłam o włos od wbicia roztrzaskanej szklanki po whisky w szyję Hilta. Krew ściekała w miejscu, gdzie szkło przecięło moją skórę.

rę. Gdy sygnał z mojego umysłu powstrzymał wreszcie odruch, ostra krawędź zatrzymała się niecały centymetr od grdyki mężczyzny. Wszystko rozegrało się tak szybko, że Hilt zamarł w bezruchu, wpatrując się z przerażeniem w moją zaimprovizowaną broń. W końcu nabrał tchu i powoli wyjął mi szklankę z ręki. Potem spojrzał na krew ściekającą po moim ramieniu.

- Chyba powinnaś wezwać lekarza - powiedział.

- To drobiazg. Dam sobie radę. Spodziewałam się, że wezwie policję, lecz zamiast

tego powiedział tylko cicho:

- Przepraszam. Poniosło mnie.

Że niby jego poniosło? Przecież o mały włos go nie zabiłam. Co się ze mną dzieje?

- Powiadomię szpital - stwierdził.

- Nie - zaprotestowałam, usiłując zapanować nad swoim głosem. - Idź już stąd.

Jeszcze raz spojrzał na krew buchającą z mojej ręki.

- To wygląda na...

-Idź.

- Dobra, jak chcesz. - Hilt ruszył w stronę wyjścia. -Wpadnę jutro i sprawdzę, co u ciebie.

- Nie musisz. - Zatrzasnęłam za nim drzwi i przekręciłam zamek.

- Mogę sprowadzić pomoc medyczną w ciągu minuty - odezwał się Pako.

Podeszłam do barku, włączyłam kran i zanurzyłam rękę w strugach letniej wody.

- W porządku, nic mi nie jest.

Ciecz spływająca do zlewu nabrała czerwonego koloru.

Po oczyszczeniu i zabandażowaniu rany nalałam sobie jeszcze jednego drinka. Jak się porządnie upiję, nie

będę mogła myśleć - a w tej chwili naprawdę nie miałam ochoty na myślenie.

- Informuję, że masz nowe wiadomości - odezwał się znów Pako. - Czekają na ciebie w sieci od sześciu godzin.

- Sprawdzę je jutro.

- Jedna z nich nosi klauzulę „pilne”.

Obrzuciłam konsolę niechętnym spojrzeniem.

- Dobrze, puść ją.

Pokój wypełnił głos Iakiego, komendanta wij-u.

- Przepraszam, że zakłócam spokój, primanie Val-doria, ale musimy odwołać jutrzejszą sesję treningową z lotnikami ze względu na awarię silnika. Czy może pani zamiast tego wygłosić jakiś swój wykład?

Zapewne miał na myśli moją pogadankę na temat interfejsów łączących człowieka z Siecią Kyle'a.

- Przekaż mu, że nie ma problemu - rzuciłam do Pako.

A potem się upiłam. Bez żadnych skrupułów.

Czas na ły

Ale czy to nie jest niebezpieczne? - zapytała kadetka, pochylona nad swoją konsolą w sali wykładowej. - Światłowody i biomechy to ciała obce. Czy mój organizm ich nie odrzuci?

Ilość pytań zadawanych przez kadetów całkiem mnie zaskoczyła. Przysiadłam na krawędzi biurka w przedniej części sali i odpowiadałam na wszelkie wątpliwości. Iaki zaoferował mi mównicę, ale tutaj było lepiej. Tak, czułam się dobrze. Podobała mi się ta rola.

- Większość struktur tworzących system uzyskuje się z naszego własnego materiału genetycznego - wyjaśniłam. - W podobny sposób otrzymuje się, powiedzmy, zregenerowany organ. W tym sensie nie jest to szczególnie niebezpieczne, choć oczywiście proces jest o wiele bardziej złożony i nie każde ciało przyjmie wszczep.

Jakiś kadet znajdujący się na tyłach zatłoczonej sali uniósł nieśmiało rękę.

- A co się dzieje, gdy światłowody przestaną działać?

- Przewody przekazują wiadomości - odparłam. - Jak nerwy. Jeśli coś pójdzie nie tak, transmisja po prostu ustaje.

- Czy mózg nie może odczytać ich w niewłaściwy sposób?

- Tak, to możliwe - odpowiedziałam. - Ale równie dobrze może odczytać błędnie sygnały z każdej innej części systemu nerwowego.

- A co, jeśli coś nieoczekiwanego przydarzy się osobie wyposażonej we wszystkie te dodatki? - odezwała się siedząca obok niego kobieta. - Na ogół wystraszony znieścacka człowiek po prostu podskakuje, nieprawdaż? My jednak wyposażamy ludzi w systemy służące do zabijania i ich reakcja może być zupełnie inna. No i czy w ogóle bierzemy pod uwagę ryzyko, że na skutek uszkodzenia mózgu systemy nosicieli również mogą ulec awarii? Oszałały Jagnauta potrafi narobić niezłego bigosu.

Cóż to za idiotyczny wywód?

- Nasze odruchy aktywują się tylko i wyłącznie w chwili zagrożenia życia. Trenuje się nas tak, byśmy nie reagowali w innych sytuacjach.

Spojrzałam na zegar wiszący nad drzwiami. Nieopodał, oparty o ścianę, stał Char laki. Choć zajęcia trwały już dwa razy dłużej, niż zakładałam, mężczyzna wciąż nie dawał znaku, aby je zakończyć.

Odwrociłam się do sali.

- Rozmawiamy już ponad dwie godziny. Proponuję na tym zakończyć.

Najpierw rozległ się cichy pomruk niezadowolenia, a potem kadeci, jeden po drugim, zaczęli klaskać - coraz mocniej i głośniej. Aplauz ciągnął się bez końca. Stałam oszołomiona, nie wiedząc, jak się zachować. Nie byłam przyzwyczajona do tego, by ludzie mnie oklaskiwali. Najczęściej albo chcieli, żebym natychmiast zniknęła im z oczu, albo - jeśli byli Handlarzami - próbowali mnie

zabić. Na gruncie towarzyskim ostatnio wszystkich głównie irytowałam.

Gdy w końcu kadeci zaczęli się zbierać do wyjścia, podszedł do mnie Char.

- Fascynujesz ich - stwierdził.

- Nie oczekiwałam tylu pytań.

- No wiesz, w końcu nie co dzień trafia się okazja, by pogawędzić sobie z cudem technologii biosyntetycznej.

-Uśmiechnął się.

- Chyba powinnam ci podziękować - bąknęłam, nie mogąc zarazem pozbyć się wrażenia, że jego komentarz krył w sobie tę samą dziwną nutę, co wywód ostatniej słuchaczki. Poczulałam się tak, jakbym rzeczywiście była jakimś urządzeniem, które w każdej chwili może się popsuć. Potarłam szyję, dotykając kciukiem gniazdka.

- Podwieźć cię do miasta? - zapytał Char. - Zauważyłem, że nie przyleciałaś dziś grawilotem.

- Dzięki, pojedę metrem.

Tak naprawdę to wcale nie miałam na to ochoty. Dziś rano, gdy wyszłam z mieszkania, by udać się do wij-u, spędziłam na parkingu prawie pięć minut, usiłując się zmusić, by wsiąść do grawilotu. W efekcie, nie mogąc się do tego przekonać, postanowiłam skorzystać z metra. Ludzie stojący na peronie, a potem także ci z wagonu przyglądali mi się, jakbym miała dwie głowy. I nic w tym dziwnego, w końcu rzadko widuje się w takim miejscu Jagernautę w pełnym rynsztunku. W moim czarnym mundurze musiałam wyglądać naprawdę groźnie -zwłaszcza że chcąc ukryć bandażę na dłoni, założyłam również ciemne skórzane rękawice, zaś u boku miałam devastator. Zabrałam go, gdyż planowałam opowiedzieć kadetom o tym, w jaki sposób łączył się on z moim mózgiem, ale po wejściu do pociągu zaraz pożałowałam tego

pomysłu. Pasażerowie wyglądali na kompletnie przerażonych. No cóż, to prawda, że ludzie na ogół nie noszą ze sobą przyspieszaczy cząsteczek z antymaterią, zabezpieczyłam go jednak starannie i nie było mowy, żeby wypalił przypadkowo.

Słońce powoli już zachodziło, gdy opuszczałam WIJ. Na niebie nie widziałam chmur, a powietrze nadal było przyjemnie ciepłe. Cudowny wieczór. Po co mam wracać metrem? Przecież Jacob's Shire leży ledwie niecałe dwadzieścia kilometrów od mojego mieszkania. Biegiem pokonałabym ten dystans w niecałe dwie godziny. Mogłam też dotrzeć do domu polną drogą, która wiała się między wzgórzami przez dwadzieścia pięć kilometrów aż do samego Eos. Gdybym poczuła się zmęczona, mogłabym złapać grawibus, który przelatywał co kilka godzin.

Ruszyłam ścieżką, ciągnącą się wśród łąk pełnych chmurzycy i podwójnych cieni - tych wyraźnych, rozciągniętych, rzucanych przez zachodzące słońce i tych bledszych, rzucanych przez pierścienie. Wśród traw skakały ptaki ze złotymi piórami, sporadycznie trzepocząc skrzydełkami, by przefrunąć kilka metrów. Uganiały się za nimi długouchy zwierzęta z purpurowym futrem, które sadząc długimi susami, zdawały się płynąć nad ziemią, przez chwilę widoczne na tle brązowego nieba, by zaraz potem zniknąć w chaszczach. Całe otoczenie wokół mnie wyglądało kompletnie nierealnie - zupełnie jakbym znalazła się w holofilmie puszczonej przez złote filtry.

Po jakiejś godzinie natrafiłam na niewielką kawiarenkę przy drodze. Przez uchylone okno dobiegał śpiew. Zawahałam się - chciałam wejść do środka, ale bałam się, że znowu wszyscy będą się na mnie gapili. W końcu poczucie samotności przeważało i pchnęłam drzwi.

Wewnątrz panował łagodny półmrok. Całą salę wypełniały rozstawione chaotycznie stoły, na których paliły się świece uformowane na podobieństwo gwiazd - purpurowy wosk zbierał się u ich ramion. Jakiś mężczyzna z brązowymi włosami, rozluźniony i odprężony, siedział na taborecie ustawionym na niewielkim podwyższeniu i śpiewał zachrypniętym lekko barytonem. Wokół sceny i przy barze tłoczyli się ludzie, którzy rozmawiali lub słuchali muzyki. Podeszłam niespostrzeżenie do pustego stolika przy ścianie. Kelnerka, która zjawiała się po chwili, ledwie zwróciła uwagę na moje złote opaski pri-mana. Być może, z uwagi na bliskie położenie wij-u, była przyzwyczajona do widoku oficerów.

Zamówiłam szklaneczkę rumu i wychyliłam ją jednym haustem. Potem wzięłam kolejną. Przez ostatnie dwa dni wypijałam więcej alkoholu niż przez cały ubiegły rok, ale dzisiaj nie zamierzałam tego zmieniać. Odpowiadało mi to miejsce. Czułam się dobrze, siedząc w półmroku i słuchając śpiewu tego mężczyzny. Przypominał mi Jaritha - ale nie z wyglądu, bo jedyne, co ich łączyło, to brązowe włosy. Po prostu on również był artystą, a do tego tak samo przystojnym.

Przywołałam gestem kelnerkę.

- Jeszcze raz to samo.

- Rumu?

- Tak - odpowiedziałam i wskazałam piosenkarza.
-Czy mogłabyś... Kiedy skończy... No wiesz, poprosić go, żeby się przysiadł?

Nagle zawahałam się - a jeśli nie będzie miał na to ochoty?

- Chyba że musi przygotować się do kolejnego występu - dodałam pośpiesznie.

- Powiem mu - uśmiechnęła się dziewczyna.

Zanim koncert się skończył, zdążyłam wypić jeszcze dwa drinki. Zgodnie z obietnicą, kelnerka podeszła do wokalisty i zamieniła z nim kilka słów. Mężczyzna spojrział w moją stronę, a potem odpowiedział jej coś, kręcąc głową, i zniknął za kulisami.

Skrzywiłam się. No i po zaproszeniu, pomyślałam, ale zanim zdążyłam poczuć się głupio, mężczyzna wrócił na salę i od razu podszedł do mojego stolika.

- Dobry wieczór - uklonił się szarmancko. - Czy to pani...

- Mam na imię Soz. - Uśmiechnęłam się i wskazałam miejsce. - Dosiądziesz się?

- Z przyjemnością - stwierdził, zajmując krzesło po drugiej stronie stołu. - Jestem Nik.

- Nik... - powtórzyłam. Dobrze brzmiało. - Napijesz się czegoś?

- Czemu nie. Może piwa?

- W takim razie piwo i jeszcze raz rum - rzuciłam do kelnerki.

- Proszę bardzo - usłyszałam w odpowiedzi i poczułam na sobie spojrzenie zarezerwowane wyłącznie dla gości, którzy za dużo wypili.

Nik zerknął na moje puste szklanki, a potem na dziewczynę.

- Choć właściwie to chyba napiłbym się kawy - oświadczył łagodnie. - Może też masz ochotę?

Kawa? Na bogów, już nawet tutaj Sojusz dotarł z tymi swoimi świństwami?

- Dzięki. Wolę rum.

Kelnerka odeszła, a ja postanowiłam skupić się na wymyśleniu czegoś ciekawego, od czego można by roz-

począć rozmowę, ale mój umysł uparcie odmawiał współpracy. Myśli wciąż umykały w różnych kierunkach i w rezultacie wykombinowałam tylko jedno.

- Świetny występ.

- Dzięki.

- Mój brat też śpiewa. Ballady i inne takie. - Skrzywiłam się. - Sama nawet nie próbuję. Ludzie boją się, kiedy to robię.

Nik roześmiał się, jakbym powiedziała coś zabawnego.

- Założę się, że masz piękny głos.

- Pięknie fałszuję, to prawda - odparłam. Nawet mnie przerażało moje beztalencie. - Jediną osobą, której kiedykolwiek śpiewałam, był mój brat Kelric, gdy był jeszcze dzieckiem.

Ujrzałam go w myślach, promieniejącego tym swoim ukochanym uśmiechem.

- Chyba nie miał nic przeciwko. Gdy miał dwa lata, a ja jednaście, przybiegał do mnie, żebym go uściskała.

- Miło się tego słucha. - Twarz Nika złagodniała.

- Bo to miłe wspomnienie - odparłam, czując ciepło w sercu.

Ciągnęliśmy rozmowę, choć nadal miałam problem z układaniem zdań. Mimo to Nik najwyraźniej dobrze się bawił w moim towarzystwie.

Kiedy kelnerka wróciła z naszym zamówieniem, mężczyzna obrzucił ją dziwnym spojrzeniem, przypominającym to, które widziałam czasem u mojego małego braciszka, gdy coś go martwiło. Małego braciszka, dobre sobie. Wyrósł przecież na giganta dorównującego wzrostem Kurjowi. Inna sprawa, że na tym kończyło się ich podobieństwo - Kurj zawsze kojarzył mi się z twardością i metalem, a Kelric ze śmiechem i blaskiem słońca.

W każdym razie dziwnie teraz się czułam, odkrywszy znajome spojrzenie u faceta, którego dopiero co poznałam. Nie wiedziałam, co chciał w ten sposób przekazać, ale kelnerka najwyraźniej rozumiała, o co mu chodziło. Skinęła lekko głową i odeszła. Upiłam rumu.

- Jezioro też lubił - powiedziałam.

- Jezioro? - spytał Nik, nieco zaskoczony.

- Wiesz, było takie... takie duże... jezioro - wybełkotałam, a moje myśli rozbiegły się na wszystkie strony. Po przeciwnej stronie kelnerka rozmawiała z jakimś łysejącym grubasem, wyglądającym na właściciela lokalu. W pewnej chwili mężczyzna ruszył w naszym kierunku.

- Chodziłaś tam ze swoim bratem? - zapytał Nik.

- My... Tak... - Uwaga właściciela bez wątpienia skupiła się na nas. - Idzie tu.

- Kto? Twój brat?

- Gdzieeee tam...

Grubas dotarł do nas i uklonił się głęboko.

- Dobry wieczór pani. Witamy serdecznie.

- Cześć - powiedziałam. Pokój przechylił się za jego plecami.

- Cieszę się, że podobał się pani występ Nika - powiedział z szerokim uśmiechem.

- No, podobał się - odparłam. Miałam nadzieję, że zaraz zejdzie mi z oczu, bym mogła skupić się na tym, jak podoba mi się Nik.

- Czy chciałaby pani spróbować innych naszych propozycji? - zapytał. - Mamy znakomitą wodę mineralną. Gazowaną.

- Rum jest OK - odparłam. Woda z bąbelkami była takim samym paskudztwem jak sok z korzeniny.

- A może... - spróbował jeszcze raz.

- Dzięki - przerwałam mu w pół słowa. - Wszystko jest w porządku.

- No cóż... Cieszę się. - Nieco zmartwiony skinął głową i odszedł.

Czemu oni wszyscy zawracają mi głowę? Odpiełam devastator i położyłam go na stole. Przecież nie mam zamiaru z tego strzelać! Trudno jednak o lepszy sposób, by niepożądani goście trzymali się z daleka.

Nik spojrział na broń, a potem na mnie.

- Widziałeś kiedyś tę ślicznotkę z bliska? - zapytałam.

- Nie z takiego bliska - odparł.

- Spokojnie, nie zrobi ci krzywdy. - Uniosłam deva-stator i postukałam się lufą po skroni. - No więc pływaliliśmy w tym jeziorze...

Twarz Nika powlekła śmiertelna bladeść.

- Soz... - wyszeptał. - Bezpiecznik...

- Co? - spytałam, czując, że coraz trudniej było mi utrzymać broń w ręku.

Przy stoliku błyskawicznie pojawił się właściciel.

- Proszę mi to oddać! - wyrzucił z siebie szybko.

Wbiłam w niego wzrok, całkiem zaskoczona tym, że chce mi odebrać devastator. Gdy sięgnął po niego, odchyliłam się w drugą stronę, ale grubas zdążył pochwycić mnie za rękę i odciągnąć lufę od mojej głowy.

Potem przesunął bezpiecznik we właściwe miejsce.

Przez długą chwilę siedziałam nieruchomo i wpatrywałam się w broń w mojej dłoni. Była odbezpieczona. Odbezpieczona!

Powoli wsunęłam devastator do kabury, a potem wstałam i spojrzałam na właściciela.

- Macie tu jakieś miejsce, gdzie mogłabym się położyć?

Na twarzy grubasa pojawiła się ulga.

- Oczywiście. Proszę za mną.

Zabrał mnie do niewielkiego saloniku znajdującego się na tyłach budynku. Miałam wrażenie, że to część jego własnego domu, oddzielonego od kawiarni długim, wąskim korytarzem. Opadłam na sofę, a wtedy usłyszałam stłumiony śpiew Nika. Grubas przyniósł mi dzbanek z czymś gorącym do picia, ale nie mogłam już niczego przełknąć.

Nie położyłam się. Siedziałam tak dobrą godzinę, a mój umysł z wolna porządkował myśli i wracał do stanu równowagi. W końcu uniosłam głowę i rozejrzałam się. Właściciel lokalu siedział na fotelu po przeciwnej stronie pokoju.

- Jak się pani czuje? - spytał.

- Pijana.

Świadomość tego, co zrobiłam, spadła na mnie z całą siłą. Wystarczyło, by ześlizgnął mi się palec, a rozsądziłabym własną biosyntetyczną czaszkę. Oparłam łokcie na kolanach, czoło o dłonie. Czułam dotyk moich rękawic, skórzanych tarcz, które zasłaniały moje bandaże.

Tamten podszedł do kanapy i usiadł obok.

- Mam po kogoś zadzwonić?

- Nie. - Wstałam i czując falę mdłości, natychmiast złapałam się ściany. - Dzięki za pomoc. Teraz jednak muszę...

Co takiego muszę?

- No, muszę się przejść.

- Jest pani tego pewna?

- Muszę sobie wszystko w głowie poukładać - powiedziałam i ruszyłam w kierunku drzwi, ale nie tych prowadzących na korytarz i dalej, do sali głównej, lecz tych znajdujących się po przeciwnej stronie pokoju.

Właściciel knajpy ruszył za mną.

- Pierwszy autobus będzie dopiero rano. Może pani przespać się tutaj, na kanapie.

- Dam sobie radę. Proszę pozdrowić ode mnie Nika. Niech pan mu powie, że miło się z nim rozmawiało.

- Pozdrowię - rzekł mężczyzna, otworzył drzwi i wypuścił mnie na pole za knajpą.

Na tym odludziu widać było o wiele więcej gwiazd niż w Eos, choć nadal wiele z nich przyćmiewał blask pierścieni. Ciężki rzucony przez planetę przesunął się w górę i przeciął je na pół, przez co przypominały teraz dwa sierpy o końcówkach zabarwionych na czerwono. Powietrze wypełniał zapach chmurzycy, wszędzie słychać było poświstywanie i szelesty nocy. Ruszyłam drogą, nadal odurzona i niezdolna do przemyśleń. Nie chciałam zresztą myśleć. Nie chciałam dociekać, co pchnęło mnie, by przytknąć sobie lufę devastatora do głowy.

Szłam przez kilka godzin, aż droga w końcu zamieniła się w autostradę, co oznaczało, że do Eos mam jeszcze jakieś pięć kilometrów. Po lewej zamigotały wśród ciemności przygaszone światła Żołnierskiego Raju. Był to wielki park z szerokimi trawnikami, poprzecinany ogrodami i basenami. Piękny park, ale wzniesiono go nie po to, by olśniewać urodą. Był to pomnik żołnierzy ISK, którzy polegli w bitwie.

Zatrzymałam się i zapatrzyłam na Raj. Nigdy go nie odwiedziłam, choć nie była to moja pierwsza wizyta na Foreshires. Teraz też nie miałam ochoty tam zaglądać, ale nogi same poniosły mnie w tamtą stronę. Szłam po zwirowych ścieżkach, mijałam ogród za ogrodem i cały czas unikałam pomników, rzeźb, płyt pamiątkowych i obelisków. Chciałam patrzeć jedynie na trawniki i kwiaty.

Aż dotarłam do Kopuły.

Była to okrągła budowla o szerokości dziesięciu metrów i wysokości przeciętnego dwupiętrowego budynku. Kopulasty dach spoczywał na dwudziestu dziewięciu płytach o szerokości jednego metra, oddzielonych od siebie pustą przestrzenią. W miejscu trzydziestej płyty znajdowało się wejście, do którego prowadziły trzy stopnie. Pomnik wykonano z białego marmuru. I to wszystko, co można było o nim powiedzieć.

Poza nazwiskami.

Ukazywały się dopiero po wejściu do środka. Rzeźbiono je wprost na płytach i zakrywały już połowę wolnego miejsca. Co roku przestrzeń ta się kurczyła.

Co zrobimy, kiedy zapisana zostanie ostatnia płyta? Ile jeszcze takich Kopuł będziemy musieli wznieść, by uczcić pamięć imperialnych Jagernautów, którzy polegli w walce? Bo to w końcu jedyny cel istnienia tego pomnika, który miał uczcić pamięć cudów biosyntetycznych Skoliańskiego Imperialatu.

Weszłam po schodkach i znalazłam się w środku. Nie chciałam patrzeć na płyty; nie chciałam widzieć nazwisk - parłam jednak naprzód, nie mogąc się zatrzymać. Podeszłam do płyty znajdującej się po przeciwnej stronie wejścia i spojrzałam na ryty w marmurze. Data śmierci, uwieczniona obok każdego nazwiska, za każdym razem była stara, sprzed wielu dekad. Ale nie dla mnie.

Rozpoznałam o wiele za dużo nazwisk.

Zaczęłam drzeć. Nie było mi zimno, a jednak moje ciało trzęsło się, jakby wystawiono mnie nago na mróz. Chodziłam po wnętrzu Kopuły, spoglądałam na płyty, odkrywałam bardziej współczesne daty i bardziej znane nazwiska. Tak wiele... Tak wiele... Skąd ja ich tyle znałam? Pamiętałam ich twarze, pamiętałam, jak się śmiali,

chodzili, mówili. Każde z ich imion prześladowało mnie, każde było oskarżeniem o to, że wciąż żyłam, podczas gdy oni zginęli. Chciałam rzucić się do ucieczki, ukryć, pogrążyć się w zapomnieniu, które niesie alkohol, które daje śmierć, ale nie mogłam się zatrzymać, nie mogłam przestać czytać i wspominać. Nieubłaganie zbliżałam się do ostatniej płyty. Nie chciałam tego, ale nie wiedziałam, jak się zatrzymać.

I nagle wyrosła tuż przede mną. Zobaczyłam daty z ubiegłego roku. I imię wyryte na wysokości moich oczu. Zwykle imię. Takie jak wszystkie pozostałe.

Kelricson Garlin Valdoria Skolia, Jagernauta, tertan.

Kelric. Mój mały braciszek.

Był trzecim kandydatem do tronu. Jediną osobą - nie licząc Jaibriola - z którą doświadczyłam cudu połączenia umysłów, znanego tylko Rhonom.

Ściągnęłam rękawiczkę ze zdrowej ręki i dotykając chłodnego marmuru, przesunęłam palcami po rycie. Potem, trąc czubkami palców o kolejne nazwiska, powoli osunęłam się na kolana. Z zaciśniętymi pięściami i pochyloną głową, zapłakałam.

Kłęczałam i szlochałam, aż poczułam ból.

Czas na leczenie

Ze snu wyrwał mnie śpiew jakiegoś ptaka. Uniosłam głowę, skołatana i oszołomiona. Czemu byłam tak zeszywniała? Nagle zrozumiałam, że patrzę na kamienną podłogę, a zaraz potem na marmurową taflę z jakimiś nazwiskami. I wtedy wszystko sobie przypomniałam.

Siedziałam oparta o płytę Kopuły, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Słońce jeszcze nie wstało, ale do świtu pozostawały już tylko minuty. Naciągnęłam rękawiczkę, podniosłam się i z trudem zesłam po schodkach do parku. Mój umysł budził się równie wolno jak dzień. W powietrzu unosił się chłód, a mój mundur pokrywała rosa. Czułam się wyczerpana, jakbym biegła przez całą noc.

Przemierzyłam trawnik, za którym ciągnęła się autostrada prowadząca do Eos. O tej porze nad błękitnymi segmentami drogi tylko od czasu do czasu przemykał jakiś gawilot. Ich pasażerowie przyglądali mi się ze zdumieniem, ale nie przeszkadzało mi to. Nie miałam już siły, by się tym przejmować. Chciałam tylko zakończyć moją wędrówkę. Usiłowałam podtrzymać odrętwienie mózgu, bojąc się, że jeśli pozwolę mu funkcjonować, nigdy nie dokończę tego, co rozpoczęłam.

Gdy dotarłam do Eos, słońce stało już całkiem wysoko. Droga zmieniła się w szeroki bulwar przecinający centrum miasta. Wzdłuż całej jego długości rosły drzewa, choć było ich znacznie mniej, niż tam, gdzie mieszkałam. Wszędzie widziałam rozległe skwery starannie przyciętej chmurzycy, ciągnące się między budynkami rządowymi i wokół rzeźb uformowanych na podobieństwo kręgów. Drogą przemykały pojazdy, a chodnikami przechadzali się piesi, niekiedy przyglądający mi się czujnie lub z zaciekawieniem, inni całkiem pogrążeni we własnych rozmyślaniach.

Szłam przed siebie.

W końcu dotarłam do ambasady Imperialatu. Wspięłam się po szerokich schodach, przeszłam między niebotycznymi kolumnami i znalazłam się w przestronnym hallu zwieńczonym wysokimi łukami. Na ławkach ustawionych pod ścianami siedzieli ludzie zajęci własnymi sprawami - rozmową z sąsiadami, czytaniem lub po prostu czekaniem. Po przeciwnej stronie sali kolejka ludzi oczekiwała, by wejść do właściwej ambasady i załatwić swoje ważne sprawy. Ruszyłam ku nim. Echo moich kroków poniosło się po sali i ucichło, gdy stanęłam na końcu kolejki.

Mogłam ją pominąć. Mogłam podejść do jakiegokolwiek innego wejścia lub nawet wrócić do domu i zażądać, by ktoś z ambasady po mnie przyjechał zaraz po tym, jak się wyśpię. Zamiast tego postanowiłam zaczekać. Gdybym przerwała, mogłabym nigdy nie doprowadzić swojego planu do końca.

Kolejka ciągnęła się po schodach, na których szczytce stała jakaś kobieta, udzielająca każdemu z petentów wskazówek i nadzorująca kontrolę bezpieczeństwa przed wejściem do każdego z pomieszczeń. Gdy przyszła moja

kolej, uśmiechnęła się i odezwała takim tonem, jakby obsługiwane Jagernauty było dla niej codziennością.

- W czym mogę pani pomóc? - spytała.

Poczułam wewnętrzny opór. Dobrnęłam tak daleko, ale nie byłam w stanie zrobić ani kroku dalej.

- Czy mogę skierować panią do któregoś z biur? - spróbowała ponownie.

Przez chwilę tylko patrzyłam, a potem powiedziałam:

- Zależy mi na wizycie u prostownika.

Rozmowy za moimi plecami ucichły. Wszyscy w zasięgu głosu odwrócili się w naszą stronę i zapadła irytująca cisza.

W duchu przyznałam, że ludzie odpowiedzialni za dobór pracowników ambasady wykonali świetną robotę, bowiem kobieta nawet nie mrugnęła w tej dziwnej sytuacji. Przypuszczalnie pierwszy raz w swojej karierze usłyszała podobną prośbę, a mimo to nie dała tego po sobie poznać. Dotknęła właściwego przycisku na pulpicie, a potem powiedziała:

- Ktoś zaraz odprowadzi panią do Tagera.

Spojrzałam ponad jej ramieniem na przestronny, ciągnący się daleko w głąb marmurowy korytarz. Na drugim końcu pojawiło się czterech mężczyzn, którzy ruszyli w naszym kierunku. Byli postawni i nie miałam wątpliwości, że posiadali przy sobie broń.

- Proszę przejść, primanie. - Urzędniczka wskazała mi bramkę bezpieczeństwa.

Stosowano tu typową, łukowatą bramkę, pilnowaną przez strażników. Gdy przez nią przeszłam, zamigotały światła i zaryczały syreny. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że zapomniałam wyjąć i odłożyć devasta-tor. Dwóch strażników już położyło dłonie na kolbach

swojej broni, a ludzie, którzy mieli mnie odebrać, przyspieszyli kroku - ja zaś jedynie stałam, usiłując pozostać w stanie odrętwienia.

Nikt się nie odezwał, nikt nie poprosił mnie o oddanie broni. Ludzie w kolejce gapili się na mój mundur, strażnicy nie spuszczaali wzroku z devastatora, a kobieta przy pulpicie czekała. Wyczuwałam ich emocje - były dla mnie niczym papier ścierny na otwartej ranie. Bali się, że wpadnę w szal, że eksploduję, jeśli tylko zrobią coś nie tak. Nikt nie rozumiał prawdy, nie pojmował, że to ja ryzykowałam, a nie oni. Jedno złe słowo, jedno wrogie spojrzenie, jeden fałszywy ruch kogokolwiek z zebranych i wybiegnę stąd tak szybko, że usłyszą tylko świst powietrza.

Eskorta dotarła na miejsce. Najwyższy spośród nich uklonił się i powiedział:

- Witamy.

Wskazał uprzejmie korytarz, którym właśnie przyszedł, jakbym była gościem na przyjęciu wydawanym przez ambasadę, a on - moim gospodarzem. Bez wątpienia należał do najlepszych ludzi w ochronie obiektu, ale jego taktowne zachowanie, a także cywilne ubranie w niczym nie zdradzały jego statusu.

Ruszyłam we wskazanym kierunku. W towarzystwie eskorty szłam przez opustoszałe korytarze o wypolero-wanych, lśniących podłogach, mijając po drodze kilka sklepionych wysoko przejść. W końcu dotarliśmy do miejsca, w którym jedną ze ścian wykonano w całości ze szkła. Z zewnątrz szyba była ciemna i nieprzejrzysta, ale mogłam się założyć, że osoba znajdująca się po drugiej stronie widziała nas doskonale.

Nagle drzwi na wprost rozsunały się i ujrzałam męzczyznę, który stojąc w centrum pokoju, przyglądał się

nam z zaciekawieniem. Moja obstawa zatrzymała się na progu, więc weszłam do środka sama. Sporych rozmiarów pomieszczenie wyścielone było białym dywanem -tak gęstym, że moje buty grzęzły w nim po kostki. Na szklanych regałach ciągnących się wzdłuż ścian stały ozdobne wazony, szklane statuetki i inne gadżety. Wiązujące w gabinecie obrazy były wystarczająco interesujące, by przyciągać wzrok, a jednocześnie na tyle subtelne, aby nie rozpraszać niczyjej uwagi.

Podeszłam do oczekującego mnie mężczyzny. Miał brązowe oczy i wydawał się zwykłym, nieco za szczupłym człowiekiem.

- To pan jest tym prostownikiem? - zapytałam.

Oczywiście nie tak brzmiał jego tytuł. Oficjalna nazwa to „psychiatra klasy A6 Imperialnych Sił Kosmicznych”.

- Tak. Nazywam się Jak Tager - powiedział, zerknął na moją obstawę i machnął ręką.

Drzwi zamknęły się natychmiast i zostaliśmy sam na sam.

Podeszłam do półki, na której stały szklane wazony.

- Ma pan tu sporo kruchych dupereli - powiedziałam.

- Na to wygląda. - Zbliżył się do mnie.

Nie przypominał światowej sławy eksperta specjalizującego się w dziedzinie ludzkiego umysłu. Kobieta przy pulpicie nazwała go po prostu Tagerem.

- Jest pan lekarzem?

- Ukończyłem studia medyczne, mam również doktorat z psychologii. - Skinął głową.

- Ilości pacjentami zajmuje się pan teraz?

- Jednym. - Uśmiechnął się lekko.

- Czyli mną?

-Tak.

- A co pan robi przez resztę czasu? - parsknęłam.

- Pracuję naukowo. - Moje zainteresowanie najwyraźniej sprawiało mu przyjemność. - Badam psychologiczne skutki stosowania u ludzi interfejsów biomechanicznych.

Na bogów. A więc to był TEN Tager! Sama czytałam jego prace. Był niekwestionowanym ekspertem w dziedzinie wpływu systemów biomechanicznych na ludzi, którzy nimi dysponowali. Nie miałam pojęcia, że tak naprawdę jest prostownikiem. Oznaczało to, że oprócz swoich osiągnięć naukowych miał jeszcze stopień ISK, najprawdopodobniej nadany przez wij lub Dieshańską Akademię Wojskową.

Zastanawiałam się, co o tym wszystkim sądzić. Tager wyglądał na całkiem normalnego lekarza, choć wcale nim nie był. Dziesięć lat temu, gdy udałam się do pro-stowniczki po incydencie na Tams, zapytałam, iloma pacjentami zajmowała się w swej karierze. „Ośmioma” -odpowiedziała. Jakiś absurd! W ciągu dwudziestu pięciu lat kariery zajmowała się tylko ośmioma pacjentami, w tym mną - a przecież odbyłyśmy raptem dwa spotkania.

Nie miałam zresztą na nie ochoty. Poszłam do niej, bo otrzymałam taki rozkaz. Z drugiej strony, mój dowódca wybrał naprawdę dobrą specjalistkę. Gdybym wówczas szukała pomocy, na pewno bym ją od niej otrzymała. Właśnie z nią chciałam teraz rozmawiać. Niestety, nie miało to obecnie żadnego znaczenia, bo moją jedyną opcją pozostawał Tager, a ja z jakiegoś powodu nie miałam ochoty na rozmowę z mężczyzną. Nie wiem dlaczego -nie miałam ochoty i już.

- Może popełniłam błąd, przychodząc tu. - Ode-
tchnęłam. - Marnuję pana czas.

- Dlaczego zdecydowałaś się przyjść? - zapytał.

- Doprawdy nic takiego - powiedziałam. - Po pro-
stu ostatnio zrobiłam kilka rzeczy, które można by uznać
za... Za nieco dziwne - przyznałam po chwili.

- Co przez to rozumiesz?

- Zeszłej nocy przyłożyłam sobie naładowany
deva-stator do głowy.

- Opowiedz mi o tym - cicho poprosił Tager.

- Rozmawiałam w knajpie z pewnym piosenkarzem.
Byłam pijana, że hej. Przystawiłam sobie odbezpieczoną
spluwę do głowy i prawie...

Urwałam. Nie chciałam rozmawiać z tym człowie-
kiem, zarówno o zeszłej nocy, jak i o czymkolwiek in-
nym.

Sęk w tym, że przyszedłam tu z własnej woli. Nie wie-
działam, czego tu szukam, ale przeczuwałam, że jeśli nie
pokonam własnego oporu, znów zagubię się w wątpli-
wościach. Nabrałam tchu i dokończyłam:

- To nie wszystko. Dwie noce temu prawie zabiłam
człowieka, zwykłego cywila, tylko dlatego, że przycisnął
mnie do muru. Nie wiem dlaczego. Cóż, trzeba przyznać,
że jest natrętnym typkiem i że nie przepadam za nim,
a on za mną, ale to wszystko.

Tager przez cały ten czas przyglądał mi się uważnie
tym swoim przenikliwym spojrzeniem, jakby naprawdę
chciał mnie zrozumieć. Cóż, na tym w końcu polegała
jego praca. Musiał patrzeć w ten sposób.

- Jak do tego doszło? - zapytał.

- Nie spodobało mi się to, jak mnie dotykał. - Za-
czynałam się czuć nieswojo, naprawdę nieswojo. Moje

wyznania jak dotąd nie usprawiedliwiały takiej reakcji.
-Coś mnie opętało. Sama nie wiem co. -I co zrobiłaś?

- Roztrzaskałam szklanę i prawie go pochlastałam.

- A dlaczego nie spodobało ci się to, jak cię dotykał? - spytał Tager ostrożnie, ale nie tak, jak ludzie przy bramce bezpieczeństwa, obawiający się, że zaraz wpadnę w szal.

To dziwne, ale w jego towarzystwie czułam się tak, jakbym była kimś wyjątkowym, zasługującym na podziw i szacunek, co zakrawało przecież na absurd, zważywszy, że znałam go niecałe pięć minut. Na podziw i szacunek trzeba sobie zasłużyć, a ja jeszcze niczego mądrego w tym kierunku nie zrobiłam.

- Dotknął ramiączka mojej sukni. - Poczulałam się głupio, opisując to zdarzenie. Gdyby ktoś powiedział, że zareagowałam wówczas przesadnie, doprawdy łagodnie by to ujął. - A potem wsunął dłoń między moje piersi i przycisnął mnie do ściany.

Tager nie próbował ukryć swego zaskoczenia.

- Wiedział, że jesteś primanem?

- Nie. Poznałam go chwilę wcześniej, podczas wybieżki klubu turystycznego.

- Groził ci?

-Nie.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście, że jestem.

- A skąd ta pewność? - zapytał Tager.

- Co ma pan na myśli? - Zmarszczyłam brwi.

-Wiem to i już.

- Ale skąd?

O co mu chodziło?

- Jestem empatką. - Skrzywiłam się. - Stąd to wiem...
Nazwał mnie suką, ale nie było w tym żadnej agresji.

- Na pewno?

- Tak, na pewno. Ma pan jakiś kłopot ze zrozumieniem moich słów?

- Twoje odruchy nie uaktywniłyby się bez powodu.

Czy to właśnie w ten sposób zarabiał na swoje niebotyczne zapewne wynagrodzenie? Prawiąc oczywistości swemu jednemu pacjentowi?

- To pan jest prostownikiem. Niech pan mi powie, na czym polega problem.

- Dobrze, ale musisz mi pomóc - odetchnął Tager.

- Tego się pan nauczył, robiąc te swoje dyplomy? Że to pacjent ma sam siebie diagnozować?

Nie okazał nawet cienia irytacji.

- Musisz mi powiedzieć więcej - stwierdził cichym głosem.

Przyglądał mi się w jakiś dziwny sposób. Widziałam już gdzieś to spojrzenie. Nie wiem dlaczego, ale koło ono mój gniew.

- Czy zrobiłaś ostatnio coś jeszcze, co byłoby sprzeczne z twoją naturą?

Wreszcie rozpoznałam ten wyraz twarzy. Tak patrzyła moja matka, gdy cierpiał ktoś bliski. Co więcej, troska Tagera wydawała się autentyczna - a już na pewno nie była to wyćwiczona maska, którą przybierał na okoliczność rozmów ze swoimi nielicznymi pacjentami. Byłam dla niego kimś istotnym. Ale dlaczego? Z jakich względów miałby odczuwać wobec mnie współczucie? Przecież nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy. W dodatku byłam tylko biosyntetycznym cudakiem stworzonym na pośmiewisko ludzkości.

- Nie - powiedziałam. - Poza tym nie zrobiłam ni czego dziwnego. Jestem sobą.

No, akurat to stwierdzenie samo w sobie było wystarczająco dziwne.

- Może jednak powinnam iść do domu. Jestem zmęczona, to wszystko. Przeszłam pieszo spory kawałek w nocy.

- Z członkami klubu turystycznego? - Uśmiechnął się.

Z kim? Aha, chodzi mu pewnie o amatorów korze-niny.

- Nie, wracałam wczoraj z wij-u i trafiłam do Żołnierskiego Raju. Przespałam tam noc.

- Dlaczego?

To pytanie naprawdę zabiło mi ćwieka.

- Byłam zmęczona - odparłam, mając nadzieję, że na tym Tager zakończy to indagowanie, ten jednak tylko stał i czekał.

- Pojechałam metrem do wij-u, ale nie spodobało mi się, że ludzie się na mnie gapili, więc postanowiłam wrócić do domu pieszo.

- Nie masz grawilotu?

- Mam, ale wczoraj rano jakoś nie mogłam się zmusić, żeby do niego wsiąść.

- Często nim latasz? - sondował mnie ostrożnie.

- Cały czas.

- Czy coś ci się stało w grawilocie?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Ale wczoraj nie mogłaś do niego wsiąść.

Nagle zapragnęłam pochwycić go i potrząsnąć nim z całej siły.

- Do jasnej cholery, no i co z tego?

- Priman... - przerwał, najwidoczniej próbując przy pomnieć sobie moje imię, ale ja milczałam nieubłagana. - Rozmowa ze mną nie zawsze bywa przyjemna, ale jeśli mam ci pomóc, muszę znać odpowiedzi na swoje pytania.

Nagle poczułam się osaczona. Nabrałam tchu, a potem odwróciłam się gwałtownie, zamierzając jak najszybciej uciec z gabinetu. Kiedy natrafiłam na biurko, stojące jak się okazało tuż za mną, oparłam dłonie o jego blat.

Dopiero po chwili odzyskałam trzeźwość umysłu i ponownie się odwróciłam. Mówiłam powoli, niczym nurek sprawdzający temperaturę lodowato zimnej wody:

- Człowiek o imieniu Kryx Tarque zabrał mnie kiedyś do swojego grawilotu.

Tager nawet nie drgnął.

- To nazwisko hightońskie - stwierdził spokojnym tonem.

- Bo to był Highton - odparłam, czując, jak moje dłonie stają się zimne. - Porwał mnie z ulicy w bazie Tams. Prowadził tam tajną misję. Zostałam... Byłam...

Znów nabrałam tchu i zmusiłam się, by dokończyć zdanie.

- Byłam jego dostarczycielką przez trzy tygodnie. Co noc, przez większość czasu. Za dnia też.

Trzy tygodnie niekończącej się tortury.

Tager był prawdziwym mistrzem w dobieraniu odpowiednich komentarzy i mógłby bez mrugnięcia okiem kpić ze śmierci, stojąc na drodze rozpędzonego pociągu poduszkowego, ale nawet on nie potrafił teraz ukryć swoich emocji. W jego głosie nie było słychać żadnych zmian, ale wyczułam, że moje wyznanie nim wstrząsnęło.

- Jak ci się udało uciec?
- Uduśliam go, gdy mnie pieprzył - wykrztusiłam.
- Przykro mi. - Tager podszedł bliżej.
- Dlatego?
- Dlaczego, że musiałś przez to przejść.
- Ryzyko zawodowe.
- Nie sądzę - powiedział z lekkim niedowierzaniem.
- Proszę posłuchać - powiedziałam. - To wszystko miało miejsce dziesięć lat temu. Od tamtego czasu nic mi nigdy nie dolegało. Nie ma właściwie powodów, żeby wiązać to zdarzenie z moim obecnym stanem.

- A ten człowiek, którego o mały włos nie zadźgałaś... Nie wyglądał jak Tarque?

-Nie.

Nie była to do końca prawda. Podobnie jak Kryx, Hilt również miał ciemne włosy i był wysokim, szczupłym oraz muskularnym mężczyzną. Co więcej, arogancja, z jaką wszedł tamtej nocy do mojego mieszkania, przypomniała mi nastawienie mojego oprawcy, który twierdził, że wobec gorszych od siebie ma prawo postępować, jak mu się żywnie podoba. Było to jednak podobieństwo powierzchowne. Hilt należał co prawda do wyjątkowo irytujących ludzi, ale nawet pomimo tak krótkiej znajomości wiedziałam, że w gruncie rzeczy to poczciwy człowiek.

- Zdecydowanie nic ich nie łączy - dodałam.

- A ten piosenkarz z knajpy? Może on ci przypominał Tarque'a?

- To skrajne przeciwieństwo Aristo - parsknęłam. -Złote oczy i złoty głos. Wątpię, aby mógł skrzywdzić nawet błyskotyła.

- Twój ton sugeruje, że jest w tobie wiele gniewu -powiedział łagodnie Tager.

- Gniewu? - Wbiłam w niego spojrzenie. - A niby z jakiej okazji? Zresztą... Przecież nie chciałam skrzywdzić tamtego muzyka. Po prostu miałam na niego ochotę.

- Opowiedz mi o nim.

- Nie znam go.

Tager czekał na ciąg dalszy, więc obrzuciłam go niechętnym wzrokiem i demonstracyjnie skrzyżowałam ramiona na piersi.

- A więc nie jesteś mężatką? - spróbował po chwili innej taktyki.

Czy to nie oczywiste, że nikt mnie nie chce?

- A cóż to ma do rzeczy?

- Odnoszę wrażenie, że należysz do osób, które nie szukają przypadkowych kochanków, kiedy same są z kimś związane.

Ciekawe, jak do tego doszedł, zapytałam się w duchu.

- No i co z tego - warknęłam. - Oczekiwał pan, że będę mężatką?

- Dlaczego cię to złości?

- Niech pan na chwilę przestanie być prostownikiem i odpowie mi na to cholerne pytanie. Spodziewa się pan po mnie uczciwości, a ja spodziewam się jej po panu.

- Tak, jestem zaskoczony, że nie masz męża - stwierdził cicho.

Zawsze te same farmazony. „Kto jak kto, ale TY nie powinnaś być samotna”.

- Niech pan da sobie spokój, Tager.

- Dlaczego cię to złości?

- Wcale nie jestem zła. Po prostu proszę przestać mnie o to wypytywać.

- Wyglądasz na wściekłą.

- Bo ciągle słyszę to samo. Wszyscy myślą tylko o jednym: „Jak zaciągnąć tę seksowną panią priman do łóżka”. Dla was jestem prawdziwą zdobyczą! A dla takich jak Hilt zwłaszcza! - Zacisnęłam pięści. - Może powinnam pochlastać sobie twarz i ubrać się w łachmany. Ciekawe, czy wtedy ktoś będzie miał na mnie ochotę.

- Kim jest Hilt?

Byłam wściekła na Tagera i jego idiotyczne pytania.

- To ten kutas, który przycisnął mnie do ściany i nazwał lodową suką.

- Pomylił się.

Poczułam się jak grawilot, który właśnie wyrzwał w mur z cegieł. -Co?

- Wiesz, dlaczego jestem zdziwiony, że nie jesteś mężatką? - zapytał. - Ponieważ niewielu empatów z twoją wrażliwością potrafiłoby znieść życie w samotności.

- Mam odporność bryły cementu.

- Niezwykłej bryły. - Uśmiechnął się.

- To nie był żart.

- Ja również nie żartowałem.

Nie mogłam w to uwierzyć.

- A skąd się w panu wzięło przekonanie, że wie pan cokolwiek na mój temat?

- Ufam swojemu doświadczeniu, wykszoleniu i reakcjom. - Tager rozłożył ręce. - No i... także jestem em-patą.

No jasne! Przecież w tym zawodzie to oczywiste.

- Chyba nie mam już ochoty na dalszą rozmowę - bąknęłam.

Opowiadanie mu o sobie było bardziej wyczerpujące od nocnego marszu z WIJ-U. Chciałam po prostu pójść już do domu i położyć się spać.

- Nie wiem, czy jeszcze do pana wrócę.
- Myślę, że powinnaś.

Zmroziło mnie. Sądziłam z początku, że powie to, co Kurj dał mi do zrozumienia - że jestem przepracowana, że powinnam zacząć normalnie żyć, odpocząć, zabawić się. Spodziewałam się, że taktownie da mi do zrozumienia, że nie muszę marnować jego czasu swoimi płaczącymi problemami związanymi z brakiem umiejętności nawiązywania kontaktów z innymi ludźmi.

A tymczasem on chciał, żebym wróciła. Nic z tego - rozmowa z nim zbyt wiele mnie kosztowała.

- Nie wiem, czy znajdę czas.
- Przerwanie terapii byłoby teraz dużym błędem.
- Dlaczego? - Wbiłam w niego wzrok.

Znów patrzył na mnie jak moja matka.

- Muszę jeszcze kilka razy z tobą porozmawiać, zanim zrozumie przyczynę twojego gniewu, ale już teraz mogę powiedzieć, że jeśli sobie z tym nie poradzisz, coś się stanie.

- Sądzi pan, że kogoś skrzywdzę? - zapytałam, nie kryjąc nawet swojego zaniepokojenia.

- To niewykluczone.

Wiedziałam to. Wiedziałam od dawna. Zmusiłam się do ułożenia kolejnego zdania.

- Myśli pan, że stracę panowanie nad sobą i kogoś zabiję, tak?

- Nie wydaje mi się, żebyś była w stanie zamordować kogoś z zimną krwią - powiedział, a potem bez uprzedzenia uniósł moją dłoń i ściągnął z niej rękawicę, obnażając opatrunek. - Jak do tego doszło?

Jak on wpadł na to, że byłam ranna? Musiał być o wiele bardziej utalentowanym empatą, niż mogło się wydawać. Cofnęłam dłoń.

- Mówiłam panu. Zbiłam szklankę.
- W jaki sposób?
- Nie pański interes, do cholery. - Miałam ochotę strzelić go w twarz. - Co to ma za znaczenie, jak to zrobiłam?
- Obawiam się, że osobą, którą skrzywdzisz - powiedział z nieznośną łagodnością - będziesz ty sama.
- To najgłupsza rzecz, jaką pan dzisiaj powiedział!
- Byłam tak wściekła, że głos zaczynał mi się rwać.
- Nie mogę cię zmusić, żebyś wróciła - oświadczył Tager. - A nawet gdybym mógł, na nic by się to nie zdało. Jestem przekonany, że potrafisz wmówić mi dosłownie wszystko na temat swojego stanu umysłu... Ale nie przy-szłabyś tu, gdybyś nie potrzebowała pomocy.
- Jestem fiksującą maszyną - powiedziała gorzko.
- Potrzeba mi remontu.
- Nie jesteś żadną maszyną - odparł ciepło.
- Ściągnęłam drugą rękawicę i uniosłam dłoń, by mógł ujrzeć gniazdko w moim nadgarstku.
- Jestem.
- Implanty nie odbierają ci ani odrobiny człowieczeństwa. Wzmacniają jedynie dary, z którymi przyszłaś na świat.
- Dary?! - Opuściłam rękę. - Kiedy ktoś, kogo znam, cierpi ból, odczuwam go razem z nim. Kiedy ktoś chce mnie skrzywdzić, też to czuję. Czasem nawet nie wiem, skąd oczekiwać niebezpieczeństwa. Zna pan to uczucie?
- Mówiłam coraz szybciej, nie mogąc się opanować. - Wie pan, jak to jest, latać za sterami Jaga? Wie pan, jak to jest, gdy wyczuje się Aristo w trakcie walki? Oni lubią nas zabijać! Uwielbiają to! Bardziej od seksu! A jeśli mój przeciwnik to nie Aristo, jest nim niewolnik, który staje jedynie przed szansą na lepsze życie. A ja muszę go zabić.

Mój głos drżał. Nie mogłam się opanować.

- Czuję śmierć każdego zabijanego przez siebie Handlarza. Umarłam w przestrzeni tysiąc razy, jeśli nie więcej. Nie ma cierpienia, którego bym nie doznała. Ja już nie jestem w stanie wyrządzić sobie krzywdy.

- Znam tylko cząstkę tego, co opisujesz - zaczął Ta-ger. - Widywałem już jednak konsekwencje takiego życia u empatów. To, że któremukolwiek z was udaje się to przeżyć, graniczy z cudem.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Byłam zmęczona. Wyczerpana. Nie mogłam już ciągnąć tej rozmowy.

- Muszę iść.

- Przyjdiesz jeszcze?

- Ja... Pomyślę o tym.

- Jestem tu codziennie. Zawsze możesz wpaść. Obojętnie, czy to będzie dzień, czy noc.

Pokiwałam głową. Nie wiedziałam, czy zdołam zebrać się na odwagę i tu wrócić, wołałam więc milczeć.

Gdy opuściłam ambasadę, był już środek dnia. Szłam niedaleko portu, przyglądając się statkom w dokach. Na pirsach tłoczyli się marynarze w białych spodniach, pasiastych koszulach i błękitnych czapkach zawadiacko opuszczonych na oczy. Zakochane parki i rodziny spacerowały po plaży, bawiły się w wodzie bądź wylegiwały na złocistym piasku pod złocistym niebem przeciętym lśniącymi pierścieniami. Wokół biegały dzieci w jaskrawych ubrankach i z kolorowymi balonikami, śmiejące się, pokrzykujące i zaczepiające ulicznych muzyków. Wszędzie unosił się zapach jedzenia z okolicznych straganów, mieszając się ze słonawym posmakiem powietrza. To miejsce żyło, tętniło energią - było ludzkie, spontaniczne, kwitnące.

Przez dłuższą chwilę stałam przy drewnianej balustradzie biegnącej wzdłuż bulwaru i przyglądałam się

zamieszaniu. Stopniowo nabierałam przekonania, że coraz bardziej ogarnia mnie dziwne uczucie.

Ulga.

Z jakiegoś dziwnego powodu świadomość, iż zdaniem Tagera znalazłam się w tarapatach, uwolniła we mnie nieprawdopodobne pokłady wewnętrznej siły. Dlaczego? Jak to się działo, że cieszyłam się na wieść o tym, że sięgnęłam dna?

Bo skoro byłam chora, to można mnie było także wyleczyć.

I w tym tkwiło sedno sprawy. Każdy problem można teraz rozwiązać. Gdyby niczego u mnie nie zdiagnozowano, oznaczałoby to, że moje dotychczasowe samopoczucie to norma i wciąż miałabym kłopot. Wątpię, czy w tej sytuacji mogłabym długo funkcjonować.

Może jednak warto pomyśleć o ponownych odwiedzinach u Tagera.

Ruszyłam w stronę Eos. Chciałam już pozbyć się munduru i odprężyć w zaciszu swojego domostwa. Apar-tamentowiec, w którym mieszkałam, znajdował się w odległości zaledwie jednego kilometra od portu i ledwie po kwadransie dotarłam na miejsce.

Gdy znalazłam się przed wejściem do budynku, ujrzałam kilkoro ludzi na schodach. Byłam pogrążona w myślach do tego stopnia, że rozpoznałam ich dosłownie w ostatniej chwili. Wtedy też zrozumiałam, dlaczego przyglądali mi się z takim zdziwieniem. To był Jarith z Rebeką, Hiltem i kilkoma ich przyjaciółmi. Zupełnie zapomniałam o wypadzie na plażę.

Zakłopotana, zatrzymałam się przed nimi.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziałam. - Mam nadzieję, że nie czekacie zbyt długo.

- Nie, skądże. - Jarith wpatrywał się w złote opaski na rękawach mego munduru.

- Obawiam się, że dzisiaj popsułabym wam tylko zabawę. - Przeczesalam dłonią włosy. - Może więc powinniście pójść beze mnie.

Pokiwali głowami. Wyglądało na to, że nikt nie ma bladego pojęcia, co powiedzieć, a zażenowanie Jaritha aż zalewało mój umysł. Miał się za kompletnego idiotę, który oszalał do tego stopnia, że zaprosił mnie, prima-na, na randkę.

„Kiepska sprawa” - pomyślałam, a potem zapytałam z uśmiechem:

- Wejdiesz?

- Zapraszasz mnie? - Jarith zamrugał.

-Tak.

- Och. - Poczerwieniał, ale szybko się opanował. -

W porządku.

Pozostali najpierw przyjrzeni się jemu, a potem mnie.

- Cóż - odkaszlnęła Rebeka. - Eee... No to na razie, Jar.

Skinął głową na pożegnanie. Jego przyjaciele uklonili mi się lekko i odeszli - wszyscy z wyjątkiem Hilta, którego obecność była mi najmniej na rękę.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - powiedział, zerkając na Jaritha. - Na osobności.

Zważywszy na to, co prawie zrobiłam, byłam mu to winna.

- Niech będzie.

Staliśmy po drugiej stronie wejścia, w cieniu drzewa.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Zamierzasz nas zakapować?

- Zakapować?

- No wiesz - bąknął Hilt. - Donieść o tym, co mówiliśmy na wycieczce.

I nagle mnie olśniło. Chciał wiedzieć, czy nosiłam się z zamiarem złożenia na nich raportu. Było to uzasadnione pytanie. Znałam oficerów, którzy bez wątpienia umieściliby te komentarze w ich aktach.

- Nie - powiedziałam. - Nic z tych rzeczy.

- Dlaczego?

- Macie prawo wygłaszać swoje własne opinie.
-Wzruszyłam ramionami.

- Czyżby? - spytał z goryczą.

Już chciałam powiedzieć: „Ależ oczywiście, że tak”, ale słowa uwięzły mi w gardle.

- Rozmawialiście o sprawach, o których chciałam usłyszeć. Zachowam to wszystko dla siebie.

- Przysięgnij.

- Żartujesz sobie? - Zmarszczyłam brwi.

- Wy, Jagernauci, ponoć życie według jakiegoś kodeksu honorowego. Złóż na niego przysięgę i znikam.

Co on sobie myślał? Jak śmiał kwestionować moje słowa?

- Nie chcę cię więcej widzieć - warknęłam.

- Tak właśnie myślałem - parsknął.

„Wyluzuj” - przykazałam sobie.

- No dobra. Przysięgam na honor Jagernauty.

Zamrugał. Po chwili zerknął na moją dłoń.

- Jak tam skaleczenie?

- W porządku.

- Mogłaś mnie wtedy zabić, prawda?

- Mogłam.

- Więc czemu tego nie zrobiłaś?

- Ty chyba naprawdę masz mnie za potwora. - Wbiłam w niego spojrzenie.

- Możesz w to wierzyć lub nie, ale szanuję ludzi gotowych do walki o własne poglądy. - Pokręcił głową. - Dla mnie jesteś jednak jedynie symbolem tyranii i ucisku. Moi rodzice spędzili dziesięć lat w więzieniu po tym, jak Ruth-2 została wcielona do Imperialatu. Ich jedyną winą było to, że protestowali przeciwko interwencji Imperialnych Sił Kosmicznych. Twierdzili, że nie zrobili nic złego, a chcieli jedynie nadal prowadzić normalne, spokojne życie.

Dziesięć lat? Nic dziwnego, że za mną nie przepadał.

- Przykro mi.

- To nie zwróci im utraconych lat. - Przełknął ślinę. - Mnie również.

W jego głosie było coś, co mnie poruszyło.

- Ile miałeś lat, gdy uwięziono twoich rodziców?

- Cztery - powiedział przez ściśnięte gardło.

Na bogów. Wiedziałałam, że ISK nie patyczkuje się z opozycją, ale to, co opisał Hilt, wydawało się całkiem sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem.

- Masz rację, nie zwrócę wam tych lat. Ale nie zapomnę tego, co mi opowiedziałeś.

- A co to zmieni?

- Może więcej, niż sądzisz.

- Może. - Bez przekonania wzruszył ramionami, odwrócił się i ruszył za przyjaciółmi.

Wróciłam do Jaritha. Uśmiechnęłam się przepaszająco, ale nie wyszło mi to najlepiej. Weszliśmy do lobby i podeszliśmy do drzwi wykonanych z podwójnych szyb. Wyjęłam przepustkę - kwadratową kartę z moimi odciskami palców - i wsunęłam ją do szczeliny. Laser prze-

ślizgnął się po niej bezszelestnie, zaterkotał elektroniczny zamek i szklane wrota rozsunęły się.

Weszliśmy do niewielkiego pomieszczenia o całkowicie przezroczystych ścianach.

- Najwyższe piętro - powiedziałam, a drzwi zasunęły się i winda ruszyła ku górze.

Płynny kryształ umieszczony między szybami cały czas przekształcał się pod wpływem pól elektrycznych i dostosowywał polaryzację szkła do zmiennego oświetlenia, dzięki czemu mogliśmy bez mrużenia oczu obserwować otoczenie na zewnątrz. Początkowo pod nami rozciągał się elegancki hall z pluszowymi dywanami i połączanymi meblami, ale po chwili, kiedy wyskoczyliśmy ponad dach lobby i znaleźliśmy się na zewnętrznej ścianie budynku, mogliśmy podziwiać już całą okolicę.

Staliśmy w milczeniu. Zdenerwowanie Jaritha здаwało się wręcz namacalne.

- Jak egzamin? - zapytałam.

- Ten z teorii muzyki? - Odprężył się nieco. - Do przodu. Dostałem całkiem wysokie oceny.

- Świetnie - stwierdziłam, nie wiedząc, co powiedzieć. Ostatni raz sama martwiłam się o wyniki egzaminu ćwierć wieku temu.

Winda w końcu zatrzymała się i wysiedliśmy na korytarz. W zasięgu wzroku znajdowały się tylko jedne drzwi - staroświeckie, drewniane, z miedzianą gałką. Gdy stanęliśmy przed nimi, wsunęłam kartę w szczelinę pod klamką. Zamek puścił z cichym kliknięciem i weszliśmy do środka.

- Piękne mieszkanie! - szczerze zdumiał się Jarith.

Uśmiechnęłam się. Apartament nie wydawał mi się już ciemny i ponury. Przez okna sączył się bursztynowy

blask słońca przemieszany z poświatą bijącą od pierścieni, a połączone drewno lśniło jak nigdy wcześniej.

- Mnie się też podoba - powiedziałam, zamykając drzwi i podchodząc do baru. - Napijesz się czegoś?

- A masz sok z korzeniny? - Jarith stanął po drugiej stronie lady.

- Na bogów, nie! Skądże znowu! Jak wy w ogóle możecie pić to świństwo?

- Przesadzasz. - Zaśmiał się. - Całkiem niezłe smakuje.

Moje serce kompletnie topniało na widok tej anielskiej twarzy. Dla tego faceta byłam nawet gotowa rozkazać Pako, żeby mimo wszystko skombinował tę ko-rzeninę.

- A masz może wodę mineralną? - zapytał.

- No, tego akurat u mnie nie brakuje - powiedziałam z rozbawieniem.

Podaliśmy mu pełną szklankę, a potem sięgnęłam po butelkę whisky. Początkowo zamierzałam nalać sobie dużego drinka, ostatecznie jednak zmieniłam zdanie i także zastąpiłam alkohol gazowaną wodą.

Usiedliśmy na sofie. Ze wszystkich sił starałam się zapanować nad sobą, ale gdy Jarith opróżnił szklankę i pochylił się, by odstawić ją na ławę, musnęłam dłonią jego włosy. Spojrzał na mnie z uśmiechem, a potem wyprostował się i objął mnie w tali. Przysmykając oczy, otoczyłam jego szyję ramionami, by po chwili dowiedzieć się, jak całują amatorzy korzeniny. Nic dziwnego, że złopią tyle tego świństwa.

Kiedy nasze usta rozdzieliły się, nadal siedzieliśmy blisko siebie, czule objęci. Ułożyłam głowę na jego ramieniu, czując nieprawdopodobną ulgę. Bogowie, jaka ja byłam samotna do tej pory.

- Nie smakujesz jak priman - wyszeptał.
 - A jak? - Potarłam nosem jego szyję.
 - Dobrze.
 - Och, Hypron, minęło tyle czasu - westchnęłam.
- Jarith niespodziewanie zeszywniał.
- Co się stało? - zapytałam, kiedy się wyprostował.
 - Dlaczego to powiedziałaś?

Odtworzyłam w głowie moje ostatnie słowa: „Minęło tyle czasu”.

- Ostatnio czułam się bardzo samotna.

Przyglądał mi się w skupieniu, jakby szukał w moich oczach odpowiedzi, aż wreszcie niespodziewanie poczerwieniał na twarzy.

- Chyba jestem za bardzo zdenerwowany - stwierdził cicho. - Po prostu nie mogę uwierzyć, że jestem tu z kimś takim jak ty.

- A ja się cieszę, że cię poznałam. - Dotknęłam jego twarzy.

Ujął moją dłoń, oplótł palce swoimi i przyciągnął mnie do siebie. Gdy przerwaliśmy kolejny długi pocałunek, by nabrać tchu, uśmiechnęłam się i szybko powiedziałam:

- To właśnie chyba ten moment, kiedy powinnam cię spytać, czy chcesz obejrzeć moje tatuaże.

Jarith wydawał się zaintrygowany.

- No to pytaj.

Zapytałam. Nie sprzeciwił się.

Moja przestronna, pełna roślin sypialnia przypominała atrium - na ścianach ciągnął się rząd wielkich, zwieńczonych łukami okien z połączanymi ramami i miedzianymi klamkami, a na suficie umieszczono ogromny świetlik. To dlatego właśnie wylegiwanie się na łóżku po-

śródm pękatych, miękkich poduch i puchowych kólder zawsze kojarzyło mi się z przebywaniem wśród chmur.

Jarith i ja leżeliśmy obok siebie, opromienieni wpadającymi ukośnie promieniami popołudniowego słońca. Spleceni w miłosnym uścisku, muskaliśmy palcami swoje nagie ciała i niespiesznie badaliśmy nowe terytoria. Pasował do mnie idealnie, kiedy jego biodra napierały na moje uda, a dłonie pieściły ciało. Cały czas poruszałam się wraz z nim, a potem spowolniłam, by wreszcie zniechęcić na krawędzi wybuchu, ignorując ból i czekając na niego. W chwilę później oboje poddaliśmy się rozkoszy, mknąc z falą, która rozbiła się o brzeg z szaloną intensywnością.

A potem już tylko leżeliśmy wśród poduszek - Jarith na plecach, z zamkniętymi oczami, a ja w zagłębieniu jego ramienia.

-Soz?

Poruszyłam się przez sen.

- Soz, obudź się.

- Hmmm...?

- Czas na obiad.

Mruknęłam w proteście, czując na sobie jego dłoń. W pierwszej chwili chciał mnie obudzić, ale jego dotyk wkrótce przerodził się w pieszczotę.

- Och, Hypron... - westchnęłam.

Przerwał. Poczulałam chłodne powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą przylegało do mnie jego ciało. Otworzyłam oczy i ujrzałam, jak siedzi na skraju łóżka.

Złapałam go za ramię, chcąc przyciągnąć do siebie.

- Co się dzieje?
- To już drugi raz - powiedział, patrząc na mnie.
- Co takiego?
- Nazwałaś mnie Hypronem. Resztki snu
rozwiały się w jednej chwili.
- Jak? - zapytałam i w tej samej chwili przypomnia-
łam sobie wszystko. W istocie, zwróciłam się tak do nie-
go. - Przepraszam.

Ułożył się obok mnie i naciągnął na nas kołdrę.

- Kto to jest?

Leżąc w pościeli, otulona jego ramionami, poczu-
łam się bezpiecznie - na tyle bezpiecznie, by powiedzieć
mu wszystko, co chciał wiedzieć. Podpełzłam do owego
ukrytego zakątka w mojej pamięci, jakbym miała otwo-
rzyć szufladę. Płonęło tam słońce, ale słońce mroczne,
zaciemnione. Zatrzasnęłam szufladę.

- Soz? - Jarith przyglądał mi się dziwnie, jak czło-
wiek, który najpierw dowiaduje się, że wygrał fortunę,
a potem uświadamia sobie, że to pomyłka.

- Hypron był moim mężem - odpowiedziałam.

-Był?

- Nie leżałabym tu z tobą, gdyby w moim życiu ist-
niał jakiś inny mężczyzna - powiedziałam cicho.

Napięcie w jego ramionach osłabło.

- Dlaczego go zostawiłaś?

- A skąd ci przyszło do głowy, że go zostawiłam?

- No bo przecież nikt normalny nie opuściłby ciebie
z własnej woli.

- Cieszę się, że w całym kosmosie jest chociaż jeden
człowiek, który tak sądzi - stwierdziłam kwaśno.

„Soz... - jego umysł musnął mój - dlaczego zadajesz
sobie tyle cierpienia?”

- Hypron umarł trzy lata temu...

„Proszę” - pomyślałam. „Powiedziałam to na głos. Świat się nie rozpadł”.

- W niecały rok po naszym ślubie...

- Przykro mi.

Chciałam wzruszyć ramionami, co stanowiło moją tradycyjną reakcję w takich sytuacjach, ale w objęciach Jaritha było to niewykonalne. Zamiast tego zdecydowałam się udzielić bardziej szczerzej odpowiedzi.

- Mnie też.

- Nie pogniewasz się, jeśli spytam, co się stało?

Upłynęła dłuższa chwila, nim zdecydowałam się odpowiedzieć, ale w końcu przezwyciężyłam opór.

- Mój dywizjon przeprowadzał rutynowy patrol w pobliżu pewnej kolonii w sektorze T-Hea. Miał tam swoją farmę.

Hypron. Wyraszczenia szczęścia nie schodził z mojej twarzy od chwili, gdy go ujrzałam po raz pierwszy. Na jego widok nie byłam w stanie długo utrzymać rąk przy sobie. Nie był aż tak urodziwy, ale ja od samego początku nie mogłam się oprzeć jego figlarnemu uśmiechowi. Było w tym mężczyźnie coś, od czego robiło mi się ciepło na sercu.

- Pobraliśmy się dwa tygodnie po pierwszym spotkaniu - powiedziałam. - Nie wiedzieliśmy, że... Koloniści mieli beznadziejną opiekę zdrowotną, a terapia systemu immunologicznego, której został poddany, nie przyjęła się za dobrze. Nim się zorientowaliśmy, co się dzieje, było już za późno...

Poczułam, że coś dławi mnie w gardle.

- I umarł - dokończyłam.

- Soz, tak mi przykro. - Jarith oparł się czołem o moją głowę i przytulił mnie mocniej pod kołdrą, a ja w końcu uchyliłam ową mentalną szufladę, w której kryło się

ciemne, ponure słońce. Kryły się tam też wspomnienia o ogromnej radości i niewyobrażalnym bólu, teraz jednak mogłam na nie spojrzeć. Dziś wreszcie mogłam to zrobić.

- Gdy spotkał się po raz pierwszy, przyszło mi do głowy, że jesteś empatą - powiedziałam po chwili.

- Bo jestem. W rejestrze Kyle'a figuruję jako uzdrowiciel empatyczny.

- Tak sądziłam - wyszeptalam.

Było mi tak ciepło w jego ramionach.

- Gdy inni ludzie cierpią emocjonalnie, nie mogę tego znieść - tłumaczył cicho. - Muszę spróbować jakoś się do nich dostać i ukoić ich ból. Ale rzadko kiedy mam pewność, czy to przynosi im jakąkolwiek ulgę.

- Przynosi. - Pocałowałam go.

- Ty jesteś wszystkimi trzema, prawda?

- Trzema?

- Empatą, uzdrowicielem i telepatą. - Dotknął moich włosów. - Gdy likwidujesz bariery, mam wrażenie, że momentalnie znajduję się w centrum supernowej.

- Ja likwiduję bariery?

- Kiedy się kochamy.

-Aha.

Będę musiała się pilnować. Choć z drugiej strony -może nie warto. W końcu każdy człowiek ma prawo od czasu do czasu poczuć się swobodniej.

- Soz - naszą rozmowę niespodziewanie przerwał jakiś bezcielesny głos.

- A co to takiego? - Jarith niemalże wyskoczył z łóżka.

- To tylko mój węzeł sieciowy - wyjaśniłam z rozba-
wieniem. - Pako, nie teraz.

- Qox będzie wygłaszał przemówienie - znów odezwał się głos, najwyraźniej wydobywając się z komunikatora dyskretnie zamontowanego w przeciwległej ścianie.

Na ognie piekielne! Faktycznie kazałam Pako informować mnie za każdym razem, gdy pojawią się jakieś aktualne informacje dotyczące cesarza Handlarzy - no i oczywiście ten cholerny dupek musiał wygłosić swoje przemówienie akurat wtedy, gdy byłam w łóżku z Jari-them.

- W porządku - burknęłam. - Odtwórz je.

Na środku pokoju pojawił się holoeokran, a na nim puma gotowa do ataku. Z głośników popłynęły melodyjne takty hymnu Handlarzy. Nie miałam pojęcia, jak takie potwory mogły skomponować tak piękny utwór.

- Czemu chcesz to oglądać? - Jarith zadrżał.

- Muszę wiedzieć, co mają do powiedzenia - odparłam.

Była to prawda, choć obowiązek ten budził we mnie obrzydzenie.

- Za każdym razem, gdy ich widzę, czuję się, jakbym... - przerwał, szukając słowa. - Jakbym był...

- Gwałcony?

- Tak. - Obrzucił mnie wystraszonym spojrzeniem.

Puma przeobraziła się w sylwetki dwóch ludzi, z których żaden nie był Urem Qoksem. W mężczyźnie po lewej rozpoznałam Kryksa Quaelena, hightońskiego ministra handlu, zaś mówcą na podium był... Jaibriol.

Jarith wstał i zaczął wciągać spodnie.

- Nie mogę na to patrzeć. Przepraszam. Zaczekam na ciebie w salonie.

Dlaczego Jaibriol musiał wdziierać się w moje życie akurat teraz, gdy właśnie otrzymałam szansę, by o nim

zapomnieć? Wstałam, podeszłam do szafy i chwyciłam pierwszą rzecz z brzegu.

- Nie musisz wychodzić - powiedziałam, wciągając prostą suknię przez głowę. - Możesz tu zostać. Ja wyjdę.

- A może oboje pójdziemy do salonu?

Wtedy zrozumiałam, o co mu chodziło. Nie chciał, by Hightoni byli obecni tu, gdzie się kochaliśmy.

- W porządku.

Usiadłam na kanapie, nie spuszczać wzroku z druzgiego holoeokranu, a Jarith nalał sobie drinka. Przemówienie nie zawierało zbyt wiele treści i w istocie było zwykłym bełkotem o tym, jacy to wszyscy Handlarze są wspaniali. Nie pasowało do Jaibriola, ale nie to mnie niepokoiło. Dla człowieka, który go nie znał - czyli dla większości mieszkańców galaktyki - przypuszczalnie wydawał się zwykłym Hightonem, ja jednak tamtej nocy na Delos poznałam jego wnętrze i miałam pewność, że mężczyzna na trybunie jest pod wpływem narkotyków.

Jarith usiadł obok mnie, trzymając w dłoniach szklanczkę z whisky. Upił spory łyk, wpatrując się w ekran jak zaczarowany. Nie zauważał jednak Jaibriola - hipnotyzował go Quaelen. Cóż za moc mieli Hightoni, skoro potrafili nas terroryzować nawet podczas transmisji telewizyjnej? Czy to dzięki ich językowi ciała, barwie głosu, ruchom rąk? I jakim cudem w ogóle to odbieraliśmy?

Widok Quaelena przeszywał mnie dreszczem. Dlaczego towarzyszył Jaibriolowi?

I wtedy naszała mnie straszliwa myśl, że może Ur Qox oddał Quaelenowi Jaibriola w opiekę? Cesarz Eube, okrutny przywódca Handlarzy, miał przecież recesywne geny empaty. Był pół-Rhonem, który DNA odziedziczył po matce, przez co nie ujawniła się żadna z jego cech. Dysponował jednak pojedynczymi genami. Czyżby więc

miał choć odrobinę empatii, by odczuwać współczucie wobec własnego syna? A może po prostu sam nie potrafił się zmusić, by nakazać synowi wypełnienie zadania, dla którego został poczęty?

Nawet nie chciałam wyobrażać sobie życia młodego następcy tronu z Kryksem Quaelenem w roli mentora. Wystarczyło mi zresztą to, co widziałam teraz. Najwyraźniej Jaibriol nie chciał wygłosić żadnej mowy i jego opiekun po prostu podał mu narkotyki, by zmusić go do posłuszeństwa. Niewykluczone też, że uciekł się do gróźb lub przemocy. Najgorsze jednak było to, że Qua-elen właściwie nie potrzebował żadnego z tych środków perswazji. Mógł przecież bez problemów nagrać wystarczającą ilość danych, by utworzyć przekonującą symulację highthońskiego sukcesora i wykorzystać ją do wygłoszenia dowolnej ilości przemówień.

Jarith siedział obok mnie z pobladłą twarzą i dopijał whisky. W końcu powiedziałam:

- Pako, wyłącz transmisję.

Ekran pociemniał, a Jarith spojrzał na mnie. Jego umysł przepelniła ulga.

- Musisz oglądać każde ich wystąpienie?

- Niestety. - Skrzywiłam się. - Znasz takie porzekadło: „Trzeba znać język wroga”?

- Już kiedy Qox nie miał dziedzica, byliśmy w kiepskiej sytuacji, ale przynajmniej mogliśmy wtedy mieć nadzieję, że wraz z jego śmiercią ten przeklęty ród wygaśnie. Tymczasem teraz znikąd pojawił się jakiś Jaibriol i wszystko znów stanęło pod znakiem zapytania. - Jarith zadrżał. - Zastanawiam się, czy to się kiedykolwiek skończy?

Dobrze wiedziałam, że nie. Gdyby Qox nie splodził potomka, tron zagarnąłby inny Highton, a nowy cesarz

byłby z pewnością równie okrutny, jak jego poprzednik. Wśród Hightonów nie ma ludzi łagodnych. Aristo byli genetycznie zaprogramowani, żeby być... Aristo. Nie było też żadnych szans na to, że z czasem to się zmieni. Ich obsesja na punkcie czystości krwi miała swoje źródło nie tylko w arogancji. Byli patologicznym podgatunkiem ludzkości, a gdy rozmnażali się ze swymi dostarczycielami, by poszerzyć pulę genetyczną, płodzili potomstwo, które następnie z pasją niszczyli.

Przed oczami znów stanął mi Jaibriol, odurzony narkotykami i bezbronny - jedyny człowiek pośród tego morza nienawiści, który mógł raz na zawsze zakończyć wojnę, zmuszając nas do rozmów pokojowych. Lub rzucając imperium Skolii na kolana.

Czas na sfowa

Ludziom przytrafiają się o wiele gorsze rzeczy - powiedziałam. - Zresztą musiałam to znosić zaledwie przez trzy tygodnie.

- Myślisz, że te trzy tygodnie pozostawiły mniejszy uraz niż na przykład trzy lata? - spytał Tager.

Przyglądałam mu się z bezpiecznej odległości, wciśnięta w kąć obok biblioteczki. Odwiedziłam go już trzykrotnie i ani razu nie widziałam, żeby usiadł, co sprawiało, że czułam się w jego towarzystwie niepewnie. Na szczęście zazwyczaj stał tak jak teraz, przy swoim biurku, nie ograniczając mojej przestrzeni.

- Proszę posłuchać - zaczęłam. - Większość dostarczycieli spędza w niewoli całe życie. To, co mi się przytrafiło, to doprawdy błahostka.

- Mylisz się. - Podeszedł bliżej.

- Jestem szkolona, żeby...

- Gówno prawda.

Zamrugałam oczami, zaskoczona jego reakcją. Takie zachowanie nie pasowało do jego charakteru.

- Dlaczego pan to powiedział?

- Bo w całym wszechświecie nie istnieje trening, po którym takie męki stałyby się błahostką. Tak, otacza cię gruby mur, ale za nim kryje się zwykły człowiek. Tortu-

rowano cię i wykorzystywano seksualnie, a to, że masz stopień primana, że przygotowano cię do znoszenia wszelkiego rodzaju stresów, że twoje piekło trwało bardzo krótko, nijak nie zmniejsza rozmiarów twojej traumy.

- Ale to wszystko wydarzyło się dziesięć lat temu. Powinnam była już dawno sobie z tym poradzić.

- Dlaczego?

Znów to irytujące pytanie.

- Dlatego że czas leczy rany.

- Ale tylko wtedy, gdy mu w tym pomożesz - jego głos złagodniał. - Tłumienie dramatycznych doświadczeń to podstawowy mechanizm obronny i jest prostym sposobem na szybki powrót do normalności. Niemniej to tylko tymczasowe rozwiązanie. Bez względu na to, jak bardzo będziesz się starać, by wyprzeć przykre wspomnienia ze swojej pamięci, one wciąż będą w tobie obecne. Będą cię prześladować. Wpłyną niszcząco na twoje poczucie własnej wartości, odcisną się na normalnym życiu, utrudnią nawiązywanie nowych znajomości i związków.

- Myśli pan, że z tego powodu mam problemy w kontaktach z innymi?

- To niewykluczone.

Cofnęłam się. Znów miałam wrażenie, że na mnie napiera.

- Jestem po prostu nadmiernie wrażliwa.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- W zeszłym miesiącu widziałam holofilm. - Parsknęłam. - Wie pan, jedna z tych głupich produkcji o Ja-geronautach wpadających w szal. Doprowadził mnie do ataku wściekłości. Wyszłam z kina i zepsułam wszystkim zabawę. A potem o mały włos nie pokroiłam jakiegoś faceta tylko dlatego, że powiedział, iż wkurza go

moje zachowanie. Pana zdaniem to nie jest objaw przewrażliwienia?

- Nie - rzekł Tager. - Zważywszy na twoje doświadczenie bojowe, na pewno nie.

- Moi towarzysze uznali, że jestem wariatką.

- To, że oni nie znali przyczyn twoich reakcji, nie oznacza, że my mamy je lekceważyć.

Dlaczego nie mogłam go przekonać?

- O mały włos nie pchnęłam faceta w serce tylko dlatego, że mnie wkurzał.

- Doszło do tego wyłącznie dlatego, że przypominał ci o potwornych doświadczeniach z przeszłości, o wielokrotnych gwałtach i torturach.

Czy on naprawdę wierzył w to, że Hilt obudził we mnie wspomnienie Tarque'a? Nie życzyłam sobie, by martwy Highton miał nade mną taką władzę!

- To nieprawda!

- Nie miałaś wpływu na nic, co działo się od momentu twojego porwania - mówił cicho Tager. - Jeśli zostaniesz obrabowana z materialnej własności, możesz z czasem odbudować swój stan posiadania. Jeśli natomiast skradną ci szacunek do samej siebie, twoje poczucie wartości i bezpieczeństwa, co zrobisz, by je odzyskać?

- Byłam świadoma ryzyka, gdy udałam się na Tams. Po prostu powinnam była zachować większą ostrożność - wyrzuciłam z siebie myśl, która gryzła mnie od dawna. - To, co się wydarzyło, było całkowicie moją winą.

- Mylisz się. - Tager przyglądał mi się uważnie. - Bez względu na to, co ci powiedział Tarque, jak cię nazywał, co ci wmawiał - on i ktokolwiek inny - nie jesteś niczemu winna. I nigdy nie byłaś.

Gdy mówił te słowa, badałam swoją umysłową płaszczyznę, której unikałam od lat.

- Dlaczego pan to teraz wywleka? Po tylu latach życia w spokoju?

- A skąd przekonanie, że żyłaś w spokoju?

- Ależ oczywiście, że tak było.

- To dlaczego musiało upłynąć aż siedem lat, zanim rozpoczęłaś pierwszy poważny związek z mężczyzną?

- Ma pan na myśli Hyprona?

Tager pokiwał głową.

- Siedem lat to kawał czasu - powiedział. - Rzadko się słyszy o empatach, którzy wytrzymują tak długo w samotności.

W pierwszej chwili zamierzałam zaprzeczyć. Zawsze unikałam większych skupisk ludzkich lub sytuacji, w których musiałam zmagać się z emocjami kogoś nie lubianego przeze mnie, ale wiedziałam, co Tager miał na myśli. W miłości empatia była prawdziwym darem - zwłaszcza wtedy, gdy posiadało ją obydwójce kochanków. Wytwarzała się wówczas niepowtarzalna więź, której późniejszy brak doskwierał niczym otwarta rana. Między mną i Ja-rithem pojawił się właśnie ten rodzaj intymności, której nie byłabym w stanie wytworzyć z normalnym człowiekiem. Pomyślałam o zamkniętym pliku w moim umyśle, który ukryłam głęboko w ciemnościach. Wiedziałam, kto go wyciągnął na światło, uwalniając strumień niepożądanych wspomnień.

Jaibriol Qox.

- Nie można wszystkiego wytłumaczyć tym, co za szło dawno temu na Tams - powiedziałam.

Po raz pierwszy Tager nie zaprzeczył.

- Walka z Aristo i odbieranie ich emocji, kiedy giną... Wszystko to na pewno jest koszmarem - oświadczył, przyglądając mi się ze współczuciem. - Tysiąc razy prze-

szałaś przez piekło. To, że nie odniosłaś uszczerbku na psychice, zakrawa na cud.

Wlepiłam w niego wzrok. Jaki cud? Przecież byłam w rozsypce.

- Każdy ma jakieś problemy - powiedziałam - a mimo to ludzie nie przytykają sobie codziennie deva-statora do głowy.

- Primanie, tu chodzi o...

- Soz - przerwałam mu.

-Soz?

- Tak mam na imię: Soz.

- Cóż. No dobrze. Soz.

Uprzejmie skinienie głową było jedyną zewnętrzną reakcją, ale zdołałam wychwycić także tę prawdziwą, którą jego zdaniem udało mu się zamaskować. Jego puls podskoczył. Właśnie dokonał przełomu w pracy ze mną. Co więcej, zależało mu na tym. Naprawdę.

- Dlaczego? - spytałam.

- Dlaczego masz na imię Soz? - Zamrugał oczami.

- Nie. Dlaczego panu na mnie zależy?

- Bo jesteś niezwykłą osobą.

- Dlaczego pan tak uważa? Przecież ledwie się znamy!

- Odkrywanie ludzkich dusz to mój zawód.

-Uśmiechnął się.

- Nie, tu chodzi o coś więcej.

- Skąd ten wniosek? - Przyglądał mi się z zaciekawieniem.

Szukałam przez moment odpowiednich słów.

- Pan z natury przejmuję się cudzym losem, a ja nie miałam gdzie i kiedy do tego przywyknąć. Jestem przyzwyczajona do Handlarzy i do polityki ISK. - Skrzywiłam się. - To same brudne sprawy.

Pomyślałam o Reksie, o Hypronie, o moim pierwszym mężu - Jato.

- Gdy wreszcie znajduję miłość, ona... Ona nie zostaje przy mnie na długo... Jedyną osobą, z którą udało mi się ostatnio związać, jest o połowę młodszy ode mnie chłopak, który nie ma żadnych zapatrywań politycznych, a do tego wyglądem różni się od Aristo tak bardzo, jak to tylko możliwe.

- I co w tym złego?

- To chyba nie jest normalne, prawda?

- Dlaczego?

Ciągle to samo. Czy on nie zna innych pytań?

- Powinam mieć bardziej dojrzałego kochanka.

Takiego jak Rex. Ale Rex już mnie nie chciał.

- Dlaczego? - znów powtórzył.

- Nie wiem dlaczego. Bo to żenujące, gdy starzejąca się pilotka ugania się za młodymi przystojniakami.

Dlatego.

Tager roześmiał się, jakbym powiedziała dowcip.

- Nigdy w życiu nie nazwałbym cię starzejącą się pilotką.

- Mam prawie czterdzieści osiem lat.

- No proszę. Wyglądasz o wiele młodziej - stwierdził, przyglądając mi się uważnie. - W każdym razie to wciąż mało, zważywszy na twój stopień.

- Jestem dobra w tym, co robię. - Wzruszyłam ramionami.

- Dlaczego to budzi w tobie gniew?

- Gniew? Nie czuję żadnego gniewu! - skłamałam i Tager dobrze o tym wiedział.

W istocie aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że mój stopień budzi we mnie złość. Bo niby dlaczego?

- Kazał mi lecieć na Tams, znając ryzyko - mówiłam powoli, zupełnie jakbym czytała książkę, którą posiadałam od lat, a mimo to nigdy nie znalazłam w sobie odwagi, by ją otworzyć. - Wysłał mnie na pierwszą linię frontu i trzymał tam przez całe lata... O wiele dłużej niż innych oficerów... Wysłał też mojego brata Althora... I Kelrica, który nigdy stamtąd nie wrócił - zmusiłam się, by dokończyć.

- O kim mówisz? - spytał cicho Tager.

- O moim bracie.

- O Althorze?

- Nie - pokręciłam głową. - O moim bracie przyrodnim. O Kurju. O imperatorze.

Tager pobladł. Tym razem naprawdę go zaszokowałam. Sprawiał wrażenie, jakbym wepchnęła go w epicentrum trzęsienia ziemi. Ale miał rację. Byłam pełna gniewu. Straszliwego gniewu. Kolejne słowa cisnęły mi się na usta, przerywając tamę, którą wzniosłam dawno temu.

- Straciłam kiedyś dziecko. Jedyne, jakie udało mi się począć. Ryzykowałam jego życie, bo Kurj powiedział mi, że jeśli opuszczę czynną służbę, automatycznie pozbawię się prawa do tronu. Zniszczyłam w ten sposób miłość mojego pierwszego męża. Zniszczyłam też Rekxa, który nie chce być mężem-kaleką. Mojego młodszego brata za brała śmierć, starszy przestał mi ufać, a ja nie jestem już w stanie normalnie egzystować w społeczeństwie - mój głos zadrżał. - Kurj zabrałby mi duszę, gdyby mógł... Ale ja mu na to nie pozwolę...

Minęła dłuższa chwila, nim Tager odpowiedział. Już samo to, że w ogóle przemówił, było niesamowite, znalazł się bowiem w koszmarnej dla każdego prostowni-

ka sytuacji, w której jedno nieopatrznie wypowiedziane słowo mogło ściągnąć na niego gniew imperatora. Oczywiście nie zamierzałam nikomu opowiadać o naszych spotkaniach, ale przecież on nie mógł o tym wiedzieć. Tym bardziej uszanowałam jego odwagę, gdy nie wycofał się i zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, kontynuował sesję.

- Dlaczego twój brat tyle od ciebie wymaga? - zapytał.

- Bo jeśli nie będę w stanie sprostać tym wszystkim wyzwaniom, nigdy nie stanę się na tyle silna, by mierzyć się z Urem Qoksem. - Rozłożyłam ramiona. - W mojej sytuacji nie można powiedzieć: „Dobra, zmieniłam zdanie, już nie chcę się w to bawić”. Kto ma zastąpić Kurja, jeśli nie ja czy Althor? Kto inny przeszedł należyte szkolenie? Kto ma umysł Rhona i odpowiednią wiedzę? Kto ma to wszystko?

Moje ramiona opadły.

- Nasze imperium to setki planet... Ilu ludzi mieszka na każdej z nich? Tysiąc? Milion? Dziesięć miliardów? Czy muszę dźwigać brzemień odpowiedzialności za każdego cholernego człowieka?

- Jesteś następcą tronu. - Tager powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Jednym z dwojga, dla ścisłości.

Bo ten trzeci zginął.

- I co? Jak się to panu podoba? Proszę pomyśleć: przyszłość wszechświata spoczywa w rękach szalonej kobiety.

- Sądzisz, że jesteś szalona?

- A nie?

- Nie - zaprzeczył. Zachowywał się tak, jakby szedł przez las delikatnych, kryształowych drzew, których ga-

łężnie mogą popękać na skutek najlżejszego dotyku i runąć w dół, przebijając ciało ostrymi zakończeniami. - Jesteś ranna i cierpisz na tyle odmian dolegliwości związanych ze stresem, iż nie jestem pewien, czy da się je wszystkie określić. Nawet jak na psiona, jesteś osobą niezwykle wrażliwą. Zapewne nigdy nie udałoby ci się znieść obecności tłumu czy jakichś paskudniejszych emocji bez założenia blokady umysłowej. Ale czy jesteś szalona? Nie. Na pewno nie. Przetrawanie tego wszystkiego bez uszczerbku wymagałoby nieprawdopodobnej siły umysłu.

Stał nieruchomo i przyglądał mi się z tą swoją niesamowitą empatią, mnie zaś po prostu zabrakło słów. Odpowiedziałam mu więc spojrzeniem, a on mi na to pozwolił. Nie odpychał mnie, nie napierał, nie uciekał.

- Taaak - westchnęłam w końcu.

Nie była to może zbyt mądra riposta, ale w tej sytuacji wystarczyła. Tager uśmiechnął się, jakbym powiedziała coś niezwykle mądrego.

Podeszłam do narożnika. Na znajdującej się tam półce stało małe lustro w starym stylu - prostokątne, posrebrzane szkło w oprawie z jadeitu. Spojrzałam na swoje odbicie i miałam wrażenie, iż dostrzegam za sobą Kur-ja - bezustannie patrzącego, zawsze czekającego, wiecznie niezadowolonego.

„Uważaj, bracie” - pomyślałam. „Jeszcze cię zasko-czę .

Kiedy Jarith wszedł do sypialni, właśnie się rozbudzałam. Leżąc w ciepłej pościeli, cieszyłam się jego widokiem. A było na co popatrzeć. Miał na sobie jedynie spodnie, a włosy na jego muskularnej klatce piersiowej

lśniły w słońcu, jakby powleczone je warstwą złota. Dopiero po chwili spostrzegłam, że jego twarz oblewa intensywnie czerwony rumieniec. W rzeczy samej, wyglądał, jakby miał wysoką gorączkę. Wbił spojrzenie w stertę naszych ubrań, leżących na podłodze przy łóżku, a potem przypadł do niej i zaczął rozrzucać rzeczy dookoła, poszukując czegoś.

Zerknęłam na niego znad krawędzi łóżka.

- Co się dzieje?

- Nie śpisz? - Aż podskoczył.

- Dopiero co się obudziłam. - Uśmiechnęłam się.

-Mógłbyś tu wskoczyć i coś zrobić, by znów ogarnęła mnie senność?

- Soz. - Jego twarz poczerwieniała jeszcze bardziej.

-Mamy gościa.

- Gościa? O czym ty mówisz?

Wskazał gestem salon.

- Obudziłem się i poszedłem zrobić sobie coś do picia - zaczął wyjaśniać. - Wszedłem do salonu, a ona... Ta kobieta... Siedziała tam sobie... Siedziała i czytała ho-loksiążkę.

- Ktoś się włamał do mieszkania?

Do jasnej cholery, co jest grane? Wskoczyłam z łóżka i zgarnęłam z podłogi swoją bieliznę, która znalazła się tam po tym, jak Jarith zerwał ją ze mnie w miłosnym uniesieniu.

- Kto to? - spytałam.

- Mówi, że nazywa się Cya Liessa.

- Aha. - Znieruchomiałam.

- Co znowu za „aha”? - zapytał Jarith, wciągając sweter przez głowę.

- To wyjaśnia twoją reakcję.

- Serio?

- Ona na każdego tak działa - wyjaśniłam z uśmiechem, ubrałam się do końca i wyszłam, by powitać gościa.

Rozpoznałam ją od razu, gdy tylko weszłam do salonu. Stała przy oknie i patrzyła na Jacob's Shire. Pó jej ramionach, plecach i biodrach spływały złote włosy, przypominające posplatane promyki słoneczne, połyskujące w blasku pierścieni. Miała na sobie suknię różanego koloru, skrojoną wedle miejscowej mody, z tymi samymi paseczkami i koronkami, które tak do mnie nie pasowały. Na niej jednakże suknia leżała cudownie. Miała anielską twarz, ciało bogini z erotycznych holofilmów i wdzięki tancerki baletowej, którą zresztą na co dzień była, używając przybranego nazwiska - Cya Liessa.

- Witaj, matko - powiedziałam.

- Matko? - wykrztusił z siebie stojący gdzieś za mną Jarith.

Kobieta odwróciła się w naszą stronę.

- Sauscony. - Uśmiechnęła się, a potem zerknęła na mego towarzysza, który najwyraźniej szukał za moimi plecami schronienia przed tą dziwną zjawą, która właśnie nie ukazała się w moim mieszkaniu. - Twojego przyjaciela już poznałam.

Miałam czterdzieści osiem lat, a mimo to poczułam się zawstydzona tym, że matka zastała mnie z kochankiem.

- Jak się tu dostałaś? - spytałam.

- Pako mnie wpuścił.

Zanim udaliśmy się z Jarithem na spoczynek, przykażalam Pako, żeby absolutnie nikt nam nie przeszkadzał. Dlaczego zignorował to polecenie? Fakt, że jego sztuczna inteligencja próbowała przewidywać moje życzenia, ale w tej kwestii chyba przesadził.

- Co ci powiedział?

- Że nie jesteś aktualnie dostępna i że powinnam zaczekać. - Znów zerknęła na Jaritha. - Słuchaj, mogę wrócić później...

- Nie, zostań, proszę - rzuciłam pośpiesznie, a potem wskazałam barek. - Napijesz się czegoś?

„Sauscony”.

Jej myśl, czysta niczym promień słońca, wniknęła do mojego umysłu i uwolniła falę wspomnień o Lyshriol, rodzinnej planecie ojca, gdzie się wychowałam. Znów ujrzałam srebrzyste równiny ciągnące się od wioski Dalva-dor aż do Gór Grzbietowych na zachodzie i masywnego łańcucha górskiego, który zwaliśmy Zagubionym Wspomnieniem Jeźdźca, na północy. Wokół śmigały rozbłyśniki, a ich cieniutkie, przejrzyste skrzydełka opalizowały w blasku słońca. Mój dom. Miejsce, gdzie czułam niezmierzone pokłady miłości i bólu, radości i poczucia straty, miejsce, w którym jako dziecko chroniałam się w chwilach zwątpienia i gdzie czułam opiekuńcze ramiona złościstej kobiety, która mnie powiła.

Stojący za mną Jarith westchnął cicho, jakby spoglądał na piękny obraz. Potem dotknął lekko mojego ramienia.

- Soz, po południu mam zajęcia - powiedział - i chciałbym jeszcze poćwiczyć.

Odwróciłam się ku niemu. Uśmiechał się. Zawstydzenie dawno już zniknęło z jego twarzy, ale w zamian pojawiła się jakaś nieokreślona melancholia. Dlaczego był smutny? I dlaczego chciał ćwiczyć? Przecież grał na tej swojej lytarze przez cały ranek.

- Mogę wieczorem zadzwonić? - zapytał.

- Tak, oczywiście. - Chciałam go pocałować, ale przypomniałam sobie, kto się nam przygląda. - Pogadamy później.

Jarith zabrał swoje rzeczy z sypialni. Wychodząc z mieszkania, natknął się na ochroniarzy mojej matki, dwóch ogromnych Jagernautów stojących za drzwiami. Gdy go przeszukiwali, spojrzął na mnie ze zdziwieniem.

„Przykro mi” - pomyślałam. „To tancerka galaktycznej sławy. Wielka gwiazda. Ci dwaj przestrzegają jedynie procedur”.

Była to kiepska wymówka - matka nie tańczyła już od lat - wolałam jednak ukryć prawdziwy powód przeszukania. W rzeczywistości bowiem zdarzało się, że tak zwany „przyjaciel rodziny” usiłował ukradkiem wynieść holofilm zawierający sceny z naszego prywatnego życia. Takie nagrania osiągały potem rekordowe ceny na czarnym rynku. Oczywiście mogłam mu to wszystko spokojnie wyjaśnić, ale nie miałam na to ochoty - zwłaszcza że wtedy musiałabym także wyjawić, iż należę do Rubinowej Dynastii, co z pewnością zepsułoby nasz krótki, acz tak dobrze zapowiadający się związek.

Gdy Kurj wyznaczy następcę tronu, osoba ta automatycznie zostanie skazana na takie życie, jakie pędził on sam, nasza ciotka oraz moi rodzice - czyli pod wiecznie obecną w pobliżu strażą. Ale to przyszłość, zaś teraz nie życzyłam sobie mieszkać w więzieniu. Może któregoś dnia będę w stanie zaakceptować wszystkie te ograniczenia, ale na razie nadal miałam wybór.

- Jest pan wolny - powiedział jeden z ochroniarzy, kończąc przeszukiwanie, a potem skłonił się głęboko.

Jarith zamrugał oczami, zaskoczony tą nagłą uprzejmością, a później spojrzął na mnie i uśmiechnął się.

- To do wieczora - rzucił na pożegnanie.

- Do wieczora - odparłam.

Po jego wyjściu podeszłam do barku i nalałam sobie szklanekę piwa.

- Chcesz też? - spytałam matki.

- Nie, dziękuję - potrząsnęła głową, a jej cudowne włosy delikatnie zafalowały.

Blask bijący od pierścieni widocznych za oknem mienił się na jej połyskliwej, metalicznej skórze, podobnie jak u Kurja. Zresztą nie tylko to ich łączyło. Jej oczy także miały złote tęczówki i czarne źrenice - identyczne jak u mojego brata, kiedy zakrywał je wewnętrznymi powiekami. Ona sama nie odziedziczyła tego organu po dziadku. Gdyby nie to, mogliby z Kurjem uchodzić za bliźniaki. Choć jednocześnie istniała między nimi wyraźna różnica - on był twardy i zimny, a ona gorąca i rozpromieniona. Ku swojemu zaskoczeniu nagle zapragnęłam podbiec do niej i, jak robiłam to w dzieciństwie, ułożyć głowę na jej kolanach. Sęk w tym, że nie byłam już małą dziewczynką i nie miałam zamiaru uciekać do mamy za każdym razem, gdy uderzyłam się w palec u nogi.

- Co cię tu sprowadza? - zapytałam.

- Cóż, w sumie znalazłam się na Foreshires Hold przez przypadek - uśmiechnęła się - i przyszło mi do głowy, że...

- Matko. - Odstawiłam szklankę. - Obydwie wiemy, że nie ma najmniejszego powodu, żebyś tu przylatywała. Nawet przez przypadek. A więc? Co tu robisz?

Podeszła do barku i usiadła na wysokim krześle, jak zwykle z niepowtarzalnym wdziękiem. Była wyższa ode mnie, wyższa nawet od moich sióstr. W istocie dorównywała wzrostem ojcu. Mówiła łagodnym głosem, który -gdy byłam dzieckiem - zawsze odpędzał nocne koszmary.

- Kurj powiedział mi o Reksie. Współczuję ci.

Zatoczyłam palcem koło na krawędzi szklanki.

- Zdawał sobie sprawę z ryzyka.
- Sauscony, ja nie jestem twoim bratem.
- Co masz właściwie na myśli? - Spojrzałam na nią.
- Cierpisz. Czuję to.
- To moja sprawa.

Matka najwyraźniej zamierzała coś na to odpowiedzieć, ale zanim to uczyniła, uniosłam dłonie, by do tego nie dopuścić.

- Nie żartuję - stwierdziłam lodowatym głosem.
- Daj sobie z tym spokój.
- W porządku.

Przez chwilę przyglądała mi się z tym swoim dziwnym wyrazem twarzy, który tak dobrze znałam. Właśnie usilnie szukała tematu, którym by mnie nie rozdrażniła, a zarazem dzięki któremu mogłaby porozmawiać ze mną jak z córką. Im byłam starsza, tym częściej widywałam u niej ten rodzaj zakłopotania wymieszanego z troską.

- Masz bardzo przystojnego przyjaciela - oznajmiła w końcu.
- Też tak uważam.

„Ale dość młodego” - zdecydowała się na bardziej intymny przekaz telepatyczny.

„Odpuść sobie, matko”.

„Sauscony, nie jestem twoim wrogiem”.

„Blokada” - pomyślałam.

Psikona synapsy rozbłysła i moje zmartwienie w jednej chwili stało się przeszłością.

Matka wydawała się sfrustrowana tym zachowaniem, ale nie powiedziała ani słowa. Przyglądała mi się tylko ze smutkiem, świadoma, że nic więcej zrobić nie może. Skrzywiłam się i wsunęłam szklankę pod kranik, by znów napełnić ją piwem. Kiedy siadałam na kanapie,

matka podeszła do mnie i opadła na jeden z foteli stojących obok. Przypominała teraz wspaniały obraz, będący artystyczną wizją piękna, na którym na pierwszy plan wybijały się idealne proporcje jej boskiego ciała oraz anielska, zamyślona twarz. Zastanawiałam się, czy zdawała sobie sprawę, jak trudno być jej córką.

- Jak to jest? - zapytałam.

- Co takiego? - Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- No... Gdy kochają cię wszyscy, których spotykasz?

Poczułam bijącą od niej falę niedowierzania.

- Skąd ci w ogóle przyszło do głowy, że wszyscy mnie kochają?

- A tak nie jest? - zdziwiłam się.

-Nie.

Zamilkłam na moment, wahając się, czy kontynuować rozmowę.

- Czy mogę ci zadać osobiste pytanie? - podjęłam wątek na nowo.

- To powinno chyba działać w obydwie strony, prawda?

- Dobra. - Zesztywniałam. - Zapomnij o tym.

- Wybacz, Sauscony. - Rozłożyła ręce. - Pytaj, proszę!

- Jak to jest, gdy kocha cię Rhon?

Zmiana wyrazu jej twarzy była niezwykle subtelna, ale zarazem wymowna. Poczułam, jak uwolniła się w niej cała lawina emocji. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo była spięta.

- Twój ojciec mnie uzupełnia - odpowiedziała cicho.

- A seks?

- Na dziś chyba już wystarczy tych niezręcznych tematów - zaprotestowała, rumieniąc się lekko.

- Przepraszam...

- Dobrze, ujmę to tak - odezwała się po chwili milczenia. - Dziesięciokrotne zajście w ciążę było bardzo łatwe.

„A mogę zapytać cię o coś jeszcze?” - przekazałam w myślach.

„To zależy”. Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

„Chodzi o Kurja”.

„A dokładniej?” Tym razem to ona zeszywniała.

„Czy to naprawdę był wypadek?”

„O czym ty mówisz?” Mój umysł zalało jej wzburzenie. „Sauscony, jak ja mam z tobą rozmawiać, skoro ciągle posługujesz się półsłówkami?”

„Chodzi mi o śmierć dziadka. Czy to naprawdę był wypadek?”

Niespodziewanie zerwała się z fotela, jakby ten ją parzył. Podeszła do okna i spojrzała na Jacob's Shire.

- Oczywiście, że to był wypadek - niemal wyszepiała.

Kurj musiał brać pod uwagę, że może przeładować połączenie... Od tamtej pory minęło już pięćdziesiąt pięć lat. Teraz mój brat był jednym z trzech ludzi, którzy podtrzymywali istnienie Sieci - prócz niego zajmowała się tym także nasza ciotka, no i mój ojciec. Co istotne, wszyscy oni różnili się od siebie, co oczywiście nie było zwykłym zbiegiem okoliczności. Po prostu w przeciwnym razie podczas połączenia powstałby rezonans, wprawiający ich umysły w coraz gwałtowniejsze fluktuacje, aż ostatecznie więź zostałaby zerwana. Pięćdziesiąt pięć lat temu Sieć podtrzymywali jedynie dziadek z babcią, a Kurj próbował do nich dołączyć jako ten trzeci.

- Musiał coś podejrzewać - zastanawiałam się na głos. - Przez ich podobieństwo szanse na to, że obaj przeżyją, były przecież nikłe. Kurj dobrze o tym wiedział.

Tak jak wiedział, że był młodszy i silniejszy. Musiał to wszystko rozumieć...

- Przestań! - Matka odwróciła się gwałtownie.

Ale ja nie mogłam przestać. Oddałabym wiele, by pozwolić sobie na ten komfort i zamilknąć, ale wiedziałam, że któregoś dnia moje życie może zależeć od tego, czy będę znać prawdę.

- Dlaczego skłócił mnie z Althorem? - ciągnęłam. - Bo uważa, że wtedy będziemy wystarczająco mocno zajęci walką ze sobą, by nie mieć czasu zwrócić się przeciwko niemu? Czyżby obawiał się, że któreś z nas może spróbować przywłaszczyć sobie jego tytuł, popełniając bratobójstwo? Tak jak on kiedyś, kiedy popełnił ojcobójstwo?

Matka podeszła i smagnęła mnie otwartą dłonią w twarz. Drżąc na całym ciele, opadła na krzesło. Po-masowałam piekący policzek, nienawidząc się za to, czego musiałam się dowiedzieć.

- Nigdy tego nie powtarzaj - ostrzegła mnie. - Nie powtarzaj ani tych swoich głupich oskarżeń, ani żadnych innych podobnych insynuacji. Ojciec Kurja był zwiadowcą ISK, dobrym i uczciwym człowiekiem, który zginął, wypełniając niebezpieczne zadanie.

- Matko, ja widziałam te akta. - Przełknęłam ślinę.

- Co? - Wyglądała teraz jak ranna sarna.

- Akta. Te same, które Kurj znalazł po zabiciu człowieka rzekomo uznawanego za jego ojca.

Bogowie, ależ ja się paskudnie czułam. Kurj ma rację - przez cały czas należy doskonalić sztukę przetrwania, bo zagrożeniem są nie tylko Handlarze, ale także my sami. Moje umiejętności, które brat-imperator wykorzystywał tak często w wojnie wywiadowczej przeciwko Handlarzom, mogły równie dobrze zostać obrócone przeciwko niemu.

- Człowiek uznawany za ojca Kurja nie mógł go spłodzić. Nie był Rhonem i tyle.

Spojrzała na mnie przenikliwie.

- Mój pierwszy mąż dysponował przynajmniej po jednym genie z całej rhońskiej puli. Lekarze wybrali wszystkie odpowiednie i dopiero wtedy postaraliśmy się o dziecko.

Ileż to razy słyszałam „oficjalne” wyjaśnienia, dlaczego Kurj był Rhonem, a jego ojciec nie. Imperialat potrzebował rhońskich następców tronu, więc przez całe wieki rozmnażaliśmy się przez chów wsobny. Po dziesiątkach rodzinnych krzyżówek niebezpieczne geny recesywne w naszym DNA zaczęły sprawiać, że rozród tego typu stał się ryzykowny, ale ich usunięcie niestety pozbawiało nas naszych nadludzkich umiejętności. Po długich poszukiwaniach podobno odnaleziono wreszcie mężczyznę, który dysponował odpowiednim DNA. Jego geny były na tyle odmienne, że ryzyko, iż nasze recesywne zabiją lub okaleczą jego dzieci spłodzone z Rhonką, było znikome. Nie miał przy tym ich podwójnego zestawu z każdego rodzaju, przez co nie był Rhonem, ale do rozrodu to wystarczało. Lekarze orzekli, że z pomocą medyczną będzie mógł mieć rhońskiego potomka, więc dziadkowie ponoć czym prędzej zaaranżowali małżeństwo między tym nieoczekiwanym wybawcą a moją matką. Ponoć, bo nikt w tym całym zamieszaniu nie zastanawiał się, że istniało niemalże zerowe prawdopodobieństwo natrafienia na kogoś takiego. Kurj został uznany za żywy dowód na to, że człowiek ów został odnaleziony - i po sprawie.

Spojrzałam matce prosto w oczy.

- Jeśli chodzi o te akta... Znalazła się w nich również analiza DNA twojego pierwszego męża. Nie miał prawie

żadnego z rhońskich genów. Dobrze o tym wiesz. Tak jak wiesz, że Kurj nie mógł być jego synem.

- A co to ma teraz za znaczenie? Już dawno po wszystkim.

Zapraǳnęłam się ukryć, udać, że wszystko to było jedynie błędem, że się myliłam. Ostatni raz widziałam ją we łzach na pogrzebie mojego brata Kelrica. Ale wyparcie się prawdy niczego by nie zmieniło. Kurj nie ufał ani mnie, ani Althorowi, a ja musiałam dowiedzieć się dlaczego. Któregoś dnia mogło od tego zależeć nasze życie.

- Proszę - powiedziałałam łagodnie. - Ja muszę znać prawdę.

Matka obiema dłońmi otarła łzy z twarzy, a potem położyła ręce na kolanach. Zamglonymi oczyma przez chwilę wpatrywała się w podłogę, aż wreszcie przeniosła wzrok na mnie.

- Gdy mój ojciec był imperatorem, wybrał Kurj a na swojego następcę. To prawda, że z biegiem lat ten chłopak coraz bardziej pożądał władzy i potęgi, ale nigdy nie próbował utorować sobie drogi morderstwem. Cenił rodzinę jeszcze bardziej niż władzę. To mój pierwszy mąż, człowiek, którego Kurj kochał z całego serca, wpoił mu te wartości. Tak, mój mąż był dobrym ojcem. Moi rodzice dokonali dla mnie dobrego wyboru. Lepszego, niż ja dokonałam dla siebie.

Jej oddech był drżący i nierówny.

- Za młodu nie przypominałam cię. Nie byłam taka silna i pewna siebie. Popelniałam idiotyczne błędy. Kilka lat po śmierci mojego pierwszego męża ponownie wyszłam za mąż, ale... Tym razem za człowieka agresywnego i gwałtownego. Nie zdawałam sobie sprawy z jego ukrytej natury, a może byłam nazbyt zaślepiona? Gdy odkryłam prawdę, ogarnął mnie wstyd.

Nigdy dotąd nie słyszałam, by moja matka mówiła w ten sposób.

- Porzuciłaś go?

- W królewskiej rodzinie nikt się nie rozwodzi.

- Powiedz o tym Jato - stwierdziłam, przypominając sobie swoje własne pierwsze małżeństwo.

- Teraz wiem, że zachowałam się jak idiotka, ale wtedy sądziłam, że nie mam wyboru. - Przełknęła ślinę. - Kurj był taki mały, taki bezbronny. Widział to wszystko, a nie mógł nic poradzić.

Kurj mały i bezbronny?

- Jakoś trudno mi to sobie wyobrazić - bąknęłam bezsensownie i natychmiast umilkłam.

- A jednak... - jej głos złągodniał. - Z początku Kurj nie był bity, ale gdy osiągnął dojrzałość, wszystko się zmieniło. Rósł tak szybko, że wkrótce przerósł nawet mnie. Mój nowy mąż uznał wówczas... Sama nie wiem... A właściwie to chyba wiem. Uznał go za... za...

- Za konkurenta?

Wpatrywała się we mnie swoimi ogromnymi oczami niczym gołąb wypłoszony z kryjówki.

- Tak - powiedziała, odwracając wzrok. - Wtedy zaczął bić moje dziecko... Więc go opuściłam...

- Co się z nim stało?

- Trafił do więzienia.

- A co z Kurjem?

- Po tych zajściach zaczął nienawidzić każdego, kogo uznał za zagrożenie dla mnie. Nie mogłam tylko zrozumieć, dlaczego nienawidził również siebie. Nie miałam też pojęcia, jak moja obecność... wpływała na niego.

Potarła ramiona, jakby było jej zimno.

- Czasami myślę sobie, że jedynym punktem oparcia były dla niego wspomnienia o moim pierwszym mężu.

Przez dwadzieścia pięć lat, kiedy dzierżył władzę jako następcę tronu, trzymał się kurczowo wspomnień o swoim ojcu. Zupełnie jakby były deską ratunkową.

Zaczynałam wszystko rozumieć.

- A potem odnalazł te akta - powiedziałam bardziej do siebie niż do niej - i dowiedział się, kto był jego prawdziwym ojcem.

- Wpadł w furję. - Pokiwała głową, blada jak ściana. - Nie miało to dla niego znaczenia, że Zgromadzenie zachowało ścisłą tajemnicę. Że w sekrecie podmieniono jajeczka mojej matki zapłodnione przez jej męża z moimi własnymi, ponieważ musieli pojawić się nowi Rhoni, a wszystko wskazywało na to, że inna konfiguracja nie wchodzi już w rachubę. Nie liczyło się, że nikt z nas nie miał o tym pojęcia. Poczul się zdradzony przez wszystkich, których kochał - jej głos zadrżał. - W jego postrzeganiu wszechświata mężczyzna, który posiadał wszystko, czego Kurj pragnął - tytuł imperatora - zabrał również to, co kochał ponad wszystko inne. Coś zakazanego. Zakazanego dla nich obu.

Kosmyk włosów zaplątał się jej w kącik oka. Wyciągnęła go drżącą dłonią.

- Czy sprecyzował swoje intencje? - ciągnęła cicho dalej. - Czy powiedział: „Zabiję go”? Wątpię. Ale wie diał, czym to się może skończyć. A mimo to wszedł w połączenie.

Nabrała tchu.

- Zastałam go, gdy klęczał przy ciele ojca. Płakał... Tak, płakał - jej głos załamał się. - Kiedy Kurj był małym dzieckiem, trzymałam go w ramionach, tuliłam i kochałam. Tak, Sauscony, był przecież moim pierwszym rodzimym, moim światłem pośród mroku. Ale zmienił się. Niezauważalnie, rok po roku, dekada po dekadzie.

Zamknęła oczy, a potem otworzyła je na nowo.

- Aż wreszcie go utraciłam.

- Przykro mi - powiedziałam cicho. - Przykro mi z powodu tego wszystkiego.

Po jej policzku spłynęła łza.

- Mnie również.

Czas sadzenia

Czy chcesz zostać imperatorką? - zapytał Tager. Stał po niebezpiecznym gruncie. Przyglądałam się figurkom na półce, podnosiłam je, obracałam w dłoni i odstawiałam z powrotem. Znajdowała się wśród nich kolekcja postaci związanych z życiem wsi -każda z nich dopracowana do najdrobniejszego szczegółu, posiadająca nawet wyodrębnione paznokcie czy rzęsy. Widziałam pochylonego oracza z dłońmi zaciśniętymi na pługu ręcznym; kobietę z długą aż do kostek suknią przepasaną obszerną chustką, w której znajdowały się nasiona do rozrzucenia; żniwiarkę z pękiem zboża na plecach, idącą po polu wśród wysokich łądyg, uginających się pod ciężarem dojrzałych kłosów.

- Gdzie pan je zdobył?

- Wyrabia je społeczność kamijskich farmerów, mieszkająca na południe od Jacob s Shire - oznajmił Tager. - Zarabiają nimi na życie.

- Piękne - westchnęłam, odwracając się ku niemu.

Siedział na krawędzi biurka i znów patrzył na mnie tak, jakby chciał rozgryźć celowość moich rzucanych od niechcenia uwag.

- To prawda - przyznał po chwili. - Są piękne.

Chodziłam po jego biurze i przyglądałam się innym cackom.

- Można orać, siać i zbierać plony. Można żyć z uprawy ziemi, kierując się porami roku. Można stać się częścią tego wiecznego cyklu natury. - Zatrzymałam się i spojrzałam na niego. - Można też dać sobie z tym wszystkim spokój i uruchomić zakład przetwarzania żywności.

Tak jak uczynił to Kurj. Ludzie. Miasta. Planety. Wszyscy byliśmy surowcami, które on dopasowywał do swoich potrzeb.

- Pozyskiwanie pokarmu w ten sposób - wskazałam na figurki - jest mało wydajne.

- Ale jedzenie lepiej smakuje - uśmiechnął się Tager.

- A może smak to luksus, na który nie możemy sobie pozwolić.

- Dlaczego?

- Nie potrzebujemy go. Pożywienie to nie rozrywka, a element konieczny do przetrwania.

- Wykształciliśmy nasz zmysł smaku w jakimś konkretnym celu - rzekł Tager. - Podobnie jak umiejętność życia z uprawy, która również ma swój cel. To, że istnieją inne opcje, nie neguje pragnienia, by żyć na dawną modłę. - Nie spuszczał ze mnie wzroku. - Może tu chodzi o coś więcej niż tylko oranie, sadzenie i żniwa. Może to proces zaspokajający tę część naszego jestestwa, która czyni nas ludźmi.

- Co nie zmienia faktu, iż jest to strata czasu.

- Naprawdę tak uważasz?

Znów podjęłam spacer po gabinecie.

- Myślę, że Skolia potrzebuje jednego i drugiego. Zarówno rolników, jak i przetwórców.

- A ty którym z nich jesteś?

- Każdym, mam nadzieję. - Zatrzymałam się.
- To odpowiedź na pytanie „jak” - powiedział cicho Tager. - Nadal jednak nie wiem, czy w ogóle chcesz zasiąść kiedyś na tronie.

Czy chciałam? Znałam odpowiedź, ale nie byłam jeszcze gotowa, by wypowiedzieć ją na głos. Moje myśli tańczyły wokół tej idei, zbliżając się do niej, to znów odskakując i wciąż bojąc się pochwycić ją, by jednoznacznie określić stanowisko.

Tager czekał. Milczenie z mojej strony przedłużało się, więc postanowił skorzystać z innej metody.

- A twój brat Althor?

- Czemu o niego pytasz? - Założyłam ramiona na piersi.

- Co się stanie, jeśli obecny imperator Skolii nigdy nie podejmie decyzji? Jeśli umrze, nie rozwiązawszy kwestii dziedziczenia? - Tager mówił ostrożnie, mając świadomość, że cała ta rozmowa to w istocie spacer po bardzo cienkim lodzie. - Co, jeśli czeka na to, by sprawa rozwiązała się sama?

- Althor jest moim bratem - odparłam.

„Bratem, którego kochałam w dzieciństwie i którego nadal Kocham” - pomyślałam. „Mimo tego wszystkiego, co Kurj zrobił, by nas rozdzielić”.

- Imperator jest nim również.

- Wiem - odparłam.

Teraz pozostawała już tylko kwestia sprecyzowania, jakie mam co do tego odczucia. Ale Tager siedział cierpliwie i nie odzywał się ani nie ponaglał.

- Althor jest drugim dzieckiem moich rodziców - odezwałam się po chwili. - Drugim z dziesięciorga. W wieku osiemnastu lat opuścił nasz dom i wstąpił do DAW-U.

- A więc jest również Jagernautą.
- Tak. Gdy odchodził, sama miałam ledwie czternaście lat. Ponownie zobaczyłam go dopiero po jego mianowaniu na pilota. - Uśmiechnęłam się lekko. - Miałam wrażenie, że cieszy się na widok Lyshriol.

- Lyshriol?
- To rodzinna planeta mojego ojca. Wszyscy się tam wychowaliśmy.

- Chyba nigdy o niej nie słyszałem. - Wyglądał na zdumionego.

Nie istniał żaden powód, dla którego miałby kiedykolwiek o niej słyszeć.

- Nie rozgłaszaliśmy jej istnienia. To jedna z najstarszych kolonii, która pozostawała w izolacji przez cztery tysiące lat. Gdy została ponownie odkryta przez Imperialat, nikt z jej mieszkańców nie pamiętał, skąd się wywodzą. Jedynymi węzłami sieciowymi na całej planecie były te, które matka zainstalowała w naszym domu i w porcie kosmicznym.

- W domu?

- No, tam gdzie mieszkaliśmy.

- Masz na myśli pałac? - uśmiechnął się Tager.

- Nie, mam na myśli dom - odpowiedziałam tym samym tonem. - Matka starała się niczego w nim nie zmieniać.

Poczułam, jak zalewają mnie fale jego ciekawości.

- Dlaczego?

- A po co ktoś miałby burzyć idyllę?

- Tęsknisz za tym miejscem?

To pytanie było zbyt skomplikowane, by udzielić nań prostej odpowiedzi.

- Czasami. Ale nawet w dzieciństwie nie chciałam spędzić tam całego życia. Zawsze marzyłam o tym, żeby

zostać Jagernautą. W wieku dziesięciu lat mogłam wziąć do ręki devastator i opowiedzieć wszystko o jego działaniu, a jako dwunastolatka byłam w stanie wyprowadzić równania opisujące proces inwersji. Wszystko to w świecie, gdzie armie toczyły boje przy pomocy mieczy i łuków.

Mój brat położył zresztą kres lokalnym wojnom, gdy w wieku szesnastu lat ruszył do bitwy z karabinem laserowym, ale to już zupełnie inna historia.

- Myślę, że to samo dręczyło Althora - dokończyłam.

- Opowiedz mi o nim.

Moje wspomnienia rozłożyły się niczym pergaminowa stronica staroświeckiej księgi oprawionej w skórę. Ujrzałam Althora w mundurze Jagernauty z devastatorem przy biodrze, jak klęka na jedno kolano przed ojcem i pochyla głowę na znak szacunku. Na Lyshriol była to tradycja - w ten sposób zawsze po powrocie z wojny pozdrawiano głowę rodziny. Ujrzałam też naszego ojca, jak stoi przed nim wyprostowany, tak dumny i szczęśliwy, że ma ochotę wykrzyknąć to na całą wieś, a jednocześnie zmieszany i zagubiony, usilnie próbujący zrozumieć syna, który powrócił do domu statkiem kosmicznym.

- Miałam siedemnaście lat, gdy wrócił na Lyshriol - powiedziałam. - Wydawał mi się kimś niepojętym, ja kimś niewiarygodnym herosem. Chciałam zostać taka jak on. A potem - gdzieś, kiedyś - zakasowałam go. Zo stałam primanem, a on był tylko secundanem.

A teraz Kurj obserwował nas, biernie czekając na rozwój wydarzeń, jak mijamy się w ciszy ze świadomością, że tyle kwestii wciąż pozostało niedopowiedzianych.

- Czy czasem rozmawiacie o tym z Althorem?

- Nie mamy sobie wiele do powiedzenia.

Między nami pojawiło się zbyt wiele nieufności, by móc teraz powrócić do relacji, którymi cieszyliśmy się jako dzieci. Pozostawała jednakże miłość. Byłam pewna, że żadne z nas nie potrafiłoby spiskować przeciwko drugiemu. Jeśli więc Kurj oczekiwał, że podejmiemy decyzję o sukcesji za niego, mógł czekać całą wieczność. Jediną osobą, która na tym cierpiała, była tylko nasza matka, zmuszona do przyglądania się brudnym rozgrywkom swoich ukochanych dzieci.

Powróciłam do książek na półkach.

- Moja matka ostatnio mnie odwiedziła.

Tager znakomicie radził sobie z moimi gwałtownymi zmianami tematów.

- Chcesz o tym pomówić?

Wpatrywałam się w jeden z wazonów. Był prawdziwym dziełem sztuki, uformowanym z różanego szkła i ozdobionym złotymi ornamentami. Jego powierzchnia mieniła się różnymi kolorami w zależności od miejsca, z którego się mu przyglądałam. Wydawał się taki olśniewający. I taki delikatny.

Spojrzałam na Tagera, marszcząc brwi.

- Dlaczego postawił pan ten wazon właśnie tutaj?

Wystarczy nawet lekko otrzeć się o tę półkę i on spadnie na ziemię!

A wtedy roztrzaska się na podłodze, zniszczony przez człowieka, który najbardziej ceni jego sztukę wykonania.

Prostownik przyglądał mi się, jakbym była szyfrem, który chciał złamać.

- Jestem ostrożnym człowiekiem.

- A skąd pewność, że ktoś inny tego nie zrobi? - Pokręciłam głową. - Niektóre skarby są zbyt cenne, żeby umieszczać je wszędzie tam, gdzie można ich dotknąć.

- Bo można je zniszczyć?
- Otóż to.
- Ten wazon jest mocniejszy, niż na to wygląda. Już mi parę razy spadał. Nigdy nic mu się nie stało.

Skrzyżowałam ramiona i potarłam dłońmi barki, jakby było mi zimno.

- To nie oznacza, że jest niezniszczalny. Będzie tak spadał i spadał, aż w końcu popęka. Jeśli nie zacznie go pan hołubić i chronić... A co, jeśli ktoś się tutaj wdrze i zechce go zabrać? Ja wiem, ktoś obłąkany na jego punkcie? Co się stanie, gdy zaczniecie się o niego bić i któryś z was go strąci? Jak naprawi go pan po tym, jak się roztrzaska?

- Nie walczyłbym o niego.

Próbowałam się uśmiechnąć, ale wyszło mi to kompletnie nienaturalnie.

- Czyli nie jest pan Rhonem.

- Nie, nie jestem.

Powróciłam do studiowania półek. Tager przyglądał mi się ze spokojem, dając mi czas i ofiarowując przestrzeń.

- Kurj uważa, że mój ojciec to prostak - powiedziałam po dłuższej chwili.

- Twój ojciec jest dla niego ojczymem, prawda?

Wybuchłabym śmiechem, gdyby nie było to aż takie bolesne.

- Mój ojciec miał osiemnaście lat, gdy matka za niego wyszła. Kurj skończył wtedy trzydzieści pięć. Ślub miał miejsce zaledwie kilka dni po śmierci dziadka.

Czyli kilka dni po tym, jak mój przyrodni brat został imperatorem.

- Kurj go nienawidzi.

- Twojego ojca?

-Tak.

Mimo tego nigdy nie považył się, by po raz drugi dopuścić się morderstwa, a teraz w dodatku potrzebował mojego ojca, który bez wysiłku mógł podtrzymać Sieć Kyle'a, nie narażając reszty Triady na niebezpieczeństwo.

Kurj, ciotka i ojciec: Pięć, Umysł i Serce Skolii. Tak jak dwie cząsteczki nie mogły mieć tej samej liczby kwantowej, dwa umysły nie mogły zajmować tych samych obszarów Sieci. Umysł Kurja był brutalny, pozbawiony błyskotliwości, emanował czystą siłą. Umysł mojej ciotki był z kolei skomplikowany i złożony niczym koronka, a uosabiały go delikatność, błyskotliwość i inteligencja. W przestrzeni Kyle'a mogła wraz z Kurjem udawać się do tych samych „miejsc”, ale istnieli na tak odrębne sposoby, że nigdy nie przeszkadzali sobie swoją obecnością.

A jednak to nie wystarczało. Kiedy Kurj wraz z ciotką usiłowali podtrzymać Sieć we dwójkę, musieli zmagać się z nadmiarem pracy. Kurj w końcu dowodził także armią, która chroniła niemalże tysiąc planet, ciotka zaś była łącznikiem między Zgromadzeniem a Siecią, która rozciągała się nie tylko na naszą cywilizację, ale również obejmowała tereny pod jurysdykcją Sojuszu i Handlarzy. Musieli więc wypełniać swoje obowiązki, a do tego spełniać wymagania Sieci Kyle'a, która nigdy nie odpoczywała, nigdy nie przestawała działać, nigdy nie zwalniała, a za to co roku stawała się coraz większa, wypełniając sobą ocean sięgający gwiazd. Nie było ludzi na tyle ambitnych, silnych czy oddanych sprawie, by móc podjąć obydwa tym obowiązkom. W końcu musiałyby to ich zniszczyć, do czego zresztą o mało nie doszło tuż przed tym, jak mój ojciec przekształcił Diadę w Triadę.

Problemy w obrębie mojej rodziny stawały się mało istotne wobec obowiązku utrzymania Sieci Kyle'a. Wolałabym umrzeć, niż żyć w świecie, gdzie wszyscy, z wyjątkiem kilku tysięcy Aristo, są niewolnikami.

Nagle poczułam zmęczenie. Opadłam na fotel, zagłębiając się w miękką plusz, a potem pochyliłam się do przodu, oparłam łokcie o kolana i wbiłam wzrok w podłogę.

Tager podszedł i usiadł na fotelu obok mnie.

- O czym myślisz?

- O rodzinie. - Spojrzałam na niego. - Jesteśmy bandą czubków.

- Jesteście niczym ludzie pozbawieni skóry, którzy zamieszkują wszechświat niedostosowany do ich potrzeb. Większość innych istot dysponuje jakąś formą samoobrony, a więc nie mają pojęcia, jak bardzo niszczący jest dla was ich styl życia. By przetrwać, musicie wykształcać drastyczne mechanizmy radzenia sobie z wszelkimi trudnościami.

Pomyślałam o Jaibriolu i jego życiu w samotności. Być może ta izolacja stanowiła przez wiele lat doskonałą ochronę, ale słono za to zapłacił.

- Te mechanizmy nas niszczą - stwierdziłam.

- Waszym obowiązkiem jest powstrzymanie naporu wrogiego imperium. Walczycie jednakże nie z własnego wyboru, ale dlatego, że te same cechy, przez które stajecie się wrażliwi i bezbronni, są jednocześnie naszą jedyną bronią przeciwko Aristo. - Tager pokręcił głową. - Bogowie, to dałoby w kość każdemu.

- Dawno temu, gdy jeszcze mieszkaliśmy wszyscy razem, tworzyliśmy w domu coś szczególnego. - Dobranie właściwych słów przychodziło mi z ogromnym trudem,

ale postanowiłam się nie poddawać. - Nie wiem, jak to nazwać. Społeczność Rhonów? W każdym razie byliśmy w rodzinie szczęśliwi. Potem wszyscy dorośli i wyjechali, a do naszych serc wdarła się rzeczywistość. Moi rodzice nadal mieli siebie, ale nasza więź zniknęła. Teraz po prostu trwamy. Usiłujemy przeżyć. - Wpatrywałam się w niego. - Mnie jednak interesuje coś więcej.

- Jeśli szukasz Rhona jako partnera albo społeczeństwa Rhonów...

- Tak, wiem. Marzenie ściętej głowy.

W moim umyśle pojawiło się wspomnienie Jaibriola.

„Gdybyś tylko pan wiedział, panie prostowniku...”

- W przeciwieństwie do tego, co uważa Zgromadzenie, moi rodzice nie są maszynami do rozrodu. Nie są w stanie wiecznie dostarczać robotników do napędzania Sieci, a potem przyglądać się, jak ta pochłania ich ukochane dzieci. Co się stanie, jeśli oboje z Althorem zginiemy? Co wtedy?

- Nie wiem. - Wypuścił powietrze z płuc.

Wstałam i podeszłam do półki z kamijskimi figurkami.

- Ja też nie wiem - powiedziałam, odwracając się do niego. - Ale chcę znaleźć odpowiedź na to pytanie. Chcę znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania. Chcę wiedzieć, skąd bierze się gniew i terror? Dlaczego ta wojna nigdy się nie kończy? Dlaczego kolonistom na Tams przytrafił się tak okrutny los?

- I sądzisz, że ci się to uda?

- Myślę, że mam większe szanse niż Althor - odparłam.

„Albo Kurj” - przemknęło mi przez głowę.

Na moment zapadła niezręczna cisza.

- I myślę też, że o wiele lepiej jest władać, niż być poddaną - stwierdziłam i zaraz dodałam - Tak, chcę zostać imperatorką.

Kiedy weszłam do lobby mojego apartamentowca, ujrzałam jakiegoś gościa czekającego nie wiedząc na kogo. Kobieta siedziała rozparta na fotelu i czytała holomaga-zyn, trzymając stopy na niezwykle droгим stole.

- Helda! - krzyknęłam nagle, rozpoznając znajomą twarz. - Co ty tu robisz?

Zerwała się na równe nogi, a na jej szerokiej twarzy rozlał się uśmiech.

- Siema, Soz.

- O mały włos, a bym cię nie rozpoznała - powiedziałam.

Rzadko widywałam ją bez munduru. Ze wszystkich dziwnych rzeczy we wszechświecie musiała założyć akurat niebieskie džinsy. Zapewne kupiła je w jednym ze sklepów z towarami importowanymi, gdzie sprzedawano ubrania oraz kawę, dwa najpopularniejsze produkty Sojuszu. Trzecim były hamburgery. Czasami, gdy ogarniał mnie cynizm, nabierałam przekonania, że podczas gdy my i Handlarze ciskamy w siebie całymi armiami i rozbijamy w drzazgi planety, Ziemia po cichu podbija nas, zalewając tymi swoimi „fastfoodami” i wmawiając nam, że nie możemy bez tego żyć.

- Niektórzy robią to celowo - zachichotała Helda. - Właśnie wystraszyłam jakiegoś złocistego chłopaczka. - Ruchem głowy wskazała górę. - Powiedział, że poczeka tam.

Jarith tu przyszedł? Mało prawdopodobne. Lobby było otwarte przez większość dnia, ale nie mógł wejść do wnętrza bez przepustki. Ja zaś przepustki mu nie dawałam.

- Chodź na górę. - Uśmiechnęłam się. - Może uda nam się znaleźć tego tajemniczego nieznajomego.

Gdy podeszliśmy do windy ciśnieniowej, spytałam ostrożnie:

- Jak się miewa Rex?

- Nieźle. Zamontowali mu jakieś ustrojstwo na nogi. Będzie chodził, gdy nauczy się nim posługiwać.

- Jest szczęśliwy? - spytałam, ale tak naprawdę to chyba chciałam wiedzieć, czy w jego życiu pojawiła się jakaś kobieta, nie potrafiłam jednak ubrać tego w słowa.

- Taaa, nic mu nie jest. - Helda machnęła nonszalancko ręką. - Stary dobry Rex. Nic się nie zmienił. Wszystkie pielęgniarki się w nim kochają. Upodobał sobie zwłaszcza jedną.

W duchu natychmiast stwierdziłam, że to wcale nie zabolalo. W końcu sama miałam Jaritha. Ale potem pomyślałam: „Jasna cholera, Soz, daj spokój. Oczywiście, że zabolalo. Dobrze o tym wiesz. Ma boleć, to niech boli. Nie zabije cię”.

No i fakt jest faktem, miałam Jaritha.

Gdy otworzyły się drzwi windy, ujrzałam mojego kochanka, siedzącego przy drzwiach z torbą na kolanach i czytającego holoksiążkę. Podeszliśmy do niego. Dywan tłumiał nasze kroki.

Uśmiechnęłam się, gdy uniósł spojrzenie.

- Jak ci się udało uruchomić windę?

- Nie wiem. - Wstał, przypatrując się Heldzie. - Pako po prostu mnie wpuścił.

Ha. Ciekawe. Nigdy nie mówiłam komputerowi, by wpuszczał Jaritha do windy. Nie żeby mi to przeszkadzało. Mógł go wpuszczać, jeśli chciał.

- Siema, *Hoiya*. I znów się spotykamy.

- Witam. - Jarith poczerwieniał.

- To Helda - przedstawiłam ją. - Lata w moim dywizjonie.

- Latałam. - Przyjaciółka spojrzała na mnie z rozdrażnieniem, gdy otwierałam drzwi. - Od miesiący nigdzie nas nie wysłano.

- Kurj nie wcielił was do innego dywizjonu? - zdziwiłam się.

Jarith upuścił nagle swoją torbę i holoksiążki rozsypały się po podłodze. Rumieniąc się, przyklęknął, by je pozbierać.

Pomogłyśmy mu. Wykorzystałam okazję, by obrzucić go pytającym spojrzeniem, ale nie zareagował. Cóż takiego tym razem zrobiłam? Czasami trudno było zrozumieć jego nastroje.

Helda wcisnęła mu książkę do ręki.

- Wcielił Taasa do Ósmego Dywizjonu - burknęła.

-Mnie upchnął w sztabie. Siedzę w strategii. Ale brakuje mi latania.

- Mnie też - powiedziałam, zamykając drzwi.

Jarith przeszedł od razu do sąsiedniego pokoju, zostawiając nas same. Helda patrzyła, jak rozkłada podręczniki na stole, a potem powiedziała cicho:

- Imperator kazał mi przekazać wiadomość.

Dziwna sprawa. O wiele łatwiej i szybciej było skorzystać z Sieci, niż posyłać kuriera. Gdyby dodatkowo chciał zabezpieczyć swój komunikat przed osobami postronnymi, mógł przekazać go prosto do mojego umysłu wraz z kluczem, z którego tylko ja mogłam skorzystać.

- Może powinniśmy zaczekać. - Spojrzałam na Ja-ritha.

- To tylko kilka słów.

- W takim razie mów.

- Powiedział: „Wracaj natychmiast do kwatery głównej. W sekrecie. Nie mów nikomu, że to mój rozkaz”.

-I to wszystko?

- Wszystko.

Aha. A więc Kurj wyciągnął swoje długie ramię i ściągał mnie z powrotem. Niemalże go widziałam, człowieka z metalu, w mundurze, który umieszczał nas wszystkich na trajektoriach kończących się w miejscach znanych tylko jemu. Może nadszedł czas, by stawić mu czoła? Czas, by samemu wyliczyć własne trajektorie?

- Dlaczego wysłał właśnie ciebie z tą informacją?

- Nie wiem. - Jej spojrzenie przemknęło nad moim ramieniem, a głos się zmienił. - Chcesz się przejść?

Odwrociłam się i ujrzałam Jaritha, idącego ku nam. Uśmiechnęłam się.

- Masz ochotę na spacer ze mną i z Heldą?

Uważnie przyjrzał się gościowi.

- W porządku.

I tak oto udaliśmy się na promenadę. Spacerowaliśmy po pirsach, puszczaaliśmy balony, śmiaaliśmy się co niemiara i biegaliśmy po plaży. Przez cały ten czas prześladowało mnie dziwne uczucie, że zaczęłam dostrzegać jakieś rozwiązanie, choć nie wiedziałam, czego miało ono dotyczyć.

- Lubię twoją przyjaciółkę - powiedział Jarith, siadając na łóżku.

Podeszłam do szafy i podałam mój sweter, który został rozwieszony w środku przez automatyczne ramię robota.

- Sądziłam, że na sam jej widok będziesz zwiewał jak wichrolopa!

- Taki był mój pierwszy odruch. - Uśmiechnął się głupkowato. - Ale okazało się, że jest w porządku.

- To dlatego upuściłeś książki dziś po południu?

- A skąd... - Uciekł przed moim spojrzeniem. - Jakoś mi się same wyślizgnęły.

Podeszłam i usiadłam przy nim po turecku.

- A właśnie że nie.

- Czemu tak mówisz?

- Coś było nie tak. Czułam to wyraźnie.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Wpatrywał się we wzór na kołdrze.

- Jarith. - Obróciłam jego twarz tak, by musiał spojrzeć mi w oczy. - Co się dzieje?

- Powiedziałaś coś, co mnie wystraszyło. I tyle.

Zdumiona opuściłam rękę.

- A co takiego powiedziałam?

- To imię.

- Które?

- Kurj.

Akurat teraz nie miałam ochoty rozmawiać o moim przyrodnim bracie ani z Jarithem, ani z nikim innym. Tager wyciągnął ze mnie wszystko, co miałam w tej sprawie do powiedzenia.

- A o co konkretnie chodzi? - spytałam.

- Zważywszy na kontekst waszej rozmowy, mogło tu chodzić tylko o jedną osobę.

- Jestem żołnierzem. On jest moim dowódcą.

W jego spojrzeniu pojawiło się niedowierzanie.

- Nawet oficer w stopniu primana nie mówi o imperatorze, używając jego imienia.

Całkiem mnie to zaskoczyło. Oczywiście, gdy Kurj wchodził w rolę głównodowodzącego, nigdy nie zwracałam się do niego tak bezpośrednio, lecz podczas zwykłej rozmowy z Heldą nawet nie przyszło mi do głowy, by użyć innej formuły. Mówiąc o którymś z moich braci, też nie mówiłam, „książę Jakiśtam”.

- Mieszkasz w apartamencie droгим nawet jak na możliwości imperialnego primana - mówił Jarith. - Masz stopień równie prestiżowy jak admirałski, choć nie ukończyłaś nawet trzydziestki. No i znasz imperatora.

Wstałam z łóżka i podeszłam do okna. Na zewnątrz Jacob's Shire tonęło w złocistym blasku zachodzącego słońca.

-Soz?

- Nie wiem, co mam ci teraz powiedzieć. Nie wiem, czego oczekujesz.

Jarith nabrał tchu.

- Imperator Skolia... Czy ty i on... Czy myślę się, my śląc, że...

Niech spłonę, on podejrzewał, że Kurj był moim kochankiem! Z trudem powstrzymałam wybuch śmiechu. Wróciłam do łóżka i usiadłam obok niego.

- Tak, mylisz się. Znam go od wielu lat, i to wszystko.

- Ty chyba jesteś nieco starsza, niż na to wyglądasz, co?

- Za kilka dni skończę czterdzieści osiem lat.

- Żartujesz?! - Otworzył szeroko usta.

- Nie. - Zmrużyłam lekko oczy. - Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

Jarith zmienił pozycję.

- Nie wiem. Jesteś starsza od mojej matki.

Na bogów, zaraz pojawi się tu zespół kontroli etycznej ISK i oznajmi: „Jest pani aresztowana za znęcanie się nad nieletnimi”.

Zresztą nie w tym rzecz. To, co powiedział, zabolalo z innego powodu. Chciałam urodzić dziecko, a tymczasem kobieta młodsza ode mnie miała syna, z którym się związałam i który sam już od dawna mógł spłodzić własnego potomka. Choć wydłużono mi życie, przez co mogłam zająć w ciążę później, niż to się normalnie zdarza, nie mogłam czekać bez końca. Jednocześnie nie chciałam zakładać rodziny teraz, gdy dowodzę dywizjonem. Nie po tym, co się wydarzyło za pierwszym razem.

- Soz? - Jarith przyglądał mi się ze skupieniem.

- Nie wiem, jak to ująć - powiedziałam cicho.

- Najlepiej szczerze - powiedział twardo, lecz widać było, że nie czuł się pewnie.

- Helda przekazała mi wiadomość od mojej rodziny. Muszę dziś wieczorem odlecieć na Dieszę.

- Opuuszczasz planetę? Dzisiaj?

- Gdy tylko się spakuję.

- Soz, proszę! Nie wyjeżdżaj! - Ułożył dłonie na moich ramionach. - Czy to przez to, co powiedziałem? Twój wiek nie ma dla mnie żadnego znaczenia, naprawdę.

- Nie w tym rzecz. - Odsunęłam jego ręce.

Nie odezwał się, ale ja i tak wyczułam, o czym myślał. Chciał lecieć ze mną. Jakaś część mnie również tego pragnęła, ale jednocześnie wiedziałam, że wówczas musiałby rozpocząć nowe życie na zupełnie obcej planecie. Nie miałam prawa żądać tego od niego - chyba że mogłabym zaofiarować mu coś więcej, niż miał tutaj. Niestety, nie mogłam. Zbyt wiele spraw w moim życiu wciąż pozostało nierozwiązanych.

- Jesteś dla mnie kimś wyjątkowym... - zaczęłam.
 - Nie rób tego.
 - Czego?
 - Nie mów czegoś, co zakończysz zdaniem: „Myślę, że powinieneś sobie kogoś znaleźć”.
 - Ale ja tak właśnie myślę.
- Jarith zaklął po cichu.
- Soz, przestań!
 - Czy ty naprawdę nie rozumiesz, czym ja się zajmuję na co dzień? W każdej misji ryzykuję śmierć! Potrafisz żyć z taką świadomością?
 - Nie. Ale chcę spróbować.
 - Sęk w tym, że ja nie wiem, czy tego chcę - stwierdziłam.
- Westchnął, a potem przytulił mnie.
- A wrócisz jeszcze na Foreshires?
- Ułożyłam głowę na jego ramieniu.
- Mam nadzieję.
- Przez długą chwilę staliśmy nieruchomo, zatopieni w swoich objęciach, aż wreszcie Jarith opadł na łóżko i pociągnął mnie za sobą. A potem kochaliśmy się - po raz ostatni - unosząc się razem w chmurach.

**CZĘŚĆ
TRZECIA:**

DIESHA

Pięć Sieci

Wraz z Heldą zarezerwowałyśmy lot na Dieszę, wybierając jedną ze zwykłych linii pasażerskich. Podróżowałyśmy po cywilnemu, nie chcąc przyciągać niczyjej uwagi. Kurj nie postawił żadnych szczególnych warunków ostrożności, ale oczywiste było, że spodziewał się po nas dyskrecji. Dlaczego? Co planował tym razem?

Nasz statek wylądował w dieshańskim porcie kosmicznym wyjątkowo daleko od wszelkich terminali. Wszyscy pasażerowie zgromadzili się w pomieszczeniu, które projektant z wyobraźnią nazwał salonem, a w którym stały ledwo trzy krzesła oraz stół. Zerkając przez okno, dojrzałyśmy z Heldą grawibus, nadjeżdżający od strony odległych budynków. Gnając na swej poduszce powietrznej, przypominał czarno-srebrny pocisk.

- Proszę przygotować się do opuszczenia pokładu - odezwał się przez głośniki kapitan lotu. Ton jego głosu mile kontrastował z pozbawionymi emocji wypowiedziami komputerów, jakie zazwyczaj słyszałam na pokładach jednostek wojskowych, przywozących mnie na Dieszę.

Stałyśmy w kolejce do wyjścia, gdy nagle obok nas pojawił się jakiś steward - młody i przystojny mężczyzna

w błękitnym mundurze. Otworzył grodzie i do środka od razu wdarło się świeże powietrze, przynosząc ulgę po kilku dniach zapuszkowania na statku kosmicznym.

Dokładnie w tym samym momencie grawibus podjechał do burty od naszej strony i uniósł się do śluzy. W jego otwartych drzwiach stanął miejscowy oficer - kobieta w ciemnoczerwonym mundurze policji wojskowej, uzbrojona w karabin laserowy. Tu, w układzie mieszczącym kwaterę główną naszych wojsk, ISK kontrolowały każdy aspekt życia.

Z grawibusa wysunął się łącznik, który dotarł do naszej grodzi. Steward zręcznie wsunął zaczepy w odpowiednie miejsca, uruchomił zabezpieczenia i uśmiechnął się do nas.

- Witamy w terminalu cywilnym Dieshańskiego Portu Lotniczo-Kosmicznego - wyrecytował z entuzjazmem. - Mamy nadzieję, że państwa pobyt na naszej planecie przebiegnie w miłej atmosferze.

W przeciwieństwie do niego znudzona policjantka wyglądała tak, jakby atmosfera naszego pobytu była ostatnią rzeczą, jaka ją obchodziła. Z obojętną miną przeskanowała każdego pasażera, który wsiadł na pokład grawibusa, nie zapominając oczywiście o jego bagażu, po czym dała znak kierowcy. Pojazd na powrót zwinął swój mostek, zamknął drzwi, a potem opadł na niższy pułap i ruszył ku terminalowi. Wszyscy siedzieli na fotelach z nervopleksu i gapili się niemo przez okna, na ściany lub na podłogę czy sufit - słowem, na cokolwiek, byle nie na siebie.

W połowie drogi do terminalu od strony portu podjechał do nas drugi grawibus. Obie maszyny osiadły na asfalcie, a my przesiedliśmy się, po raz kolejny przechodząc całą cholerną procedurę bezpieczeństwa.

- Mam dość - burknęła Helda, gdy czekaliśmy w kolejce do skanowania. - Już nigdy więcej nie przylecę na Dieshę jako cywil.

Drugi pojazd wysadził nas w odległości dziesięciu metrów od terminalu. Odcinek ten przeszliśmy wąską ścieżką wytyczoną przez niskie pacholki, jednostajnie migoczące światłami sygnalizacyjnymi i wydające raz na jakiś czas krótki, wysoki dźwięk. W końcu dotarliśmy do drzwi, w których osadzono zwieńczoną łukiem bramkę bezpieczeństwa. Za konsolą siedzieli barczysty mężczyzna oraz zwalista kobieta w mundurach ISK.

Gdy przechodziłam przez bramkę, strażnik zatrzymał mnie gestem.

- Kontrola celna - oznajmił.

Rzuciłam torbę na ladę. Kobieta dotknęła jednego z paneli i w powietrzu zawisły hologramy, ukazujące zawartość mojego bagażu, wliczając w to bieliznę i inne osobiste drobiazgi.

- Proszę otworzyć - usłyszałam.

Zacisnęłam zęby, ale odpięłam rzepy i otworzyłam torbę na oścież. Podczas gdy mężczyzna grzebał wśród moich ubrań, jego towarzyszką uważnie przeglądała dane przewijające się na ekranie konsoli.

- Valdoria, Sauscony - czytała na głos. - Jacob's Shire, Eos, Foreshires Hold.

Zerknęła na mnie spode łba.

- Daleko pani trafiła, co? - spytała podejrzliwie.

- Tak, daleko - odparłam.

Ktoś trącił mnie w ramię. Obejrzałam się i zobaczyłam inną pasażerkę, przepychającą się do środka terminalu. Była ubrana po cywilnemu, ale naszywki na jej ramionach świadczyły o przynależności do struktur armii. Przypomniałam sobie, że kobieta wcześniej ustawiła się

na samym końcu kolejki. Spojrzałam w tamtą stronę. Na zewnątrz reszta cywili nadal czekała w spokoju, mrużąc oczy w ostrym świetle słońca.

Kiedy się odwróciłam, oficer kontroli bezpieczeństwa właśnie wyławiał z torby mój portfel. Otworzył go, a wtedy uaktywnił się minialbum z holozdjęciami. Na pierwszym widniał Jarith, na kilku następnych - my oboje, a na samym końcu - moja matka. Mężczyzna przerwał przeglądanie i obrócił portfel tak, że ostatnie holo wydawało się stać na jego dłoni.

- Kto to? - zapytał.

„Nie twój zasrany interes”.

- Moja matka.

- Chyba sobie pani żartuje - rzekł i podał portfel kobiecie za konsolą. Jego ramię bez trudu przeniknęło przez pole ochronne, powodując krótkotrwałe falowanie niewidocznej wcześniej powierzchni. - Czy mogę prosić o pani dowód tożsamości?

Strażniczka położyła portfel na płaskim czytniku. Moja matka, złocista i uśmiechnięta, nadal unosiła się nad nim, choć wyrazistość obrazu zakłócał teraz laser, skanujący kształt sylwetki.

- Korelacja zakończona - oznajmił komputer. - Nazwisko: Cya Liessa. Zawód: tancerka w Imperialnym Baliecie Parthonii. Brak adresu.

- Primabalerina, co? - uśmiechnął się mężczyzna. -Piękna kobieta.

Piękna? Tylko tyle miał do powiedzenia po tym, jak naruszyli poufność danych osobowych mojej matki? Prywatny album to nie jakaś tam strona w byle holo-magazynie.

Kobieta wsunęła portfel do torby, zamknęła ją i podała mi.

- Wszystko w porządku - powiedziała oschle. - Proszę przechodzić.

Zacisnęłam dłoń na pasku, zarzuciłam bagaż na ramię i ruszyłam w kierunku strefy przylotów. Salę z chromu i szkła przepelniały tłumy ludzi. Niektórzy stali w milczeniu, inni rozmawiali, jeszcze inni siedzieli w fotelach i oglądali holo stojące w rogu.

- Po wszystkim - rzuciła z ulgą Helda, podchodząc do mnie od tyłu.

- Ciebie też przetrzepali?

- Mają szczęście, że dostałyśmy rozkaz, żeby siedzieć cicho jak mymlomysz.

Uśmiechnęłam się, wyobrażając sobie Heldę jako niewielkiego, bezbronnego gryzonia. Nie chciałam być kotem polującym na taką „zdobycz”.

- Ile masz czasu na przesiadkę? - spytałam.

Przechyliła głowę, a jej oczy zmętniały.

- Dwadzieścia minut - stwierdziła, gdy już skończyła zasięgać informacji u swojego węzła.

Dwadzieścia minut. A potem znów miała zniknąć.

- Żałuję, Helda, że nie możesz zostać.

- Do licha, Soz, robisz się sentymentalna - oznajmiła z rozbawieniem, a potem wskazała mi ruchomy chodnik. - Odprowadzisz mnie do mojej bramki?

Nie chciałam z nią iść. Nie miałam pojęcia dlaczego. Po prostu ogarnęło mnie dziwne uczucie, że jeśli odejdzie, nigdy już jej nie zobaczę.

- Ty, Rex i Taas... - odezwałam się, stojąc obok niej na pasie transmisyjnym. - Przyzwyczyłam się do tego, że jesteście ze mną dzień i noc. Przez połowę czasu byliśmy jednym umysłem. A teraz to wszystko minęło...

Niezdarnie usiłowałam wyrazić uczucia, które kłębiły się w mojej głowie niczym mgła na skraju horyzontu.

- Coś się kończy, Helda - dodałam. - A ja nie wiem co.

- Kończy? - Ściana za jej plecami wciąż się przesuwała, a chodnik nieuchronnie niósł nas w kierunku kolejnej bramki. - Dziwnie się dzisiaj zachowujesz.

Zmusiłam się do uśmiechu.

- Chyba tak.

Potem przez chwilę rozmawialiśmy o błahostkach. Helda opowiedziała mi też wszystko, co wiedziała o Taa-sie, który latał z innym dywizjonem i wyrabiał sobie reputację zdolnego pilota.

- Kiedy znów się z nim zobaczysz, pozdrów go ode mnie - poprosiłam.

- Pewnie. - Wzruszyła ramionami. - Ale myślę, że to ty ujrzysz go pierwsza. Choćby w kwaterze głównej.

- Wiem. Ale pamiętaj o tym. Tak na wszelki wypadek.

- Na wypadek czego?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc ponownie zmusiłam się do uśmiechu.

- Nigdy nie wiadomo, gdzie nas rzuci los - bąknęłam zmieszana.

Pasażerowie przy bramce stali w kolejce do kolejnego grawibusu. Helda przeszła przez kontrolę bezpieczeństwa i pomachała do mnie - ja zaś stałam pośrodku terminalu za kuloodporną, antylaserową, przeciwodłam-kową, przyciemnioną szybą grubości pięści i także jej machałam, tłumiąc w sobie nieokreślony smutek. A potem wsiadła do pojazdu, ten zaś pomknął po asfalcie, zamieniając się wkrótce w ledwie widoczny punkt.

Wróciłam na chodnik, ale tym razem nie stałam, tylko po nim szłam. Nie miałam pojęcia, dlaczego się spieszę. Może dlatego, że chciałam jak najszybciej wydostać

się stąd - z miejsca kojarzącego się tylko z pożegnania-
mi i rozstaniem.

Znajdujący się niedaleko dworzec kolejowy wspierał się na kasatonowych filarach wysokości samego portu kosmicznego. Gigantyczne tory opadały łagodnym łukiem z nieba, biegingy wzdłuż szerokiego peronu, a potem znów strzelały w górę, przemykając ponad dachami hali przylotów. Długie składy o napędzie magnetycznym, złożone z wagonów przypominających błękitne, srebrne i czarne pociski, pędziły co chwila w obie strony. Przyłączyłam się do grupy podróżnych i ledwie to zrobiłam, a na peron wjechał kolejny pociąg. Drzwi przede mną rozsunęły się niczym migawka aparatu fotograficznego i weszłam do środka. Chwilę później jechałam już w górę, zostawiając przykre wspomnienia daleko za sobą.

Większość pasażerów wysiadła na przedmieściach, ja jednak podążałam dalej. Kiedy dotarliśmy do sektora mieszkalnego ISK, znajdującego się na obrzeżach terenów zajmowanych przez kwaterę główną, zatrzymaliśmy się przy peronie wypełnionym po brzegi strażnikami uzbrojonymi w karabiny laserowe. Ich srebrno-czarne pancerze sprawiały, że wyglądali jak trzymetrowi, metalowi giganci pozbawieni twarzy, z nieprzeźroczystymi ekranami zamiast oczu. W tym momencie byłam już jedynym „cywilem” w pociągu.

Gdy tamci weszli do wnętrza wagonu, wszyscy wstaliśmy. Jeden z olbrzymów podszedł do mnie, dudniąc butami po metalowej podłodze, i odezwał się - lub odezwała - przez filtr nadający głosowi metaliczny tembr:

- Identyfikacja.

Wyciągnęłam dłoń, okazując kartę z chipem tożsamościowym. Na moim nadgarstku błysnęło gniazdo, będące namacalnym dowodem, że jestem telopem lub, jak

kto woli, Jagernautą. Nie byłam w stanie odczytać reakcji strażnika, gdyż pancerz skutecznie ukrywał mowę jego ciała i wyraz twarzy, a filtr obcinał wszelkie emocjonalne brzmienia głosu. Olbrzym po prostu odebrał ode mnie kartę i wsunął ją do szczeliny wiszącego u pasa czytnika. Niejednokrotnie przechodziłam już podobne kontrole, ale dzisiaj cała ta procedura wydawała mi się nienaturalna i dziwaczna. Czułam się tak, jakby ktoś sprowadził moją osobę do tego niewielkiego kawałka plastiku, który przed chwilą podałam do kontroli.

Wszyscy pasażerowie z mojego wagonu otrzymali zgodę na wjazd. Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Tylko ktoś bardzo naiwny albo szalony próbowałby dostać się na teren dowództwa ISK bez odpowiedniego dokumentu identyfikacyjnego.

Wysiadłam w samym centrum. Gdy tylko pociąg zniknął, pojawił się rój automatycznych taksówek. Zignorowałam je i wskoczyłam do windy powietrznej -wielkiej rury poprowadzonej aż do poziomu ulicy, która na samym dole wyhamowywała swobodne opadanie pasażera odpowiednio skierowanymi strumieniami powietrza. Wielu ludzi uważało lot bez żadnych zabezpieczeń za kompletne szaleństwo, obawiając się, że dysze ciśnieniowe zawiodą i w rezultacie człowiek skończy jak naleśnik, aleja to nawet lubiałam. Przypuszczałam z tego samego powodu, dla którego przepadałam za wykręcaniem pętli i beczek za sterami samolotu - podobnie jak tu, stanowiło to dla mnie kolejne wyzwanie, a do tego po prostu wyzwalało adrenalinę.

Tak, potrzebowałam mocnych wrażeń. Osobliwe wezwanie Kurja, bezosobowe procedury bezpieczeństwa po lądowaniu, rozstanie z Heldą, pozbawieni twarzy strażnicy w pancerzach - wszystko to sprawiło, że poczułam

się nieswojo, jakby zmieniono mnie w maszynę, a moje człowieczeństwo zapisano jedynie na chipie tożsamościowym.

W automacie u stóp wieży kupiłam wizor, który złągodził ostre światło słońca. Każdy, kto na mnie teraz spojrział, widział jedynie ciemny lustrzany pasek, zakrywający moje oczy, ja zaś oglądałam miasto w bursztynowych odcieniach.

Na ulicach panował intensywny ruch, więc zamiast wezwać taksówkę, wybrałam ruchomy chodnik. Wszędzie tłoczyli się piesi, głównie wojskowi. Ich twarze przypominały puste maski, niemożliwe do zinterpretowania - podobnie jak oblicze Kurja, gdy opuszczał swoje wewnętrzne powieki.

Wieża, w której mieszkałam, nie dysponowała lobby. Były tam tylko drzwi, które uchyliły się po użyciu chipa tożsamościowego, wpuszczając mnie do szklanej windy. Pojechałam na samą górę i wysiadłam na korytarzu, którego ściany wykonano z bursztynowego szkła. Na zewnątrz rozciągała się panorama miasta - monotonne, ponure skupisko większych i mniejszych bloków. Nigdzie nie widziałam ani skrawka zieleni, a jedynie czerń, biel i srebro. Zza wieży wyskoczył znieścacka jakiś pojazd latający, kierujący się w stronę centrum miasta, który przemknął tak blisko budynku, że szyby w oknach aż zadrgały.

Tylko dwoje ludzi mieszkało na tym piętrze: ja i pewien emerytowany generał, który wciąż pełnił funkcję jednego z głównych konsultantów do spraw wywiadu. By otworzyć drzwi, musiałam najpierw wykorzystać mój chip, potem przeprowadzić skan odcisków palców, a na końcu wzoru siatkówki. Salon wyglądał dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy wyjeżdżałam - chromowo-szklane

pomieszczenie wypełnione meblami o białych obiciach i stołami o połyskujących blatach.

- Witaj w domu, Valdoria - odezwał się beznamiętny głos.

- Cześć, Mak.

Przyznaję, nie byłam w stanie wymyślić lepszego imienia dla Sztucznej Inteligencji ISC-MA4K, która zarządzała tym mieszkaniem.

- Są jakieś wiadomości? - spytałam, rzucając torbę na podłogę i opadając na kanapę.

Mak co prawda na bieżąco przekazywał na Foreshires całą pocztę, która podczas mojej nieobecności przychodziła na ten adres, ale przecież mogło pojawić się coś nowego.

- Dwie.

- Czy którakolwiek z nich pochodzi od imperatora Skolii?

-Nie.

Może Kurj nie wiedział, że już przybyłam? Nie, to raczej mało prawdopodobne. Jeśli potrzebował mnie tak bardzo, jak to sugerowała Helda, na pewno znał termin mojego przylotu. O co więc chodziło? Zważywszy na środki, które przedsięwziął, aby utrzymać swoje wezwanie w sekrecie, wątpliwe, by czekał, aż sama się zgłoszę.

- Mak, wyślij wiadomość do pałacu, do moich rodziców...

Wiedziałam, że ich tam nie zastanę - żadne z nich nie przepadało za wizytami na Dieshy - liczyłam jednak, że będzie Kurj. Imperialna rezydencja stanowiła istną enklawę - położona wysoko w górach, otoczona dziką przyrodą i najeżona niezliczonymi zabezpieczeniami, była na tyle zautomatyzowana, że nie tylko nie wyma-

gała obecności jakiegokolwiek standardowego personelu, ale nawet służb ochrony. Mnie osobiście miejsce to wydawało się jakąś okropną pustelnią, ale mojemu bratu najwyraźniej dawało to, co cenił sobie najbardziej - całkowitą prywatność.

- Co przekazać w wiadomości? - zapytał Mak.

Potarłam kark.

- Bądźcie pozdrowieni, matko i ojczu. Wróciłam na Dieshę, by odwiedzić Rekxa. Spotkajmy się. Kocham was. Sauscony. To wszystko. Wyślij.

- Zrobione.

Dopiero wtedy przypomniałam sobie dziewczynę ze szpitala, którą Kurj „zaprosił” do pałacu. Jak ona się nazywała? Cyliessa? Nie... Charissa! Tak, Charissa Deirdre. Gdyby to ona odebrała wiadomość, mogłaby ją przesłać rodzicom, nie rozumiejąc moich prawdziwych intencji.

- Mak, kto teraz mieszka w pałacu?

- Imperator Skolia.

- A oprócz niego? Teraz lub w przeciągu kilku ostatnich miesięcy?

- Przez sto sześć dni w pałacu przebywała kobieta o nazwisku Charissa Deirdre.

Sto sześć dni. Musiała mu przypaść do gustu. Zastanawiałam się, jak ona to odebrała? Czy bardzo cierpiała? A może połączyło ich jakieś uczucie? Cóż, niewykluczone. Jak świat światem, miłość potrafiła przecież pojawiać się w najmniej oczekiwanych momentach.

- Gdzie jest teraz? - zapytałam. - Ta Deirdre?

- Pracuje w żłobku, na oddziale noworodków w szpitalu ISK. I mieszka z rodzicami w Przedmieściu Czternastym.

- Z rodzicami? Ile ona ma lat?

- Siedemnaście.

Na bogów, z prawnego punktu widzenia popełniał więc przestępstwo! Pewnie nikt nie znalazł w sobie na tyle odwagi czy bezczelności, by powiedzieć Kurjowi, że są zasady, których nawet on nie powinien łamać. Czyjej rodzice wiedzieli, z jakiego powodu zniknęła? Ciekawe zresztą, co byłoby dla nich trudniejsze do przyjęcia - to, że nie wiedzą, gdzie jest, czy odkrycie, że została więźniem dziewięćdziesięcioletniego boga wojny. Cóż, tak czy owak, była już wolna. A tak nawiasem mówiąc, jej osoba nie powinna właściwie mnie obchodzić. Wróciła przecież do swego poprzedniego życia. Poza tym może nawet polubiła Kurja.

A może nie.

- Mak, czy ty... Czy ty masz może jakieś informacje o tej Deirdre?

- Sprawdzam... Mam. Przed swoim pobytem w pałacu Charissa Deirdre była wybitną studentką w szkole zawodowej w Przedmieściu Ósmym, gdzie kształciła się na przedszkolankę. Tego roku zdobyła nagrodę za wybitne wyniki w nauce. Ponadto była sekretarką stowarzyszenia zajmującego się działalnością społeczną, a także należała do uniwersyteckiego klubu sportowego. Niejaki Jayms Procal złożył podanie o zezwolenie na wejście z nią w związek małżeński, gdy oboje osiągną dwadzieścia lat.

Słowem, nic ciekawego - a przynajmniej nic, co by mówiło o jej związku z Kurjem.

- Co działo się z nią potem, po zamieszkaniu w pałacu?

- Początkowo została skreślona z listy studentów ze względu na absencję i niedopełnienie czynności admini-

stracyjnych, ale rodzice skontaktowali się ze szkołą i status został zmieniony z „wykreślona” na „zaginiona”. Po powrocie do domu na prośbę imperatora została ponownie wciągnięta na listę studentów. W ostatnim miesiącu jej średnia ocen znacząco spadła i w chwili obecnej Deirdre grozi relegowanie z uczelni. Mimo to nie podjęto w tym celu żadnych działań.

No pewnie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyrzuca studentki rekomendowanej przez samego Kurja.

- A co z innymi rzeczami?

- Straciła pracę w szpitalu, którą później odzyskała dzięki wstawiennictwu imperatora. Jej członkostwo w stowarzyszeniu jest nadal ważne, ale nie zadbała o terminowe przedłużenie swojej karty w klubie sportowym. W bieżących rejestrach nie ma żadnych zapisów, które świadczyłyby o tym, że wciąż aktywnie uczestniczy w działaniach którejkolwiek z tych instytucji. Ponadto wniosek Jaymsa Procala, ubiegającego się o ślub z Deirdre, został odrzucony.

- Czy jej podpis również tam widniał?

Chłopak mógł przecież bez wiedzy swojej ukochanej ubiegać się o prawo do małżeństwa, mając nadzieję, że dostanie zezwolenie, zanim w ogóle się oświadczy. Inna sprawa, że bez obydwu podpisów taki dokument i tak nie miał mocy prawnej.

- Tak, na wniosku znajdowały się obydwa podpisy - rzekł Mak. - Zezwolenie było wstępnie zaakceptowane, ale zostało odrzucone w dzień po tym, jak Deirdre wprowadziła się do pałacu.

- Jak wygląda status tego wniosku w tej chwili?

- Złożyli go ponownie jedenaście dni temu. Zgoda nie została udzielona.

- Z jakich względów?

- Ponieważ wcześniej również jej nie udzielono.

To też nie powinno mnie dziwić. Skoro Kurj osobiście zablokował pierwszy wniosek, nikt nie zaryzykuje przepchnięcia kolejnego. Zastanawiałam się, czy mój brat miał w ogóle pojęcie, do jakiego stopnia zniszczył życie tej biednej dziewczynie. Nie byłam w stanie uleczyć jej emocjonalnych ran, ale mogłam zrobić coś innego.

- Mak, połącz się z biurem do spraw małżeństw i wyślij Deirdre oraz temu... Jaysowi zgodę wystawioną w moim imieniu.

Oczywiście Kurj mógł unieważnić i to, ale dobrze go znałam. Skoro zdudził się już była miłością, na pewno nie chciał więcej zaprzętać sobie nią głowy - zwłaszcza że pozostawiła po sobie tyle dobrych wspomnień, iż zadbał o jej pracę i edukację. To na mnie skupił swój gniew.

- Zgoda wysłana - Mak zawiesił głos. - Nawet po po bieżnej analizie sytuacji dochodzę do wniosku, że imperatorowi Skolii nie spodoba się twoja interwencja w jego życie prywatne.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Oto znalazłam znacznie lepszą metodę na poinformowanie Kurja o moim przybyciu niż udawanie, że usiłuję skontaktować się z rodzicami w pałacu. Ułożyłam nogi na ławie stojącej przed kanapą i przez chwilę usiłowałam się zrelaksować. Nie zadziało. Byłam spięta i niespokojna.

- Mak, przeczytaj pocztę. Z nagłówkami daj sobie spokój.

- Wiadomość numer jeden - usłyszałam, a potem rozległo się ciche kliknięcie, po czym z głośników popłynął spokojny, bezbarwny głos. - „Uwaga, mieszkańcy! Windy powietrzne zostaną wyłączone na poziomie trzy--osiem--trzy przecinek sześć na okres od stu do trzystu

godzin celem przeprowadzenia prac konserwacyjnych. Proszę nie używać wind w tym okresie".

- Skasuj to - poleciłam, przypominając sobie, że już słyszałam tę wiadomość i że miała co najmniej siedem miesięcy.

- Wykonano. Wiadomość numer dwa. - Kolejne kliknięcie i w pokoju rozległ się niski, męski głos. - „Witaj, primanie Valdoria. Nie wiem, na jaki adres wysłać ten list, więc puszczam go przez Biuro Zapytań na Dieshy. Mam nadzieję, że do ciebie dotrze. Może to cię zainteresuje, ale moja rozmowa z tobą oraz z secundanem Blackstone okazała się owocna. Uniwersytet Ateński przyznał mi grant, dzięki któremu mogłem udać się do Parthonii na testy. Zgadnij, jaki wynik? Aż siedem przecinek dwa na waszej skali Kyle'a! Oczywiście jeszcze nie wiem, co z tym pocznę, ale Instytut Parthoński przyjął mnie już na studia. Tak czy owak, wielkie dzięki. Tiller Smith".

- Proszę, proszę... I co ty na to? - spytałam.

- Nie mam emocjonalnego stosunku do tych informacji - stwierdził Mak.

- W przeciwieństwie do mnie. - Uśmiechnęłam się.

-Ta wiadomość sprawiła mi wielką przyjemność. Dlaczego nie przesłałeś jej do mnie na Foreshires? Kiedy ją otrzymałeś?

- Dotarła do Biura Zapytań pięćdziesiąt trzy dni temu. Stamtąd przesłało ją do Wojskowego Biura Zapytań, a potem do Oficerskiego Biura Zapytań. Następnie wiadomość trafiła do Działu Dokumentów Niezabezpieczonych, później do Działu Dokumentów Cywilnych i znów do Biura Zapytań. Kolejnym...

- Mak, możesz to jakoś skrócić?

- Wiadomość przeszła przez Biuro Zapytań trzykrotnie. Za ostatnim razem któryś z urzędników oznakował

ją i przesłał do bardziej szczegółowego badania. Następnie przeprowadzano pełną kontrolę nadawcy i...

- Zaczekaj no - przerwałam mu. - Służba bezpieczeństwa prześwietliła Tillerę tylko dlatego, że wysłał mi list?

- Tak. Czy chcesz zapoznać się z wynikami kontroli?

- Dobrze. O ile będziesz się streszczał.

- Tiller Smith. Lat dwadzieścia sześć. Obywatelstwo: Planety Sojuszu Ziemskiego. Miejsce zamieszkania: Delos. Brak danych odnośnie jakichkolwiek działań wywrotowych. Jako czterolatek został usunięty z baru na Arkadzie, do którego przypadkowo zawędrował. Dwa lata temu otrzymał mandat za pozostawienie grawitolu w niedozwolonym miejscu podczas miejscowej parady.

- Niech spłonę! - zakląłam, zastanawiając się, czy służba bezpieczeństwa naprawdę nie ma nic lepszego do roboty. - Kiedy w końcu postanowili mi przesłać tę wiadomość?

- Po pozytywnej ocenie wystawionej przez służbę bezpieczeństwa, list trafił do Centralnego Ośrodka Wojskowego który przesłał go tu. Dotarł cztery dni temu, po czym niezwłocznie wystąpiłem o zezwolenie na transfer międzyplanetarny, by móc go przesłać na Foreshires. Wciąż czekam na potwierdzenie. Czy mam skasować wnioski?

- Jasne, skasuj. - Potarłam podbródek. - Czy jesteś w stanie dostać się do banku danych Instytutu Parthoń-skiego?

- Tak. Czemu mam szukać?

- Kto sponsoruje Tillerę?

- Łączę się z węzłem transferów międzyplanetarnych...

Nie znalazłam procedur Instytutu, gdyż w dzieciństwie szkolili mnie indywidualni nauczyciele, ale byłam przekonana, że Tiller będzie potrzebował patrona, by dostać się na uczelnię. Jako obywatel Sojuszu, a do tego człowiek o niskim statusie wśród swoich rodaków - nie mówiąc już o moich - nie miał szans na znalezienie wielu chętnych, bez nich z kolei nie przetrwa w Parthonii zbyt długo. Sieć Kyle'a reprezentowała potęgę - polityczną, militarną, naukową, społeczną i ekonomiczną - a to oznaczało, że ludzie zainteresowani nią grali o bardzo wysokie stawki wedle ogromnej ilości niepisanych zasad. To nie była liga Tillera.

- Informacje przekazane - odezwał się Mak. - Wskazany obiekt ma tylko jednego patrona: kobietę o nazwisku Marya Pulivok. To testerka, która ustaliła jego poziom.

Jednego? I to bez wpływów politycznych? Przecież oni tam dosłownie pożą go żywcem i wyplują z powrotem na Delos.

- Dodaj mnie do listy jego sponsorów.
- Wykonano - oznajmił Mak. - I zatwierdzono.
- Dobrze.

Z następczynią tronu w roli patrona zyska na uznaniu i pozostali studenci będą się bili o jego względy.

Nagle przypomniałam sobie o „Wersach na szybie okiennej”. Podeszłam do biblioteczki. Książka podarowana mi przez Tillera wciąż leżała tam, gdzie ją zostawiłam przed wyjazdem - wsunięta między statuetkę ja-deitowego smoka i napuszony tekst o mystymatycznych teoriach dotyczących odrębnych wymiarów. Wyciągnęłam ją i otworzyłam na stronie założonej biletem z Arkady:

Kamienna rama.
Posrebrzone szkło
oszronione zamarzniętymi łzami.

Moja dłoń
Dotyka lustra;
Palce zaciskają się na lodzie.
Pękają kruche,
Zamarznięte łyzy.
Widzę cię,
Jak stoisz za mną
Zawsze czujna,
Zawsze oczekująca,
Nigdy niezaspokojona.

Skrywam swe serce, Jego
delikatną nagość, Teraz
strzeżoną przez lód.

W głowę zachodziłam, dlaczego Tiller zaznaczył ten właśnie wiersz. Czy opowiadał o mnie? Czy mówił o tym, jak otaczam swoje serce lodowymi fortyfikacjami, które z każdym dniem są coraz grubsze i zimniejsze? Czy sugerował, że prędzej czy później sama stanę się Kurjem?

Zamknęłam książkę z trzaskiem. Nie, nie jestem moim bratem. I nigdy się w niego nie zamienię.

Czyżby?

Nie miałam sił, by zмагаć się z tym koszmarem. Na Dieshy było dopiero popołudnie, a ja już czułam się skrajnie zmęczona. Lot całkiem przestawił mój zegar biologiczny.

Opuściłam salon i wyszłam na korytarz, który dla żartu nazwałam Izbą Pamięci. Odgłos moich kroków ak-

tywował niewielkie ekrany zawieszane na ścianach, na których pojawiały się hologramy przedstawiające moją rodzinną planetę: łańcuch gór o błękitnych szczytach, ciągnący się na tle nieba niczym kręgosłup giganta, porośnięte srebrno-zieloną trawą równiny płózące się pod kopułą chmur, drzewa ze szklistymi pniami, rozsyłające naokoło przyćmione refleksy. Dom.

Gdy dotarłam do końca korytarza, hologramy zniknęły. Dotknęłam odpowiedniego panelu i droga do sypialni stanęła otworem.

Kilka minut później już spałam.

- Przykro mi - powiedziała pielęgniarka - ale secundan Blackstone jest w tej chwili niedostępny.

„Siedziała” za wielkim pulpitem w moim holopokoju wypełnionym zakrzywionymi ekranami. Ja zajmowałam miejsce za o wiele mniejszą konsolą. Moje ciało nieustannie skanowały lasery wytwarzające interferencje, które system wizyjny przetwarzał następnie na dane i przesyłał do sieci, bym mogła równie wyraźnie ukazać się w holopokoju mojej rozmówczyni. Nawiasem mówiąc, nie miałam najmniejszej ochoty, by oglądać tę kobietę. Była tak cholernie ładna, że aż mnie mdliło. Co Rex robił z tak piękną pielęgniarką?

- A wie pani, kiedy wróci?

- Niestety, nie. - Uśmiechnęła się. - Poszedł na spacer do parku. Czy mam mu przekazać, że pani dzwoniła?

A jeśli nie chciał mnie oglądać? Może właśnie stał za nią, prosząc wcześniej, by ukryła jego obecność? A niech to szlag, po co ja się tak zadreczam...

- Tak. Proszę powiedzieć, że dzwoniła Soz i że jestem tu, na Dieshy.

- W porządku, przekażę. Na razie.

Jej holoprojektacja zniknęła.

„Na razie?” Co to za pożegnanie? Skąd ci młodzi ludzie biorą takie wyrażenia? Czy już nie wystarcza tradycyjna skoliańska fraza: „Rozmowa z panią sprawiła mi przyjemność”? „Na razie” było przecież ziemskim zwrotem! Za grosz szacunku dla własnej kultury. Rex na pewno nie potrzebował takiej pielęgniarki.

Rozległ się cichy dźwięk konsoli. Dotknęłam błękitnego światelka w rogu i z głośnika dobiegł znajomy głos:

- Witaj, Soz.

Mój puls natychmiast przyspieszył.

-Rex?

- Blossom dała mi znać, że dzwoniłaś.

- Blossom?

- Moja pielęgniarka.

No jasne. Taka laska nie mogła przecież nazywać się inaczej.

- Jesteś z nią teraz?

- Nie. Siedzę w parku.

W parku? Ale w którym? Na Dieshy była ich ograniczona ilość. Woda uchodziła tu za zbyt cenny surowiec, by zużywać ją na rośliny sklasyfikowane jako ozdobne, tak więc każde przedmieście mogło posiadać tylko jeden taki teren. Niemniej na planecie znajdowało się dziewiętnaście przedmieść, więc parków też tyle było.

A może on po prostu nie chce, żebym wiedziała, dokąd poszedł?

- Jesteś tam jeszcze, Soz?

- Tak. - Zarumieniłam się.

- Kiedy przyleciałaś?

- Wczoraj. Na Foreshires powiedziano mi, że...
- Że co? Przecież oficjalna wersja brzmiała tak, że przy-
byłam tu, by się zobaczyć właśnie z Reksem.
- Zastanawiałam się... No, wiesz... - wyjąkałam po
chwili. - Upłynęło już sporo czasu...
- Jakieś marne pięć miesięcy. - Rozluźnił się trochę.
- No właśnie. Zastanawiałam się, jak się miewasz...
- Lepiej.
- To świetnie.
- Ciekawe, co by powiedział, gdybym chciała się z nim
zobaczyć?
- Soz...
- Tak?
- Może... Może miałabyś ochotę tu podskoczyć? Je-
stem w Piętnastce. Oczywiście o ile nie jesteś zajęta - do-
dał szybko.
- Zacisnęłam powieki. Poczułam taką ulgę, że przez
chwilę nie byłam w stanie wydać z siebie głosu.
- Tak, mam ochotę - powiedziałam wreszcie. - Wiel-
ką.

W parku było gorąco jak w piecu. Szerokie alejki z ka-satonu odcinały się od złocistych trawników. Mknęłam na ruchomym chodniku, a obok mnie przechodzili ludzie w mundurach, skrywający oczy za lustrzanymi wi-zorami.

Rex znajdował się dokładnie tam, gdzie opisał. Siedział w cieniu jakiegoś kolczastego drzewa. Ruszyłam ku niemu przez skwer, zdeptując butami gęste, złote źdźbła. Wydawał się być zrelaksowany i zdrowy. Jedyne, co odbiegało u niego od normy, to srebrzysta siatka oplatają-

ca jego ciało od talii w dół, niczym spodnie wykonane z metalicznego materiału.

Na mój widok uniósł rękę, a ja pomachałam mu w odpowiedzi. Potem Rex oparł dłoń o drzewo i cofnął ją natychmiast, natrafiwszy na ostry cierń. Poczułam jego ból tak mocno, jakby kolec przebił moją własną skórę. Spróbował ponownie, ale już ostrożniej.

I wstał.

Zatrzymałam się jak wryta, a potem przebiegłam ostatnie dzielące nas metry.

- Cześć, Soz.

- Ty stoisz!

- Na to wygląda. - Uśmiechnął się.

- Ale jak to możliwe? - zapytałam, uświadamiając sobie jednocześnie, że zabrzmiało to co najmniej głupio. - Chodziło o to... Myślałam, że...

Odwrócił się i wskazał mi dolną część swojego kręgosłupa. Przyjrzałam się baczniej i dostrzegłam psifon zainstalowany przy siateczce i wstawiony do gniazdka w rdzeniu kręgowym.

- W ten sposób to cacko omija zniszczone części - objaśnił - i łączy się ze światłowodami wiodącymi prosto do mózgu.

Nie zabrzmiało to pocieszająco.

- Ale lekarze twierdzili - zdziwiłam się - że kolejne manipulacje w obrębie twojej sieci biomechanicznej mogą się dla ciebie źle skończyć.

- Operacja zawierała w sobie element ryzyka, procedura jednak okazała się na tyle prosta, iż uznali, że warto spróbować. Naprawili kilka włókien w moim ciele i wprowadzili do rdzenia kręgowego inne gniazdko, nieco wyżej. - Postukał palcem w niewielki dysk wpleciony

w siateczkę. - Gdy ten chip przechwytuje sygnał z mózgu, przekazuje go do siatki.

Zrobił sztywny krok, oddalając się od drzewa, i uniosł obie ręce.

- Siatka zaś porusza się i niesie mnie ze sobą - do końca.

- Ty chodzisz! - Uśmiechnęłam się szeroko.

Wyszczrzył radośnie zęby i zrobił kolejny niepewny krok. Nagle zachwiał się niebezpiecznie. Złapałam go za ramię, lecz odepchnął mnie i w tym samym momencie upadł na kolano. Jego twarz wykrzywił okropny grymas. Złości? Bólu? Podniósł się powoli. Milczał przez chwilę i już zaczęłam myśleć, że go w jakiś sposób zraniłam, gdy nagle odezwał się ponuro:

- Wciąż się uczę, jak to działa.

- leszcze trochę, a będziesz tańczył.

- Mam nadzieję.

Staliśmy i patrzyliśmy na siebie.

- Jak wrażenia z Dieshy?

- Jak wrażenia z Foreshires?

Oboje powiedzieliśmy to niemal równocześnie, więc wybuchnęliśmy nerwowym śmiechem, który jednak szybko ucichł.

- W porządku - rzuciłam.

- Ujdzie - rzekł Rex.

Tym razem roześmiałam się w bardziej naturalny sposób.

- Moja matka mnie odwiedziła.

- Założę się, że wszystkimi to wstrząsnęło. - Rex znów wyszczrzył zęby.

Poczułam dreszcz na wspomnienie podobnej reakcji Jaritha. Natychmiast zablokowałam pamięć, ale było

już za późno. Zresztą wyobrażenie to miało zbyt wielką intensywność.

- Wszystko w porządku, Soz - powiedział cicho.
- Pożegnaliśmy się. Został na Foreshires.
- Nie musisz przeproszać.
- Rex...

I co dalej? Dlaczego ja zawsze miałam takie problemy ze zwykłymi rozmowami?

- Przejdziemy się? - zaproponował.

Na końcu języka miałam pytanie: „A możesz?”, ale w porę się zreflektowałam.

- Jasne.

Zrobił krok. Stał. Kolejny krok. Szłam przy nim, nie spuszczać oka z siatki. Zacieśniała się wokół jego prawej nogi, przenosiła ją do przodu, a potem poruszała lewą.

- To chyba wygodniejsze od mechanicznych protez? - spytałam.

- Ale kończyny nie są takie silne - wyjaśnił. - Myślałem swego czasu o protezach.

Próbowałam wyobrazić go sobie z nogami w zewnętrznych mechanizmach.

- I czemu się nie zdecydowałeś?

- Właściwie to nie wiem. - Zrobił kolejny krok. - W moim ciele jest wystarczająco dużo elementów bio-mechanicznych i chyba nie miałem ochoty na kolejne.

- Cud biosyntetyki.

- Co? - Spojrzał na mnie.

- Ktoś mnie kiedyś tak nazwał. Nie mogę tego przeboleć.

- Wiesz, nie winię cię - powiedział i wskazał ławkę w odległości kilku metrów. - Chciałabyś odpocząć?

- Pewnie.

Rex usiadł pierwszy i odetchnął głośno.

- Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że chodzenie wymaga takiego nakładu sił.

- Cóż, jakoś musisz całą tę swoją energię spożytkować. - Uśmiechnęłam się.

Ledwie dotarło do mnie to, co właśnie powiedziałam, a natychmiast zapragnęłam zapaść się pod ziemię. Był to bowiem żart, z którego śmialiśmy się tysiąc razy, żart, który zawierał wyraźną aluzję do jego wielu dziewczyn.

„Jasna cholera, ale ze mnie idiotka! Zupełnie jakbym zdzieliła go przez łeb tablicą z napisem: hej, jestem zimną suką bez śladu emocji!”

„Żebyś się nie zdziwiła, Soz” - rzucił wesoło. „Mam więcej energii, niż ci się wydaje”.

Zmieszałam się. Nie wiedziałam, że jestem dla niego taka przewidywalna.

„Podśłuchujesz?”

„Trudno nie podsłuchiwać, kiedy myślisz tak głośno”.

„Wcale nie myślałam głośno”. Poczzerwieniałam.

„Ależ oczywiście, że tak. Wrzeszczałaś z całej siły”.

„Jak zwykle jesteś wkurzający”. Smagnęłam go nieprzyjaznym spojrzeniem.

„Od mojej pielęgniarki też to słyszę. Bez przerwy”.

Łapy precz. Nie mam zamiaru dzielić się sekretami umysłu z jego miłością.

- Masz na myśli szanowną pannę Blossom?

- Pannę? Co to znaczy?

- To staroświeckie ziemskie słowo - wyjaśniłam spokojnie. W końcu to Blossom lubiła takie wyrażenia, a nie Rex. - Odnosi się do stanu małżeńskiego kobiety. A właściwie to do jego braku. - Zmrużyłam oczy.

- Jeśli dręczy cię jakaś kwestia, to po prostu zapytaj -jego głos złagodniał.

- Nie chcę być wścibska. To nie moja sprawa.

- Czy to miałyby jakiegokolwiek znaczenie dla naszej przyjaźni?

Tak, cholera, miałyby. Choć zaraz, to niesprawiedliwe. Dlaczego niby nie mógł mieć kochanki? Bo nie -i koniec. Bo niby dlaczego miałby chcieć ją, a nie mnie?

- Soz. - Rex przyglądał się mojej twarzy. - Ona uosabia to, z czym na tę chwilę mogę sobie dać radę.

Jak Jarith.

- Rozumiem - powiedziałam, a po chwili parsknęłam głośno. - Ale czy nie mogłaby zrobić czegoś z tym głupim imieniem?

- Mnie się podoba.

- Wcale mnie to nie dziwi.

- Ty się już nigdy nie zmienisz, Soz! - Zaśmiał się serdecznie. - I to właśnie w tobie lubię.

- Tak, chyba się nie zmienię. - Uśmiechnęłam się wbrew sobie.

Nie byłam już taka jak kiedyś. Mój pobyt na Fore-shires wszystko zmienił.

Spędziliśmy razem całe popołudnie, spacerując, rozmawiając i przesiadując na ławkach. Żadne z nas nawet nie wspomniało o Jaricie, Blossom czy Delos. Wiedziałam, że kiedyś nadejdzie czas, by się z tym uporać, ale chwilowo, ważne było dla mnie towarzystwo Reksa. Cieszyłam się z tego, że po prostu mam go przy sobie.

Do domu dotarłam późnym wieczorem. W salonie było ciemno, ale od razu zorientowałam się, że ktoś czekał w środku. Moja dłoń machinalnie opadła na pas kombinezonu, gdzie trzymałam miotacz.

- Luminatory - rozkazałam.

W pokoju natychmiast pojaśniało i ujrzałam swojego gościa. Był nim sam Kurj. Stał w drzwiach salonu, oparty

o futrynę, z założonymi ramionami. Jego osłonięte oczy wpatrywały się prosto we mnie.

- Witaj - powiedziałam i zamknęłam drzwi.

- Dlaczego wysłałaś zgodę na wniosek małżeński Charissy?

Cóż, z subtelności to on nigdy nie słynał.

- Bo w przeciwnym razie nikt w całym wszechświecie nie pozwoliłby jej na wzięcie ślubu.

- Mogła przyjść z tym do mnie. Zająłbym się wszystkim.

- Zważywszy na... powiedzmy, na charakter waszego zakończony związku, przypuszczalnie nie sądziła, iż mogłaby w ogóle o coś cię poprosić.

- Jaką korzyść miałaś w tym, że jej pomogłaś? - Studiował moją twarz.

„Korzyść?”

- Żadną.

- Kim jest Tiller Smith?

- Pracownikiem posterunku policji na Delos. Przyjął nasze zgłoszenie odnośnie Jaibriola Qoksa.

-I?

Nie miałam pojęcia, o co mu chodziło?

-I to wszystko.

- Więc dlaczego twój węzeł zwrócił uwagę na podarowaną ci przez niego książkę, gdy wasz dywizjon wyla tywał na Tams? - Kurj uniósł brwi.

Czy ten człowiek robił notatki na temat każdego mojego kroku?

- To zbiór poezji. Skłonił mnie do rozmyślań odnośnie tego, jak oddziałuje na mnie walka.

Stał w ciszy, niczym maszyna pobierająca, analizująca i klasyfikująca dane.

- To nie tłumaczy, dlaczego zostałam jego patronką.
- Gdybym tego nie zrobiła, w instytucie pożarliby go żywcem.

- To bezsprzecznie korzyść dla niego. Ale nie dla ciebie.

- Nie rozumiem cię - stwierdziłam, choć tak naprawdę domyślałam się jego intencji. Rozgniewał mnie jednak do tego stopnia, że nie miałam zamiaru tego przyznawać. I co z tego, że pomoc udzielona Tillerowi czy Charissie nie przyniosła mi żadnych korzyści?

Kurj podszedł do biblioteczki i wyjął „Wersy”. Książka otworzyła się na stronie zaznaczonej przez bilet z Arkady. Stał i czytał, a ja niemalże słyszałam słowa w jego głowie: „zawsze czujna, zawsze oczekująca, nigdy niezaspokojona”.

- Taki wiersz zachęciłby mnie tylko do tego, by wysłać podobnego człowieka jak najdalej od siebie. - Uśmiechnął się bez emocji.

Czy to był żart? Nie, niemożliwe. Chociaż, dlaczego nie? Kurj zawsze miał w sobie sporą dozę humoru - tyle że skrzętnie to ukrywał. Na wszelki wypadek uśmiechnęłam się i powiedziałam:

- Cóż, ja postrzegam to inaczej.

- Nie jest to jednak powód, żeby zostać jego patronką. - Kurj odłożył książkę na półkę. - Przypadł ci do gustu?

- Jeśli pytasz, czy z nim sypiam, odpowiedź brzmi: nie.

- A chciałaś tego?

-Nie.

- Zakładam, że nie ma na ciebie żadnego haka?

-Kurj zmarszczył brwi.

- Oczywiście, że nie!

- A Charissa?

- Nigdy jej nie spotkałam, nie licząc tego dnia w szpitalu - powiedziałam, potrząsając głową. - Szukasz czegoś, co nie istnieje. Pomogłam im, ponieważ miałam na to ochotę. To wszystko.

- A zatem jesteś idiotką - oznajmił cicho.

- Ja widzę to inaczej.

- Dlaczego?

Wszystko to stawało się coraz dziwniejsze. Czułam się tak, jakbym uczestniczyła w jakiejś cholernej rozmowie o pracę, a nie w spotkaniu z moim bratem.

- Cóż w tym złego - wyjaśniłam - że rządzeni przez ciebie obywatele będą zadowoleni ze swojego życia? Ludzie szczęśliwi są bardziej wydajni.

- Dbanie o dobre samopoczucie poddanych Imperia-latu nie należy do twoich obowiązków.

- W przypadku tej dwójki mogłam zrobić coś dobrego-

- Tiller Smith nie jest nawet Skolianinem - rzekł Kurj. - Nie dość, że wyszkolenie go nic nie da naszej sprawie, to jeszcze może obrócić się przeciwko nam. Może sprzedać zdobytą wiedzę Sojuszowi.

- A więc musimy dać mu powody, dla których zechce pozostać po naszej stronie, a wtedy to my skorzystamy z jego talentów, a nie Sojusz.

- Dobrze - powiedział Kurj, nie spuszczać ze mnie spojrzenia.

Czekałam, ale bezskutecznie. Nie powiedział ani słowa. Nie usłyszałam żadnych ostrzeżeń, bym się nie mieszała do jego życia, żadnych reprimend, niczego. Zamiast tego opadł na fotel, a mnie wskazał kanapę.

Usiadłam zdumiona. Kurj pólleżał nieruchomo, takując mnie w milczeniu swoim ciężkim spojrzeniem. We-

wewnętrzne powieki zakryły jego oczy niczym złociste tarcze. Poruszyłam się niespokojnie. Co się działo?

„Nie chcę żadnego ryzyka” - przekazał mi wprost do umysłu.

Mało brakowało, a bym podskoczyła. Jego myśl była niezwykle czysta i silna, co oznaczało, że przygotował się w duchu na rozmowę telepatyczną. Dlaczego?

„Ze względów bezpieczeństwa”.

„Przecież jesteś najlepiej chronioną osobą w całym Imperialacie”.

„To prawda. Ale znaleźliśmy się w niecodziennej sytuacji”.

W jego myślach wykryłam szczególny akcent. Czyżby echo tryumfu?

„Mamy szczególnego gościa” - wyjaśnił.

„Kogo?” - zapytałam, pamiętając, że od paru tygodni był jedynym mieszkańcem pałacu.

Uśmiechnął się ponuro, a potem przedstawił mi wyobrażenie „nieznajomego”.

Jaibriol Qox.

Swego czasu zaprogramowałam mój węzeł tak, by za każdym razem, gdy tylko usłyszę to imię, uruchamiał się program, który dyskretnie, ale możliwie najszczelniej osłoni mój umysł i ukryje wszelkie reakcje. Zabezpieczenie zadziałało bez pudła, choć oczywiście moje myśli, bezpiecznie zasłonięte, aż zawrzały. Jak im udało się go porwać? Gdzie teraz przebywał? Co wiedzieli? Mój węzeł pracował jak szalony, ale mimo to nie udało mi się ukryć intensywności mojej reakcji. Uchyliłam nieco zasłonę, by Kurj uznał, że zdziwiłam się odpowiednio mocno.

„Hightoński dziedzic jest tutaj?” - przekazałam w myślach.

„Tak. I jest nasz”.

„Ale jak do tego doszło?”

„Podróżował statkiem kosmicznym, samotnie, bez choćby jednego Solo czy eskortera”. Kurj wychylił się ku mnie. „Jego inwersja została zarejestrowana przez jedną z naszych sond Kyle'a. Pędził z milionową wielokrotnością prędkości światła. Piloci Szóstego Dywizjonu pchnęli go w inercję, a potem przechwycili”.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku.

„Co on tam porabiał, całkiem sam, bez żadnej eskorty?”

„Nie wiemy. Niczego nam nie ujawnił”.

Ośłonki na oczach Kurja zabłyśły.

„Jak dotąd” - dodał.

Nie chciałam nawet wyobrażać sobie, co wyczyniali z Jaibriolem, wiedziałam jednakże, że przesłuchujący go agenci wkrótce wszystko odkryją - o ile już to nie nastąpiło. Inna sprawa, że jego blokady mentalne były jeszcze silniejsze od tych, które osłaniały umysły Jagernautów. Na Delos rozluźnił je dla mnie, ale jeśli w swej naturze przypominały moje, pod przymusem na pewno ich nie usunie. Nie pozwoli mu na to uwarunkowanie.

Usiłowałam zapomnieć, dlaczego tak chętnie opuścił dla mnie swoje zasłony. I o tęsknocie w jego głosie oraz ciepłe jego ciała. Wystarczyło jednak, bym wspomniała go tylko raz, jeden jedyny raz, a mój puls natychmiast przyspieszył. Był hightońskim dziedzicem, a mimo to pożałowałam go. Za bardzo do siebie pasowaliśmy.

„Co się dzieje?” Kurj przyglądał mi się bacznie.

Uważaj. Niebezpieczny grunt.

„Właśnie rozmyślałam o moim ostatnim spotkaniu z Aristo”.

„Chodzi ci o Tarquea?”

Nie odpowiedziałam, a on nie naciskał. Nasze rozmowy zawsze tak wyglądały. Moje następne pytanie sformułowałam bardzo ostrożnie:

„Dlaczego utrzymujesz to wszystko w sekrecie? Pojęcie hightońskiego dziedzica to przecież wielki tryumf. Ujawnienie tego faktu doskonale wpłynęłoby na morale naszych ludzi, a za to bardzo źle na Handlarzy”.

„Zbyt łatwo poszło” - przekazał Kurj. „A ja nie ufam zwykłemu szczęściu. To może być jakaś pułapka. Nie mam zamiaru ryzykować, póki nie dowiem się czegoś więcej”.

No właśnie. Po co Jaibriol wypuścił się w samotną podróż przez kosmos, a do tego bez żadnej eskorty? Nikt, kto nie miałby dostępu do Sieci Kyle'a, nie byłby w stanie go odnaleźć; nam zaś i tak dopisało ogromne szczęście. Z tą prędkością mógł podróżować przez całe lata, a dla nas upłynęłaby zaledwie chwila. O mały włos przeżyłby całe swoje życie i umarł, nim ktokolwiek zorientowałby się, że zniknął.

I wtedy mnie olśniło. Dokładnie to sobie zaplanował! Samobójstwo! Na szczęście plan się nie powiódł, bowiem Sieć Kyle'a pochwyciła go jak rozbłyśnika.

Pozwoliłam, by z głębi mojego umysłu wypłynęło pytanie:

„Ile się od niego dowiedzieliście?”

„Nic!” - W myślach Kurja zahuczał gniew. „Odpowiada tak, jakby jego ciało wyposażono w sieć biomechaniczną zaprogramowaną na opieranie się wszelkim przesłuchaniom. Tyle tylko, że nie znaleźliśmy u niego nawet śladu czegoś takiego. Jedyнным implantem, jaki posiada, jest generator pola”.

Byli tak blisko prawdy...

„Co chcesz zrobić?”

„Znaleźć kogoś, kto przebije się przez jego uwarunkowania”.

Wiedziałam, co to oznacza. Osłony Jaibriola mogły blokować procesy mózgowie umożliwiające interakcje z innymi ludźmi. W przypadkach ekstremalnych - jak przesłuchania - nie był przez to w stanie komunikować się w żaden sposób, nawet werbalnie. Przełamanie tych zabezpieczeń nie było trudniejsze od pokonania jakiegokolwiek innej przeszkody, tyle że wymagało to odpowiednio mocnego tarana - w tym przypadku potężnego telepaty. Kurj z pewnością dałby temu radę, ale jego brutalna siła mogłaby zmiażdżyć umysł Jaibriola. Mój brat Althor, podobnie jak ciotka, był nieco subtelniejszy, ale dla odmiany żadne z nich nie posiadało zbyt wielkich umiejętności. Z kolei ojciec miał zarówno siłę, jak i finezję, lecz brakowało mu wojskowej wiedzy, by wziąć udział w przesłuchaniu. Tylko Kurj i Althor to potrafili.

I ja.

Siłą narzuciłam swoim myślom spokój.

„Po co mnie tu wezwales?”

„Przydzieliłem cię do sprawy Qoksa” - stwierdził, przyglądając mi się przez przesłonięte oczy.

„Masz o wiele bardziej doświadczonych specjalistów do takiej roboty”.

„Nikommu nie udało się pokonać jego blokad. Nikomu. Mam nadzieję, że rozumiesz, co to znaczy”.

„Ma po prostu silny umysł”.

„Zbyt silny”.

Nie powiedziałam ani słowa. Ze strachu, że się czymś zdradzę, bałam się nawet poruszyć.

„To psion” - przekazał Kurj.

„Wykluczone”.

„Niemniej to prawda. Jest psionem, a do tego silnym”.

„Ale jak to możliwe?!”

„Nie wiem”. - Kurj pokręcił głową. „Pracowałem nad nim, Soz. Nie jestem w stanie go złamać”.

„Przecież ty możesz złamać każdy umysł”.

„Owszem, ale w przypadku Jaibriola musiałbym użyć siły. A wtedy zamieniłbym go w warzywo”.

Nie wiem, co poruszyło mnie bardziej - świadomość, że Kurj mówił prawdę, czy też echo jego ponurej satysfakcji na wspomnienie wrzasków człowieka, którego uważał za odpowiedzialnego za masakrę na Tams. Po raz pierwszy w życiu poczułam cały ciężar nienawiści mojego brata i miałam ogromną nadzieję, że nigdy nie skieruje jej przeciwko mnie.

„Jeśli ty nie jesteś w stanie go złamać - zwróciłam się do niego ze spokojem - nie wiem, co twoim zdaniem ja mogłabym zrobić”.

„Cechuje cię większa finezja. Wedrzyj się do jego umysłu. Powiedz mi, co się w nim kryje”. Kurj wstał. „Spotkajmy się w pałacu jutro o szóstej rano. Dopilnuj, by wyglądało to na wizytę towarzyską”.

Chciałam odmówić, ale mogłam jedynie powstać i powiedzieć na głos:

- Tak jest, sir.

Po jego wyjściu padłam na fotel i skryłam twarz w dłoniach. Po chwili ją uniosłam, wystraszona myślą, że moje mieszkanie być może jest monitorowane. Nie chciałam w żaden sposób zdradzić, iż w mojej głowie rozpętał się istny chaos.

Rozumiałam powody, dla których Kurj uważał, że pojmanie Jaibriola może być fortem. Nie istniał inny sposób na to, by Ur Qox mógł dostać się bezpośrednio

przed oblicze imperatora Skolii. Mój brat nie przejąłby się sprawą, gdyby złapano kogoś mniej istotnego niż następcę tronu. To straszne, że Qox mógłby wysłać własnego syna na tortury w nadziei, że ten znajdzie sposób na zamordowanie Kurja - ale jeśli we wszechświecie istniał ktokolwiek, kto byłby do tego zdolny, byłby to właśnie cesarz Handlarzy. Ja jednakowoż miałam pewność, że to nie Qox za tym stoi. Zanadto cenił swego syna - i to nie tylko ze względu na rhońskie geny. Nigdy nie wysłałby go w charakterze zabójcy. Jediną osobą, którą Jaibriol chciał zabić, był on sam.

Wstałam i podeszłam do ściany. Wyglądała na zwykłą, matową przegrodę, ale w rzeczywistości było to okno. Po dotknięciu niewielkiego panelu polaryzacja podwójnej szyby zmieniła się i mogłam patrzeć przez całkowicie przejrzyste szkło. Między wieżami przemykały pojazdy latające, a ich obłe kształty były jedynymi krzywymi w mieście składającym się z samych prostych i kątów. Za przedmieściami aż po horyzont ciągnęła się czerwona, jałowa pustynia.

Gdzie Kurj umieścił Jaibriola? W lochach pod miastem? W jakiejś ukrytej bazie? Jego więzienie zapewne było strzeżone przez najbardziej wyrafinowane środki bezpieczeństwa. Nie wiedziałam, co robić. Nawet jeśli odnalazłabym młodego sukcesora, nie miałabym z nim co zrobić - bo przecież odesłanie go do Ura Qok-sa i Kryksa Quaelena nie wchodziło w rachubę.

Mogłam również wypełnić polecenie Kurja, ale potraktować więźnia łagodnie. Mogłam na przykład „odkryć”, że następcą tronu jest niespełna rozumu albo że ojciec po prostu go odtrącił i jedynym rozwiązaniem okazało się samobójstwo. Gdyby mój brat uwierzył, że Jaibriol nie wiedział o niczym istotnym i nie rozumiał

nawet powodów, dla których go torturowano, na pewno pozwoliłyby mu umrzeć. Z pewnością wołałyby publicznie stracić hightońskiego dziedzica, niż trzymać go w ukryciu i bez końca torturować.

Tylko że ja nie chciałam, żeby on umarł. Chciałam, żeby żył. Ze mną.

Przycisnęłam dłonie do szyby. Tager zmusił mnie, bym spojrzała prawdzie w oczy. W innej sytuacji być może nigdy nie upomniałabym się o odpowiedzialność związaną z moim dziedzictwem, lecz teraz pragnęłam tytułu imperatora tak bardzo, iż byłam gotowa się z tym zmierzyć. Nie mogłam się odwrócić plecami do takiej władzy. Rex miał rację, mówiąc swego czasu, że nie jestem świętą. Nie, nie odtrąciłabym takiej szansy.

Tymczasem Jaibriol właśnie to zrobił. Może był lepszym człowiekiem ode mnie? Albo mądrzejszym. Nie wykluczone też, że słabszym. Nie wiedziałam. Z jakiegoś powodu Tager uważał, iż byłam kimś więcej, niż sama twierdziłam - nie tylko zgorzkniałym żołnierzem z lodową bryłą zamiast serca, który nie ma już czym się podzielić. Traktował mnie tak, jakby moja wartość dalece wykraczała poza moje dziedzictwo. Doprowadził nawet do tego, że o mały włos sama w to uwierzyłam. Ale nadal słyszałam swoją matkę, która mówi głosem łagodnym, lecz przynoszącym ból: „Kurj się zmienił. Niezauważalnie, rok po roku, dekada po dekadzie. Aż wreszcie go utraciłam”. Ile miało upłynąć czasu, aż straci i mnie?

Nie. To nie musiało się tak skończyć. Mogłam ściągnąć Tagera na Dieszę... Nie, to by było w stylu Kurja. Po prostu poprosiłabym go o pomoc. Gdyby nie chciał opuścić Foreshires, znalazłabym jakiegoś innego prostownika tu, na miejscu. Ale Tager by przyjechał, na pewno. Mało komu ufałam tak jak jemu.

Był jeszcze Rex. Pewnie wiele czasu upłynie, zanim znów będziemy się cieszyć tym, czym kiedyś. Z Reksiem u boku i Tagerem dbającym o moje zdrowie psychiczne może wszystko jakoś w końcu by się ułożyło. Rhońska społeczność, stworzona przez moich rodziców, była utopią, marzeniem. Z Jaibriolem nigdy by się to nie udało.

Tak czy owak, nadal mogłam go uwolnić. Pozostawała jedna istotna kwestia - gdzie się uda potem. Nie mógł poprosić o azyl Sojuszu. Nikt nie zechce gościć hightoon-skiego następcy tronu. Nikt też nie uwierzy, że jest ofiarą Aristo w tym samym stopniu, co my wszyscy.

Chyba że... Chyba żebym za niego poręczyła. Tak, to mogło się udać, ale pod warunkiem że władze na Delos zdołają otrząsnąć się ze zdziwienia, kiedy już poznają całą prawdę. Na razie musiałam uwolnić Jaibriola tak, by samej się nie pogrążyć.

Podwinęłam rękawy. Miałam przed sobą mnóstwo pracy.

Umysł Sieci

Rdzeń wznosił się w samym środku placu. Był to z pozoru zwyczajny, dwupiętrowy budynek z białymi ścianami z kasatonu. Nawet o tak późnej porze okolice oświetlały przyciemnione lampy. Do środka prowadziło wejście pozbawione jakichkolwiek znaków szczególnych. Gdy przytknęłam palec do zamka, skaner odczytał wzór moich linii papilarnych i drzwi rozsunęły się, ukazując niewielkie pomieszczenie przypominające służę powietrzną. Różnica polegała na tym, iż zamiast stabilnego ciśnienia za drugimi grodziami strzegła sekretów.

Po wejściu do środka zewnętrzne drzwi natychmiast się zasunęły. Ściany zajaśniały i po chwili zrobiło się na tyle widno, że mogłam dostrzec psifon zainstalowany po drugiej stronie służy, przy wewnętrznych drzwiach. Wsunęłam go do gniazdka na nadgarstku i zaczęłam, pozwalając systemowi bezpieczeństwa przeprowadzić skan mojego mózgu.

Grodzie rozsunęły się.

Przede mną rozciągał się korytarz ze szklanymi ścianami. Za nimi, po obu stronach, znajdowały się kabiny, zajmowane przez pojedyncze osoby. To telopi. Mieli na sobie egzozskielety spięte z ciałami przez gniazdka w nadgarstkach, kręgosłupie i szyi. Ich oczy zakrywały

wizory. Większość siedziała nieruchomo w pozycji wyprostowanej i jedynie mężczyzna po mojej prawej kołysał się lekko w przód i w tył. W sumie wcale nie musieli się poruszać. Wystarczyło, żeby myśleli. W jednej z kabin jakaś kobieta leżała rozparta na krześle, wpatrując się w wirujące nad konsolą hologramy przedstawiające Rdzeń.

„Menu bezpieczeństwa” - pomyślałam. „Akta personelu. Telopi służby bezpieczeństwa. Rdzeń. Stan na chwilę obecna”.

W moim umyśle ukształtowała się twarz siwowłosej, szczupłej operatorki, a pod nią wyświetliły się dane: imię, wiek, upoważnienia oraz inne stosowne informacje z jej akt zawartych w archiwum ISK.

„Przekaz symultaniczny” - pomyślałam.

Oblicze kobiety skurczyło się i zajmowało teraz jedną ósmą jaźniościanki. Na powstałej w ten sposób pustej przestrzeni pojawiło się siedem innych twarzy - każda należąca do telopa pilnującego bezpieczeństwa. Szłam korytarzem, a mój węzeł raz za razem dopasowywał fizjonomie do ludzi w kabinach, przedstawiając również ich statystyki. Choć już dawno nauczyłam się funkcjonować w stanie „podwójnej wizji”, kiedy to obrazy wyświetlane przez jaźniościankę nakładały się na obiekty, którym się przyglądałam, nadal czułam się nieco oszłomiona, widząc jednocześnie telopów w moim umyśle i ich samych w świecie rzeczywistym.

Korytarz kończył się kolejną służą bezpieczeństwa. Tym razem, gdy użyłam psifonu, do mojego umysłu wdarła się metaliczna myśl.

„Nazwisko?”

„Priman Sauscony Valdoria”.

„Cel wizyty?”

Cały czas utrzymywałam umysł w stanie idealnej równowagi, spokojny niczym powierzchnia jeziora w bezwietrzny dzień.

„Odkodowanie T12”.

Kolejne grodzie rozwarły się na oścież.

Weszłam do okrągłego hallu z białymi ścianami i błękitnym dywanem. W jego centrum wznosiły się spiralne schody z chromowanego metalu, które ciągnęły się aż po sufit. Kiedy do nich podchodziłam, miękkki, wykładzinowy materiał pod moimi nogami wytłumił odgłos kroków. Wydawały się cichsze nawet wtedy, gdy wspinałam się po metalowych stopniach. Na samej górze natrafiłam na jeszcze jedną grodz, w której jedynym wyróżniającym się elementem była wnęka z psifonem. Wsunęłam go do gniazdka w nadgarstku.

Do mojego umysłu wkradł się kolejny chłodny i bezosobowy głos.

„Brak jakichkolwiek informacji o przydzieleniu pani do pracy nad T12”.

„Pomiń. Otwórz drzwi”.

Stałam i czekałam, wykorzystując rutynowe procedury, by rozluźnić mięśnie. Błękitny dywan, białe ściany, chromowane schody - dobrze wiedziałam, co się kryje pod powierzchnią tych niewinnie wyglądających przedmiotów. Zainstalowane w nich dziesiątki urządzeń właśnie teraz sprawdzały wszystko, co mogły - od mojego pulsu aż po fale mózgowe. Każda wątpliwa reakcja z mojej strony uruchomiłaby alarm. Drzwi otwierały się tylko przed osobami umieszczonymi na specjalnej liście dostępu, sporządzonej przez samego Kurja. Czasami figurowałam na niej, a czasami nie. Mój węzeł wyliczył 76-procentowe prawdopodobieństwo, że jestem na niej w tej chwili, uzasadniając to potrzebą zasięgnięcia wie-

dzy na okoliczność przesłuchiwania Jaibriola. Pewności jednak nie miałam.

Czekałam.

I czekałam.

Na moim czole pojawił się pot - co było niedobrym sygnałem - ale na szczęście w tym samym czasie drzwi niespodziewanie rozsunęły się, ukazując tunel metrowej długości. Wsunęłam do wnętrza głowę, a potem przestałam próg i wyprostowana, przeszłam przez całą długość śluzy, aż znalazłam się w kolejnym białym pomieszczeniu z błękitnym dywanem. Za moimi plecami rozległ się cichy syk, a kiedy tam zerknęłam, ściana zdawała się być jednolitą powierzchnią, bez najmniejszej choćby szczeliny.

W środku nie było żadnych mebli. Właściwie nie było niczego, poza węzłami sieciowymi. Każdy znajdował się w przeznaczonym dla niego miejscu - niektóre odizolowane od pozostałych, inne podłączone do komputerów. Akustyka pomieszczenia idealnie wyciszała szum ich pracy - tak samo jak dywan w hallu dyskretnie wygłuszał moje kroki.

Sieć oddana w użytkowanie Imperialnego Dowództwa Sił Kosmicznych rozciągała się na cały Imperialat. Liczne systemy wspomagające minimalizowały ryzyko jej naruszenia bądź uszkodzenia. W tym konkretnym miejscu znajdowało się aż dziesięć węzłów, a wśród nich EMI6, będący w istocie wysokim na dwa i szerokim na jeden metr cylindrem z czarnego pleksoszkła, umieszczonym mniej więcej pośrodku pomieszczenia. Chroniła go przezroczysta, zwieńczona kopułą tuleja, wokół której biegła lawka.

Pospiesznie zdjęłam buty, skafander i bieliznę, wystawiając skórę na chłodne powietrze, a potem stanęłam

na kręgu, który pod wpływem mojego ciężaru aktywował czujniki. Niespodziewanie znalazłam się we wnętrzu rury, która wyrosła z podłogi i przylgnęła do kopuły. Jej połyskliwe ściany były na tyle przejrzyste, że mogłam dojrzeć swoją bezkształtną stertę ubrań na ławce.

Następnie z podłogi wyrosła z brzęczeniem metalowa rama, która zacisnęła się na moich kostkach i wsunęła psifony do znajdujących się tam gniazdek. Potem na wysokości talii założyła mi pas i ponowiła instalację łączy w kręgosłupie oraz nadgarstkach, a na koniec otoczyła szyję metalowym kołnierzem, wtlaczając psifon w nasadę rdzenia kręgowego. Zwalczyłam w sobie strach przed uwięzieniem w klatce rozmiarów trumny. Musiałam go ukryć. Człowiek, który miał ważny powód, by podłączyć się do EM16, nie mógł przecież obawiać się pułapki zaprojektowanej po to, by uwięzić potencjalnych intruzów. Gdybym dała choć jeden powód do podejrzeń, rura nie wypuściłaby mnie do chwili przybycia ochrony.

Pomieszczenie rozmyło się. Opadałam w mrok EM16, prześlizgując się po wzniesieniach i dolinach psiberprze-strzeni, niczym duch nawiedzający wirtualną krainę.

„PRZYWILEJE SYSTEMOWE” - przekazał EMX6.

Poczułam wielką ulgę, ale jednocześnie zachowałam zimną krew. Mój ryzykowny fortel powiódł się. Istniały tylko dwa sposoby na zdobycie przywilejów systemowych w Sieci Kyle'a. Jednym z nich było wstąpienie do Triady, a drugim - skorzystanie z któregoś z Rdzeni. Właśnie weszłam do Sieci z możliwie największymi uprawnieniami dostępnymi dla telopa niebędącego członkiem Triady.

Sieć pojawiła się na mojej jaźniościance jako siateczka przejrzystych włókien. Wyznaczone przez nie kwadratowe pola mieściły psiprogramy, rozbłyskujące za każdym

razem, gdy ktoś z nich korzystał. Owe rozbłyski były ledwie widoczne i większość użytkowników zapewne ich nie dostrzegą, lecz ja rejestrowałam je wyraźnie.

Nie czułam przytłaczającego ogromu energii, która przenikała się po wizycie Kurja. Był tu niedawno, a jego działania pozostawiły po sobie znaczący ślad, ale teraz przypuszczalnie już spał, samotny wśród swoich systemów bezpieczeństwa i ochroniarzy. Mak utrzymywał, że mieszka w pałacu, ale z pewnością była to tylko przykrywa. Byłam przekonana, że do chwili rozwiązania zagadki Jaibriola Kurj pozostanie w swojej wieży, trzymając się jak najbliżej wydarzeń.

To nie brat zresztą przedstawiał sobą niebezpieczeństwo. Sieć przenikał o wiele subtelniejszy umysł - zawsze tu obecny, nawet wtedy, gdy jego właściciel w niej nie przebywał. Miałam na myśli swoją ciotkę, członkinię Triady. Jej działania przeprowadzane były z niezrównaną delikatnością i gdybym nie wiedziała, gdzie szukać, zupełnie bym ją przeoczyła. Kurj przedzierał się przez przestrzeń Kyle'a niczym gigantyczny lodołamacz, a ojciec był morzem, które ją tworzyło, ale to ciotka przeobraziła Sieć w galaktyczne, rozległe narzędzie władzy.

Wszędzie znajdowały się czytniki bezpieczeństwa. Gdy tylko EMI6 uznał moją tożsamość, jeden z obserwatorów ciotki nagrał tę informację i umieścił ją w odpowiednich zasobach. Widziałam, jak to się dzieje - słowa „przywileje systemowe” rozbłysły na chwilę, pochwyczone niczym motyl w siatkę, a potem zniknęły.

Otoczyłam umysł specjalną blokadą, uzyskując ciszę, która była mentalnym odpowiednikiem bezruchu. Po tem skupiłam się na kwadracie, który zarejestrował moje pojawienie się. Nabrzmał, rozrósł się, zaś sama siatka niespodziewanie przemknęła obok mnie, przypomi-

nając przez chwilę tunel ułożony z włókien. Gdy kwadrat znalazł się już w pobliżu, ujrzałam komórkę z odpowiednimi danymi, ukrytą pod falującą powierzchnią. Wślizgnęłam się do niej, bacząc, by nie zawadzić o żaden z psiprogramów, które unosiły się wokół niczym rześa na wodzie, a później wyczyściłam pamięć komórki do zera i wycofałam się bez problemu, nie wywołując najmniejszej nawet iskry.

Następnie wymazałam wszelkie dane dotyczące mojego wejścia do Rdzenia, a zaraz potem wywołałam plik z informacjami odnośnie telopów i wykorzystałam go, by ich odnaleźć w Sieci. Manipulując siatką, stworzyłam dla nich fałszywe wspomnienia, dzięki czemu nie będą pamiętać mojej wizyty. W umysły telopów ingerowało się znacznie trudniej niż w komórki konwencjonalnych węzłów, ale nowe dane wprowadziłam na tyle umiejętnie, że jeśli nikt nie będzie przy nich specjalnie grzebał, moja działalność pozostanie w tajemnicy.

Wątpię, czy udałoby mi się ukryć, gdyby moja ciotka zaprogramowała EMI6 tak, aby zaczął mnie szukać. Na szczęście jak dotąd nie miała żadnego powodu sądzić, że będę na tyle głupia, by szwendać się w takich miejscach z zamiarem celowego naruszenia bezpieczeństwa.

Sauscony?

Zamarłam. To był mój ojciec! W Sieci zrobiło się jakby ciepłej, a ja odniosłam dziwne wrażenie, że cała ta wirtualna rzeczywistość uśmiechnęła się do mnie.

Ojciec był ostatnią osobą, której się tu spodziewałam. Wraz z matką przebywali na Lyshriol z odwiedzinami u swoich wnuków, którą to gromadkę - o czym mi bez przerwy przypominali - miałam jak najszybciej powiększyć. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że może wejść stamtąd do Sieci. Musiał skorzystać z konsoli w naszym

domu, a przecież bardzo tego nie lubił. Wiedziałam, że ojciec był zafascynowany przestrzenią Kyle'a, ale nigdy nie nauczył się ufać maszynom - nawet tym, które pozwalały mu na logowanie się do Sieci. Korzystał z nich, gdy było to konieczne, ale na pewno nie wtedy, gdy składał wizytę wnukom. Niemniej to z pewnością był on. Nie zwróciłam na to uwagi wcześniej, ponieważ wypełniał sobą całą przestrzeń, przenikając każde pasmo i każdą iskrę. Gdybym nie znała prawdy, pomyślałabym, że znajduje się na Dieshy i wszedł do Sieci przez jeden z centralnych węzłów wykorzystywanych przez Triadę.

Machinalnie czmychnęłam przed nim, ukrywając się za procedurami bezpieczeństwa niczym za czarnym płaszczem, zaś ojciec ruszył na poszukiwania. Cała Sieć aż zadrgała od jego wysiłków, jak splątane wodorosty unoszące się na grzbietach wzburzonych morskich fal. Wkrótce jego przeświadczenie o mojej obecności zastąpiła wątpliwość, a w końcu pozostało już tylko zażenowanie z powodu głupiej pomyłki. Potem jego uwagę zwróciło coś innego i znów mogłam działać.

Ruszyłam przed siebie, uważając, by nie natknąć się na ojca ponownie. O dziwo, moje poszukiwania spęzły na niczym. Nie odnalazłam żadnej ścieżki, żadnych danych, żadnej wskazówki, która mogłaby doprowadzić mnie do informacji na temat pojmania Jaibriola.

Odkryłam jednakże pewną niekonsekwencję. Była nią jedna psikona ukryta pośród setek innych w sekcji przeznaczony na nasze kontakty handlowe z Sojuszem. Każda z psikon reprezentowała planetę. Wśród nich znajdowało się również niewinne wyobrazenie pewnej wyspy na Ziemi, noszącej miano Delos.

Na pierwszy rzut oka nie było w tym niczego dziwnego. Używaliśmy tego symbolu w odniesieniu do pla-

nety o tej samej nazwie - z tym że nie mieliśmy z nią żadnych układów handlowych. Byłam jedną z nielicznych osób, która wiedziała, że Kurj rozwiązał wszelkie traktaty z Delos, gdyż nie aprobował tamtejszej polityki udzielania azylu obywatelom Imperialatu. Utrzymywał to oczywiście w tajemnicy, by nie wzbudzać kontrowersji - ludzie z pewnością oburzyliby się na fakt, że ich władca uniemożliwia własnym obywatelom szukanie schronienia w innych państwach.

Skupiłam się na tej psikonie, a wyspa zaczęła rosnąć i rosnąć, aż wreszcie ujrzałam ją w całej okazałości, ze wszystkimi szczegółami - od szarych i brunatnych skał sterczących wzdłuż brzegu aż po turkusowe wody Morza Egejskiego omywające plaże.

„Otwórz” - pomyślałam.

Wyspa pękła w połowie i otworzyła się niczym dwuskrzydłowe drzwi. Moje nozdrza podrażnił zapach soli i wodorostów, usłyszałam też szum fal. Pojawiło się menu, które zawierało opcje do wykorzystania podczas pracy z plikami. Jedna z nich przypominała wyglądem niewielki zwój przewiązany czerwoną wstążką.

„Wyświetl pliki z tej pozycji. Tylko zapis literowy” - poleciłam.

Łatwiej byłoby pracować, korzystając z interaktywnej symulacji, ale wymagało to większego zaangażowania zasobów systemu, co z kolei wiązało się z większym ryzykiem wpadki. Ograniczenie się do pisemnej formy przypominało ruszenie do boju z mieczem, gdy miało się do wykorzystania krążowniki kosmiczne, niemniej miecze były o wiele dyskretniejsze.

Wstążka zsunęła się ze zwoju i pergamin rozwinął się z szelestem charakterystycznym dla starego papieru,

ukazując mi listę plików. Zostały one zapisane czcionką, której używała moja ciotka, ale choć była czytelna i nawet efektowna, zmieniłam ją na swój ulubiony typ.

Cholera! Co za głupota z mojej strony! Równie dobrze mogłabym poniżej napisać: ostatnia była tu priman Valdoria.

„Powrót do poprzedniej czcionki” - pomyślałam.
„Wróć do psikony”.

Obraz zniknął i znów widziałam tylko drgającą powierzchnię przestrzeni Kyle'a. Psikona wyspy nadal trwała w dolnym rogu jaźniościanki, teraz jednak migotała na niej zielona kropka, wskazując gotowość do użycia. Zagłębiłam się w Sieci. Obok mnie przemykały świetlne pasma - skrzące się, migoczące, zmieniające barwę i teksturę. Nawet zapachy i smaki ulegały błyskawicznym metamorfozom. W końcu dotarłam do wewnętrznej warstwy, której od początku szukałam. Znajdowały się tu główne psikony, z których każda obsługiwała funkcję programu sterującego środowiskiem tej wirtualnej rzeczywistości. Wybrałam tę, która ukazywała doktora trzymającego laser chirurgiczny i...

I nagle załała mnie ciemność. Nie było już obrazów, słów, dźwięków, zapachów, smaków czy tekstur.

„WYBIERZ KOMÓRKĘ PAMIĘCI” - przekazał EMI6.

„Psikona Delos. Ostatnie zmiany czcionki” - odpowiedziałam.

Pojawił się ciąg białych liter i cyfr na czarnym tle.

„WYBIERZ RODZAJ ZMIANY”.

„Zmień trzecie A na o”.

„A” zniknęło, zaś w jego miejsce pojawiło się „o” i wszelkie informacje na temat zmiany czcionki przy otwarciu pliku Delos zostały usunięte.

„PROCES ZAKOŃCZONY” - przekazał węzeł.

Sieć pojawiła się ponownie. W trakcie mojego powrotu EMI6 wymazał wszelkie dane, którymi skaziłam jego pamięć. Ciotka swego czasu zainstalowała w nim opcję „kasuj zapis”, by mogła tu pracować, nie pozostawiając po sobie śladu. Wiedziałam o tym, bo w zeszłym roku poprosiła mnie o przeprogramowanie systemu bezpieczeństwa Rdzenia. Byłam jedyną osobą, której ufała na tyle, by udzielić jej stosownego dostępu.

Wróciłam do psikony Delos i znów ujrzałam fale bijące o wirtualne wybrzeże, a na policzkach poczułam chłodny wiatr. Zaczęłam odczytywać kolejne nazwy plików, orientując się po chwili, że w istocie mam do czynienia z zapisem jakichś negocjacji. Otworzyłam pozycję zatytułowaną „Sek. Soj.” i okazało się, że jest to nota dyplomatyczna Sekretarza Handlu Sojuszu, w której usiłowano nakłonić naszego przedstawiciela do przywrócenia poprawnych stosunków gospodarczych. Zamknęłam list i raz jeszcze przejrzałam cały spis. Czego szukać? Sprawdzenie tą metodą każdego dokumentu potrwa zbyt długo. Kurj rzadko kiedy spał kilka godzin pod rząd, ja zaś z oczywistych względów musiałam opuścić EMI6, zanim znów się tu pojawi.

Nagle któryś z zapisów przyciągnął moją uwagę. Artemis? Słowo to pochodziło z Ziemi i odnosiło się do bogini urodzonej wraz ze swym bratem Apollinem na Delos. Nic dziwnego, że natknęłam się na coś takiego tutaj - pliki dotyczyły przecież planety o tej samej nazwie, co owa starożytna wyspa. A jednak to nie wszystko. Nikt poza mną nie wiedział, że Artemis miała dla Kur-ja specjalne znaczenie. Fascynował się mitologią Ziemi, a zwłaszcza takimi greckimi opowieściami, jak „Iliada” i „Odyseja”. Herkules, Medea, Agamemnon. Edyp... Pod-

czas jednej z jego rzadkich wizyt na Lyshriol, gdy byłam jeszcze dzieckiem, ujrzał mnie, jak jeżdżę konno po lesie i wprawiam się w strzelaniu z łuku. Powiedział mi później, że nigdy nie zapomniał widoku dzikiej, gołonogiej dziewczyny strzelającej w drzewa. Nazwał mnie Artemidą, boginią łowów.

„Otwórz: Artemis”.

Zwój zniknął i pojawił się holofilm ukazujący moje aresztowanie na Delos. Dzięki. To ostatnia rzecz, którą miałam ochotę oglądać.

„Zamknij”.

„PLIK ZAMKNIĘTY” - odezwał się EMI6.

Kontynuowałam swoje poszukiwania, ale nie znalazłam niczego, co wyglądałoby choć odrobinę podejrzanie.

„Zamknij: Delos” - poleciłam w końcu.

„PLIK ZA...”

„Nie! Czekaj!”

Po co ktoś miałby trzymać tu film z mojego aresztowania? Jasne, każdy konflikt wysokiego rangą oficera Imperialatu z rządem Delos może źle wpłynąć na nasze i tak bardzo już chwiejne stosunki, warto więc zachować podobne rejestracje w bankach danych. Ale zachowanie - czy może raczej złe zachowanie - dowódców było zmartwieniem Kurja, a ten dla nikogo nie robił wyjątków i zawsze umieszczał podobne pliki w tym samym miejscu - czyli tam, gdzie składował wszystkie tego rodzaju materiały z aresztowań osób, które mogłyby zagrozić układom z Sojuszem.

A może to moja ciotka zrobiła tę kopię? Tylko że to też niczego nie tłumaczyło. Zrozumiałabym, gdyby trzymała tu wzmiankę o incydencie - ale cały zapis? Po co?

„Jeszcze raz otwórz: Artemis”.

Hologram aktywował się, odtwarzając posterunek policji tak drobiazgowo, że znów poczułam się, jakbym tam była. Raz jeszcze przejrzałam całe to upokarzające nagranie. Zawierało każdy, najdrobniejszy nawet szczegół - łącznie z tym, jak Czarna Gwiazda przechwyciła transmisję satelitarną, przesłaną przez policję Delos do ISK. Plik był dokładnie tym, czym miał być: raportem z mojej nieplanowanej wizyty na posterunku policji.

Coś jednakże nadal mnie niepokoiło, jakiś drobiazg... Taas? Tak, teraz sobie przypomniałam. Kiedy Czarna Gwiazda wrzuciła tę transmisję satelitarną na moją jaż-niościankę, przechwycił ją również węzeł na myśliwcu Taasa. Próbował wówczas ją usunąć, ale... No właśnie, co się wtedy stało? Już mam, wykorzystał niewłaściwą komendę. Tak po prawdzie, to sięgnął po każdą, którą był w stanie wymyślić, ale żadna nie zadziałała. Mój węzeł nadal przechowywał wypróbowaną przez niego listę. „Zatrzymaj, przerwij, wyjdź, usuń, zmaz, zjeżdżaj, spadaj, won, spierdalaj”. Co ja mu wtedy kazałam zrobić? Aha, użyć „skasuj”. Tak, „skasuj” zadziałało.

Świetnie, a zatem ten plik powinien zawierać całą transmisję, tymczasem rzeczywistość była inna. Przejrzałam zapis krok po kroku, ale nigdzie nie znalazłam najmniejszej nawet wzmianki o problemach Taasa. Ciekawe. Przybyłam tu w poszukiwaniu informacji, a natrafiłam na ich brak. Co ważniejsze, ten końcowy fragment rejestracji nie mógł zniknąć przez przypadek - nagrali to wszyscy piloci w moim dywizjonie i raczej wątpię, by ta sama luka pojawiła się równocześnie aż w czterech zapisach. Nie wierzyłam także w ingerencję Kurja. Wedle jego filozofii świadczyłoby to tylko o niedbalstwie i niechlujstwie, czego wystrzegął się do granic obsesji.

A więc za tym wszystkim musiała stać moja ciotka. Ale dlaczego miałyby niszczyć tak trywialne dane? Była zbyt inteligentna, by usunąć coś takiego niechcący. Tak, była zdecydowanie zbyt inteligentna - usiłując nadażyć za jej procesami myślowymi, niejednokrotnie czułam się tak, jakby mój umysł pracował w ślimaczym tempie.

Zamknęłam plik „Artemis” i zabrałam się do przeszukiwania innych archiwów dotyczących Delos, usiłując odnaleźć cokolwiek związanego z Taasem, ale bez powodzenia. Kończył mi się czas i nadal wiedziałam tyle samo, co przed wejściem do Sieci. Taas. Artemis. Delos. Satelita. Transmisja...

Psikona!

Po tym, jak Taas wykorzystał komendę „skasuj”, pokazał mi psikonę, która ją obsługiwała. Była to kobieta z wielkim biustem, odziana w skąpe szmatki, które znikwały w czasie trwania procesu. No jasne! Czy istnieje lepszy sposób na ukrycie danych niż sprawienie, by w razie czego same przepadły? By kasowała je komenda przywołania? Dokładnie takie rozwiązania najbardziej pasowały do mojej ciotki.

Już wiedziałam, gdzie ukryła informacje na temat Jai-briola. Nie w EMI6. Zostawiła tu Kurjowi tylko wskazówkę - na wypadek gdyby szukał w tym miejscu odpowiednich plików. Pomysł był naprawdę genialny, gdyż tylko ktoś, kto wiedział, że brakuje niektórych faktów, zdałby sobie sprawę z istnienia wskazówki. Informacje jednakże schowane były gdzie indziej. W kluczu do cybergene-ratora w jej mózgu.

Człowiek nie musiał być psionem, by wszczepić sobie cybergenerator pola ochronnego. Mógł to zrobić dosłownie każdy, dlatego przedrostek brzmiał „cyber”,

a nie „psiber”. Wszyscy członkowie mojej rodziny, którzy dysponowali siecią biomechaniczną, również otrzymali to cudo techniki. Był to wymóg narzucony przez Zgromadzenie. To właśnie dlatego rozpoznałam tęczowe refleksy dookoła posiadłości wynajmowanej przez Jai-briola na Delos, które ostrzegały mnie przed aktywnym polem ochronnym.

Nikt z nas nie przepadał za tym urządzeniem. Zakłócało poprawne funkcjonowanie mózgu i mogło nawet wywołać trwale uszkodzenia, gdy korzystało się z niego zbyt często. W każdym razie, by móc go używać, potrzebowałam psiberchipu, karty z układami nerwowymi utworzonymi na podstawie moich komórek mózgowych. Dla większości ludzi taki chip był bezwartościowy, gdyż tylko psion mógł go aktywować. Gdy podłączałam się do niego przez psiberprzestrzeń, stawał się funkcjonującą częścią mojej jaźni. Gdyby inny psion próbował się z nim połączyć, chip poznałby różnicę równie szybko jak ja, kiedy jakiś intruz usiłuje zakraść mi się do umysłu.

Nawiasem mówiąc, klucze do naszych cybergenerato-rów trzymaliśmy na psiberchipach, ponieważ wstawienie implantu z kodami dostępu bezpośrednio do mózgu było zbyt niebezpieczne. Ich utratę mógł przecież spowodować nawet lekki uraz głowy. Rozdzielenie klucza i zamka sprawiało co prawda, że to pierwsze łatwiej było ukraść, ale zastosowanie psiberchipów rozwiązywało problem. Chip, który rozpoznawał mózg właściciela, można było nastawić tak, by kasował swoją zawartość podczas prób zawładnięcia ze strony obcego umysłu. Czy istniało więc lepsze miejsce do ukrycia danych na temat Jaibriola niż psiberchipy ciotki? Gdyby ktoś chciał zawładnąć danymi, chip wykasowałby wszystkie, a do tego uruchomił alarm w jej węźle kręgowym.

Niestety, oznaczało to, że ja również nie mam dostępu do tych danych. Ale zaraz, przecież były również poza zasięgiem Kurja. Po co więc zostawiać mu wskazówkę do miejsca, do którego nie mógł się udać?

Zaraz. A może informacje nie znajdowały się na jej chipach? Może umieściła je na jego własnych? Ale jak? Przecież również były chronione. Skasowałyby swoją zawartość, gdyby tylko zaczęła przy nich manipulować.

Sieć Kyle'a. No jasne! Oboje, wzmocnieni przez psi-wież istniejącą w obrębie Triady, mogli połączyć się umysłami o wiele szczelniej niż ja i Jaibriol na Delos. Gdy ich umysły stają się jednym, ciotka bez problemów może dostać się do jego chipów. Wątpię, czy jemu też by się to udało, bowiem była to operacja wymagająca precyzji i delikatności i tylko jedna osoba dysponowała odpowiednią wiedzą, finezją i uprawnieniami, aby sprostać temu zadaniu. Właśnie ciotka. Znając ją, zapewne zrobiła to bez wiedzy Kurja.

Tak czy owak, odkrycie to niewiele mi dawało. Nie mogłam przyłączyć się do Triady. Strumień wytwarzanej przez nią mocy wzrastał ogromnie po przyłączeniu się kolejnego telepaty. Dwa umysły nie stanowiły zagrożenia. Trzy były w stanie współdziałać, o ile nie były zbyt do siebie podobne. Po dołączeniu czwartego Sieć przeszłoby gigantyczne spięcie.

I co teraz?

Naszła mnie nowa myśl. Przecież Kurj miał dostęp do moich psiberchipów! Twierdził, że to dla mojego bezpieczeństwa, ale ja przejrzałam jego intencje. Chciał po prostu mieć kontrolę nad moim cybergeneratorem, co w istocie było jednym z wielu środków ostrożności, jakie zwykł ostatnio stosować. Chciał w ten sposób zminimalizować szansę na bunt któregoś z następców tronu.

Bez względu na intencje brata, moje chipy zawierały jego wzór mózgowy, by klucze nie wykasowały się w sytuacji, gdy on będzie chciał z nich skorzystać. Czy mogłam podłączyć się do niego tak, aby wybierając odpowiedni fragment mózgu, wmówić jego chipom, że jestem Kurjem? Nie zauważy tego, chyba że będzie próbował w tym samym czasie skorzystać ze swojego cybergeneratora. Ale teraz, póki co, wciąż jeszcze spał.

Wzdrygnęłam się. A co, jeśli nie będę mogła odłączyć się po zakończeniu pracy? Wizja uwięzienia w surowo strzeżonym umyśle Kurja przerażała mnie do granic.

Zamknęłam wszystkie pliki dotyczące Delos i usunęłam wszelkie ślady mojej bytności. Po przestawieniu aparatury nadzorującej Rdzeń tak, by nie zarejestrowała mojego zniknięcia, ostrożnie wyszłam z Sieci. A potem stałam w ciemnościach, czekając, aż klatka z psifonami wreszcie mnie uwolni.

Czekałam.

I czekałam.

Na mojej skroni perlił się pot. Nie, nie mogłam okazać strachu. Strach zdradziłby moją obecność o wiele szybciej niż cokolwiek, co do tej pory zrobiłam.

Nagle psifony wysunęły się ze swoich gniazdek. Otańczająca mnie rura zniknęła w podłodze, a moją nagą skórę owionęło chłodne powietrze.

Odetchnęłam, a potem ubrałam się i wyszłam.

Siedziałam za konsolą w swojej sypialni i wpatrywałam się w psiberchip, przypominający kartę wielkości dłoni. Wyciągnięcie go z domowego sejfu okazało się proste, ale na tym skończyła się moja odwaga.

To przecież było żywe. Żywe! Wzorami mózgowymi przez cały czas opiekowały się nanomedy, utrzymując je w gotowości do połączenia się z moim mózgiem. Miałam dziesięć chipów: dwa w podziemiach rodzinnej posiadłości na Lyshriol, trzy na Foreshires, cztery w kwaterze głównej i ten jeden w moim mieszkaniu.

Konsola czekała. Musiałam tylko wsunąć kartę na miejsce. Mój węzeł wyliczył 94-procentowe prawdopodobieństwo, iż uda mi się zespolić z mikroskopijną częścią mózgu Kurja na chipie. To, czy uda mi się wejść do jego chipów w ten sposób, było już całkiem inną historią, ale żeby się tego dowiedzieć, musiałam spróbować. I zmusić się do tego, by na ten moment stać się Kurjem.

Wpatrywałam się w psiberchip. Minęła minuta. Trzy. Pięć. Cenne godziny snu mojego brata powoli umykały.

Nabrałam tchu, a potem wsunęłam kartę w szczelinę czytnika i zalogowałam się na koncie osobistym - tym używanym raczej do celów prywatnych aniżeli służbowych. Weszłam do ogólnodostępnej sieci optycznej, a stamtąd wniknęłam do przestrzeni Kyle'a czy też psi-berprzestrzeni, jak wielu z nas nazywało ów dziwaczny wszechświat. Mój umysł rozrósł się i objął cztery węzły, które obsługiwały stosunkowo skromny fragment cywilnej Sieci Dieshy. Węzły te współpracowały ze sobą, wymieniając się rolami, gdy tylko użytkownik potrzebował któregoś z nich i wprowadził właściwą komendę.

Zaczęłam od Altu, którego złota podsiatka była ledwie widoczna. Dzięki temu mogłam zresztą stwierdzić, że w pobliżu nie ma ojca. Cała Sieć zawsze ulegała zmianie po jego wyjściu - zupełnie jakby uciekało z niej życie. Nigdzie nie dostrzegłam też delikatnych iskerek oznaczających obecność ciotki ani potężnych strumieni energii Kurja. Nie wyczuwałam w Alcie niczego nad-

zwyczajnego. Był to po prostu jeden z czterech zwykłych głosów, śpiewający własnym rytmem bez udziału solistów Triady.

„Witaj, Soz” - usłyszałam w myślach.

„Witaj, Alt. Połącz mnie z moim psiberchipem”.

„Wykonano”.

Niczego nie poczułam. W sumie nie powinnam -w końcu była to część mojego własnego umysłu.

„Zlokalizuj wzory mózgowie imperatora Skolii”.

„Zlokalizowane” - odezwał się Sopran.

„Zsynchronizuj je z moimi wzorami” - przekazałam.

Nie miałam pojęcia, czy komenda zadziała, gdyż nie istniały żadne oficjalne procedury pozwalające na takie operacje.

„Synchronizacja w toku”.

Czekałam, przyglądając się, jak świat wokół mnie skrzy się i mieni. Było w tym coś nieuchwytnego, a zarazem pięknego. Żłota poświata rozciągała się w nieskończoność, zawieszona w połyskliwej, płynniejszej od gazu atmosferze. Błada i nieustannie migocząca, falowała niczym bezkresny ocean. Dźwięki wydawane przez cywilne węzły były łagodniejsze niż te w Rdzeniu, z przyjemnością więc słuchałam słodkich melodii, jakie wygrywały podczas swojej pracy. Powietrze pachniało kukurydzą w miodowej polewie i przyprawami.

„Sopran? Podaj status operacji”.

„Twój mózg stawia opór” - przekazał Tenor.

Nic dziwnego. Wymieniłam z Kurjem wystarczająco wiele myśli, by wiedzieć, że nasze procesy mentalne są sobie praktycznie obce.

„Próbujcie dalej” - rozkazałam.

I znów pozostawało mi tylko czekać. Choć Sieć pozornie układała się w uporządkowane szeregi kwadratów, dostrzegłam wiele pomniejszych defektów. Przyczynami braku ciągłości między komórkami były najczęściej niewystarczająca konserwacja połączeń oraz niedbali użytkownicy. Tu i ówdzie pojawiały się niepozorne fluktuacje oraz czasowe koncentracje światła i koloru w asymetrycznych formach. Cywile nie znali się na rzeczy. Organizacja wojskowych sektorów Sieci była o wiele lepsza.

„I jak?” - spytałam.

„Synchronizacja zakończona” - odparł Bas.

„Jaka jest różnica między działaniem mojego mózgu a mózgu imperatora Skolii, ustalona na podstawie jego wzorów na moim chipie?”

„Jeden przecinek sześć procenta” - oznajmił Bas.

To, że ja nie dostrzegłam różnicy, nie oznaczało, że w ogóle nie istniała. Tak czy owak, nie można było lekceważyć rozbieżności wynoszącej jeden przecinek sześć procenta. Wciąż istniało prawdopodobieństwo, że chip ulegnie autokasacji na skutek moich prób podłączenia się do niego, pozostawiając tym samym niezaprzeczalne dowody na to, że pogwałciłam zasady bezpieczeństwa.

Musiałam jeszcze raz przemyśleć ryzyko ingerencji w strategię Kurja, dotyczącą przesłuchań Jaibriola. Tu, na Dieshy, Qox znajdował się zbyt blisko źródeł mocy przestrzemi Kyle'a. Mógł jakoś dostać się do Sieci, a potem wepchnąć do Triady, by ją przeciążyć. Gdyby to zrobił i zdołał przeżyć, miałby idealną pozycję, by przejąć obowiązki wszystkich tych, których zamordował, dzięki temu zaś zyskałby idealną pozycję do roztoczenia kontroli nad Siecią i ISK.

„Bas, przerwij synchronizację” - pomyślałam.

„Wykonano”.

Z należytą ostrożnością wycofałam się ze złocistego, falującego świata, pokonując po kolei wszystkie jego wirtualne poziomy. Wróciwszy do rzeczywistości, zaczęłam zastanawiać się, co robić dalej. Gdybym powiedziała teraz mojemu bratu wszystko, co wiedziałam o Jaibrio-lu, mógłby uznać to za zdradę stanu i skazać mnie na śmierć - fakt zatajenia prawdy przez tak długi czas w zupełności wystarczał do wydania takiego wyroku. Kurj jednak potrzebował tych informacji. W sumie mogłam przełamać blokady młodego Qoksa, udać, że go przesłuchuję, i powiedzieć później, że hightoński następca tronu jest Rhonem, tak jakbym właśnie się tego dowiedziała. W ten sposób uchroniłabym zarówno siebie, jak i Imperiałat.

Będę jednak musiała uważać podczas przełamywania bariery Jaibriola, by go nie skrzywdzić.

Potarłam suche, zmęczone oczy. A więc do roboty -najwyższa pora odkryć przed światem samobójcze zamiary następcy eubiańskiego tronu.

Zaraz, zaraz, samobójcze zamiary? No jasne! Dlaczego o tym zapomniałam?! Co mnie opętało, że zaczęłam myśleć, iż Jaibriol przybył tu z zamiarem zgładzenia nas wszystkich?!

Poderwałam się i wyszłam z pokoju, próbując uspokoić myśli. Jeszcze chwilę temu wydawało mi się, że wszystko jest jasne i poukładane, ale teraz miałam wrażenie, jakby w mojej głowie zamieszkał ktoś obcy. Przecież moim zamiarem było ocalenie młodego Qoksa, a nie oddanie go Kurjowi! Jak mogłam zdobyć informacje potrzebne do zlokalizowania Jaibriola, skoro zdradziłabym go już podczas próby ich znalezienia?

Złapałam kawałek papieru i napisałam:

„To nie jest twój umysł. Jeśli go posłuchasz, pożałujesz. Zdobądź dane”.

Labirynt w podziemiach archiwum ISK ciągnął się całe kilometry. Dzięki surowo wyglądającym korytarzom i kiepskiemu oświetleniu zyskał sobie sławę istnych lochów i nawet nazywano go katakumbami. Moje kolejne cztery psiberchipy, po które tu przyszłam, zostały umieszczone w niewielkim sejfie strzeżonym przez beta--skanery analizujące siatkówkę oka, odciski palców, głos, wzrost, skład chemiczny ciała, strukturę szkieletu i fale mózgowie. Kryjówka ta stawała otworem jedynie przede mną i przed Kurjem, który również trzymał tu jeden ze swoich chipów. Co istotne, sejf znajdował się we wnętrzu większej komory - także zabezpieczonej beta-ska-nerami - tę zaś umieszczono w samym środku podobnie chronionego pomieszczenia. Ponieważ dotrzeć tu można było tylko monitorowanym korytarzem - a jakże, zaopatrzonym w beta-skanery - w istocie miejsce to należało do najbezpieczniejszych w całym chyba Imperialacie. Włamanie się tu i wykradzenie czegokolwiek graniczyło praktycznie z cudem - chyba że włamywacz należał do osób z uprawnieniami dostępowymi.

Kolejne zamki otwierały się przede mną bez najmniejszych problemów. Wreszcie dotarłam do sejfu i wyjęłam ze środka wszystkie swoje psiberchipy. Usiadłam przy konsoli stojącej pod ścianą i wsunęłam jeden z nich do odpowiedniej szczeliny. Tym razem Bas oszacował różnicę między moim mózgiem a mózgiem brata na jeden przecinek dwa procenta. Uniosłam kartę Kurja i...

Zamarłam.

„Jeszcze chwila, a zrobisz coś - pomyślałam panicznie - co zniszczy całą twoją rodzinę, a przy okazji także Imperialat”.

Byłam idiotką! Działalam pod wpływem emocji, które odebrały mi umiejętność logicznego myślenia!

Spojrzałam na świstek papieru trzymany w drugiej ręce.

„To nie jest twój umysł”.

Poprawka. Nie chodzi o to, że połączenie się z umysłem Kurja sprawiło, iż moja jaźń przeistoczyła się w jego. Fakt, moje procesy mentalne uległy zmianom, dzięki czemu postrzegałam wiele rzeczy z innej perspektywy, nadal jednak miałam pełnię władzy, zwłaszcza nad swoją świadomością!

„Jeśli posłuchasz, pożałujesz”.

Nie. Żałuję tylko tego, że muszę to zrobić. Pora, bym przestała już być zdrajczynią.

„Zdobądź dane”.

Nie jestem w stanie niczego zdobyć. Moja ciotka zabezpieczyła te informacje ze szczególną dbałością. Nawet jeśli komuś uda się dotrzeć tak blisko, że będzie je miał niemal na wyciągnięcie ręki, nie zrobi już ani kroku dalej, gdyż zda sobie sprawę, dlaczego nie wolno mu ich ruszać.

„To nie twój umysł”.

Mój umysł funkcjonował w stanie ogromnego napięcia. Tager wykazał mi to podczas naszych rozmów.

Spotkania z Tagerem były oznaką słabości.

Nie!

Zacisnęłam dłonie na konsoli z taką siłą, że moje kłykcie aż pobielały. Spomiędzy palców sterczały końce zmiażdżonej kartki. Spotkania z Tagerem nie były ozna-

ką słabości. Mój umysł był zdrowy, a te słowa, skoro wyszły spod mojej ręki, musiały być sensowne.

Wzięłam kartę Kurja i wepchnęłam ją w szczelinę. Napęd czytnika stawiał opór, niczym ludzkie ciało odrzucające przeszczep. Napięłam mięśnie, spodziewając się, że chip zaraz samoistnie wykasuje się do czysta.

Zamiast tego poczułam dziwne odprężenie - a potem przypominałam sobie, gdzie znajduje się Jaibriol.

Weszłam do EMI6, tak jak poprzednio utajniając każdy swój krok. Tym razem udałam się prosto do podsieci bezpieczeństwa. Włączyłam wizję i sieć natychmiast zniknęła, a w jej miejsce pojawiła się panorama ukazująca pustynię. Wokół mnie roztaczały się dziesiątki kilometrów wyschniętej, czerwonej ziemi z rozrzuconymi tu i ówdzie strzelistymi kawałkami skał i sterczącymi spod piasku kolczastymi gałęziami pyłogryzu. Tylko daleko na północy, tam gdzie wyrastały zamglone góry, widok zdawał się jakby łagodniejszy, nieco bardziej przyjazny. Niebo nad moją głową, pozbawione choćby skrawka chmury, przypominało teraz błękitną, kamienną kopułę.

Nikt tu nie mieszkał, ale ISK miało inne plany w stosunku do tego miejsca. Piaski tej pustyni najeżone były instalacjami, a głęboko pod nimi znajdował się kompleks zwany Blokiem Trzecim.

„Psikona” - pomyślałam.

Pustynia umknęła sprzed moich oczu niczym olbrzymi obrus ściągnięty gigantyczną dłonią i w chwilę później pozostała po niej jedynie ikona migocząca we wnętrzu jednego z kwadratów Sieci. Odnalazłam w swoim

węźle dane ukradzione z psiberchipu Kurja. Weszłam do katalogu „Strażnicy”. Celi Jaibriola strzegły aż trzy oddziały, każdy po sześciu żołnierzy. Co istotne, wszystkie one wzajemnie monitorowały swoje położenie. Przeprogramowałam EMI6 tak, że podczas następnej zmiany oddziały numer jeden i trzy nadal będą znały swoją lokalizację, a oddział numer dwa - tylko własną. Ponadto przesunęłam ten ostatni na inną pozycję, przy czym jego dotychczasowa wydawała się zajęta przez inną jednostkę. Ta luka powinna mi wystarczyć.

Kolej na większe ingerencje. Przeprogramowałam system obronny Bloku Trzeciego, by ignorował ingerencje w określonych momentach. Następnie przestawiłam monitory medyczne nadzorujące celę Jaibriola, by zamiast niego śledziły strażnika pilnującego baru. Potem zmieniłam ustawienie monitorów, które teraz śledziły holograficzną ciemnię, a także przeorganizowałam wachty robotników, by usunąć ich z pewnych obszarów. Poprzestawiałam również trasy robomyszy, które kręciły się po bazie pod pretekstem czyszczenia, podczas gdy tak naprawdę - o czym dobrze wiedziałam - po prostu szpiegowały. Na koniec wgrałam program, który miał się aktywować w chwilę po tym, jak wprowadzone przeze mnie modyfikacje spełnią już swoje zadanie. Jego wytyczne były banalnie proste - miał usunąć wszystkie moje zmiany, przywrócić system do początkowych ustawień, skasować historię wszelkich ingerencji, zniszczyć samego siebie i wreszcie usunąć historię moich usunięć.

Rankiem po bazie będzie biegać mnóstwo oszołomych ludzi.

Łańcuchy i jedwab

Posadziłam śmigacz na uboczu. Noc była bezksiężycowa i panujący na pustyni mrok rozświetlał jedynie zimny blask setek tysięcy gwiazd, migoczących nad wyschniętą ziemią. Pobiełam kilkanaście metrów po skalistym podłożu, a potem dotknęłam przycisku na ochroniaczu na moim nadgarstku.

Krąg kamieni o średnicy około dwóch metrów zapadł się metr pod ziemię i odsłonił metalową powierzchnię. Było to wejście prowadzące do Bloku Trzeciego. Dotknęłam innego przycisku i grodzie opadły niżej, a potem rozsunęły się bezszelestnie. Moim oczom ukazały się spiralne schody z metalu, wiodące gdzieś w dół. Zeskoczyłam na górny pokład, a potem szybko zbiegłam nimi na niższy poziom. Znajdująca się tam śluza bezpieczeństwa bez problemu otworzyła się na moje polecenie. Po wyjściu z niej oślepiło mnie ostre światło. Wzdłuż ścian i sufitu biegły jakieś rury - od wielkich, którymi prze-czołgałby się człowiek, przez średnie, grubości ludzkiego ramienia, aż po cienkie jak palec. Pobiełam korytarzem, łomocząc butami. Miejsce robiło wrażenie opustoszałego. Właśnie pokonałam najbardziej zaawansowany system bezpieczeństwa, jaki ISK kiedykolwiek stworzył.

Dotarcie do celi Jaibriola zabrało mi niecałe dwie minuty. Otworzyłam drzwi laserowym wytrychem, który zawnazas odpowiednio wyregulowałam. Za nimi zobaczyłam niewielkie pomieszczenie z półką ciągnącą się wzdłuż lewej ściany.

Na półce spał Jaibriol.

Był bosy i miał na sobie jedynie więzienne łachy - szare spodnie oraz bluzę z krótkim rękawem. Skaleczenia na jego kostkach i nadgarstkach sprawiały wrażenie, jakby pozostawiły je zwykłe kajdany, ale już na ramionach i przedramionach miał czarne sińce oraz pręgi, a nawet ślady pozostawiane przez rażące prądem szczypce Espringa. Zastanawiałam się, w jaki sposób agenci prowadzący przesłuchanie usprawiedliwiają swoje metody, zważywszy na fakt, iż dysponowaliśmy o wiele mniej brutalnymi sposobami wyciągania informacji. Inna sprawa, że najprawdopodobniej nawet nie czuli potrzeby tłumaczenia się przed kimkolwiek - ich więźniem był Ari-sto. Zemsta nie zna współczucia czy wyrozumiałości.

- Jaibroł, obudź się! - Potrząsnęłam go za ramię.

- Nie, proszę - przemówił chrapliwie po hightońsku.

- Wstawaj! - Szarpnęłam nim ponownie.

Niespodziewanie poderwał się i grzotnął mnie pięścią prosto w żołądek. Przewróciłam się na ziemię.

- To ja! Sauscony! - jęknęłam.

Jaibriol stał już nade mną z zaciśniętymi dłońmi, patrząc ślepo gdzieś przed siebie.

- Jaibriol, to ja...

- Jestem Qox - powiedział twardo, spoglądając prosto na mnie, ale jego wzrok wciąż był nieobecny. - Jaibriol Qox.

- Wiem, kim jesteś. - Podniosłam się z podłogi i złapałam go za ramię. - Chodźmy.

Pchnął mnie z taką siłą, że aż uderzyłam plecami o ścianę. Próbowałam nie myśleć o uciekającym czasie. Widziałam, jak unosi rękę, gotując się do kolejnego uderzenia, a wtedy odezwałam się najbardziej zwyczajnym głosem, na jaki mogłam się zdobyć:

- Jeśli to tak witasz swoją potencjalną dziewczynę, to twoje życie miłosne naprawdę jest do bani.

- Co? - Zamarł.

- Jaibriol, to ja, Sauscony. Z Delos.

Wpatrywał się we mnie, a ja poczułam dreszcze, uświadamiając sobie, że jego twarz przypomina maskę. Rozłożyłam ramiona, żeby zobaczył, że nie mam przy sobie żadnej broni.

- Pamiętasz? Sauscony. Poznaliśmy się na Delos.

- Sauscony? - Wreszcie opuścił pięści. - Delos?

- Przypomnij sobie... Zachowałam się wtedy niezbyt grzecznie, w twojej posiadłości... Porobiłam pełno dziur i w ogóle... A potem wdarłam się do twojej sypialni...

W jego oczach wreszcie błysnęło życie.

- Jak ty się tu dostałaś?

- Łatwe to nie było. Ale o tym później! Teraz musimy się pospieszyć!

Przeniósł wzrok na drzwi, dopiero w tym momencie dostrzegając, że są otwarte, i zaraz potem rzucił się do szaleńczego biegu. Popędziłam za nim, wkrótce go wyprzedzając. Wskazałam prawy korytarz. Skręcił za mną. Nagle potknął się na obolałych nogach i o mały włos nie upadł, ale po chwili odzyskał równowagę i nie zwalniając ani na sekundę, gnał dalej. Dotarliśmy do schodów. Nasze stopy zadudniły na stopniach. Na samej górze Jaibriol złapał za krawędź leja i usiłował się podciągnąć, ale jego poranione ręce nie udźwignęły ciężaru. Osunął się,

uderzając głową o metalowy podest i... zaległ bezwładnie z zamkniętymi oczami.

Nie!

Złapałam go za ramię i próbowałam podnieść, ale ani drgnął. Był tak osłabiony, że upadek najprawdopodobniej pozbawił go przytomności, a ja - nawet z moją zwiększoną siłą - nie byłam przecież w stanie dźwignąć człowieka tych rozmiarów.

Dotarłam tak daleko i miałabym się teraz poddać?

„Wstawaj!” - krzyknęłam mu wprost do umysłu.

Otworzył z trudem oczy i spojrzał na mnie mętnie. Pomogłam mu wstać i razem przeszliśmy do ukrytej w ścianie drabinki, prowadzącej na szczyt leja. Otworzyłam osłony i opuściłam ją aż na sam dół, a Jaibriol namacał najniższy szczebel i zacisnął palce na poręczach. Nie ruszał się, więc oplotłam go w talii i podciągnęłam w górę. Kiedy się wspinał, przez cały czas musiałam podpierać go od dołu. Miałam wrażenie, że mijają całe wieki, ale w końcu dostaliśmy się na górę i ruszyliśmy biegiem przez pustynię w kierunku śmigacza. Jeśli zauważał gałązki pyłogryzu kłujące go w stopy, nie dał tego po sobie poznać. Wskoczył do wnętrza pojazdu przez otwarty właz i opadł na pokład. Wgramoliłam się tuż za nim, zatrzaskałam właz i usiadłam za sterami.

Nie było czasu na testy kontrolne. Ruszyłam przez pustynię, podskakując na nierównościach terenu i cały czas nabierając prędkości, aż w końcu wystrzeliłam w górę, umykając niemo ku światłu gwiazd.

Po chwili mknęliśmy po niebie, zostawiając Blok Trzeci daleko za sobą. Poczulałam ulgę. Udało się. Dokończyłam rzeczy niemożliwej. Wykradłam hightońskiego następcę tronu. Wyciągnęłam go z tajnej bazy ISK.

Włączyłam automatycznego pilota i odwróciłam się do Jaibriola, który tymczasem zajął sąsiedni fotel pilota. Głowę opierał na zagłówku, a jego pierś unosiła się i opadała w nierównym rytmie.

- Mam dla ciebie fałszywy dowód tożsamości - po wiedziałam.

Ucharakteryzowanie go na zwykłego turystę będzie jeszcze mniejszym problemem, wystarczy farba do włosów i kolorowe soczewki. Nikt przecież nawet nie pomyśli, że niedawny więzień numer jeden może wylądować w głównym porcie kosmicznym w samym sercu Imperialatu.

Otworzył oczy i uniół głowę.

- Co masz zamiar ze mną zrobić? - spytał.

- Zabiorę cię na Delos. Poprosisz Sojusz o azyl.

- O azyl? - Zaśmiał się gorzko. - Postawią mnie przed sądem za zbrodnie wojenne!

- Jakie znowu zbrodnie? - Skrzywiłam się. - Masz na myśli wygłaszanie kiepskich przemówień pod wpływem narkotyków podanych ci przez Kryksa Quaelena?

- Domyśliłaś się tego? - Spiał się w sobie.

- Od razu. Gdy tylko zaczęłaś mówić.

- Nikt nie uwierzy, że nie zabiłem tych ludzi na Tams.

- Uwierzą, jeśli za ciebie poręcę.

- A czego chcesz w zamian? - Jaibriol uniół brwi.

- Obietnicy, że już nie będziesz próbował się zabić.

- Nie pogrywaj ze mną, Sauscony - parsknął. - Ile przyjdzie mi zapłacić za to tak zwane „ocalenie”?

- Dobra. Przyrzekniesz mi, że po śmierci twojego ojca powrócisz z wygnania i obejmiesz tron cesarza Eube - powiedziała cicho.

Nie było to łatwe zadanie, ale przy odpowiednim planowaniu powinno się udać.

- A potem spróbujesz zawrzeć z nami pokój. Chodzi mi o to, że naprawdę się o to postarasz. Mam już dość przedstawień, które twój ojciec nazywa negocjacjami.

- Sama urządzasz przedstawienia. - Pokręcił głową, jakby chciał strząsnąć z siebie moje słowa.

- Sądzisz, że to wszystko to tylko gra? Jakiś głupi podstęp?

- Muszę przyznać, że twój brat wymyślił bardzo ciekawą torturę - mówił chłodnym głosem. - Przekonanie więźnia, że jest ratowany przez piękną kobietę, to naprawdę szczyt okrucieństwa. Bez wątpienia teraz cela wyda mi się o wiele bardziej koszmarna niż przedtem.

„Nawet gdybym działała jako agentka Kurja, nigdy byśmy nie skorzystali z tej metody. Kurj nie potrafi być tak subtelny. Nie rozumie finezji. Woli brutalną siłę”.

„Brutalna siła okazała się bezużyteczna” - wzruszył ramionami Jaibriol. „Czemu więc nie sięgnąć po fine-zję?”

„Dlaczego tak mówisz?” Zesztywniałam.

„Bo to prawda!”

„Jaibriol, przecież nawet ty sam w to nie wierzysz. Czy w przeciwnym razie opuściłbyś przede mną swoje mentalne zasłony? Ani przesłuchujący cię agenci Kurja, ani nawet on sam nie zdołali cię do tego zmusić!”

„Co masz na myśli?” Zmarszczył brwi.

„Przecież wiesz. Zobacz, jak rozmawiamy”.

„Normalnie, a co?”

„Przecież robimy to samymi umysłami!”

Zapadła długa cisza.

- Twoje bariery aktywuje stres, nieprawdaż? - podjęłam na głos. - A może ból? Albo gniew bądź niebez-

pieczeństwo? Zresztą nieważne. Cokolwiek to jest, twój mózg musi odbierać to jako zagrożenie, czy tak? -Tak.

- A więc czemu przy mnie te systemy obronne nie działają?

Przyglądał mi się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, a potem ułożył głowę na oparciu fotela i znów zamknął oczy. Był błąd jak ściana. Czekałam, ale nie odezwał się już, więc znowu powróciłam za stery.

- To ty będziesz potrzebować azylu - odezwał się w końcu. - Imperator każe cię stracić, gdy tylko odkryje, co zrobiłaś.

- Zatarłam swoje ślady.

- Nie jesteś w stanie ukryć wszystkich. - Znów spojrział na mnie.

- Mój brat uważa, że pojmanie cię zostało zaaranżowane przez Handlarzy. Że to jakiś dziwaczny fortel, którego celu nie pojmuję. Kiedy znikniesz, dojdzie do wniosku, że twoi rodacy rozmyślili się i postanowili cię odbić.

- To mało prawdopodobne, zważywszy na zabezpieczenia tamtego ośrodka.

- Lecz o wiele bardziej prawdopodobne niż to, że ja to zrobiłam - powiedziałam z rozbawieniem.

Kąciki jego ust uniosły się w górę, lekko, ledwie zauważalnie, ale bez wątpienia był to uśmiech.

- To prawda - przyznał cicho.

- Sojusz znajdzie jakiś świat, gdzie będziesz mógł żyć w spokoju - mój głos złagodniał. - Jakaś słabo zaludniona planeta, gdzie nikt cię nie rozpozna. Miejsce, gdzie będziesz mógł pozostać, aż przyjdzie czas na przejście tronu.

- A skąd to twoje przekonanie, że ja w ogóle chcę zostać cesarzem?

- Bo musisz i tyle. - Skrzywiłam się. - Ta głupia wojna wyniszcza obydwie nasze nacje, a ja nie widzę, żeby ktoś chciał położyć temu kres. Umiesz sobie wyobrazić, jak twój ojciec i mój brat zawierają pokój? Wątpię. Ale jeśli pomożesz...

- Nie planuję siadać z imperatorem Skolii do jakichkolwiek negocjacji - głos Jaibriola stwardniał. - Po tym co się wydarzyło w ciągu tych kilku ostatnich dni, nie zamierzam nawet przebywać z nim w tym samym pokoju.

- Kurj nie będzie żył wiecznie.

- A więc chcesz, żebym udał się na wygnanie i powrócił któregoś dnia po władzę...

-Tak.

- Nie ma mowy.

- Jaibriol, nie zrozum mnie źle. To nie jest cena, którą musisz zapłacić za uwolnienie. Ja nie stawiam ci żadnych warunków. Ale proszę, zastanów się nad tym. - Westchnęłam ze znużeniem. - Co się stanie, jeśli Skolia zostanie w końcu podbita przez twojego ojca lub jego następcę? Bez nas Sojusz nie przetrwa nawet dekady! Tego sobie właśnie życzysz? Galaktyki rządzonej przez Hightonów?

-Nie.

- A więc...

- Nie - powtórzył i wyciągnął ramię. - Jeśli wrócę, czeka na mnie to.

Rękaw jego koszuli zakrywał tylko górną część ramienia, reszta była odsłonięta. Widziałam wszędzie siniaki, pręgi, skaleczenia i poparzenia. Poszarpana skóra, przykryta warstwą zaskorupiałej krwi, otaczała jego nadgarstek niczym makabryczna bransoletka.

- Masz na myśli przesłuchania? - Spojrzałam na niego pytająco.

- Nie. Przyjrzyj się.

Zerknęłam na rany jeszcze raz. Większość była świeża, ale ze zdumieniem dostrzegłam również starsze ślady - białe znamiona, które wyglądały jak źle zagojone blizny. Dotknęłam linii, która przebiegała zygzakiem po jego dłoni. Szrama ta z pewnością powstała na długo przed tym, zanim Jaibriol stał się więźniem Kurja.

- Nie rozumiem. - Wzruszyłam ramionami i pokręciłam głową. - Nie miałeś tego na Delos.

- Nie, nie miałem - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- To skąd się to wzięło?

- A jak myślisz? - Jego spojrzenie było puste.

- Nie wiem.

- A powinnaś. Tobie przytrafiło się to samo. Jak się ten facet nazywał? Tarque?

- Zrobili z ciebie dostarczyciela? - Wybałuszyłam oczy.

- Oczywiście, że nie. - Zaśmiał się chrapliwie. - Jestem przecież hightońskim następcą tronu. Nikt nie ośmieliłby się nawet o tym pomyśleć, nie mówiąc już o przejściu do działania.

- To był Quaelen, prawda? Kryx Quaelen, minister handlu.

Jego dłoń zacisnęła się na poręczy fotela.

- Zrobił wszystko, co uznał za konieczne, by mnie odpowiednio wyszkolić.

- Na bogów, Jaibriol, dlaczego twój ojciec go nie powstrzymał?

- O niczym nie wiedział - mówił teraz ze ściśniętym gardłem. - Odkąd sięgam pamięcią, zawsze mnie unikał. Może nienawidzi mnie z powodu mojej słabości? Nie

wiem i pewnie już się nie dowiem. Zresztą chyba przestało mi na tym zależeć...

- Może robił tak, ponieważ nie potrafi znieść myśli, że mógłby chcieć skrzywdzić własnego syna?

Jaibriol rozwierał i zaciskał pięści.

- Powiedział mi, żebym nie popełniał żadnych błędów. Żebym nigdy się nie wahał ani nie zdradził jakimikolwiek wątpliwościami. Ale ja nie umiem być fortecą przez cały czas. To niemożliwe.

Tak, nikt tego nie umiał. Ze wszystkich znanych mi ludzi mój brat najszczelniej odgradził się od kontaktów z bliźnimi, ale nawet on miał swoje gorsze chwile. A Kurj nie musiał żyć wśród Hightonów.

- Jako cesarz mógłbyś sobie stworzyć dogodniejsze warunki - powiedziałam. - Na początek mógłbyś na przykład pozbyć się Quaelena. A potem pracować z fach-mistrzami, a nie z Aristo.

- No nie wiem. - Wyciągnął się i zapatrzył w sufit nad sobą. - Kryx jest potężny. Zwłaszcza teraz, gdy oficjalnie ogłoszono mnie dziedzicem. Usunięcie go nie będzie łatwe... - Spojrzał nagle na mnie. - Sauscony - powiedział z powagą. - Ucieknijmy razem. Przecież nie musimy być więźniami swojego dziedzictwa, prawda? Znajdziemy miejsce, w którym nie znajdzie nas żaden Quaelen ani nikt inny.

Ucieknijmy razem. Tak po prostu. Rzućmy wszystko, co dotychczas robiliśmy i co nadawało naszemu życiu sens.

Tamtego dnia, gdy siedziałam sama w swoim mieszkaniu, czułam, że wiem, czego chcę. Teraz, w towarzystwie Jaibriola, moja pewność siebie zaczęła się kruszyć. Trafił swój na swego.

Wróciłam za stery, nie mogąc znieść rosnącego napięcia. Śmigacz, który cały czas leciał na autopilocie, właśnie przechodził na tryb poruszania się wśród innych pojazdów powietrznych. Powoli zbliżyliśmy się do miasta i za kilka minut powinniśmy być w porcie kosmicznym.

- Sauscony?

Nie spuszczałam oczu z pulpitu.

- Nie mogę tego zrobić - odparłam w końcu.

Nie odezwał się. Zamiast tego przesłał mi do umysłu obraz nas dwojga kochających się na kwiecistej łące.

- Przestań! - Odwróciłam się do niego gwałtownie.

-To nigdy nie nastąpi!

- Dlaczego nie?

- Dobrze wiesz!

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Przecież nigdy nie chciałaś, żeby uczyniono cię następczynią tronu. Sauscony, nie musisz poświęcać swojej duszy tylko dlatego, że ktoś tego od ciebie oczekuje.

- W twoich ustach brzmi to jak jakieś cholerne poświęcenie, ale wiedz, że ja naprawdę chcę zostać imperatorką.

- Może.

Spojrzałam na niego ze złością.

- Co to ma znaczyć? - spytałam.

- Myślisz, że zostałam przeznaczona do rzeczy, od których nie wolno ci uciec.

- To, co myślę, to moja i tylko moja sprawa.

- Jeśli chcesz być odpowiedzialna za życie każdego Skolianina, długo nie pociągniesz.

- I co z tego? - warknęłam, czując rosnący gniew.

-Wolisz, żebym uciekła razem z tobą i przez resztę życia pieprzyła się wśród jakichś cholernych kwiatków?

- Możesz bagatelizować swoje pragnienia - twardo obstawał przy swoim. - Ale w niczym nie zmienia to faktu, że wiele one dla ciebie znaczą.

- Odbieram sygnał - odezwał się nagle węzeł śmi-gacza.

Zerknęłam na pulpit i krew odpłynęła mi z twarzy. Płonęła właśnie ta kontrolka, której miałam nadzieję nigdy zapalonej nie zobaczyć.

- Co się dzieje? - spytał Jaibriol.

- Zaraz to sprawdzę - odparłam.

Włączyłam nadajnik neutrinowy, który automatycznie przeszukał kanały ISK, i naraz w ciszę wdarł się głos Kurja:

- ...na południe od miasta, w śmigaczu klasy 4B lub 4C Zatrzymać wszystkie pojazdy pasujące do opisu. Po wtwarzam, zatrzymać wszystkie pojazdy pasujące do opisu.

Nie! Tylko nie teraz! Nie, kiedy byliśmy tak blisko!

Niestety, nic z tego. Mój brat dowiedział się o ucieczce Jaibriola znacznie wcześniej, niż zakładałam i w okamgnieniu rozciągnął kordon otaczający całą planetę, wstrzymał wszystkie loty i nakazał uznać każdego pasażera za podejrzanego. Kiedy rzucał przez radio kolejne rozkazy, szarpnęłam za drążek sterowniczy i skręciłam na wschód, chcąc znaleźć się jak najdalej od portu kosmicznego.

Prawie nam się udało. Tyle tylko, że to „prawie” nie miało teraz większego znaczenia. Co poszło nie tak? Zauważył nas któryś z obserwatorów mojej ciotki? A może jeden ze strażników postanowił sprawdzić celę Jaibriola? Albo uruchomiłam alarm, o którym nie wiedziałam? Bez względu na przyczynę, moje plany spaliły na panewce.

Transmisja Kurja wciąż trwała, a ja w milczeniu słuchałam, jak koordynował działanie swoich oddziałów poszukiwawczych. Cóż, przynajmniej uganiali się za komandosami Handlarzy, a nie za mną. Znaleźliśmy się nad przedmieściami i wmieszaaliśmy w zwykły ruch uliczny. Wokół nas krążyły setki pojazdów pasujących do opisu podanego przez mojego brata. Ale dobrze znałam skuteczność działania ISK. Gdy już raz uruchomiono tę gigantyczną maszynę, nawet ja nie mogłam jej umknąć. Na całej planecie nie było takiego miejsca, które pozwalałoby się schronić przed imperatorem i jego niezmordowanymi tropicielami.

Z jednym wyjątkiem.

Wykonałam ciasny zwrot. Miasto zatańczyło pod nami i po chwili lecieliśmy już na północ. Przedmieścia wkrótce znów ustąpiły miejsca pustyni.

Na holomapie pojawił się śmigacz ISK, który leciał naszym kursem i z podobną prędkością. W głośniku zakrzeczał głos pilota:

- Podaj tożsamość.
- Zerknij no lepiej na skaner - rzuciłam.
- Przepraszam, primanie Valdoria. Tożsamość potwierdzona. Proszę lecieć dalej.
- Należysz do kordonu chroniącego miasto? - zapytałam.
- Tak, proszę pani.
- Udało się coś ustalić?
- Sądzimy, że uciekinierzy lecą w stronę portu kosmicznego.
- Rozumiem. Wracaj do zadań.

Nim dotarliśmy do gór, musiałam jeszcze dwukrotnie podać swoje dane personalne, a u podnóża masywu

przechwycił nas nawet kolejny śmigacz. Nie sądziłam, że Kurj roześle pojazdy tropiące tak daleko, zważywszy na fakt, że cały łańcuch górski chroniony był przecież przez rozległe systemy bezpieczeństwa. Broniły one dostępu do pałacu, jedynej ludzkiej sadyby na przestrzeni tysięcy kilometrów kwadratowych. Setki instalacji śledziły nas ze szczytów i dolin, a nad naszymi głowami przelatywały satelity na niskiej orbicie, jedna po drugiej, ustawione tak, żeby ani na chwilę nie przestać monitorować całego obszaru. Wszystko to, by strzec jednego, pustego budynku.

Gdy wzlecieliśmy nad góry, mój komunikator zaskrzeczał ponownie, a zaraz potem dobiegł z niego kobiecy głos - tak autentyczny, iż gdybym nie znała prawdy, wzięłabym go za ludzki.

- Proszę o podanie tożsamości.

- Przekazuję - potwierdziłam, przyzwalając na otwartą transmisję.

- Witaj w domu, Sauscony - oznajmił komputer.

Leciliśmy dalej, mijając najlepsze systemy zabezpieczeń w całym Imperialacie. Nic nas nie zatrzymywało -bo niby dlaczego? Byłam w końcu jedną z tych, których miały chronić. Niemniej nawet tam, dokąd zmierzaliśmy, nie byliśmy bezpieczni. A przynajmniej nie na długo.

Bo w którymś momencie do pałacu wróci także Kurj.

W porównaniu do sypialni w pałacu nawet mój apartament na Foreshires wyglądał banalnie i ubogo. Cały pokój utrzymany był w błękitach - włącznie z ogromnym dywanem, a nawet łóżkiem stojącym na podwyż-

szeniu. Dla kontrastu gałkę w drzwiach, podobnie jak staroświecki klucz, wetknięty teraz w zamek, wykonano z czystego złota. Także filigranowe zdobienia wijące się wokół okien były złote, zaś pod ścianami stały wysokie wazy - bezcenne dzieła sztuki pewnej starożytnej cywilizacji z planety, której nazwy nie mogłam sobie nigdy przypomnieć. Sama szafa miała rozmiary salonu, a przepełniały ją seksowne sukienki, których ani razu nie założyłam. Zawsze podejrzewałam, że miejsce to miało nie tyle zapewnić mi komfort, co uświadomić, czego powinienam od życia oczekiwać. Oczywiście doceniałam całe to piękno, które mnie otaczało - dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy zobaczyłam ten salon po raz pierwszy - ale nigdy nie czułam się tu jak u siebie.

Jaibriol, utykając, podszedł do podwyższenia i z trudem wspiął się na łóżko. Jedwabna pościel zaszeleściła pod jego ciężarem. Usiadłam obok, trzymając w ręku devastator. Broń nie na wiele mogła mi się tu przydać. Tak samo jak wszystkie moje szkolenia, a nawet doświadczenie zdobyte przez lata walk. Tak, ostatnim miejscem, gdzie ktoś mógłby zacząć poszukiwania Jaibriola Qoksa, był pałac imperatora. Niemniej prędzej czy później ISK dotrze nawet tutaj.

- Przepraszam - powiedziałam. - Mogłam tylko odwlec to, co nieuniknione.

- Przynajmniej nie będę musiał powoli umierać. -Dotknął mojej broni.

- Zapomnij o tym.

- Nawet kiedy jedyną alternatywą będzie ponowna niewola? Przecież nie możemy uciec, a twój brat na pewno zechce skazać nas na śmierć. Długą i bolesną.

Spojrzałam na devastator, a potem upuściłam go na podłogę. Tak niewiele brakowało. Jeszcze chwila i uda-

łoby się nam uciec z tej przeklętej planety. Niestety, nie wyszło.

Wyciągnęłam się na brzuchu obok Jaibriola, a on przesunął palcem po moim policzku.

- Gdy ujrzałam cię w mojej celi, pomyślałem, że znowu mam zwidy.

- Zwidy? - powtórzyłam ze zdziwieniem.

- Po naszym spotkaniu na Delos za każdym razem, gdy czułem się samotny, marzyłem o tym, że mnie odwiedzasz.

A więc nie tylko on zmagał się ze wspomnieniem tamtej nocy. O dziwo, poczułam się nieco lepiej. Ułożyłam się na boku i oparłam głowę na łokciu, wpatrując się w twarz młodego Hightona. Zdążyłam zapomnieć, jaki był przystojny - nawet według nieeubiańskich standardów. Nie zdziwiłabym się, gdyby Ur Qox kazał lekarzom poprawić wygląd swojego syna, gdy ten był jeszcze dzieckiem. Założę się, że zrobiłby wszystko, by uczynić z niego prawdziwego herosa Handlarzy. Wszystko, by odciągnąć uwagę od tego, że następca tronu nie potrafił funkcjonować jak każdy inny Aristo.

Pod oczami Jaibriola ciemniły się sińce, a jego czarne, lśniące włosy były w nieładzie. Nie mogłam się przyzwyczaić do tego, że widzę je u tak bardzo kogoś odbiegającego od stereotypu Hightona. Dotknęłam jego ust i przesunęłam palec najpierw po górnej, a potem po dolnej wardze. Były suche i popękane, ale także ciepłe... Tak bardzo ciepłe... Rhońskie usta - pełne, kuszące. Pochyliłam głowę i zbliżyłam swoją twarz do jego...

Odepchnął mnie.

Oblałam się rumieńcem. Co mnie opętało? Chciałam uwieść mężczyznę, który ostatnie dni spędził w więzieniu, brutalnie przesłuchiwany przez ludzi mojego brata?

- Przepraszam.

Wpatrywał się we mnie. Po drugiej stronie pokoju stary zegar w kształcie wieżyczki cichutko tykał, odmierzając kolejne sekundy. Nagle Jaibriol otoczył ramieniem moją szyję i przyciągnął do siebie. Poczulałam jego zapach - ciężki, odurzający zapach mężczyzny. Zamknęłam oczy i rozkoszowałam się pocałunkiem. Jego wargi smakowały równie dobrze, jak wyglądały. Były ciepłe i zniewalające. Ale to wszystko, bowiem ciało miał spięte i bardziej przypominał martwą kłodę niż kogoś rozpalonego pożądaniem.

- Co się dzieje? - Uniosłam głowę.

Oparł się na łokciach i jego oczy znalazły się na wysokości moich.

- Nie chodzi o ciebie.

- Jest ktoś inny?

- Nie, nie ma nikogo. Absolutnie nikogo.

- Chcesz powiedzieć, że jeszcze nigdy z nikim nie byłeś?

- Otóż to.

- Dziwne. Wystarczyłoby jedno twoje słowo, żeby mieć dowolną hightońską kobietę!

- Ale ja nie chciałem hightońskich kobiet. - Skrzywił się.

- No tak, rozumiem...

Jego bariera znów opadła i odkryłam w nim ten sam smutek, który miał w sobie tamtej nocy w dokach na Delos. Był samotny, rozpaczliwie i boleśnie samotny. Co gorsza, jego rana jeszcze bardziej się pogłębiła - i choć na brzegach zaczynała się już goić, w środku nadal była rozogniona.

- Nie mogłeś sobie zażyczyć jakiejś dostarczycielki? - zapytałam.

- Nie - odparł krótko i pochwycił mnie delikatnie za ramiona, jakby chciał za wszelką cenę zachować dystans. - Gdy pozwolisz sobie na bliskość z drugą osobą, może cię to sporo kosztować.

- A niby w jaki sposób dostarczycielka miałaby cię skrzywdzić?

- Rozpoznając moją tożsamość - powiedział cicho. - Rozpoznając siebie we mnie.

Westchnęłam, uświadamiając sobie znaczenie jego słów.

- Nie miałeś tam żadnych przyjaciół, prawda? - wyszeptałam.

- Miałem lorda Quaelena, mojego „ukochanego” mentora i nauczyciela - w jego głosie pojawiła się nienawiść. - Nie podobało mu się to, że interesują mnie inni ludzie. Gdybym za bardzo się do kogoś zbliżył, dałbym mu tylko powód, żeby mnie ukarał.

- I nie mogłeś się go jakoś pozbyć?

- To prawdziwy mistrz hightońskich intryg, lepszy nawet od mojego ojca - głos Jaibriola zaczął się rwać. - Jest pusty. Przypomina otchłań gotową mnie pochłonąć. Wszyscy oni tacy są. Mój ojciec, moja tak zwana matka, wszyscy.

- Przykro mi - powiedziałam.

Na bogów, jak to banalnie zabrzmiało.

Przyglądał mi się w skupieniu, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół mojej twarzy. A potem nagle pociągnął mnie w dół, przewrócił na plecy i wpił się w moje usta. Nasze języki spotkały się - zrazu nieśmiało, by po chwili rozszaleć się z prawdziwą namiętnością. A jednak coś było nie tak. Nie z nim, ze mną. Chciałam się wyrwać. Co się, u licha, działo?

Jaibriol przytulił się do mnie jeszcze mocniej.

- Słodka Sauscony - szepnął cicho, podniecony.

Jego głos przywiódł mi na myśl znany rytm, który prawie rozpoznawałam...

I wtedy powróciło wspomnienie tego, co tak często słyszałam podczas walk - myśl, która paliła mnie niczym kwas. „Giń, słodka Jagernautko! Giń!”

Cholera jasna! Poderwałam się, niechcący zadrapując Jaibriola na ramionach, ten zaś usiadł powoli na łóżku, a na jego twarzy widać było mieszaninę zdumienia, zażenowania i pożądania.

- Sauscony, co się stało?

Drżałam. Oczywiście, że zachowywał się jak Highton. Przecież nim był.

- Przepraszam - mruknął, kiedy już ochłonął.

-Właśnie na takich się nas wychowuje.

- Jasne - szepnęłam.

Zegar po drugiej stronie pokoju dla odmiany tykał teraz nieznośnie głośno.

- A co powiesz na to? - zapytał.

Pełna niepokoju pozwoliłam mu się przewrócić na brzuch i usiąść na moich pośladkach. A potem poczułam na plecach jego wielkie, mocne dłonie.

- Masaż... - Zamknęłam oczy. - Świetny pomysł...

Po moim ciele przepływały niebiańskie dreszcze, gdy nagle Jaibriol przerwał.

- To już koniec? - jęknęłam rozczerwona, patrząc nań przez ramię.

- Szukam czegoś.

- Na moich plecach? - parsknęłam. - A cóż tam jest takiego ciekawego?

Jaibriol uśmiechnął się szeroko.

- Może nie dla ciebie - oświadczył, znów wracając do masażu, choć teraz jego ruchy bardziej przypominały pieszczoty. - Pewnie dlatego, że możesz to zobaczyć, kiedy tylko chcesz.

Cóż za piękny uśmiech. Już zapomniałam, jak bardzo opromieniał jego twarz. W tej krótkiej chwili nie był zgorzkniałym następcą tronu. Przypominał człowieka, którym by był, gdyby dziedzictwo nie zmarnowało jego życia - zdrowego, silnego młodzieńca, rozkoszującego się swoim pierwszym doświadczeniem z kobietą. Westchnęłam i ułożyłam głowę na poduszkach.

Jaibriol wciąż masował moje plecy, a jego dłonie poruszały się pewnie i zmysłowo. Błogi spokój rozlał się po całym moim ciele, a ja sama zatonełam w nowych doznaniach, przesiąkając męskim zapachem swojego partnera i coraz bardziej pragnąc, by masował także intymne miejsca. Położył się na mnie i ujął za biodra. Poczulałam przez spodnie jego erekcję...

Zupełnie jak Tarque.

„Uruchamiam tryb bojowy” - przekazał węzeł.

Psiakrew!

- Jaibriol, przestań! - krzyknęłam.

Jeszcze tego by brakowało, żebyś cisnęła go na podłogę.

„Wyłącz tryb bojowy!” - rozkazałam w myślach.

- Co się dzieje? - spytał, zeskakując ze mnie.

- Wszystko w porządku - odparłam i przetoczyłam się na plecy.

Niech szlag trafi Tarque'a. Nie miałam zamiaru pozwolić, by ten cholerny Aristo nadal rujnował moje życie. I to dziesięć lat po swej śmierci. Zostało nam ledwie kilka godzin - zbyt cennych, by je marnować na koszmary z przeszłości.

Ujęłam twarz Jaibriola i przyciągnęłam do siebie. Znów otoczył mnie męski zapach - tym razem o wiele silniejszy niż wcześniej. Wiedziałam, że Rhoni wydzielają inne od zwykłych ludzi feromony, ale nie byłam gotowa na ich intensywność. Ta niezwykła woń wywoływała u mnie o wiele silniejsze reakcje, niżbym się tego kiedykolwiek spodziewała.

Jaibriol wysunął głowę z moich dłoni i zaczął je całować. Następnie uniósł się na kolana, usiadł na mnie okrakiem i sięgnął do magnetycznego zamka skafandra, który wciąż miałam na sobie. Ostrożnie i bez pośpiechu rozchylił jego poły, a potem musnął delikatnie moje nagie piersi, sprawiając, że sutki natychmiast stwardniały.

Rozebraliśmy się do końca, cały czas pieszcząc się wzajemnie. Moje buty, zrzucone z łóżka, brzęknęły obcasami o devastator. Wsunęliśmy się pod jedwabną koldrę i przywarliśmy do siebie. Sięgnęłam w dół, by naprowadzić go na miejsce. Gdy wsunął się we mnie, zamknęłam oczy. Szeptalam mu coś do ucha, ale dźwięki wydobywające się z mojego gardła nie układały się w słowa. Splęceni w miłosnym uścisku, wreszcie osiągnęliśmy pełne połączenie. Nasze umysły stały się jednością - o wiele silniejszą niż wtedy na Delos - która w dodatku z każdą chwilą stawała się coraz większa i większa. A potem nagle porwała mnie fala rozkoszy - intensywna jak nigdy dotąd.

Na tym jednak nie koniec. Nadal byliśmy połączeni umysłami i nasza więź wciąż się umacniała - nawet pomimo tego, że orgazm spalił większość mojej energii. Jaibriol ani na chwilę nie ustawał, a jego podniecenie wynosiło nas coraz wyżej i wyżej. Pomyślałam, że dłużej już tego nie zniosę. Ale nie mogłam, nie potrafiłam tego przerwać. Niczym huragan przetoczył się po

nas jego orgazm, przesywając nasze ciała spazmami tak przyjemnymi, że na chwilę niemal całkowicie utraciłam przytomność.

Kiedy odzyskałam świadomość, Jaibriol leżał na mnie, tuląc swój policzek do mojego. Cały jego tors był spocorny i kleił się do moich piersi. Gdy się poruszyłam, uniósł głowę i ucałował moje zamknięte powieki.

- Warto było czekać - powiedział cicho.

- Tak, warto - odparłam. Cóż za potworne uproszczenie.

- Sauscony, ile mamy czasu, zanim...

- Zanim mój brat nas znajdzie? - Otworzyłam oczy.

-Tak.

- Być może nastąpi to jeszcze dziś. W sumie mamy jakieś kilka godzin.

Nie miałam pojęcia, jak Kurj się zachowa, gdy pojmie rozmiary mojej zdrady. Bez wątpienia reakcja będzie straszliwa. I na pewno nie krótkotrwała.

- Sauscony. - Jaibriol patrzył na mnie. - Nie chcę, żeby ci zrobili to samo, co mnie.

Wychylił się za krawędź łóżka i podniósł mój deva-stator. Położył go na moim brzuchu, a potem przywarł do mnie tak, że broń stała się zimną przeszkodą między nami. Ujął moją dłoń i oparł o chłodny metal.

Nie mogłam nabrać tchu.

- Nie...

- I tak kiedyś umrzemy - jego głos zadrżał. - Oboje dobrze wiemy, jak to jest, kiedy cię torturują. Gdy trwa to tak długo, że zaczynasz się zastanawiać, czy wytrzymasz następną minutę. Nie chcę tak umierać. W ten sposób przynajmniej odejdziemy z godnością, mając w pamięci miłość, a nie ból.

Miał rację. Zacisnęłam dłoń na broni, ale mój instykt samozachowawczy wciąż był zbyt silny. Czy w ogóle jestem do tego zdolna?

- Ja nie wystrzelę - szepnął mi do ucha. - Ty musisz to zrobić.

Odbezpieczyłam devastator i oparłam palec na języku spustowym. Wystarczyłoby pociągnąć...

Ktoś zapukał do drzwi.

Porwałam się błyskawicznie i zeskoczyłam z łóżka tak szybko, że jedwabna kołdra aż zawirowała w powietrzu. Odruchowo złapałam bluzę Jaibriola i narzuciłam ją na siebie. Nie chciałam stanąć przed prześladowcami naga i bezbronna. Uniosłam broń i wycelowałam w drzwi...

Gdy się otworzyły, prawie zastrzeliłam własnego ojca.

Serce Sieci

Stał i patrzył. Miał na nosie okulary, ponieważ nie ufał skoliańskim doktorom na tyle, by pozwolić im ingerować we własny wzrok. Nadal nosił długie włosy na modłę swoich rodaków - srebrzyste fale ocieniały jego twarz i spływały po ramionach. Był dobrze zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu, zabójczo wprost przystojnym, co zwykli obywatele uwielbiali, a Kurj bezwzględnie wykorzystywał do złagodzenia efektu, jaki wywierał jego własny wygląd.

Spojrzał na mnie, uzbrojoną w devastator, ubraną w szary więzienny drelich, a potem na Jaibriolę, siedzącego nago na łóżku. W końcu odezwał się do mnie w ojczystym języku, pierwszym, jakiego się nauczyłam.

- Chcesz mnie zabić, córko?

Myśl, iż mogłabym go zranić, przeraziła mnie do tego stopnia, że nie mogłam wykrztusić z siebie ani słowa. Zabezpieczyłam broń i odłożyłam ją na łóżko.

- Nie. Nigdy. Dobrze o tym wiesz.

- To ciebie wyczułem wczoraj w przestrzeni Kyle'a, nieprawdaż? - Podeszedł do mnie.

- Tak. Ukryłam się przed tobą.

- Otrzymałem wiadomość od twojego brata. Kazał mi się przenieść do pałacu, bo tu jest ponoć bezpiecznie.

nie. Twierdzi, że komandosi Handlarzy spenetrowali całą Dieszę. - Spojrzał na Jaibriola, który naciągał właśnie spodnie. - Czy to prawda?

- Nie. Ale Kurj w to wierzy.

- Rozumiem - rzekł, ale wyraz jego twarzy sugerował, że jest wręcz przeciwnie.

Jaibriol nadal pólleżał na łóżku. Dobrze się składało, bo na tę chwilę mój ojciec miał dosyć zmartwień. Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebował, był onieśmielający, górujący nad nim hightoński następca tronu. Nie potrafiłam przeniknąć jego myśli. Wciąż na nas patrzył, a ja jedynie ogólnie wyczuwałam, że próbuje ogarnąć sytuację, niczym zapaśnik, który walczy z o wiele cięższym przeciwnikiem.

Po chwili odezwał się po iotycku. Był to stary, niemal zapomniany język, używany jedynie przez naukowców i skoliańską arystokrację. Oraz przez moją rodzinę. Nauczył się go, ponieważ był to język ojczysty mojej matki. Przypuszczalnie korzystał z niego ze względu na Jaibriola - najwyraźniej uznał, że skoro ja znałam hightoński, to on pewnie będzie władał iotyckim.

- Sauscony - zaczął, poprawiając okulary - człowiek na twoim łóżku wygląda jak syn cesarza Qoksa.

- Tak, wiem o tym - bąknęłam. - Głównie dlatego, że to jest syn cesarza Qoksa.

- Hightoński następca tronu? - spytał z niedowierzaniem i odchrząknął.

- Tak, ten sam - odparłam. - We własnej osobie. Spojrzał na Jaibriola, który miał już na sobie spodnie.

- Dlaczego leżałeś nago w łóżku mojej córki? - zapytał, ale nawet nie czekał na odpowiedź. - Nie, nieważne. Nie sądzę, żebym naprawdę chciał to wiedzieć.

- Co teraz zrobisz? - zapytałam.
- Co zrobię? - Ojciec zmierzył mnie nieprzychylnym spojrzeniem. - Zaraz po ataku serca czy przed nim?
Nie mogłam się nie uśmiechnąć.
- Mam nadzieję, że przed nim.
- Nie ma w tym nic śmiesznego, Sauscony.
- Masz rację. - Uśmiech w jednej chwili zniknął z mojej twarzy. - Nie ma.
- Wyjaśnij mi to wszystko, proszę. - Wskazał gestem Handlarza.
- Pomogłam mu w ucieczce - powiedziałam. - To dlatego Kurj myśli, że na Dieshy szaleją komandosi.
- Kurj przechwycił Jaibriola Qoksa? A ty go uwolniłaś?
- Gdy ogłosił alarm, doszłam do wniosku, że tu znajduje się jedyne bezpieczne miejsce - przytaknęłam.
- Masz na myśli pałac imperatora?
- Tak.
Wydawał się bardziej zdumiony niż zły.
- A co, jeśli można wiedzieć, wywołało w tobie tak nagłą chęć uwolnienia eubiańskiego sukcesora?
- Dotknij jego umysłu - powiedziałam łagodnie.
- Wtedy sam zrozumiesz.
Nawet nie obrócił się ku niemu, ale wyczułam, że gdy tylko spełnił moją prośbę, jego podejście zmieniło się diametralnie. Nie miałam pojęcia, czy Jaibriol był świadom tego, co się dzieje, ale - bardziej chyba instynktownie niż celowo - natychmiast aktywował swoją barierę.
Ojciec zmarszczył czoło. Usiadł na krześle przy łóżku i nie patrząc na żadne z nas, skupił się na gościu jeszcze bardziej. Jaibriol zaś znów go zablokował. Wówczas zmienił metodę działania. Przez kilka następnych sekund, zupełnie jakby próbował złapać żywiołowego zre-

baka z Lyrine, trącał młodzieńca to tu, to tam, zaś jego szturchnięcia były tak delikatne, że ten najprawdopodobniej nawet ich nie zauważał. Ponieważ i ta strategia nie zadziałała, postanowił wślizgnąć się do mojego umysłu i spróbować dotrzeć do Jaibriola przez moje połączenie z nim. Poluźniłam barierę i wpuściłam go do środka, ojciec zaś jednym susem przeskoczył do świadomości młodego Hightona i... Poderwał się tak szybko, że aż przewrócił krzesło, na którym przed chwilą siedział. Widząc to, Jaibriol chwycił za jeden ze słupków baldachimu i uniósł się na kolanach, gotowy w każdej chwili zeskończyć na podłogę i walczyć. Chyba nie zdawał sobie sprawy, że jego mentalna blokada właśnie została pokonana.

- Ty nie jesteś Aristo - oznajmił w końcu ojciec.

- Ależ oczywiście, że jestem - odparł Jaibriol w perfekcyjnym iotyckim.

- Nie, nie jesteś.

Dłonie Handlarza zacisnęły się na słupku.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie uważasz mnie za równego sobie?

- Nie - pokręcił głową ojciec. - Chcę ci powiedzieć, że jesteś taki sam jak ja.

- Jaibriol. - Usiadłam obok niego na łóżku i położyłam dłoń na jego nodze. - On cię nie skrzywdzi.

Odwrócił się ku mnie, a ja nagle poczułam na swoich ramionach całe jego skrajne wyczerpanie. Wciąż nie puszczał słupka, ale nie trzymał go już tak kurczowo i kłykcie znów odzyskały swój normalny kolor.

- Czy Kurj wie, że to Rhon? - Ojciec spojrzał na mnie.

- Jeszcze nie - odparłam. - Ale kiedy się dowie, z pewnością uzna, że przybył tu, by zniszczyć Triadę.

- Czy to prawda, młodzieńcze?

-Nie.

Ojciec przyglądał się Jaibriolowi przez chwilę, a potem skinął głową. Tak po prostu. Bez żadnych pytań, żadnego sceptycyzmu, żadnych gróźb. Po prostu skinął, i to wszystko. Nie mogłam w to uwierzyć.

„Nie znalazłabyś się w tej sytuacji, gdybyś mu nie ufała” - przekazał mi w myślach.

„Ty jeden umiesz to zrozumieć” - odparłam. „Tak bardzo różnisz się od Kurja”.

„Ciągle to słyszę od twojej matki”. Uśmiechnął się łagodnie.

- Sądziłam, że oboje jesteście w domu na Lyshriol - powiedziałam na głos, uświadamiając sobie, jak dziwna dla Jaibriola musiała być cisza, która przed chwilą zapadła. - Że cieszycie się z wizyty u wnuków i tak dalej.

- Niestety, nasze plany się zmieniły - powiedział i poprawił okulary na nosie.

Nie zabrzmiało to dobrze. Gdyby miał wybór między powrotem do domu i spędzaniem czasu z matką a przyjazdem na Dieshę i przebywaniem w towarzystwie Kurja, z pewnością nic nie zmusiłoby go do wybrania tej drugiej opcji. Nic normalnego.

- Dlaczego? - zapytałam ostrożnie.

- Miałem atak epilepsji.

- Co takiego? - Podbiegłam do ojca i wpadłam mu w objęcia. - Dlaczego nie jesteś pod nadzorem lekarskim?

- Oczywiście, że jestem - burknął i przerwał na chwilę. - Nie wiem, dlaczego do tego doszło... Właściwie to nie był jeden atak, tylko kilka...

- Ile? - Poczułam pulsowanie w skroniach.

- Nie wiem. Byliśmy w domu i nagle... nagle poczułem się dziwnie... Obudziłem się dopiero w pobliskim szpita-

lu. Lekarka urządziła mi niezłą awanturę. Powiedziała, że miałem serię rzutów toniczno-klonicznych, i przysłała tutaj. Nie chciałem, ale nalegała. - Skrzywił się. - Skontaktowała się z Kurjem, a on przysłał po mnie statek.

- Dobrze się już czujesz? - Ujęłam go za ręce i potrząsnęłam nimi odruchowo.

- Tak, dobrze. Nikt z lekarzy nie odnalazł niczego niepokojącego.

- A ty nie wiesz, skąd się wzięły te ataki?

- Pewnie przez te dziwne sny - odparł chłodnym tonem i wysupłał swoje dłonie z mojego uścisku. - Nie patrz na mnie z tą swoją troską w oczach. Jesteś równie nieskuteczna, jak ci wszyscy medycy.

Nigdy dotąd nie słyszałam o nocnych majakach, które mogłyby wywołać atak epilepsji.

- A co ci się w ogóle śniło?

- Ktoś raził mnie Espringiem. Nie mogłem tego powstrzymać, bo byłem przykuty do ściany. To były te maszyny, Sauscony. - Spojrzał na mnie ze smutkiem. - Nie znam nazw nawet połowy z nich... Wciąż jakieś węzły sieciowe, roboty, holofilmy. To przez nie mam potem te wszystkie koszmary. Nic takiego, wierz mi.

Ledwie usłyszałam koniec wypowiedzi. W głowie dudniło mi jedno słowo: Espring. Przecież tego właśnie urządzenia używali ludzie przesłuchujący Jaibriola.

- A kto cię skuł?

- Skąd mam wiedzieć? - Machnął ręką z lekceważeniem. - Starzy żołnierze miewają takie sny.

O rażących prądem szczypcach? Nawet jeśli je znał, to chyba tylko z opowieści. Przecież większość swojego życia przeżył na poziomie, który wedle skoliańskich standardów był równoznaczny z epoką kamienną, a ja szczerze wątpiłam, by gdziekolwiek na Lyshriol znajdo-

wało się coś, co choć w części przypominałoby to wyrafinowane narzędzie do zadawania bólu.

- Rozmawiałeś o tym z matką?

- Nie. Mówię ci, że to nic takiego, Sauscony.

- Koszmary o torturach to nic takiego?

- Tak naprawdę to w tym śnie byłem przesłuchiwany. - Ojciec przestąpił z nogi na nogę.

Jaibriol, siedzący cały czas na łóżku za mną, wciągnął gwałtownie powietrze.

- Pamiętasz może z jakich powodów? - zapytałam, starając się za wszelką cenę zachować spokojny ton.

- Ktoś wypytywał mnie o armię mojego ojca czy jakoś tak... Nie wiem, skąd taki pomysł. Przecież mój ojciec umarł, gdy miałem zaledwie kilka miesięcy. - Potarł nadgarstki w miejscu, gdzie Jaibriol miał skaleczenia. - Muszę przyznać, że czasami te sny były niezwykle realistyczne. Po przebudzeniu nieraz miałem wrażenie, że to się działo naprawdę.

Przeszył mnie dreszcz. W jakiś sposób ojciec wniknął w przesłuchania Jaibriola. Przez swojego pasierba? A może przeze mnie?

Znałam Kurja. Gdy tylko zrozumie, co takiego zrobiłam, podda mnie solidnym przesłuchaniom - głównie z zemsty, ale również po to, żeby poznać moją motywację. Skoro przesłuchanie Jaibriola wywołało u mojego ojca tyle stresu, co się stanie, gdy to ja znajdę się w rękach oprawców? Mógł mnie przekonywać, ile tylko chciał, że konwulsje nie były niczym poważnym, ale ja wiedziałam swoje. Skoro nawiedziła go cała seria poważnych ataków, groziło mu większe niebezpieczeństwo, niż był gotów przyznać.

„Sauscony, czy ty naprawdę go kochasz?” Zobaczyłam, jak odruchowo wskazał głową Jaibriola.

W odpowiedzi przesłałam mu obraz tańczącej primabaleriny.

„Zastanawiałeś się kiedyś, tato, czym byłoby twoje życie bez niej?”

„Tylko że twoja matka nie jest nawet w jednej dziesiątej Hightonką”.

„Czy to, co ujrzałeś w jego umyśle, jest aż tak potworne?”

„Nie. Wręcz przeciwnie”. Westchnął i zerknął przełotnie na Jaibriola, który najwyraźniej usiłował dociec, dlaczego wpatrujemy się w siebie w kompletnej ciszy i wymachujemy rękami oraz krzywimy się, jakbyśmy rozmawiali. I choć mój ojciec wcale nie miał na to nastroju, uśmiechnął się uspokajająco do zmieszanego sytuacją młodzieńca.

- Musicie oboje poprosić o azyl w Sojuszu - stwierdził zaraz potem na głos.

Gdyby tylko życie było takie proste.

- A niby jak opuścimy Dieshę? - spytałam retorycznie.

- Nie możecie po prostu wezwać jakiegoś pilota, który zawiózłby was do portu kosmicznego? - zdziwił się. - Stamtąd polecicie na Delos i po sprawie. Nikt poza naszą trójką nie będzie wiedział, gdzie się ukryliście.

Jak objaśnić pojęcie kordonu planetarnego człowiekowi, który postrzegał wojnę w kategoriach manewrów kawalerii?

- Bez zgody Kurja nikt nie wejdzie na pokład jakiegokolwiek statku, a on dobrowolnie takiego pozwolenia nie wyda teraz nikomu.

- Pamiętaj jednak, że jeśli znów dostanę ataku - oświadczył spokojnym głosem - ktoś będzie musiał zabrać mnie do lekarza...

- Źle się czujesz?

- To się da załatwić. - Jego twarz pojaśniała.

No jasne! To nawet mogło się udać. Bez względu na to, jak bardzo Kurj nienawidził swojego ojczyzna, musiał dbać o to, by ten jak najdłużej pozostawał w dobrym zdrowiu.

- Ale nawet jeśli imperator wyśle statek - zaczęłam analizować nowy pomysł - będzie to co najwyżej jednostka przeznaczona do podróży orbitalnych. Przeniesie nas na inny kontynent, do jakiegoś specjalistycznego szpitala, i to wszystko. Nikt nie opuści Dieshy, dopóki Jaibriol nie zostanie pojmany.

- A jednak.

- Jednak co?

- Uwolniłaś lorda Qoksa, prawda?

- Tylko że zrobiłam to przed ogłoszeniem alarmu.

Wątpię, czy w tej chwili komukolwiek udałaby się taka sztuczka.

- Nie interesuje mnie ktokolwiek. - Wytrzymał moje spojrzenie. - Pytam o ciebie.

To mnie zaskoczyło. Stwierdzenie, że nigdy nie aprobował mojego wyboru, kiedy decydowałam się na wojskową karierę, było ogromnym niedopowiedzeniem. Dlatego rzadko przychodziło mi do głowy, iż tak naprawdę mógł mieć całkiem dobrą opinię o moich umiejętnościach.

- No cóż, na pewno jestem gotowa podjąć próbę.

- Dobrze, a więc decyzja zapadła.

- To nie takie proste - zaprotestowałam. - Nawet jeśli zdołamy odlecieć z Dieshy, co jest właściwie niemożliwe, będziemy musieli potem uciekać przed całą chmurą okrętów wojennych. Kurj powiadomi każdy posterunek i każdą bazę między nami a Delos. Nigdy nie zdołamy tam dotrzeć.

Ojciec poprawił okulary.

- A więc musicie znaleźć inne miejsce, nieznanne ISK oraz Handlarzom.

- Czyli jakie?

- Może warto zapytać Sojuszu?

Jak ja mam mu przemówić do rozumu?

- Nie możemy nikogo o nic zapytać! Komunikacja została zablokowana!

- Moja Linia Nadrzędna zawsze jest wolna - oświadczył z kamienną twarzą.

Czy on zdawał sobie sprawę z tego, co właśnie powiedział?

- Nie możesz jej użyć!

- Dlaczego nie? Z tego, co wiem, systemy bezpieczeństwa Kurja nawet tego nie zarejestrują.

- Zgadza się. Ty też nic byś nie wiedział, gdyby Kurj czy ciotka Deha skorzystali ze swoich Linii Nadrzędnych. Nie o to jednak chodzi. Nadrzędnej nie da się wykorzystać w ten sposób.

- Nie rozumiem.

- Ojcze, nie możesz użyć tak niezwykłych środków, by skontaktować się z prezydent Sojuszu i poprosić ją o rozwiązanie osobistego problemu. Nadrzędna może zostać wykorzystana jedynie w sytuacji kryzysowej, która zagrażałaby całej galaktyce.

- Czy może być coś bardziej kryzysowego niż śmierć dwojga następców tronu? - spytał cicho ojciec.

Zamilkłam, czując, że brakuje mi argumentów. Byłam tym wszystkim tak bardzo przejęta, że nie zdążyłam nawet przemyśleć potencjalnych konsekwencji ostatnich wydarzeń. Nasza egzekucja z dużym prawdopodobieństwem podzieliłaby Rhonów, a do tego rozwścieczony Ur Qox na pewno rzuciłby na nas całą swoją armię, chcąc

pomścić śmierć syna. Co gorsza, wieloletnie wysiłki zmierzające do przekonania Sojuszu, iż jesteśmy pokojowo nastawionym narodem, zakończyłyby się całkowitą kompromitacją. Czy po tym wszystkim mielibyśmy jeszcze u polityków z Ziemi jakąkolwiek szansę na odbudowę zaufania i ponowne podjęcie współpracy? Mój ojciec wskazał stół.

- Musisz mi pomóc, Sauscony. Ja nie wiem, jak to się robi.

Usiadłam na krześle, zastanawiając się, czy on zdaje sobie sprawę z tego, jakie to dziwne, że człowiek, który utrzymuje Sieć Kyle'a, nie ma pojęcia, jak do niej wejść. Był niepiśmienny - i to zarówno w tradycyjnym pojęciu, jak i z użyciem komputerów. Jego niechęć do nauki czasem mnie zdumiewała, a czasami wręcz martwiła. Bywało, że zastanawiałam się, czy nie ma jakiegoś deficytu intelektualnego, którego nie chce ujawniać, by nie wyjść na kompletnego prostaka. A mimo tego przestrzeń Kyle'a - świat, do którego niewielu ludzi miało dostęp, a jeszcze mniej potrafiło się w nim poruszać - była dla niego dzieciinną igraszką. Miejscem, gdzie nie musiał czytać ani pisać, bowiem wystarczyło, żeby jedynie myślał.

Dotknęłam czujnika w blacie i tuż nad stołem wyrosła niewielka kula, która otworzyła się, ukazując konsolę z holoe ekranem.

- Potrzebuję loginu oraz kodu bezpieczeństwa twojego konta. - Zerknęłam na ojca.

- Login to Valdor. A hasło to imiona wszystkich naszych dzieci przekonwertowane przez plik czwartego poziomu bezpieczeństwa EM16.

Pokiwałam głową, udając, że to, co właśnie zrobił - a mianowicie ujawnił bezcenne dane w obecności high-

tońskiego następcy tronu - to rzecz całkowicie normalna, nie zaś akt zdrady.

Weszłam na konto Triady i ustawiłam połączenie jego Linii Nadrzędnej. Istniały tu trzy specjalne węzły, każdy niezależny od pozostałych. Gdy czekałam na zakończenie procedur bezpieczeństwa, usłyszałam za sobą kroki. Odwróciłam się i ujrzałam Jaibriola, który stanął tuż za mną. O dziwo, nie usiłował rozszyfrować moich działań, co ja z pewnością bym robiła, będąc na jego miejscu. Zamiast tego przyglądał się z uwagą mojemu ojcu.

- Tak, młodzieńcze?

- Zastanawiam się, dlaczego musisz odwiedzać lekarzy - rzekł Jaibriol. - Wyglądasz tak zdrowo.

- Mam epilepsję.

Wbiłam spojrzenie w ojca, nie mogąc uwierzyć, że z takim spokojem zdradził sekret znany tylko i wyłącznie jego rodzinie.

- Jak to możliwe? - zapytał Handlarz. - W naszych archiwach nie ma na ten temat ani jednej wzmianki.

- A niby dlaczego miałbym komukolwiek z was o tym opowiadać?

- Jestem zaskoczony, że nasz wywiad tego nie odkrył.

Ojciec najwyraźniej nie usłyszał jego słów. Znów się skupił, próbując wysondować umysł Jaibriola, a potem odezwał się łagodniejszym głosem:

- Moja rodzina zginęła, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Zostali przysypani przez skalną lawinę. To wtedy miałem pierwszy atak. Lekarze twierdzą, że moja jaźń nie odłączyła się w porę od jaźni matki i wstrząs wywołany jej śmiercią fizycznie uszkodził mój mózg.

Nie miałam pojęcia, dlaczego mówił o tym wszystkim właśnie teraz. Rzadko kiedy wspominał o swojej

chorobie. Gdy neurony w jego mózgu zostawały poddane nadmiernej stymulacji, wysyłały nietypową falę sygnałów elektrycznych, przez co tracił przytomność, jego ciało sztywniało, a szczęka zaciskała się. Czasem nawet siniał i przestawał na chwilę oddychać. Następnie ciałem wstrząsały konwulsje, dopóki neurony nie ulegały zmęczeniu, a on sam nie opadał bez sił. Na koniec budził się zmęczony i oszołomiony, nie pamiętając zazwyczaj, co się stało. Gdy ujrzałam któryś z jego napadów po raz pierwszy - jeszcze jako dziecko - byłam przekonana, że mój ukochany rodzic umiera.

Doktorzy mówili, że siniał ze względu na kurcze, które uniemożliwiały dopływ krwi do mózgu.

W zeszłym roku odkryłam, że jest coś, czego mi nie powiedzieli - a mianowicie to, że nigdy nie widzieli tak gwałtownych ataków jak u niego. Owe dodatkowe struktury nerwowe w jego mózgu, które czyniły go tak wspaniałym telepatą, sprawiały również, że był niezwykle wyczulony na przeładowania wywołujące konwulsje. Nim osiągnął dojrzałość, napady stały się tak intensywne i częste, że bez pomocy medycznej sprowadziłyby na niego śmierć. Przeżył osiemnaście lat tylko dzięki nieustającej czujności swojego opiekuna, choć obaj zdawali sobie sprawę, że najprawdopodobniej nie doczeka dwudziestych urodzin.

Mojej matce wystarczyło ujrzeć jeden atak mojego ojca, by zrozumieć, że to, co on nazywał „duchowym schorzeniem”, tak naprawdę było jakąś wadą układu nerwowego. Nawet teraz, gdy wiedział już, że epilepsja jest chorobą uleczalną i nie przeszkadza w prowadzeniu normalnego życia, rozmawiał na jej temat jedynie z członkami rodziny i nielicznymi lekarzami, którym nauczył się ufać. To właśnie dlatego jego nagła szczerść w stosunku

do Jaibriola całkiem mnie zdumiała. Między nimi dwoma coś się narodziło - coś, czego nie umiałam nazwać.

- Moja dolegliwość nie jest dziedziczna - powiedział.

- To nie miałoby wpływu na moje uczucia wobec Sauscony. Niemniej jeśli oboje udamy się na wygnanie, nasze potomstwo najprawdopodobniej nie będzie miało dostępu do takiej opieki medycznej jak tu.

- Nie ma takiej potrzeby - stwierdził ojciec. - Poza mną w mojej rodzinie nikt nie cierpi na epilepsję.

Nasze potomstwo... Ta myśl mnie otrzeźwiła. Jeśli przeżyjemy całe to zamieszanie, doczekamy się dzieci będących zarówno Rhonami, jak i Qoksami. Bogowie jedni wiedzą, co to dla nich może oznaczać.

Konsolę rozjaśnił jakiś błysk, a potem rozległ się melodyjny dźwięk.

- Linia Nadrzędna gotowa? - Ojciec spojrzał na mnie.

Jasna cholera!

- Nie. To Kurj. Chce z tobą rozmawiać.

Uruchomiłam głośnik, ale nie włączyłam wizji. Przywołałam ojca gestem i pokazałam mu klawisz aktywujący.

- Tak? - zapytał, dotknąwszy przycisku.

- Eldri, widziałeś Soz? - głos Kurja był spokojny.

Ojciec zeszytniał. Jego pełne imię brzmiało Eldrison Althor Valdoria, a Eldri było przezwiskiem używanym przez nielicznych. Uwielbiał je w ustach swojej żony, nie miał nic przeciwko, by wołał tak na niego opiekun, ale z Kurjem sprawa wyglądała zupełnie inaczej.

- Tak, jest tutaj - odparł chłodno.

Jaibriol spojrzał na niego wzrokiem człowieka zdradzonego. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale złapałam

go za nadgarstek i pokręciłam głową. Piloci, którzy wcześniej nas przechwycili, na pewno zameldowali o spotkaniu. Ojciec nie mógł zaprzeczyć mojej obecności w pałacu.

- Zawołaj ją, Eldri.

- Jestem - powiedziałam, pochylając się nad głośnikiem.

- Masz zostać przy ojcu - oświadczył Kurj - póki nie znajdziemy Qoksa.

Rozluźniłam się. Najwyraźniej uznał, że przybyłam tu, by chronić swojego rodzica. Cóż, to był nawet logiczny wniosek. A raczej byłby, gdybym wcześniej wiedziała, że ojciec będzie w pałacu. Mniejsza z tym. Pomimo rozlicznych systemów bezpieczeństwa Kurj ewidentnie wolał, by trzeci członek Triady miał zapewnioną solidną ochronę, a czy istniał na to lepszy sposób niż przydzielenie mu Jagernautki w stopniu primana, której lojalność gwarantowało coś o wiele potężniejszego od zwykłego posłuszeństwa wobec rozkazów?

- Tak jest, sir.

- Dobrze - powiedział Kurj i przerwał połączenie równie niespodziewanie, jak je rozpoczął.

Spojrzałam na ojca.

- Wygląda na to, że wiedział, iż tu będziesz - stwierdziłam.

- A ty nie wiedziałaś? - zdziwił się. - Przecież wysłałaś mi wczoraj wiadomość.

Zupełnie o niej zapomniałam.

- To był wybieg. W ten sposób chciałam dać Kurjowi do zrozumienia, że już jestem na Dieshy.

- No popatrz... A ja miałem ci odpisać, że to miłe z twojej strony, iż informujesz mnie o swoim przylocie.

-Uśmiechnął się łagodnie. - Chciałem nawet zaproponować wspólny obiad po oświadczeniu twojego brata.

- Po jakim oświadczeniu?
- Sauscony, nie musisz udawać skromnej.
- Skromnej? O czym ty mówisz? - Obrzuciłam go pytającym spojrzeniem.

- Kurj z tobą nie rozmawiał?

- O czym?

- Och, przepraszam - westchnął. - Sądziłem, że wiesz.

- O czym?!

- Dokonał wyboru swojego następcy - oznajmił uroczyście. - Wybrał ciebie.

Poczułam się jak pociąg magnetyczny, który właśnie przywalił w mur z prędkością trzystu kilometrów na godzinę.

- Że co?

- Twój brat wybrał cię na kolejnego imperatora. Dziś rano podpisał dokumenty.

Patrzyłam na niego bez słowa, a potem oparłam łokcie o stół i skryłam twarz w dłoniach. Mój umysł przypominał suchą gąbkę, z której wyciśnięto nawet ostatnie krople wody. Nie byłam w stanie pojąć jego słów.

A więc Kurj podjął decyzję. Moje zmagania dobiegły końca. Nie musiałam już rywalizować z Althorem. Nie musiałam tłumić w sobie strachu, że wkrótce nadejdzie dzień, kiedy będziemy musieli dokonać wyboru samodzielnie. Wszystko to jest już przeszłością. Wygrałam.

Trzeba przyznać, że wybrał idealny moment. Trudno wyobrazić sobie lepszy sposób na osłabienie morale Handlarzy niż oficjalne oświadczenie imperatora, w którym jednocześnie oznajmia, iż wybrał swojego następcę oraz że pojął w niewolę hightońskiego dziedzica. Przy czymś takim dramatyczne przemówienie Ura Qoksa,

w którym ujawnił istnienie swojego syna, wypadalo raczej blado.

- Ja nie... - głos odmówił mi posłuszeństwa. - Na bogów...

Ojciec usiadł na krześle naprzeciwko mnie.

- Wiem, że sprzeciwiałem się twojej decyzji wstąpienia do ISK. Trudno mi było się z tym pogodzić.

Pokręciłam głową. Cóż mogłam powiedzieć? Przecież oboje już dawno uznaliśmy temat za niebyły lub może raczej znudziliśmy się naszymi kłótniami.

- Sauscony, posłuchaj mnie. - Ujął moje ramię i zmusił, ażebym na niego spojrziała. - Przyglądam ci się od wielu lat. Widziałem, jak potraktowało cię życie. Widziałem, jak sobie z tym poradziłaś. Nie jesteś Kurjem. Nigdy nim nie będziesz.

- O co ci chodzi? - Zesztywniałam. - Że niby nie po dołam nowym obowiązkiem władcy?

- Nie, nie o to chodzi...

- A więc o co? - Usiłowałam opanować odruch zacisnięcia zębów. - Że powinien wybrać Althora? Bo bardziej przypomina jego samego?

- Nigdzie nie jest napisane, że ktoś, kto przypomina Kurja, nadaje się do rządzenia - odparł suchym głosem.

- A więc już zupełnie cię nie rozumiem - fuknęłam. - Wyjaśnij mi to wreszcie.

- Może nie wyrażam się najprecyzyjniej, ale chciałem powiedzieć, że... że moim zdaniem... Kurj dokonał słusznego wyboru.

To naprawdę mnie zaskoczyło. Na ojczyściej planecie ojca kobiety nigdy nie zajmowały się wojną, nie mówiąc już o piastowaniu jakichkolwiek wysokich stanowisk w armii czy rządzie. Tradycja ludu, z którego się wywodził, kompletnie różniła się od zwyczajów panujących

w Imperialacie, który oferował całkowite równouprawnienie, a do tego wywodził się z matriarchatu. Jasne, zawsze byłam przekonana, że ojciec kocha mnie tak samo mocno jak moich braci, ale zarazem czułam, że traktuje mnie inaczej. Synowie stanowili jego dumę, a ja byłam dla niego... czymś dziwnym, nietypowym. Dlatego ostatnią rzeczą, której się po nim spodziewałam, było oświadczenie, że jestem najlepszym kandydatem do tronu. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc go po prostu uściśniłam. Przytulił mnie, kładąc moją głowę na swoim barku. W końcu puściłam go.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że widziałeś, jak potraktowało mnie życie?

- Że dzięki temu stałaś się twarda i zahartowana. Jeszcze dwadzieścia lat takiej egzystencji i pewnie bym cię nie poznał. - Przelknął ślinę. - A kim byś była po stu latach?

Pomyślałam o życiu, które ledwie wczoraj sobie wyobraziłam - władczyńi strzeżona dzień i noc przez Ja-gernautów, nie licząc rzadkich chwil samotności w tym pustym zamczysku; wiecznie podejrzewająca wszystkich dookoła, łącznie z Reksem, który zasługiwał na coś lepszego niż przypominanie sobie o swoim kalectwie na mój widok. Nie, nie chciałam, by moje życie tak wyglądało. Niemniej takie były konsekwencje przejścia tronu, a o tym przecież marzyłam.

Inna sprawa, że właśnie przekreśliłam swoje prawo do sukcesji.

- Co, poddajesz się? Ty? - skrzywił się ojciec. - Zde tronizowani władcy uciekali na wygnanie od niepamiętnych czasów. Ty i księżę Jaibriol na pewno nie będziecie pierwszymi, którzy zniknęli, a potem wrócili, gdy sytuacja okazała się korzystniejsza.

- Gdy usuniemy się w cień, następcami tronu zostaną inni.

- Nie twierdzą, że to będzie łatwe. Niemniej z prawnego punktu widzenia każde z was jest prawowitym dziedzicem swojego imperium.

Ujrzałam Łzę w jego oku i usłyszałam słowa, których nie wypowiedział na głos.

„Wróć. Wróć, bym wiedział, że żyjesz”.

Moje oczy zaszyły mgłą.

- Jesteś bardzo przyzwoitym facetem, wiesz?

- Jestem prostym rolnikiem z zacofanej planety.

-Poczerwieniał, a potem wskazał konsolę. - A jeśli nie skontaktujemy się z prezydent Sojuszu, stanę się prostym rolnikiem bez jednej córki.

Jego konto zakończyło właśnie ustawianie Linii Nadrzędnej. Dwukrotnie sprawdziłam połączenie z Ziemią, a potem uruchomiłam je. Sygnał przeszedł bezpośrednio przez Sieć Kyle'a, a dokładniej przez telopów, wprost do nanochipu wprowadzonego do ciała prezydent Sojuszu. Linia była zabezpieczona i telopi nigdy się nie zorientują, że przekazali jakąkolwiek wiadomość. Mój puls przyspieszył, gdy wstałam, ustępując miejsca ojcu. Usiadł na krześle, a my z Jaibriolem cofnęliśmy się, by rozmówca po drugiej stronie łącza nie zobaczył nas po włączeniu wizji. Potem ojciec wsunął psifon do nadgarstka.

- Połączenie aktywowane. Przygotować się do transmisji - zaskrzeczał suchy głos Linii.

Złapałam Jaibriola za rękę. Oto kluczowy moment. Jeśli Sojusz nas odrzuci, nie będziemy mieli gdzie się podziać.

- Gotów - rzekł ojciec.

Holoekran na stole rozwinął się, ukazując kobietą twarz. Jej piękne rysy tu i ówdzie znaczyły zmarszczki,

a okalające czoło siwe loki nadawały wrażenie dostojności i powagi. Widziałam to oblicze tysiące razy, kiedy pojawiała się w wiadomościach, ale dziś wyglądało inaczej. Prezydent była zmęczona i wymizerowana, jak gdyby sygnał wyrwał ją ze snu.

- Wasza Wysokość - pozdrowiła ojca skinieniem głowy.

- Prezydent Calloway - uklonił się w odpowiedzi.

- Co się dzieje? - przeszła od razu do rzeczy, mówiąc po skoliańsku.

- Potrzebujemy azylu dla dwóch osób. Trzeba je przetrzymać do miejsca, którego nie zna ani wywiad Imperia-latu, ani Handlarzy. A jakby się dało, również wywiad Sojuszu.

- Kim są ci ludzie?

- Ważniejsze, dlaczego o to proszę. Jeśli nie otrzymają azylu, zginą.

- A jaki związek ma z tym Ziemia?

- Ich śmierć doprowadzi do eskalacji naszej wojny z Eubianami.

- Przykro mi, ale nie mogę się angażować w kwestie dotyczące konfliktów między Eube a Skolią. - Calloway zmierzyła go ostrym spojrzeniem. - Każda ingerencja byłaby równoznaczna z ujawnieniem sojuszu z wami, który przecież na tę chwilę oficjalnie nie istnieje.

- Ale zdaje sobie pani sprawę, że jeśli my przegramy, to następnym celem podboju Handlarzy będziecie wy?

- Sądzi pan, że egzekucja tych dwojga do tego stopnia zagraża bezpieczeństwu Imperialatu?

-Tak.

- Muszę wiedzieć, kto to jest - powiedziała stanowczo.

- Nie podam ich nazwisk, jeśli nie dojdziemy do porozumienia.

- Nie dojdziemy do porozumienia, dopóki nie poznam ich nazwisk.

Ojciec milczał przez chwilę, a potem rzekł:

- Dobrze, zdradzę pani, kim oni są, ale pod warunkiem że da mi pani słowo, iż zachowa w tej sprawie całkowitą dyskrecję. Nikt nie może się dowiedzieć o naszej rozmowie.

Dłoń Jaibriola zacisnęła się mocniej na mojej. Podobnie jak ja, musiał uczestniczyć w obradach swojego rządu z prezydentem Calloway. Oboje wiedzieliśmy, że jej słowo jest święte - i być może dlatego tak rzadko je dawała. Co się stanie, jeśli odmówi? Gdy nas ujrzy, natychmiast zda sobie sprawę, że jest proszona o udział w intrydze, która może wstrząsnąć całą galaktyką. Co gorsza, nie będzie potrafiła przewidzieć konsekwencji przystania na propozycję ojca.

- O wiele pan prosi - oznajmiła.

- Istnieją ważne powody.

- A jeśli się nie zgodzę?

Nie odpowiedział od razu. Wyczuwałam chaos w jego głowie. Wiedziałam, że powie jej o wszystkim nawet bez udzielenia gwarancji. Gdyby po czymś takim skontaktowała się z Kurjem... Nie, na to nie mogliśmy pozwolić. Okazałoby się wówczas, że nie tylko ja dopuściłam się zdrady, ale również mój ojciec. Kurj z pewnością nie miałby wtedy żadnych skrupułów, żeby go zabić.

„Nie!” - pomyślałam. „Nie rób tego!”

Ojciec nabrał tchu.

- Jeśli nie da mi pani słowa, zginie wielu ludzi. Zginie wielu Rhonów.

- A jeśli je dam?

- W całym wszechświecie tylko my dwoje będziemy o tym wiedzieć.

- A ta dwójka?

- Oni też. Ale pošlemy ich tam, gdzie nikt ich nie znajdzie.

Ani jednym grymasem nie dała po sobie poznać, co myśli.

- Prosi mnie pan, bym zawarła z panem, członkiem Triady, tajny układ. W dodatku układ, który zamierza pan zachować w tajemnicy nawet przed swoim zwierzchnikiem, imperatorem Skolii.

-Tak.

- I nie powie mi pan dlaczego, dopóki się nie zgodzę?

- Tak. Proszę zaufać swojej intuicji.

- Intuicja i polityka chadzają innymi ścieżkami.

- Mimo to proszę, by pani to zrobiła.

Nadal nie zdradzała się z żadnymi emocjami. Cisza stawała się coraz dłuższa. Zerknęłam na Jaibriola. Na jego skroniach perlil się pot, zaś dłoń stawała się coraz bardziej wilgotna.

- Dobrze - rzekła Calloway. - Daję panu moje słowo.

Odetchnęłam, widząc jednocześnie, że ramiona ojca nieznacznie opadły. Nie zdawałam sobie sprawy, że był tak spięty. Odwrócił się i przywołał nas gestem. Potem wstał sprzed konsoli i cofnął się, a my zajęliśmy jego miejsce. Miałam na sobie jedynie więzienną koszulę, a Jaibriol tylko spodnie, niewątpliwie pochodzące z tego samego zestawu - staliśmy więc półnaczy przed holo-ekranem, trzymając się za ręce i wpatrując w panią prezydent, jak niewinne dzieci, które właśnie napsociły.

- Mój Boże - szepnęła.

- Pomoże im pani? - Ojciec stanął za nami.

Ziemianka westchnęła i zdmuchnęła kosmyk włosów, który opadł jej na czoło.

- Niczego nie rozumiem - powiedziała.

- Oni twierdzą, że się kochają - rzekł mój ojciec.

- Nadal niczego nie rozumiem. Primanie Valdo-ria, czy rzeczywiście chce pani udać się na wygnanie z... Hightonem? - Urwała. - Czy jest pani w stanie przeżyć jako jego partnerka?

- To nie Highton - wyjaśniłam.

- Nie? - Odwróciła się do Jaibriola. - A zatem jak, na litość boską, doszło do tego, że został pan eubiańskim następcą tronu?

- Jestem rhońskim psionem - odparł cicho.

Brwi Calloway podjechały do góry. Minęło dobre pięć sekund, zanim się odezwała, patrząc na ojca:

- Wygląda na to, że ten człowiek jest dla was o wiele niebezpieczniejszy żywy niż martwy. Nie tylko zresztą dla was. Dla nas wszystkich. - Skrzywiła się.

Ojciec pokręcił głową.

- Cesarz Qox chce od swojego syna tego, czego on najprawdopodobniej nie może mu dać.

- Ufa pan Jaibriolowi Qoksowi, ponieważ jest Rho-nem?

- Tak - odparł i podjął po chwili: - Kiedyś usłyszałem o pewnej rybie mieszkającej na waszej planecie. By się rozmnożyć, musi płynąć pod prąd i dotrzeć do miejsca, gdzie sama się wylęgła z jajeczka. Lub zginąć po drodze. Jeśli chodzi o niepowstrzymany popęd, by łączyć się w pary z podobnymi sobie, Rhoni przypominają owe ryby. Dla tej sprawy jesteśmy gotowi pokonać każdą przeszkodę. - Zerknął na mnie i głos uwiązał mu w gardle. - Lub zginąć po drodze.

- Dlaczego nie mogą udać się na Delos? - zapytała Calloway.

- To niemożliwe - powiedziałam. - Planeta jest otoczona ścisłym kordonem wojskowym.

Przyglądała mi się długo i surowo, a potem odezwała się do ojca:

- Prosi mnie pan, bym przyłączyła się do spisku, który w bezpośredni sposób zagraża pozycji imperatora. I jednocześnie cesarza.

- Proszę panią, by pomogła pani uniknąć kryzysu, grożącego trzem rządóm międzyplanetarnym.

- Jeśli wam pomogę i wyjdzie to na jaw... - urwała..

- Moja córka jest mistrzynią tajnych operacji - ojciec skwapliwie wykorzystał lukę. - Jest w stanie usunąć wszelkie ślady naszej rozmowy.

Calloway musiała wiedzieć, że mówi prawdę. Jej wywiad zapewne miał na mój temat teczkę równie pokazną, jak my na temat każdego z jej głównodowodzących. Rozparła się na fotelu, skrzyżowała ramiona na piersi i wsparła policzek na dłoni. Na moment przestała nas dostrzegać - pogrążona w rozmyśleniach, wpatrywała się w jakiś nieokreślony punkt przed sobą. W ciszy, jaka zapadła, słyhać było tylko tykanie zegara. Tik-tak. Tik--tak. Zapragnęłam, by to cholerne ustrojstwo nagle się zepsuło.

- Dobrze - odezwała się Calloway. - Pomogę wam.

Do jutra

S tatek wylądował na dachu pałacu. Był to śmigacz medyczny, przystosowany do błyskawicznego transportowania chorych i rannych. Osiadł z rykiem w kłębach gorącego dymu, a potem znieruchomiał. Latarnie naprowadzające, dostrojone do systemów nawigacyjnych, przeszły na normalny tryb oświetleniowy, rozpędzając mroki nocy. Ich blask odbił się od okolicznych szczytów, przypominając nam, że nie znajdowaliśmy się w porcie kosmicznym, a na dachu imperialnej samotni, gdzieś w samym środku potężnego masywu górskiego.

Jaibriol oraz mój ojciec stali tuż obok mnie, osłaniając twarze przed podmuchem z dysz. Gdy tylko śmigacz wygasił silniki, podbiegłam do niego.

Boczny właz pojazdu otworzył się, a w jego progu stanęła kobieta w białym mundurze służb medycznych, z trójkątnym symbolem pogotowia ratunkowego na lewym ramieniu. Sięgnęła do konsoli na framudze i po chwili światło w kabinie przygasło.

Zatrzymałam się przed trapem, a lekarka zeszła na dół i wykonała na mój widok ceremonialny ukłon.

- Priman Valdoria?
- Tak - odparłam. - Ojciec odpoczywa.
- Czy wystąpiły kolejne konwulsje?

- Nie - pokręciłam głową. - Ale jego stan nie wydaje się stabilny.

- Mam nosze poduszkowe.

Umówiona wymiana zdań poszła zgodnie z planem. Czas na konkrety.

- Jak się pani nazywa?

- Erin O'Neill.

Zgadzało się - o niej właśnie usłyszeliśmy od Calloway. Naszywka na piersi mówiła, iż nosząca uniform osoba to Lyra Merson. Stare, dobre, skoliańskie nazwisko. Nawiasem mówiąc, mieliśmy akta Merson, opisujące każdy ważniejszy krok w jej życiu - jak się okazuje, fałszywe od początku do końca. Gdybym nie miała większych zmartwień na głowie, byłabym naprawdę wściekła, że Sojusz z taką łatwością zainstalował swojego szpiega w samym centrum Miasta-Kwatery.

- Co pani powiedziano? - zapytałam.

- Że mam zabrać jakichś ludzi do miejsca, którego lokalizację prezydent Calloway prześle bezpośrednio na mój śmigacz, kiedy już opuścimy Dieshę.

- Czy ktoś jeszcze zna pani rozkazy?

- Nie - pokręciła głową.

Życie moje i Jaibriola zależało od jej dyskrecji.

- Ja jestem jedną z tych osób.

-Tak jest.

- Pani prezydent powiadomiła mnie - zaczęłam, nie spuszczając z niej wzroku - że wedle aktualnych przepisów prawnych Sojuszu kapitanowie statków powietrznych i kosmicznych mogą udzielać ślubów. Czy to prawda?

O'Neill zamrugała powiekami.

- Eee... Tak, prawda.

- Dobrze.

Zarówno prawodawstwo Imperiałatu, jak i Handlarzy uznawało związki małżeńskie zawarte przed urzędnikami Sojuszu. Dzięki temu, gdybyśmy teraz zdecydowali się z Jaibriolem na taki krok, a potem doczekali się dzieci, byłyby one naszymi legalnymi spadkobiercami. Nie miałam pojęcia, co to by oznaczało dla nich w przyszłości, ale z pewnością nikt nie mógłby powiedzieć, że pochodzą z nieprawego łoża.

- Wszystko w porządku - szepnęłam do komunikatora ukrytego w mankiecie.

Latarnie na dachu zgasły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zewsząd otoczyła nas ciemność, a gdzieś nad nami zawył złowrogo wiatr. Kiedy wzrok O'Neill jako tako przyzwyczyił się już do mroku, ujrziała dwie postacie, nadciągające powoli od strony nadbudówki. Jedna z nich utykała - to mój ojciec, który poruszał się w ten sposób, gdy nie miał przy sobie swojej laski. Obaj mężczyźni stali się w pełni widoczni dopiero wtedy, gdy podeszli do nas całkiem blisko. O'Neill rozdziawiła usta, rozpoznając przybyłe osoby, a kiedy już ochłonęła, ukloniła się głęboko - najpierw ojcu, a później Jaibriolo-wi, który nadal miał na sobie więzienny strój.

- Wsiadajmy. - Wskazałam śmigacz.

Agentka Sojuszu usunęła się na bok, a mój ojciec pierwszy wszedł po trapie do zaciemnionej kabiny. Za nim podążył Jaibriol, potem ja, a na końcu sama O'Neill. Po zamknięciu śluzy powietrznej oświetlenie pokładowe zwiększyło swoją intensywność do normalnego poziomu, oślepiając nas na moment.

Śmigacz zaprojektowano z myślą o szybkiej i maksymalnie oszczędnej podróży. Wnętrze wypełniał sprzęt medyczny najróżniejszego typu - były tu zasobniki z oznaczeniami typowymi dla systemów podtrzymy-

wania życia, stopy złożonej odzieży szpitalnej i zwykłych płócien opatrunkowych, pojemniki z nervopleksem, rury i rurki, puszki i kanistry, a także pomniejsze opakowania o najrozmaitszych kolorach, wszystkie zawierające zapasowe węzły lub artykuły medyczne. Do ściany obok grodzi przymocowano karabin laserowy z dodatkowym magazynkiem. O'Neill dostarczyła nam także inne rodzaje broni - siekierę oraz pudło z bombami igłowymi, bardziej nadającymi się do wykorzystania podczas wykopów niż do obrony. W jednym z kątów zainstalowano również koję z rampą medyczną, przygotowaną do przyjęcia pacjenta.

Jaibriol opadł na nią, zamknął oczy i oparł się o ścianę za plecami.

- Wszystko w porządku? - Usiadłam obok niego.

- Jestem zmęczony i tyle. - Spojrzał na mnie. Ojciec podszedł do nas i stanął na wprost, marszcząc brwi. Jaibriol poczerwieniał na twarzy, złapał jeden z kabli, na których zawieszono koję, i dźwignął się w górę.

Co to w ogóle miało znaczyć? Kolejny akt milczącej wymiany słów, jak ta ich rozmowa na temat dzieci? Również wstałam i otaksowałam ich obu spojrzeniem.

Ojciec patrzył surowo na hightońskiego dziedzica.

- Jesteś gotów, by należycie zaopiekować się moją córką? - zapytał.

Nie mogłam w to uwierzyć. Do licha, byłam przecież Jagernautką w stopniu primana!

- Chyba to mnie powinieneś spytać, czy jestem gotowa zająć się nim! - zaprotestowałam.

Ojciec zerknął na mnie, a na jego twarzy pojawił się przeprasający uśmiech.

- Może to faktycznie nie było najwłaściwsze postawienie sprawy - powiedział do Jaibriola, drapiąc się

po policzku. - Czy ty aby nie jesteś nieco za młody dla Sauscony?

To pytanie było równie głupie, jak pierwsze. Dlaczego uparli się z matką, żeby komentować wiek moich facetów?

- Zrobię wszystko, co trzeba, by była szczęśliwa, sir - stwierdził Jaibriol, odpowiadając stanowczym spojrzeniem.

- Liczę na ciebie.

O'Neill stała przy fotelu drugiego pilota i przyglądała się nam z nieskrywanym zdumieniem. Gdy zorientowała się, że to widzę, natychmiast odwróciła wzrok.

Przeniosłam spojrzenie na ojca i odkryłam, że patrzy na mnie z nieznaną mi dotąd czułością.

- Uważaj na siebie, córko - powiedział cicho.

Wyciągnęłam ku niemu ręce, a on złapał mnie i uściśnął mocno. Pamiętałam te ramiona jeszcze z dzieciństwa. Zamknęłam oczy i ułożyłam głowę na jego barku.

- Ty także. I dbaj o zdrowie.

- Kocham cię - szepnął.

Po policzku spłynęła mi łza.

- Ja też cię kocham, Hoshpa. - Cofnęłam się. - Powiedz mamie, że przykro mi za to, co zaszło na Fore-shires. Powiedz jej, jak bardzo ją kocham i jak bardzo żałuję, że... - przełknęłam ślinę - jak bardzo żałuję, że nie mogę jej tego powiedzieć... osobiście.

- Obiecuję - odparł i otarł własne łzy.

O'Neill odkaszlnęła cicho, ledwie słyszalnie. Gdy spojrzeliśmy na nią, uśmiechnęła się przepraszająco.

- Przykro mi, ale musimy się zbierać. Z każdą chwilą ryzyko wykrycia staje się coraz większe.

Skinęłam głowę. Wraz z ojcem podeszliśmy do służby powietrznej. Gdy dotknął panelu otwierającego grodzie,

światła w kabinie znów przygasły. Powoli zszedł po trapie na tonący w ciemnościach dach i zniknął w mroku.

Uniosłam rękę na pożegnanie, zakładając, że może jeszcze mnie widzi.

„Do zobaczenia... tato” - pomyślałam.

„Do zobaczenia, Soshoni”.

Zamknęłam służbę. W kabinie na powrót pojaśniało, a ja przeszłam na przód statku. Śmigacz nie był wyposażony w pełen kokpit i miał jedynie przedział z dwoma fotelami - dla kapitana i drugiego pilota. Erin wskazała mi to pierwsze miejsce.

- Powiedziano mi - stwierdziła, poprawiając warkocz - że jest pani w stanie ominąć kordon okołopla-netarny.

- Spróbuję - odparłam.

To, czy mi się uda, to już całkiem inna sprawa.

Moja towarzyszka opadła na fotel drugiego pilota. Na jej twarzy nie było widać żadnych emocji, ale wyczułam napięcie. Wypełniała doprawdy osobliwą misję - ryzykowała życiem dla ludzi, których w normalnych warunkach by szpiegowała. Jaibriol znów siedział na koi z zamkniętymi oczami i jak poprzednio, opierał się plecami o ścianę.

- Lepiej się zapnij, kochany - rzuciłam łagodnym głosem.

Spojrzał na mnie półprzytomnym wzrokiem, a potem położył się na wznak, wyciągając nogi, i ciężko westchnął. Każdy ruch sprawiał mu wyraźnie ból.

O'Neill dotknęła panelu egzoszkieletu przy moim fotelu.

- Ten przycisk aktywuje rampę medyczną - poinformowała.

Wcisnęła go i za nami rozległ się szelest. Gdy się odwróciłam, ujrzałam półprzezroczystą membranę otacza-

jącą tors Jaibriola. Jedno z wiszących na wysięgniku włókien zniżyło się i wniknęło w nagie ramię mężczyzny, który jednak natychmiast otworzył szeroko oczy, złapał zań i wyrwał z ciała.

- To tylko płyn glukozowy, Wasza Wysokość! - rzuciła szybko O'Neill. - Według skanerów jest pan poważnie odwodniony.

Jaibriol zawahał się, a potem puścił włókno, które natychmiast na powrót przypadło do ramienia i przeniknęło przez skórę. Mężczyzna zeszywniał, ale zapanował nad odruchem ponownego wyrwania go z ciała. Zaciśnęłam zęby, nienawidząc oprawców Kurja i Kryksa Qua-elena, którzy odpowiadali za zaszczepienie podobnych reakcji u mojego ukochanego.

Wsunęłam się w fotel pilota, pozwalając, by zewsząd otoczył mnie egzoszkielec. W moje ciało wniknęły psi-fony.

„Tu Medlinia” - zgłosił się ścigacz.

Wejście do Sieci Kyle'a tą drogą zdawało mi się dziwaczną i nadmiernie formalną operacją. Czarna Gwiazda, sztuczna inteligencja mojego Jaga, przerzuciłaby mnie w psiberprzestrzeń błyskawicznie, zaś teraz musiałam punkt po punkcie wypełniać procedury Medlinii i przy każdym kroku podawać szczegółowe instrukcje. Wreszcie się udało - weszłam jako wiązka fal spowitych w ciemność. Cała Sieć aż skrzyła się od działań jednostek utrzymujących blokadę orbity, a blask włókien raził w oczy, niczym promienie jaskrawego dieshańskiego słońca. Obecność Kurja zaznaczała się wszędzie. Wisiał nad tym światem jak jakiś wszechobecny cień. Cień niemożliwy do uniknięcia. Na pewno? Skryłam się w mroku.

„Psibersymulacja” - przekazałam. „Wysoka orbita”.

Panorama wirtualnego oceanu nagle zniknęła i znalazłam się w przestrzeni kosmicznej. Przedemną wisiała Diesha - wielka, turkusowo-bursztynowa kula spowita w brudną bawełnę. Psibersymulacja wykorzystywała dane zgromadzone wcześniej przez sensory statku i teraz stworzyła tak szczegółową kopię rzeczywistości, iż poczułam się, jakbym naprawdę tam była - jakbym unosiła się naprzeciwko planety i przyglądała statkom tworzącym na jej orbicie kordon ochronny. Dzięki temu zabiegowi otrzymywałam o wiele lepszy obraz sytuacji niż ten przekazany przez holowizualizację, lepszy nawet od projekcji na jaźniościance w Jagu.

Holowizualizacja, jaźniościanka i psisym - były to trzy różne poziomy możliwości sensora, każdy o wiele skuteczniejszy od poprzedniego, każdy też o wiele kosztowniejszy. Co istotne, psibersymulacja nieprawdopodobnie szybko pozbawiała użytkownika sił fizycznych i umysłowych, przez co nie nadawała się do stosowania podczas walki. Niemniej teraz musiałam sięgnąć po każdą możliwą metodę, jeśli chciałam nas stąd wyciągnąć. Gdyby ucieczka się nie powiodła... Cóż, w takiej sytuacji mój stan ciała czy ducha nie będzie miał już większego znaczenia.

Nad krawędzią Dieshy coś mignęło. Skupiłam się i pomknęłam w tamtą stronę, a psisym skrócił mój lot do kilku sekund zamiast kilkudziesięciu minut, które zabrałby rzeczywistemu statkowi. Połyskliwy punkcik szybko przerodził się w krążownik bojowy ISK - rozdęty gigant, który mógł pochłonąć tysiąc śmigaczy i jeszcze mieć miejsce dla kolejnych. Jego powierzchnię pokrywały wieżyczki ogniowe, a sterczące z nich ogromne lufy działa mogłyby wessać cały pociąg magnetyczny za jednym zamachem. Okręt otaczał rój pomniejszych statków, a luki dokujące co rusz otwierały się i zamykały, niczym

ogromne szczęki najeżone groteskowymi kłami wystających elementów wyposażenia. Scena ta była osobliwie niema, gdyż na tej wysokości atmosfera nie miała odpowiedniej gęstości, by przenosić fale dźwiękowe.

Krażownik wypełnił już całe pole widzenia, ale ja przybliżałam się nadal - aż wreszcie mogłam ujrzeć każdą skazę na pancerzu, a kadłub okrętu górował nade mną niczym metalowy klif. Podleciałam jeszcze bliżej i otarłam się o burtę. Wiedziałam, że dotykam wnętrza egzoszkieletu, ale chciałam, aby Medlinia wykorzystała swoje dane na temat krążownika i odtworzyła wrażenia sensoryczne. Chropowata, poobijana powierzchnia wyglądała na prawdziwą, a zmysł dotyku potwierdzał to, co widział wzrok.

Cofnęłam się i pomknęłam ku planecie. Widok zmienił się z oszalałającą prędkością - w okamgnieniu przeszedł z kuli zawieszanej w przestrzeni w panoramę o zakrzywionym, odległym horyzoncie, a potem - w płaski pejzaż. Przeniknęłam przez chmury i opadałam dalej, aż wokół mnie wyrosły góry. Nigdzie nie widziałam żadnych światel z wyjątkiem miejsca pośród kilku szczytów, między którymi niczym brylant mienił się pałac imperialny. „Wylądowałam” na jego dachu, dokładnie pomiędzy śmigaczem terenowym, którym przywiozłam tu Jaibriola, a śmigaczem medycznym, w którym właśnie przebywałam cieleśnie. Przeniknęłam przez pancerz tego ostatniego i ujrzałam siebie samą na fotelu pilota, siedzącą z zamkniętymi oczami i zakutą w eg-zoszkielet. Poczułam się dziwnie, jakbym doświadczała podróży astralnej. Pokręciłam swoją wirtualną głową, a moja realna głowa także się poruszyła. Usłyszałam szelest włosów - co dziwniejsze, jednocześnie w rzeczywistej i cyfropretworzonej postaci.

- Gotowa? - zapytałam swoimi prawdziwymi ustami.

Zmieszałam się, mówiąc to na głos - zazwyczaj, kiedy siedziałam za sterami pojazdu kosmicznego, znajdowałam się w psipółłączeniu ze statkiem, przez co wygłaszanie komend w ten sposób nie miało sensu. Ale w końcu to nie była Czarna Gwiazda.

- Gotowa - potwierdziła O'Neill, a jej czoło zmarszczyło się lekko, choć dla mnie wystarczająco zauważalnie.

- Jakiś problem, Erin?

- Nigdy jeszcze nie spotkałam pilota przygotowującego się do startu z zamkniętymi oczami.

- Znajduję się w psibersymulacji.

- Widzi pani kokpit?

- Ba! Żeby tylko to! - Skupiłam się i ujrzałam szereg mieniących się na czerwono danych. - Siedzi pani czterdzieści osiem centymetrów i trzydzieści dwie setne ode mnie, pod kątem dwudziestu trzech stopni w stosunku do linii między pani splotem słonecznym a holoe ekranem z przodu. Z pani warkocza wyślizgnął się kosmyk, który zwisa teraz nad lewym okiem.

- Niesamowite. - O'Neill założyła niesforny kosmyk za ucho.

Ujęłam drążek sterowniczy, widząc go przez symulację, ale zarazem czując własnymi rękami - i pchnęłam w przód. Potem znów wymknęłam się ze statku i uskończyłam w mrok nocy. Dopalacze grawitacyjne śmigacza buchnęły ogniem i wokół mnie zatańczyły gorące, białe płomienie. Ryk startującego statku wstrząsnął lądowiskiem. Unieśliśmy się na kilkanaście metrów nad powierzchnię i zawisnęliśmy nieruchomo, kiedy ciąg dopalaczy idealnie zrównoważył przyciąganie.

„Sauscony...”

Aż podskoczyłam. Jaibriol? Nie powinien przebywać w psiberprzestrzeni wraz ze mną! Nie miał interaktywnego połączenia ze statkiem. Cholera, nie miał nawet implantów biomechanicznych, dzięki którym mógłby to zrobić!

„Nie potrafię się od ciebie odłączyć”. Nawet jego myśli były znużone.

„Ale musisz!”

Bez odpowiedniego przygotowania jego mózg mógł spłonąć, gdy moje interakcje z Siecią nabrałyby tempa.

„Wyobraź sobie siebie jako program na Medlinii i spróbuj uruchomić się w tle”.

Jego zmęczenie ustąpiło na moment rozbawieniu.

„Będę siedział cichutko jak węzeł pod miotłą”.

Stworzył wyobrażenie rękawiczki, wchodzącej w skład przestarzałych, dawno nieużywanych zestawów do rzeczywistości wirtualnej. Z rękawiczki wyrósł ogon, potem para uszu, dwoje oczu oraz pyszczek. Zwierzątko podłączone było do oprzyrządowania VR.

Uśmiechnęłam się, a potem przekazałam:

„Medlinia, przejmujemy drugi śmigacz”.

Lewoburtowe silniki wystrzeliły kilkoma krótkimi seriami i po chwili znaleźliśmy się dokładnie nad sąsiednim pojazdem. Gorące gazy wylatujące z naszych dolnych dysz niebezpiecznie smagały ciemny kadłub poniżej, ale wzmocniona konstrukcja bez problemu wytrzymała to piekło. Ze schowków na obydwu naszych burtach z głośnym zgrzytem wysunęły się szpony chwytaków i zacisnęły na korpusie statku w dole.

„Śmigacz przejęty” - przekazała Medlinia. „Uwaga, systemy obronne pałacu są przygotowane do zestrzelenia obydwu jednostek”.

„Co, u licha? Pokaż mi je!”

Pośród symulacji gór zobaczyłam liczne czerwone punkciki, symbolizujące instalacje ogniowe. Niektóre były pojedynczymi, odizolowanymi światełkami, a inne znajdowały się tak blisko siebie, iż wspólnie jarzyły się niczym luna. Przybliżyłam jedno z takich zbiorowisk i ujrzałam cały szereg dział laserowych, obracających się ku nam z dudnieniem, które niesło się przez noc niczym głęboki grzmot.

Wywołałam sztuczną inteligencję odpowiedzialną za systemy obronne pałacu.

„Zos, zgłoś się”.

„Tu Zos”.

„Daj nam odlecieć”.

„Nie mogę”.

„Dlaczego?”

„Jest to sprzeczne z wprowadzonymi programami”.

Niech spłonę, przecież to ja ją programowałam!

„Zweryfikuj moje wzory mózgowie, a potem wypełnij polecenie”.

„Wiem, kim jesteś. Wyląduj albo zniszczę śmigacz”.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Zos sprzeciwiała się moim rozkazom? Do jasnej cholery, byłam przecież jej matką!

„Zaprogramowałaś mnie, bym chroniła twoją rodzinę” - przekazała Zos. „Ucieczka Jaibriola Qoksa stanowi dla niej zagrożenie, tak więc uniemożliwiam to działanie”.

Na tym polegał problem ze sztucznymi inteligencjami, z którymi zbyt często się zaznajomiłam - były w stanie rozgryźć moje zamiary.

„Posłuchaj, jeśli ja i Jaibriol nie wydostaniemy się stąd, zginie wielu ludzi, łącznie ze mną. Jeśli ja umrę, może

umrzeć także mój ojciec. Przestań więc robić problemy i wypuść nas!"

Brak odpowiedzi.

Cholera! Co wyczynia ten przekłety komputer?

„Zos, zgłoś się!"

Dudnienie przesuwających się dział ustało.

„Zos?"

„Możecie startować".

Odetchnęłam.

„Skasuj wszystkie zapisy tej rozmowy".

„Wykonano".

„Dziękuję". Odetchnęłam z ulgą i skupiłam swoją uwagę na śmigaczu. „Medlinia, pokaż mi kordon".

Medlinia ukazała mi siatkę utworzoną ze złotych linii na tle nieba. Miejsca, w których linie te się przecinały, były w istocie okrętami wojennymi tworzącymi kordon.

Nagle siatka wybrzuszyła się i utworzyła kulę, zawierającą w swoim środku Dieszę. Składające się na nią kwadraty tworzyły idealnie symetryczny wzór, co było wyrazem bezwzględnego porządku, jakiego Kurj poszukiwał we wszechświecie. Na każdym przecięciu linii migał przynajmniej jeden czerwony punkcik, a na niektórych było ich aż tyle, że światła zlewały się w gorzejącą kulę. Skupiłam się na jednym z nich i dopatrzyłam się gigantycznego krążownika „Maxar", otoczonego wieloma jednostkami przydzielonej doń grupy bojowej. Medlinia zalała mnie strumieniem danych, w tym raportami wywiadu, do których dostęp mógł mieć tylko ktoś o tak wysokiej pozycji jak ja. Ale nawet moja wiedza na temat ISK nie na wiele się tutaj zdała. Dzięki niej mogłam tylko lepiej zrozumieć rozmach i zasięg całej operacji. Jak my się przedostaniemy na zewnątrz? Te okręty zniszczą

każdą jednostkę, na którą padnie choć cień podejrzenia, że próbuje opuścić orbitę planety bez zezwolenia.

Cóż, a więc rzeczywiście pora na coś nieprawdopodobnego.

„Medlinia, przejdź w inwersję” - przekazałam.

„Nie rozumiem rozkazu”.

„Włącz silniki inwersyjne i zabierz nas stąd”.

„To niemożliwe”.

„Gdzieś to mam. Wykonać”.

„Żeby wejść w inwersję, najpierw musimy opuścić planetę i rozpedzić się do prędkości relatywistycznej. Jeśli zaś opuścimy planetę, okręty kordonu nas zniszczą”.

„Nie mówiłam, że masz opuścić orbitę i przyspieszyć. Kazałam wykonać inwersję. Natychmiast”.

„W tym celu trzeba jednak przyspieszyć”.

Nie miałam bladego pojęcia, co się stanie, jeśli wykonamy inwersję, stojąc w miejscu. Wedle powszechnego przekonania, manewr taki nie zostałby zakończony, a obiekt przeszedłby w niebyt, zawieszony między światem realnym a nierealnym. Inna sprawa, że nikt nigdy tego nie próbował, tak więc nikt nie wiedział, czy to prawda.

„Przechwyciłam wiadomość z centrum dowodzenia” - przekazała Medlinia. „Okręt mający eskortować nas do szpitala chce wiedzieć, dlaczego wciąż tu sterczymy i po co nam ten drugi śmigacz”.

Kończył nam się czas.

„Medlinia, inwersja!”

„Żeby wykonać manewr inwersji musimy przy...”

„Przestań, do jasnej cholery! Inwersja! W tej chwili!”

Silniki uruchomiły się.

Rozpoczęły się obroty.

Poczułam nudności. Gwiazdy i góry gdzieś się rozplynęły. Nie, góry zniknęły, racja, ale gwiazdy wciąż były tam, gdzie przedtem. Rozmazały się tylko po niebie, niczym smugi światła na czarnym tle. Po chwili uświadomiłam sobie, że góry również były tam, gdzie przedtem, ale po prostu wtopiły się w niebo, równie teraz czarne jak one.

Inwersja nie wyszła, utknęliśmy między światami.

Wniknęłam do śmigacza i ujrzałam siebie na fotelu pilota - półprzytomną, z zamkniętymi oczami oraz z dłońmi zaciśniętymi na poręczach. Nagle uświadomiłam sobie, że prawie zerwałam styczność z rzeczywistością, a trzymałam się jej jeszcze tylko dzięki psiber-symulacji. Gdybym wcześniej utraciła tę ostatnią więź z wszechświatem, do którego należeliśmy, już dawno stopilibyśmy się z tym dziwnym uniwersum. Psisym jednak cały czas wyczerpywała moje siły i wkrótce ledwie mogłam utrzymywać się w tym stanie. Kabina zafalowała i...

Wtedy poruszył się Jaibriol. Spłynął z koi niczym farba rozpuszczająca się na deszczu. Włókno wysunęło się z jego ramienia z cichym cmoknięciem i opadło na podłogę. Mężczyzna w zwolnionym tempie przeszedł kabinę. Jego twarz wydawała się rozmazany bohomazem wieńczącym ciemną plamę torsu, a wkrótce także to ciało rozwodniło się i zachlapało pokład. Kabina przechylała się - przód na prawą burtę, tył na lewą. Razem z O'Neill dosłownie wyciekałyśmy z miękkich już egzozskieletów. Nogi Jaibriola umknęły gdzieś na boki, przez co cały wydawał się rozplywać w dwóch kierunkach jednocześnie. Kabina nadal skręcała się, zaczynając przypominać wstęgę Möbiusa.

Jaibriol dotarł do mnie. Przód jego ciała pokryły czarne strugi, które kiedyś były moimi ramionami. Wyciąg-

nał dłoń, a ta wniknęła w drążek sterowniczy, który popłynął w przód i rozbryztał się na pulpicie. Poczułam, jak dopalacze eksplodują, a przyspieszenie na powrót wdusza nasze ciała w fotele. Jaibriol wtopił się częściowo w mój egzoszkielec, a częściowo w pokład, wyglądając teraz jak postać z koszmaru malarza surrealisty.

Nie byłam już w stanie utrzymać psibersymulacji. Reszką sił wyskoczyłam ze śmigacza, przeciekając przez jego kadłub, jakby to było sito o olbrzymich otworach. Tak naprawdę wyciekła tylko część mnie, ale wystarczyło, bym ujrzała pełnię grozy na zewnątrz. W tym osobliwym wymiarze między wszechświatami kordon został zredukowany do mozaiki rozmazanych złotych linii i czerwonych smagnięć. Okręty otworzyły ogień, lecz ich pociski i wiązki na próżno cięły przestrzeń. Wszędzie słychać było niosące się echem niesamowite, wibrujące odgłosy. Obok mnie przemknął strumień powietrza cuchnący wydzielinami.

Wchodziliśmy w kordon.

„Meedliiiiiiiiiiaaa, wyyytyyyycz kuuuurssss...”
-pomyślałam.

Słowa mi umykały, więc usiłowałam wytworzyć w umyśle obraz otwartej przestrzeni, którą widziałam w zdeformowanej siatce. Medlinia zareagowała, ruszając w kierunku pierwszej luki, lecz gdy tylko zaczęliśmy się przybliżać, złote linie rozsmarowywały się coraz bardziej, wypełniając sobą całą przestrzeń. W efekcie zamiast w otwarty kosmos wpadliśmy nagle w złociste bagno, które oblepiło nas ze wszystkich stron.

Z trudem wróciłam do statku, odzyskując kontakt z ciałem. Jaibriol leżał na pokładzie, przypominając bardziej rozpaćkaną kałużę niż ludzką istotę. Wszędzie było ciemno. Tak ciemno...

Wszystko gasło...

Światło...

Przez mój umysł przepłynął strumień danych, informując mnie, iż wyszliśmy z zawieszenia. Medlinia opuściła planetę na tyle daleko, by można było uruchomić dopalacze fotonowe. Osiągnęliśmy 60% prędkości światła...

...96%

-99,999999%

Masa skraplania zwiększyła się o czynnik 7000. Silnik ssał materię z kosmicznych promieni, które przenikały zarówno realny, jak i nierealny wszechświat. Ich gęstość przerastała wielokrotnie tę, którą spotykaliśmy w pod-światłej. Śmigacz pożerał paliwo niczym nienasycony Behemot i gnał przed siebie, bogowie jedni wiedzieli dokąd. Przez osiemnaście minut - a może osiemnaście tysiącleci? - pędziliśmy przez przestrzeń na krawędzi prędkości światła, próbując raz za razem przejść w inwersję. Kolejne próby kończyły się jednak niepowodzeniem.

„Meeeeedliiii... podświeeee...”

Kabinę ogarnął całkowity i ostateczny mrok.

Nagle obroty się zakończyły.

Aż sapnęłam, wystraszona gwałtownym odzyskaniem materialności. Otworzyłam szeroko oczy. Nadal gnałimy z przyspieszeniem ponad 1G, ale byliśmy cieleśni. Byliśmy normalni! No, nie do końca. Fragmenty mojego munduru wtopiły się w fotel, a w miejscu, gdzie Jaibriol przygniótł moje ramię, widziałam nawet kawałki skóry.

- Wszyscy cali? - zawołałam chrapliwie.

Uderzyłam dłonią w egzozskielet, który natychmiast się otworzył. Rozejrzałam się po kabinie.

Jaibriol leżał bezwładnie na pokładzie. Nogi miał rozrzucone tak, jakby upadł na plecy, ale jego klatka piersio-

wa była przekręcona, przez co od talii w górę sprawiał wrażenie osoby leżącej na boku. Wyglądał na zmaltretowanego.

Walcząc z zapięciami, wreszcie zdołałam wyswobodzić się z fotela kapitana. Wstałam i od razu poczułam zawrót głowy. Opadłam ciężko na pokład, a potem zaczęłam pełznąć w kierunku mojego kochanka.

„Błagam, bogowie, dajcie mu przeżyć...”

Wyprostowałam jego nienaturalnie wygięte ramię i ułożyłam na klatce piersiowej. Z jękiem przewrócił się na plecy, a jego ciało przybrało normalną pozycję. Wpatrywał się w sufit niewidzącymi oczyma.

Pochyliłam się nad nim.

- Widzisz mnie?
- Tak. - Zamrugał, patrząc prosto w moją twarz.
- Wszystko w porządku?
- Chyba tak.

„Primanie Valdoria” - usłyszałam w głowie Medlinię.
„Zużywamy ogromne ilości paliwa”.

„Więc przestań przyspieszać”.

Szum silników zmienił tonację, a we wnętrzu kabiny niespodziewanie zapanował stan nieważkości. Jaibriol odwrócił głowę, przez co aż poderwał się w górę.

Z fotela drugiego pilota dobiegł cichy jęk. Odbiłam się od pokładu i podpłynęłam w tamtą stronę. Twarz O'Neill była blada.

- Udało się - powiedziała.
- Taką mam nadzieję - odparłam, rozsiadając się w egzoszkielecie.

Holomapy na pulpicie przede mną przedstawiały rejon, który właśnie przemierzaliśmy, a oprócz tego wyświetlały wykresy przedstawiające zużycie paliwa, trajektorię, pozycję, datę... Datę?

- Skoczyliśmy trzy miesiące w przyszłość! - Gwizdnęłam.

Jaibriol podpłynął do mnie i złapał się poręczy fotela.

- To niemożliwe. Od startu minęło ledwie kilka minut.

- Nie przeszliśmy inwersji - wyjaśniłam. - Upływ czasu nie został więc zrekompensowany.

Nagle uświadomiłam sobie, że to mogło zadziałać na naszą korzyść.

- Będą nas szukać w złym miejscu. Lub raczej w złym czasie. Zresztą poszukiwania już się odbyły. Trzy miesiące temu.

- To zaś oznacza, że od kwartału nie złożyłam raportu pani prezydent - rzekła CNeill. - Pewnie myśli, że zginęliśmy.

- Miejmy nadzieję, że wszyscy tak myślą - stwierdził Jaibriol.

To niezwykle. Upłynęły już trzy miesiące od chwili, gdy ojciec przedstawił Kurjowi naszą historyjkę, jak to zdesperowany Jaibriol zdołał dotrzeć do pałacu, porwał śmigacz i próbował przygotować jego silniki do inwersji. Ja oraz „Lyra Merson” dopadłyśmy go śmigaczem medycznym, lecz dostałyśmy się w zasięg strumienia wylotowego nieprawidłowo przygotowanych silników, a potem... Potem nikt nie wie, co się stało.

„Medlinia, odłącz śmigacz”.

Wibracje otwierających się szczęk przeszyły cały kadłub. Holomapy ukazały pojazd pod nami, poruszający się z tą samą prędkością co my. Ręcznie manipulowałam chwyதாகami tak, aż znalazł się nieco przed naszą jednostką.

„Zniszcz go” - przykazałam Medlinii.

Śmigacz eksplodował, a odłamki strzeliły we wszystkich kierunkach. Niektóre pomknęły nawet prosto na nas, odbijając się po chwili od wzmocnionego kadłuba. Nim ktokolwiek odkryje wrak, jego szczątki znajdą się w tak dużej odległości od siebie, że nikt nie będzie w stanie ustalić, że nie zginęliśmy podczas eksplozji.

I w tym momencie nasz plan dobiegł końca.

Oparłam się i zamknęłam oczy. Teraz, gdy poziom mojej adrenaliny z wolna opadał, poczułam napływające znużenie.

- Może powinnam przejąć stery - ni to spytała, ni to oznajmiła O'Neill.

Udało mi się skinąć. Agentka Sojuszu pochwyciła drugi wolant, a ja otworzyłam egzoszkielet i wydostałam się na zewnątrz. Wraz z Jaibriolem podpłynęliśmy do koi. Gdy znaleźliśmy się na niej, natychmiast otuliła nas membrana aseptyczna i zabezpieczyła nasze ciała. Wreszcie mogliśmy się odprężyć, spleceni w czułym uścisku. Chciałam odpędzić sen i cieszyć się tą chwilą, ale moje wysiłki spęzły na niczym. Wkrótce oboje pogrążyliśmy się w głębokim śnie, przerywanym sporadycznymi przebudzeniami. Gdy przechodziliśmy w inwersję, mój żołądek zbuntował się, lecz tym razem skurcz trwał zaledwie sekundę.

Obudziłam się po jakimś czasie i ujrzałam O'Neill unoszącą się przy naszej koi.

- Jak samopoczucie? - zapytała.

- W porządku - mój głos był chrapliwy, ale czułam się pewniej.

- Przetawiałam śmigacz na autopilota - powiedziała. - Za kilka godzin dotrzemy do celu.

- Dokąd zmierzamy? - wymamrotał Jaibriol, który właśnie także się przebudził.

O'Neill złapała się jednego ze wsporników i podciągnęła wyżej, by mieć kontakt wzrokowy także z nim.

- Na planetę Gamma IV.
- W jakiej to konstelacji? - zapytałam.

Samo Gamma IV było niewystarczającym desygna-tem.

- Nikt nie wie o jej istnieniu poza nami, panią prezydent i sondą zwiadowczą, która znalazła ją cztery dni temu - tłumaczyła O'Neill. - O, przepraszam, trzy miesiące i cztery dni temu. Pani prezydent osobiście przejęła raport z sondy, nim dotarł do innych instancji, i pewnie zaraz go zniszczyła.

Proszę, proszę, a więc agentka Sojuszu nie miała zamiaru zdradzać dokładnej lokalizacji nawet nam.

- Czy są na tej planecie jacyś ludzie?

Wszystkie te środki ostrożności wzięłyby w łeb, gdyby ktoś nas rozpoznał.

- Nie ma żadnych inteligentnych gatunków - odparła O'Neill. - Jedynie mnóstwo dzikich zakątków, jak choćby góry, w których was zostawię. To wszystko, co wie my. Nie mamy żadnych danych na temat tego miejsca. Zgromadziłam tyle sprzętu, ile się udało bez zwracania na siebie uwagi. Mam również sztuczną inteligencję napędzaną energią słoneczną wraz z biblioteką. Poza nią jednak będziecie skazani na siebie.

Cóż za niedopowiedzenie. Na szczęście jako Jager-nautka przeszłam szkolenie w zakresie przetrwania w ekstremalnych warunkach. Moja zwiększona siła oraz zwinność oczywiście również mogłyby się przydać, podobnie jak inteligencja Jaibriola, ale zadanie i tak wydawało się trudne. Przypuszczałam, że z punktu widzenia Calloway kryła się w tym całkiem sensowna logika. Bo czy istnieje lepszy sposób na utrzymanie dwójki następców tronu

z dała od kłopotów niż osadzenie ich na dzikiej, nieoznaczonej jeszcze na żadnej mapie planecie, gdzie wszelkie ich wysiłki pochłoną próby utrzymania się przy życiu? O'Neill odchrząknęła.

- Jeśli sobie pani życzy, to mogę... mogę przeprowadzić tę ceremonię.

- Ceremonię?

- Ceremonię ślubu. - Zawahała się. - Pytała pani, czy...

Obróciłam się za siebie i spojrzałam przez ramię na Jaibriola.

- Chcesz się ze mną ożenić?

- W porządku. - Uśmiechnął się i oparł na łokciach.

Oświadczyzny, których romantyzm przeszedł wszelkie nasze oczekiwania, mieliśmy już za sobą, tak więc mogliśmy udać się do kokpitu i wywołać pliki biblioteczne zawierające informacje dotyczące uroczystości ślubnych. Medlinia dysponowała kilkunastoma opisami, głównie ze światów skoliańskich. Moją uwagę przykuł jeden z nich, pochodzący z Ziemi, z kultury niejakich Majów. Powodem było to, że towarzyszył mu wizerunek kobiety przypominającej moją babcie - z dużymi, ciemnymi oczami i bujnymi włosami splecionymi w warkocz. Obrządek ten spisano jedynie w języku zwanym tzotzil. Nie chcieliśmy, by naszemu ślubowi towarzyszył beznamiętny głos jakiejś sztucznej inteligencji, która na bieżąco tłumaczyłaby tekst, tak więc O'Neill przygotowała sko-likański tekst, utrzymany w odpowiednim nastroju.

Potrzebowaliśmy trzech świec, wstążki, trzynastu monet i dwóch obrączek. O'Neill wygrzebała kilka kieszonkowych latarek, które miały pełnić rolę tych pierwszych. Znalazła również długi pasek, który mógł zastąpić wstążkę, a nawet garść monet, które wydobyła ze swojej

kieszeni. O dziwo, największą trudność sprawiły nam obrączki, ale w końcu udało nam się zdobyć dwie nakrętki od śrub. Dla większego efektu powinniśmy uklęknąć przed ołtarzem, ale z uwagi na fakt, iż nie mieliśmy ani ołtarza, ani nawet odpowiedniego przyciągania, postanowiliśmy zaimprovizować wszystko, lewitując przy koi.

O'Neill włączyła latarki i wręczyła nam po jednej, trzecią zatrzymując dla siebie.

- Niech te światła opromienia waszą przyszłość - powiedziała uroczyście, a potem obwiązała nam ręce paskiem, robiąc na górze niewielką pętlę. - Niech ta wstążka złączy wasze żywoty w jedno. Niech waszym душom nigdy nie zagraża niebezpieczeństwo.

Na koniec odliczyła trzynaście monet i przekazała je Jaibriolowi.

- Proszę dać to partnerce i powiedzieć: „Oddaję je tobie, żono”.

Jaibriol wcisnął mi pieniądze do wolnej ręki.

- Oddaję je tobie, żono - rzekł, po czym dodał ci chym głosem: - To wszystko, co mam, a co więcej, zostało pożyczone, ale oddaję ci te monety z całego serca.

Uniosłam jego dłoń i przycisnęłam ją wierzchem do swojego policzka.

- A zatem uczyniłaś mnie bardzo bogatą kobietą - wyszeptałam.

O'Neill zerknęła do swoich notatek.

- Tak właściwie to trzeba powiedzieć: „Przyjmuję je, mężu”. Właśnie w tym momencie po raz pierwszy nazywacie siebie mężem i żoną.

- Przyjmuję je, mężu - wyrecytowałam i spojrzałam na O'Neill. - A ja niczego mu nie ofiarowuję?

Ziemianka raz jeszcze przejrzała swoje notatki.

- Nic tu nie ma na ten temat. Te monety oddaje się osobie, która udziela wam ślubu.

Wydawało się to raczej bez sensu, tym bardziej że monety od początku stanowiły jej własność, niemniej wypełniłam polecenie.

- Dziękuję - oznajmiłam.

- Nie, proszę je zatrzymać. - Kobieta uśmiechnęła się. - Na pamiątkę.

Potem wyciągnęła dwie nakrętki z kieszeni, uniosła dłoń Jaibriola i wsunęła mu pierwszą z nich na palec serdeczny.

- Może pan założyć obrączkę swojej żonie - wyjaśniła, podając mu drugą nakrętkę.

Jaibriol ze wzruszeniem wykonał polecenie. Rzadko nosiłam biżuterię i dziwnie się z nią teraz poczułam, ale wiedziałam, że to żaden problem. Przyzwyczaję się.

- Gdybym była księdzem, odczytałabym Słowo Boże - powiedziała O'Neill. - Ale nie jestem, tak więc...

- Rozumiemy - odparłam.

- A zatem - ujęła podkładkę z protokołem, która cały czas wisiała u jej paska - jako kapitan tego statku ogłaszam was mężem i żoną. Musicie się tu podpisać.

- Jeśli pozostawimy za sobą jakieś ślady, ktoś może je odnaleźć. - Jaibriol zdenerwował się zauważalnie.

- Ale przecież musicie się podpisać - stwierdziła rzeczowo Ziemiańska. - Obiecuję, że zaraz po przylocie oddam ten dokument samej prezydent Calloway. Tylko ona będzie miała do niego dostęp. Bez waszych sygnatur cała ta ceremonia nie miała najmniejszego znaczenia.

- Dla nas miała - rzucił twardo Jaibriol. - I tylko to się liczy.

- Nie. Erin ma rację. - Uśmiechnęłam się delikatnie. - Przecież to w ten sposób kończyło się kiedyś wojny, praw-

da? Dwoje młodych ludzi z przeciwnych stron konfliktu wchodziło w związek małżeński. Pomyśl o naszych dzieciach. Ich pozycja osłabnie, jeśli będą pochodzić z nieprawego łoża. Jeśli coś nam się przytrafi, będzie to miało dla nich o wiele poważniejsze konsekwencje, niż możemy to sobie teraz wyobrazić.

Handlarz spojrzał na O'Neill.

- A więc tylko prezydent Calloway ujrzy ten dokument?

- Chyba że znajdzie pan powód, by poprosić ją o jego ujawnienie.

- Niech więc będzie - odetchnął Jaibriol.

Podpisaliśmy oboje i staliśmy się mężem i żoną.

Jaibriol stał tuż obok i razem ze mną przyglądał się wieczornemu niebu. Statek O'Neill już dawno skurczył się do wielkości punktu i zniknął gdzieś za horyzontem, a my nadal nie ruszaliśmy się z miejsca. Staliśmy nieruchomo, jakby zwalniało nas to z obowiązku przyznania przed sobą, iż znaleźliśmy się tu sami, odcięci od reszty ludzkości.

W końcu Jaibriol westchnął i spojrzał na wejście do jaskini, które czerniło się w zboczach pobliskiego wzgórza.

- Musimy zatroszczyć się o jakiś system obronny. Nie mam pojęcia, co tam się kryje. - Wskazał brodą ciemny las nieopodal.

- Tak - przytaknęłam. - Oczywiście.

Po wejściu do wnętrza jaskini zaczęliśmy się rozglądać. Wątle światło naszych latarek ukazało nam pieczarę niewiele większą od kabiny naszego śmigacza. Wszędzie zalegały skrzynie, pudła i sterty najrozmaitszych przed-

miotów, wśród których królował transponder neutrino-wy. Zainstalowaliśmy elektryczny ekran i na tym poprzestaliśmy.

- Wyjdźmy na zewnątrz - zaproponował Jaibriol, wyciągając koc. - Tylko na trochę.

Pomyśl, by wymknąć się z ciemnej jaskini, przemówił do mnie natychmiast.

- W porządku.

Zarzuciłam na ramię karabin laserowy i wsunęłam za pasek dodatkowy magazynek.

Na zewnątrz ponownie włączyliśmy ekran, by nikt nieproszony nie dostał się do środka, a potem rozejrzeliśmy się dookoła. Otaczał nas las złożony z drzew o miękkich igłach, przeredzony na zachodzie, gdzie lądujący śmigacz wypalił rozległy plac. Na północy drzewa również rzedniały, tworząc polanę.

Poszliśmy w tamtą stronę, próbując się rozeznąć w terenie, aż wyszliśmy na krawędź klifu. Wszędzie dookoła ciągnęły się szczyty górskie, odcinające się ostro od nieba, a strome, porośnięte borem zbocza opadały ku dolinom. Tu i ówdzie widać było nagie klify, odcinające się bielą od wszechobecnej zieleni. Nad górami płonął zachód słońca, barwiąc nisko wiszące chmury. Horyzont po drugiej stronie dla odmiany mocno pociemniał, przez co tu i ówdzie mrugały już do nas gwiazdy. Wysoko nad naszymi głowami wisiał postrzępiony różek księżyca.

- Pięknie tu - stwierdził cicho Jaibriol.

- Tak, pięknie.

To niezwykle świat. Dziki. Nieznany.

Po krótkim rekonesansie usiedliśmy na skraju klifu, otulając się kocem. Karabin ułożyłam na naszych kolanach. Wiatr owiewał nam twarze, a góry skrywały nas w coraz głębszych cieniach. Nad nami pojawiały się ko-

lejne gwiazdy - najpierw pojedynczo, potem tuzinami, wreszcie setkami i tysiącami.

Jaibriol oparł głowę o moją.

- Dom - powiedział.

Dom. Dziwnie to zabrzmiało. Zostawiliśmy za sobą tak wiele. Straciliśmy wszystko, co znaleźliśmy, i wszystkich, których kochaliśmy. Bo mimo tego, co się wydarzyło, wiedziałam, że Jaibriol w głębi serca kochał swojego ojca. W zamian za to zyskaliśmy świadomość, że któregoś dnia my - lub być może nasze dzieci - będziemy mogli położyć kres niekończącej się wojnie między naszymi cywilizacjami. Na razie nie dano nam żadnych gwarancji, nie padły żadne obietnice, nic nie było pewne.

Istniała jednak nadzieja.

Przytulaliśmy się do siebie, czując ciepło naszych ciał schowanych pod kocem. Wkrótce wrócimy do jaskini, by się kochać, a potem coś zjemy i położymy się spać. Musimy mieć siły na jutrzejszy dzień i na wszystkie kolejne. By poznać siebie nawzajem i nauczyć się wspólnie żyć. A przede wszystkim, aby być przygotowanym nie tylko na najbliższe czasy, ale i na nadchodzącą przyszłość - także na moment, kiedy będziemy musieli opuścić tę przepiękną planetę i podjąć walkę o swoje dziedzictwo.

Teraz jednak mogliśmy w spokoju siedzieć i przyglądać się, jak nadchodzi noc.

Spis treści

Podziękowania 17

Część pierwsza:

DELOS

- I. Wyspa sanktuarium /11
- II. Baza Tams /39
- III. Psibernaut /58
- IV. Dziedzictwo Lucyfera /88
- V. Zaprzeczenia /130
- VI. Dywizjon Czarnej Gwiazdy /149
- VII. Następstwa /192

Część druga:

FORESHIRES HOLD

- VIII. Czas poszukiwań /225 ix. Czas na trzy /254 x. Czas na leczenie /267 xi. Czas na słowa /299 xii. Czas sadzenia /322

Część trzecia:

DIESHA

- XIII. Pięść Sieci /343 xiv. Umysł Sieci /380 xv. Łańcuchy i jedwab /405 xvi. Serce Sieci /428 xvii. Do jutra /452